

Po rześzystych ulewach, jakie nawiedziły nocą Londyn, budził się Baśnie świeży, letni poranek, roku pańskiego 1817. Świt rozpostarł już jasne sztandary na tle ametystowego nieba, a wschodzące słońce dotknęło kościelnych wież, oblewając je złocistym blaskiem. Wreszcie pierwsze nieśmiałe promienie przekradły się przez zaciągnięte zasłony jednego z eleganckich domów w Mayfair i wydobyły z mroku wspaniałą postać Charlesa Trenta, piątego hrabiego Bythorneitlow - który siedział na skraju łóżka z głową ukrytą w dłoniach.

Na Boga, chyba już był za stary na podobne rzeczy. Wrócił do domu ledwie parę minut temu. Gdy wychodził poprzedniego wieczoru na przyjęcie do Vivienne, zamierzał tam zabawić tylko parę godzin, ale piękna wdowa zażądała, by poświęcił jej znacznie więcej czasu. Doprawdy, stawała się coraz bardziej natarczywa, roszcząc sobie coraz to nowe pretensje do jego czasu i energii oraz sakiewki.

Być może nadeszła już pora, by zakończyć ten romans. Tym bardziej że ostatnio małżonka hrabiego Tenby'ego, tak bardzo przez niego zaniedbywana, poczyniała wysyłać do niego nadzwyczaj ciekawe i kuszące sygnały.

Thorne westchnął. Z drugiej jednak strony piękna hrabina, niewątpliwie prawdziwy klejnot pośród kobiet, była jeszcze bardzo młodziutka i niedoświadczona. Może powinien odnowić swoje związki z Marią Stafford? Była wprawdzie trochę samolubna i oschła wobec innych, ale posiadała też pewne zalety - poza grzecznym i uprzejmym mężem - miała około trzydziestki, niemal dokładnie tyle co on, świetnie się z nią rozmawiało i doskonale czuł się w jej towarzystwie.

Dobry Boże, pomyślał z przestachem, do czego to doszło? Czyżby istotnie zaczął oceniać swoją kochankę pod tak praktycznym względem? Czyżby ów niepowtarzalny dreszcz towarzyszący osaczaniu każdej nowej ofiary i późniejszym urokiem odniesionego zwycięstwa miał nagle ustąpić miejsca chęci... właściwie chęci czego? Przyjaźni? Prychnął. Przyjaciół miał dosyć.

Thorne ponownie skierował myśli ku wdzięcznej osobie hrabiny Tenby, ku jej świeżo rozkwitłemu ciału, pełnym piersiom i krągłym biodrom. Oczyma wyobraźni ujrzał różowy jęczyzek, którym często zwilżała swe pełne, różane wargi - na tę myśl poczuł przyjemny dreszczyk w łądzwiach. Do diabła z przyjaźnią. Nie zapomniał jeszcze, czego przede wszystkim oczekiwał od kobiet - nie była to bynajmniej błyskotliwa rozmowa.

Z tym pokrępiającym przekonaniem szykował się, by wreszcie spocząć w swym miękkim łóżku, gdy nagle usłyszał lekkie skrobanie do drzwi sypialni, po czym na progu ukazał się gustownie odziany dżentelmen. W jego zachowaniu można było dostrzec zaniepokojenie, które niezbyt pasowało do jego anielskich rysów. W trzęsącej się z podniecenia dłoni dźwierzł jakiś papier, który okazał się liścikiem.

- Milordzie - zaszemrała owa zjawa.

- Co tam, Williams? - spytał znużonym głosem Thorne.

- To od panny Chloe, milordzie. Przed chwilą przyniosła to jej służąca.

Pomachał kopertą tuż przed jego nosem, jakby nagle papier zajął się ogniem, wbiegł do sypialni i prawie rzucił listem w swego chlebobdawcę.

- Co takiego? - Thorne z niesmakiem spojrzał na zmięty liścik, na którym widniały kleksy i ciemne plamy - najprawdopodobniej ślady łez, którymi cała koperta była wprost usiana.

- Milordzie - przeczytał na głos. - *Nie mogę dłużej znosić pańskiego nieustannego i pozbawionego szacunku dla mych uczuć mieszania się w moje życie.* - Thorne wznosił oczy do nieba. - *Mój Boże, co za teatralny ton - mruknął do siebie. Tym razem jednak zachował się pan nad wyraz okrutnie. Powtarzam, milordzie, że nie zamierzam dalej być ofiarą pańskich kaprysów i wiązać się z mężczyzną, którego prawie nie znam. Pańska obojętność dla mych uczuć i pogarda dla wszystkiego, co jest dla mnie święte, pchnęły mnie do ucieczki przed pańską tyranią.* - Hrabia, tknięty nagłym przecuciem, spojrzał na swego sługę. - *Mój Boże, chyba nie znaczy to, że...* - Urwał i wrócił do listu. *Oto dlaczego rezygnuję z pańskiej wątpliwej ochrony i uciekam pod skrzydła Osoby, Która Mnie Zrozumie. Proszę nawet nie próbować mnie ścigać, gdyż sama podjęłam to postanowienie. Zresztą i tak mnie pan nie znajdzie.* - Podpis był już staranny - *Z poważaniem, Chloe Venable.*

Thorne wstał i zaklął, długo i soczyście.

- A to szelma! Mogłem się spodziewać, że wymyśli coś takiego. Kiedy wyjechała?

- Nie potrafię powiedzieć, milordzie. Pinkham twierdzi, że musiała to zrobić wczorajszej nocy, kiedyśmy wszyscy... to znaczy - spojrzał z ukosa na swego pana - kiedy większość z nas poszła już spać. Łóżko panienki było nie tknięte.

Thorne ciężko westchnął.

- Cóż, nic tu nie poradzimy. Będę musiał jej poszukać. Ta służąca Chloe - jak jej było, Pinkham? Nie domyśla się, dokąd panienka mogła uciec?

- Nie, milordzie. Nie ma żadnych przyjaciółek w Londynie, a rodzice tych młodych dam na pewno nie pomogliby w podobnym przedsięwzięciu. Panienka nie ma tu także żadnych bliskich krewnych.

Hrabia zdjął zdobiony koronką halsztuk, kiwając smętnie głową.

- Niech to diabli, Williams. Ta dziewczyna sprawiała mi kłopoty od samego przyjazdu. Jest tu raptem parę miesięcy, a wydaje się, jakby upłynęły lata.

- W istocie, milordzie - odparł sługa, pomagając hrabiemu wyswobodzić się ze zmiętego stroju wieczorowego i przywdziać bardziej odpowiednie dzienne ubranie. - Wziąć na siebie brzemień opieki nad panną... hm, na wydaniu, to dość uciążliwy obowiązek.

Williams uznał za stosowne dyskretnie westchnąć.

- Lepiej będzie, jeśli pójdziesz zaraz obudzić ciotkę Lawinie - rzekł Thorne, wiążąc pod szyją świeży halsztuk. - Ta nowina na pewno uleczy ją ze wszystkich rzekomych migren, ale może cioteczka będzie nam mogła udzielić jakiejś wskazówki, gdzie Chloe postanowiła się ukryć.

Służący skłonił się i opuścił pokój hrabiego, Thorne tymczasem spiesźnie udał się do sypialni Chloe, gdzie począł metodycznie przetrząsać wszystkie szuflady i szafki. Na próżno się jednak trudził. Chloe ani myślała zostawiać mu jakiejś wskazówki, która mogłaby go naprowadzić na właściwy trop. Mimo to przeszukanie palisandrowego biureczka, które stało obok łóżka, zostało uwieńczone drobnym sukcesem. W rogu górnej szuflady Thorne znalazł plan jakiegoś miejsca, naszkicowany pośpiesznie i niedbale. Przyglądając mu się uważnie, stwierdził ku swemu rozczarowaniu, że mapka przedstawia okolice jego wiejskiej posiadłości Bythorne Park, leżącej niedaleko Guildford, niecałe dwadzieścia mil od Londynu. Chloe narysowała ją pewnie miesiąc temu, kiedy spędzili tam prawie tydzień. Thorne przypatrzył się bliżej nazwom pobliskich wiosek, starannie wykaligrafowanym na planie. Droga wiała się wokół nich i kończyła się u góry mapki w okolicach pewnej wsi - jakżeż ona się nazywała - Overby? Oddsbeck? Zniecierpliwiony odrzucił kartkę i przez chwilę stał na środku pokoju, mierzwiąc nerwowo swe miękkie, ciemne włosy, które i tak wyglądały, jakby potargał je wichur. Tknięty przecuciem podbiegi do kominka, lecz pogrzebawszy w popiele doszedł do wniosku, iż wszystko, co w ostatnim czasie znalazło się w palenisku, dawno już spłonęło. Wszystko, poza małym skrawkiem papieru, odrobinę już zwęglonym, który nagły podmuch powietrza ukazał jego oczom.

Doskonale, można było jeszcze odczytać datę - notatka pochodziła sprzed tygodnia. Thorne zorientował się także, że jest to fragment listu do Chloe, którego większą część, niestety, strawiły płomienie.

- *...bardzo się cieszę...* - mruzczał, próbując odczytać to, co pozostało. - *to cudownie, że pani... proszę koniecznie przyjechać... rozumiem pani...* Chwileczkę. *Proszę koniecznie przyjechać?* - Spojrzał na podpis, ale nie potrafił go odcyfrować. W dole listu zdołał jednak odczytać nagryzmołone *Rosemare Cottage*, obok zaś widniała nazwa wsi, której również nie mógł odgadnąć. Był prawie pewien, że pierwszą literą jest O albo D - może C, potem idzie M, które równie dobrze mogło być W albo V.

Overcross! - olśniło go nagle.

- Overcross - powtórzył zadowolony. Gdzie słyszał tę nazwę? Odwróciwszy się podniósł mapkę, którą chwilę wcześniej cisnął na podłogę. Tak, był pewien, że nazwa owej wsi w jej górnej części brzmiała właśnie Overcross, ale gdzie słyszał to słowo? Wieś leżała niedaleko posiadłości, była jednak na tyle odległa, że Thorne zupełnie jej nie znał. Mimo to był przekonany, że musiał o niej słyszeć, i to całkiem niedawno.

Przemierzał wzdłuż i wszerz sypialnię, dzierżąc mapkę w jednej, a resztki listu w drugiej dłoni. Nagle jego myśli przerwało gwałtowne otwarcie drzwi sypialni, w których stanęła niska, pulchna dama. Spod krzywo nałożonego czepka wychodziły jej kosmyki rozczochranych siwych włosów.

- Bythorne! Co się stało? Williams powiedział... - Obrzuciła wzrokiem pokój. - Wielkie nieba, więc to wszystko prawda! Uciekła! Och, co za mała niewdzięcznica! Chyba za chwileczkę będę miała atak! Beddoes, prędko moje sole trzeźwiące!

Z dłonią przy swym wydatnym biuście opadła na łóżko, dając rozpaczliwe znaki służącej, która natychmiast wbiegła za nią do pokoju. Thorne podszedł do łóżka i usiadł obok damy.

- Ciociu Lavinio, nie powinnaś tak bardzo się przejmować. Odnajdę ją. No, już dobrze - dodał uspokajającym tonem, gładząc jej dłoń. Ciotka tymczasem nie przestawała uzalać się nad wyjątkową perfidią swojej podopiecznej. Lady Lavinia St. John, siostra jego matki, panna lat około pięćdziesięciu, gospodarowała w domu od śmierci jego rodziców, czyli od ładnych paru lat. Była prawdziwą mistrzynią w zarządzaniu domem i od dawna właśnie dzięki niej wszystko w Bythorne Park układało się pomyślnie. Kiedy Thorne poprosił ją, żeby zamieszkała razem z nim w Londynie i pełniła rolę przyzwoitki przy jego przybranej bratanicy, nie wahała się ani przez chwilę. Niestety, ciotka Lavinia nie umiała zyskać posłuchu i Chloe sprytnie to wykorzystywała, niewiele sobie robiąc z dyscypliny, jaką usiłowano jej narzucić. Biedna cioteczka, zadumał się przelotnie Thorne. Nie zasłużyła sobie na podobne traktowanie w jesieni życia. Próbując ją pocieszyć, powtórzył jeszcze kilka razy: „Już dobrze, dobrze”.

Kiedy dama nieco się uspokoiła, a jej oddech wyrównał się, zapytał:

- Nie wiesz przypadkiem, dokąd Chloe mogła pojechać?

Pokręciła głową przygnębiona.

- Czy mówi ci coś nazwa Overcross? Przypuszczam, że to wieś niedaleko na północ od Bythorne Park.

- Overcross, Overcross... - powtarzała ciotka, aż wreszcie błysk przypomnienia rozświetlił jej twarz. - Zgadza się. Chloe chciała tam pojechać wiosną, kiedy byliśmy w Bythorne Park. Mieszka tam pewna kobieta, która... zaczekaj chwileczkę.

Wstała i podeszła do półki z książkami, która wisiała nad biurkiem. Wyciągnąwszy jakiś tom, usiadła z powrotem.

- Tak - ciągnęła, czytając z okładki. - To właśnie ona - Hester Blayne.  
Ciotka wręczyła książkę Thorne'owi, który odczytał na głos:  
- *Apologia praw kobiet*. Dobry Boże! - Odrzucił książkę, jakby go oparzyła.  
- Znasz to nazwisko? - spytała lady Lavinia.  
- Oczywiście że tak - powtórzył wstrząśnięty. - Hester Blayne to jedna z najgłośniejszych krzyczących przedstawicielek tej przedziwnej nowej rasy, angielskich feministek.  
- Zgadza się - skinęła głową ciotka Lavinia, trochę zdumiona jego reakcją. - Oprócz tej książki panna Blayne napisała jeszcze parę innych i we wszystkich nawołuje do walki o poprawę losu kobiet. Napisała też kilka powieści na ten temat. Chloe jest jej wielbicielek. Była na paru jej wykładach tu, w Londynie, a gdy w kwietniu pojechaliśmy do Bythorne Park, robiłam, co mogłam, żeby nie popędziła od razu do domu tej panny, czyli do Overcross.  
- Tak, teraz sobie przypominam. - Thorne zacisnął palce. - Całymi dniami suszyła mi głowę, żebym pozwolił jej odwiedzić tę pannę Blayne, chociaż wtedy jej nazwisko niewiele mi mówiło. - Wstał gwałtownie z łóżka. - A więc wiemy już, dokąd mogła uciec, ale, dobry Boże, jak się tam dostała?  
- Cóż - odparła ciotka. Wcale nie zdziwiłabym się, gdyby ta diablica wzięła po prostu dorożkę do White Horse Cellars, skąd odjeżdżają dyliżanse do Surrey. Wielkie nieba, Bythorne, przecież nie wzięła ze sobą służącej, pojechała sama jak palec! A jeśli coś się jej przytrafi... Taka młoda dziewczyna podróżująca samotnie... W najlepszym razie będzie skompromitowana.  
- Nie dopuszczę do tego - odrzekł Thorne z surowym wyrazem twarzy. - Jeżeli wyruszę natychmiast, stanę w Overcross jeszcze dziś po południu i przywiezę ją do domu wieczorem, zanim ktokolwiek zacznie coś podejrzywać.  
Tak więc niedługo potem pasażerom powozów i przechodniom na Portsmouth Road dane było ujrzeć słynną czerwono-czarną kariolkę hrabiego Bythorne'a, która gnała co koń wyskoczy na południe.

Kilka godzin później tego samego dnia pierwsza emancypantka Anglii, panna Hester Blayne, klęczała w ogrodzie obok swego domu położonego tuż za wsią Overcross. Jak na postać tego formatu, była dość niepozorną osobką, nieco mniej niż średniego wzrostu i bardzo drobną. Pasma ciemnych włosów, które wymykały się spod prostego płóciennego czepka, wiły się wokół zaskakująco młodej twarzy - zadarty nos i pełny, okrągły podbródek z pewnością nie pasowały do dwudziestu ośmiu lat. Zresztą w tym momencie szczególnie trudno byłoby określić jej wiek. Miała na sobie praktyczną i wygodną suknię z muszliny oraz równie wygodne i solidne buty. Z wielką energią i entuzjazmem plewiła właśnie ogród.

Praca w ogrodzie zajęła jej niemal całe popołudnie i pannie Blayne zaczynało już doskwierać ostre słońce, odurzały ją również intensywne zapachy lata. Usłyszawszy jakiś hałas koło domku, uniosła głowę.

- Hester! - Przy drzwiach stała starsza kobieta, rozglądając się wokół wzrokiem zamglonym od upału.  
- Tu jestem, Larkie! Chodź, zobacz, jak sobie świetnie radzę.  
- Święci pańscy, dziecko, siedzisz na dworze od paru godzin. Dlaczego nie kazałaś zrobić tego tej nowej służącej? Mówiłaś, że chcesz pracować nad książką.

Hester wstała z klęczek i przeciągnęła się z lubością, czując w mięśniach przyjemne zmęczenie.  
- Perkins pomagała dziś cały dzień kucharzowi, a ja miałam po prostu ochotę skorzystać z tak pięknego dnia. Zresztą książka jest na ukończeniu i mogłam sobie powagarować.

Starsza pani uśmiechnęła się z czułością i powiedziała:  
- Lepiej jednak wejdź do domu. Pewnie niedługo pojawi się tu żona pastora. Obiecała, że zatrzyma się tu wracając ze wsi i przywiezie mi Jedwabnych nici do wyszywania.  
- Za minutkę będę gotowa, Larkie. Chcę tylko skończyć tę grządkę.

Panna Larkin nic nie odrzekła, tylko raz jeszcze uśmiechnęła się i weszła do domu.  
Hester z zadowoleniem - wróciła do swego zajęcia. Pomyślała nie bez satysfakcji, że nigdy dotąd jej życie nie układało się tak dobrze. Niebywale szybko pokonała imponującą drogę: od mamie opłacanej guwernantki, którą była we wczesnej młodości, przez żarliwy bunt przeciw podłemu traktowaniu kobiet w Anglii, aż doszła do dzisiejszej stawy - głównej rzeczniczki feminizmu w całym królestwie. Jej sukcesy w literaturze i życiu publicznym nareszcie pozwoliły jej uniezależnić się finansowo od rodziny.

Skrzywiła się na wspomnienie słów, jakie usłyszała miesiąc temu od swego brata.  
- Doprawdy, Hezzie, umyłam ręce od twoich spraw - powiedział wtedy. - Jeśli dalej będziesz wystawiać nas na pośmiewisko, będę zmuszony zerwać z tobą wszelkie kontakty. Czy wiesz, jak się czuję, kiedy wytykają mnie palcami i mówią: „Patrz, idzie sir Barnaba Blayne. Porządny człowiek, tylko ma obłąkaną siostrę”.

Odrzekła mu znużonym głosem:  
- Barney, zrobisz, co będziesz uważał za stosowne. Przez dziesięć lat nie przyjąłam od ciebie ani pensa, nie zamierzam też korzystać z twojej wątpliwej pomocy kiedyś w przyszłości. Jeżeli tak bardzo przejmujesz się tym, co mówią ludzie, dlaczego po prostu nie zostawisz mnie w spokoju?

W jasnoszarych oczach brata zamigotało święte oburzenie.

- Dlatego, u diabła, że wciąż jesteś moją siostrą, Hezzie, i nie podoba mi się, że inni doskonale bawią się twoim kosztem, a ty nic sobie z tego nie robisz.

Ta uwaga do tego stopnia rozbawiła Hester, że wybuchnęła śmiechem.

- Rzeczywiście, nic sobie z tego nie robię. Być może cię to zdziwi, Barney, ale w Anglii mieszka mnóstwo ludzi, którzy z wielkim uznaniem wyrażają się o mojej pracy.

- Nie ma wśród nich nikogo znaczącego - odparł natychmiast Barney, grzebiąc tym samym wszelką nadzieję na zgodę między nimi, jaka przez chwilę zdawała się rysować. Od tej pory już się z nim nie widziała; ani z jego nieznośną żoną Belindą, ani ze swymi dwiema siostrami, które zawsze były posłuszne sir Barnabie.

Niechże już tak będzie, skoro nie może być inaczej, pomyślała Hester. W małym domku na wsi było jej całkiem dobrze, była szczęśliwa pośród książek i przyjaciół, do których zaliczali się najwięksi intelektualiści epoki. Miała także Larkie. Błogosławiła dzień, w którym zebrała dość pieniędzy, by sprowadzić do siebie dawną nianię z ponurego mieszkania w mało reprezentacyjnej części Londynu.

Hester uśmiechnęła się do swych myśli, po chwili jednak uśmiech zamarł na jej ustach. Nie wszystko układało się tak doskonale: wśród blasków wiejskiego życia czaił się niewielki cień - może nawet wcale nie tak mały. Spadek po ciotce, która miała do niej słabość, i pieniądze, które zarobiła za książki i wykłady, wystarczały wprawdzie na bieżące wydatki, ale miała też na głowie inne koszty, które przepełniały ją ciągłą troską. Na przykład spłata hipoteki domu. Same raty nie były tak wysokie, lecz co miesiąc dochodziła do wniosku, że aby płacić regularnie, musi zrezygnować z innych wydatków. Dach był już tak połatany, iż stało się jasne, że wkrótce trzeba go będzie wymienić. Komin nie był czyszczony od dawna, a Larkie należało sprawić nowe okulary.

Westchnęła. Może powinna była wziąć się do nowej powieści zamiast pisać dzieło filozoficzne? Miała już na swym koncie trzy powieści, które niespodziewanie odniosły wielki sukces, a kolejny tom traktujący o ciężkiej doli kobiet w Anglii, nawet gdyby wzbudził zainteresowanie wśród sporej liczby czytelników, nie przyniesie jej nawet połowy zysku, jaki mogła mieć z powieści. Nie było jeszcze za późno, by przerwać pracę nad dziełem zatytułowanym *Kobiety jako klasa niższa*, i zasiać do pisania lżejszej książki, ale Hester czuła się w obowiązku napisać rzecz bardziej poważną.

Hester podniosła się z klęczek na pięty i poczęła wycierać dłonie powalane ziemią. Chwilę pozostała w tej pozycji, wciąż myśląc o sprawach finansowych. Obiecała wydawcy skończyć *Kobiety jako klasa niższa* w rekordowym terminie, by zacząć pisanie kolejnej książki, która miała być w modnym stylu powieści gotyckiej i, jak zapewniał wydawca, miała przynieść im obojgu zawrotne zyski. Z zasady czuła wstręt do tego gatunku, lecz...

- Hej tam, dziewczyno! Biegnij co tchu do domu i sprowadź tu swoją panią!

Głęboko zamyślona Hester nie usłyszała turkotu nadjeżdżającego powozu, ale na dźwięk tego rozkazującego i nieznoszącego sprzeciwu męskiego głosu aż podskoczyła. Dobry Boże, czy ten człowiek zwracał się do niej?

- Mówię do ciebie! Chcę rozmawiać z panią tego domu!

Z płonąącym okiem Hester odwróciła się i ujrziała potężną postać mężczyzny, na twarzy którego malował się gniew.

## 2

Nieznamy wysiadł ze swej niezmiernie szykownej sportowej dwukółki i pchnął zdecydowanie furtkę, która odbiła się z hukiem od słupka. Gdy Hester podniosła się znad grządek i stanęła twarzą w twarz z intruzem, stwierdziła, że pomyliła się w swych przypuszczeniach. Chociaż istotnie odznaczał się wysokim wzrostem, nie był wcale tak potężny, jak jej się z początku wydawało. To tylko złość, której najwidoczniej nie umiał pohamować, sprawiła, że zdawał się górować nad Hester. Właściwie, gdyby nie ów gniew i pogarda, które wykrzywiały grymasem jego twarz, można by uznać, że jest niezwykle przystojnym mężczyzną. Był ubrany zgodnie z najnowszą modą: od czubka cylindra z wywiniętym rondem po podeszwy heskich butów z cholewami, wypolerowanych do oślepiającego połysku. Jego włosy, czarne jak krucze skrzydło, opadały łagodną falą na kołnierz, a spod równie czarnych brwi spoglądały na nią smoliste, przenikliwe oczy. W tej chwili oczy te były rozświetlone ukośnymi promieniami popołudniowego słońca.

Nieznamy podszedł i zatrzymał się tuż przed Hester.

- Nie słyszałaś? - odezwał się. - Spieszę się, dziewczyno, i chcę mówić z twoją panią.

Hester odetchnęła bardzo głęboko i odparła uprzejmie:

- Ja natomiast wcale się nie śpieszę. W dodatku nie jestem dziewczyną, sir, tylko panią w tym domu. Czym więc mogę panu służyć?

Mężczyzna cofnął się o krok.

- Pani? - parsknął. - To niemożliwe. Chciałem mówić z Hester Blayne.

- Właśnie pan to robi - odrzekła Hester.

W jego twarzy odbił się niezbyt uprzejmy wyraz niedowierzania.

- Hester Blayne, ta, hm... feministka?

- We własnej osobie - odparła Hester, wciąż bardzo spokojnym tonem, który jednak nikomu, kto dobrze ją znał, nie wróżył nic dobrego.

- Jeśli to prawda - rzekł wyraźnie lekceważącym tonem - żądam, aby natychmiast wydała pani moją podopieczną.

Na te słowa Hester wyprostowała się z godnością, prezentując w całej okazałości swą drobną figurkę.

- Dobry człowieku. Nie wiem, kim pan jest, lecz nie mam najmniejszego zamiaru w to wnikać. Proszę tylko, by przestał pan miotać się w niezrozumiałej dla mnie wściekłości i raczył opuścić mój ogród.

To rzekłszy, odwróciła się i skierowała kroki w stronę domku. Thorne patrzył zdumiony w ślad za nią. Afront, jaki mu niewątpliwie zrobiła, wyrażał każdy ruch jej ciała, bardzo zgrabnego, choć drobnego, jak zdążył zauważyć. Otrząsnął się z osłupienia i podążył za nią. Chwycił ją za ramię, ale natychmiast puścił, ponieważ zwróciła się ku niemu gwałtownie, że wzniesioną pięścią.

- Nieładnie traktować innych w ten sposób - warknął. - Wiem, że Chloe jest tutaj, i chcę ją zobaczyć.

- Drogi panie, proszę posłuchać - powiedziała Hester, a Thorne zauważył, że jej brązowe oczy, które jeszcze przed chwilą wydawały się ciepłe i przyjazne, teraz zmieniły się w miniaturowe wulkany, gotowe pluć ogniem i siarką. - Choćby nie wiem jak długo stał tu pan i żądał, powtarzam, nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Nie znam żadnej Chloe; nie znam także pana, lecz mam wielką nadzieję, że nie będzie pan się musiał przedstawiać. Jeżeli pan stąd nie odejdzie, zmuszona będę posłać po konstabla.

I znów odwróciła się na pięcie, tymczasem Thorne, nie chcąc powtarzać błędu, nie śmiał jej tym razem dotykać, lecz zatrzymał ją, zagradzając jej po prostu drogę.

- Sądzę, że to ja powinienem posłać po konstabla, panno Blayne. Jestem hrabia Bythorne i mam wszelkie powody, by podejrzewać, że udziela pani schronienia mojej podopiecznej, pannie Chloe Venable.

Ani jego tytuł, ani pełne godności oświadczenie nie zrobiły na damie żadnego wrażenia. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego, wreszcie głęboko westchnęła.

- Chociaż właściwie nie mam ku temu żadnych podstaw, milordzie, zrobię panu uprzejmość i nie złożę pańskiego zachowania na karb szaleństwa, tylko nieporozumienia. Nie chciałabym jednak, żebyśmy rozmawiali w ten sposób na oczach całego świata. Proszę do środka.

Nie czekając na odpowiedź, minęła go i otworzyła drzwi i nie oglądając się za siebie weszła do domu.

Rad nierad, Thorne podążył za nią, mrucząc coś pod nosem. Kiedy znalazł się w środku, rozejrzał się zdziwiony po pokoju. Choć było to bardzo małe pomieszczenie, zostało urządzone niezwykle praktycznie i z dużym smakiem. Powziął podejrzenie, że panna Blayne ma po prostu bogatą rodzinę. A może w jej życiu był jakiś majętny dżentelmen?

Gospodyni wskazała mu krzesło, po czym zadzwoniła dzwoneczkiem, który stał na kredensie, sama zaś usiadła na kanapce naprzeciw krzesła hrabiego.

- Zatem - zaczęła dość szorstko - o czym to pan krzyczał?

Powstrzymując wybuch gniewu, Thorne odparł cierpko:

- Nie krzyczałem, panno Blayne. Moja podopieczna, panna Chloe Venable, uciekła z domu i jak się okazało, prawdopodobnie pojechała i do pani. Jeżeli więc będzie pani tak dobra...

- Nie znam nikogo o nazwisku Chloe Venable, milordzie. Gdybym nawet знаła, dlaczego sądzi pan, że ta panna postanowiła przyjechać właśnie tu?

Thorne zgrzytnął zębami, wydobyl z kieszeni liścik, który zostawiła mu Chloe, i głośno go odczytał.

Hester słuchała w milczeniu.

- Cóż, potrafię zrozumieć, dlaczego nie chce dłużej mieszkać z panem pod jednym dachem, ale czy naprawdę sądzi pan - dodała zdziwiona - że to ja jestem tym Kimś, Kto Ją Zrozumie?

Zamiast odpowiedzi Thorne wyciągnął ów nadpalony strzęp listu, który znalazł w kominku w sypialni Chloe.

- Myślę, że to nie pozostawia wątpliwości co do faktu, iż miałyście ze sobą coś wspólnego - odburknął. - Wydaje się jasne, że pani utwierdzała ją w jej postanowieniu. Czyż to nie pani pismo?

- Owszem - odrzekła powoli. - Chyba tak, lecz ja nigdy...

- Widzi pani ten fragmencik - ciągnął tym samym tonem - *Proszę koniecznie przyjechać?*. Jeśli to nie jest zachęta, ciekaw jestem, jak pani by to określiła.

- Co za nedorzeczność! - odparowała panna Blayne, a Thorne poczuł nową falę gniewu. - Powiadam panu: nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek poznała pańską podopieczną. Przyznaję, wygląda na to, że napisałam do niej, ale pisuję listy do setek osób, zwłaszcza do dziewcząt w jej wieku, odpowiadając na ich listy. Niech pan teraz zamilknie i pozwoli mi się skupić.

Thorne ponownie osłupiał. Odkąd stał się dorosły, żadna kobieta nie odezwała się do niego w podobny sposób.

- Do kroćset... - zaczęła, ale panna Blayne uciszyła go po prostu ruchem ręki. Ku swemu zdumieniu Thorne opadł na krzesło i milcząc spoglądał na nią z niesmakiem.

- Chyba sobie przypominam pannę Venable - powiedziała w końcu Hester. - O ile dobrze pamiętam, pisała do mnie kiedyś wiosną. Twierdziła, że moja książka zmieniła jej życie.

Nieoczekiwanie panna Blayne uśmiechnęła się promiennie i prawdziwa magia tego uśmiechu zaparła Thorne'owi dech w piersiach. Jej policzki poróżowiły, oczy rozblęskły, a niezbyt piękna twarz przeistoczyła się w oblicze psotnej leśnej rusalki.

- Takie słowa nie pozostawiają obojętnym żadnego pisarza, milordzie. W swoim liście napisała, że była kiedyś w tych okolicach i bardzo chciała mnie odwiedzić, ale jej rodzina nie pozwoliła na to. Odpisałam jej więc, dziękując

za miłe słowa, dorzuciłam nieco uprzejmości i dodałam, że jeśli kiedyś jeszcze będzie w tych stronach, serdecznie ją do siebie zapraszam. - Przerwała, poważniejąc nagle. - Gdzież jest ta dziewczyna? - Wstała i podeszła do kredensu, ujęła w dłoń dzwonek i potrząsnęła nim niecierpliwie. Następnie ponownie zwróciła się do hrabiego: - To chyba wszystko, co wiem na temat pańskiej podopiecznej, milordzie. Przykro mi, że od pana uciekła, ale nie potrafię panu pomóc.

Thorne opadł zrezygnowany na krzesło. Był pewien, że znajdzie Chloe tu, w niewoli u tego demagoga w spódnicy, na którego patrzył teraz w milczeniu i bez ruchu. Hester odchrząknęła.

- Powiedziała, milordzie, że nie mogę panu pomóc.

Thorne otrząsnął się.

- Tak - odezwał się rozdrażniony. - Trudno, wierzę pani na słowo, że jej tu nie ma, lecz za to, co zrobiła, obwiniam właśnie panią.

Pannie Blayne odjęło mowę z oburzenia, wreszcie wykrztusiła:

- Cóż, jeśli tak pan stawia sprawę... - Wyprostowała się. - Niech więc pan wie, że podejrzenia pańskie są co najmniej śmieszne. Jest pan poza tym arogancki i... - Zacisnąwszy zęby, podeszła do drzwi i otworzyła je gwałtownym szarpnięciem. - Sądzę, że już najwyższy czas, aby pan...

Przerwało jej nagłe wejście młodej kobiety odzianej w strój pokojówki.

- Och, strasznie przepraszam - powiedziała zadyszana dziewczyna. - Z początku nie słyszałam dzwonka i...

- Chloe! - wrzasnął Thorne. Służąca okręciła się na pięcie i hrabia ujrzał jej bladą jak płótno twarz. Chloe poznała go i wyszeptwała przez ściśnięte gardło:

- Wuj Thorne...

Chaos, jaki zapanował teraz w domku Hester, trwał przez dobry kwadrans.

- Dobrze - powiedział wreszcie Thorne, ponownie siadając na krześle. - Przyjmijmy więc, panno Blayne, że nie miała pani pojęcia, iż pani nowa służąca i moja krnąbrna podopieczna to jedna i ta sama osoba, chociaż wydawałoby się stosowne, żeby młoda i mieszkająca samotnie kobieta zapytała o pochodzenie dziewczyny pojawiającej się znikąd na progu jej domu i szukającej pracy.

- Mówiłam już, milordzie, że zatrudniła ją moja towarzyszką - odrzekła cierpko panna Blayne. - Ja prawie w ogóle jej nie widziałam od tego ranka, kiedy przyjechała.

Aby w jakiś sposób naprawić swój błąd, Hester postanowiła teraz wypytać o wszystko dziewczynę. Chloe była bardzo urodziwa - miała jasne loki i błękitne oczy, które bystro spoglądały na Hester. Panna Blayne poczuła wyrzuty sumienia, każdy bowiem potencjalny pracodawca już na pierwszy rzut oka stwierdziłby, że panna Venable nie może być kandydatką na dobrą służącą. Te delikatne paluszki nigdy zapewne nie zajmowały się pracą cięższą niż wyszywanie, a mlecznoróżana cera wyraźnie wskazywała, że jej właścicielka nigdy nie zaznała niewygód. Jak Larkie mogła zgodzić ją tak pochopnie?

Kiedy o tym myślała, Larkie we własnej osobie weszła do pokoju.

- Boże miłosierny! - zawołała od progu, wycierając ręce w fartuch. - Właśnie byłam w ogródku i weszłam do domu. O cóż ta awantura, Hester? - Nagle urwała, spotykając wzrok hrabiego, który wciąż siedział na brzeżku krzesła. - Och, nie wiedziałam, że zabawiasz gościa, moja droga.

Hester uśmiechnęła się z przymusem.

- Zabawa to chyba nie jest *mot juste*\*, Larkie. Ten pan bowiem...

Lecz myśli panny Larkin skupiły się na innym szczególnie sceny rozgrywającej się właśnie przed jej oczyma i uznała, że wymaga on natychmiastowych wyjaśnień.

- Perkins, dlaczego nie podałaś herbaty? - spytała z nerwowym uśmiechem i ze zdumieniem zobaczyła, że służąca wybucha płaczem.

Upłynęło trochę czasu, zanim panna Larkin poznała i zrozumiała całą historię.

- Święci pańscy! - wykrztusiła w końcu. - Ależ z niej kłamczucha! Powiedziała mi, że pochodzi z rodziny, która popadła biedę i że właśnie wprowadzili się do sąsiedniej wsi.

- Przykro mi, panno Blayne - chlipnęła dziewczyna. - Bałam się, że jeśli powiem pani prawdę, odeśle mnie pani po prostu do mojego opiekuna. - Tu rzuciła hrabiemu spojrzenie pełne gorczy. - Pomyślałam sobie, że kiedy dostanę u pani posadę, mogę stać się naprawdę pani potrzebna, może się nawet zaprzyjaźnimy i... - Jej głos załamał się z emocji i Chloe ponownie załzała się łzami.

Thorne'owi zaczęło się zdawać, że w przeciagu niespełna godziny opuścił swój uporządkowany świat i trafił do krainy zamieszkiwanej przez obłąkanych. Szybko otrząsnął się z dziwnego odrętwienia, jakie go ogarnęło, wstał i chwycił Chloe za ramię, po czym posadził ją obok siebie na sofie.

- Posłuchaj, moja panno - warknął krótko, potrząsając nią lekko. - Tak nie można. Bardzo ładnie, że przeprosiłaś pannę Blayne, ale co ze mną? Co z ciotką Lavinią? Czy choć przez chwilę pomyślałaś o nas? Nie, oczywiście że nie. Postanowiłaś przeprowadzić swój niedorzeczny plan bez względu na skutki jakie mógł wywołać. A teraz marsz na górę po swoje rzeczy, potem zaś...

\* *mot juste* (franc.) - trafne słowo

Nie dokończył zdania, zdając sobie nagle sprawę, że jego ostra przemowa nie odnosi pożądanego skutku. Siedząca obok niego Chloe zeszytniała, a z przeciwnej strony panna Blayne i jej przyjaciółka spoglądały na niego z nie ukrywaną wrogością.

- Widzi pani, jak okropnie mnie traktuje? - zawołała Chloe pod adresem panny Blayne. - Och, błagam, niech mi pani pozwoli zostać tutaj.

Pierwsza feministka Anglii obróciła na nią zdumione oczy.

- Moja droga, serdecznie pani współczuję takiego położenia, ponieważ - tu ponownie zmierzyla Thorne'a zimnym wzrokiem - moim zdaniem opiekun pani musi być jednym z najokropniejszych mężczyzn, jakich zdarzyło mi się spotkać. Mimo to jednak - ciągnęła, zignorowawszy widoczne oznaki protestu Thorne'a - jeżeli w oczach prawa naprawdę jest pani opiekunem...

- Cóż to znaczy naprawdę? - wybuchnął Thorne. - Oczywiście, że jestem jej pełnoprawnym opiekunem. A może - dodał sarkastycznie - podejrzewa pani o to, że snuję jakieś nieczne plany porwania tej pannicy? Mogłem się spodziewać, że dama wypisująca podobne nonsensy będzie w stanie dopuścić tylko taką wersję wypadków.

Przez moment Thorne miał wrażenie, że panna Blayne zerwie się z krzesła i podbiegnie do niego, by go uderzyć. Policzki jej poczerwieniały, a drobne dłonie zwinęły się w pięści. Po chwili jednak odetchnęła głęboko i uspokoiła się.

- Nie, jestem przekonana, że na jej nieszczęście jest pan istotnie odpowiedzialny za pannę Venable. - Ponownie zmroziła go spojrzeniem. - Moja droga - rzekła do cicho pochlipującej Chloe. - Mogę pani poradzić tylko jedno: trzymać się swoich ideałów. Nie będzie pani przecież wiecznie w niewoli u tego człowieka. Jeśli naprawdę jest wobec pani okrutny, musi mi pani o tym powiedzieć i zwrócimy się z tym do władz. Mam pewne wpływy i myślę, że mogłabym pani pomóc.

Odprawiana zaskoczonym wzrokiem Thorne'a, przemierzyła pokój, usiadła obok Chloe na kanapce i ujęła ją za rękę, patrząc w jej twarz z całą powagą.

Widocznie ta wizja przeraziła nawet egzaltowaną Chloe, ponieważ podskoczyła na sofie jak oparzona.

- Och, nie - rzekła, gwałtownie się rumieniąc. - Wuj Thorne mnie przecież nie bije, nic podobnego.

W tym momencie Thorne zauważył dziwny wyraz w oczach panny Blayne - coś na kształt błysku satysfakcji. Czyżby chciała sprytnie nakłonić Chloe, by przyznała, że jej sytuacja wcale nie wygląda tak dramatycznie, jak z początku panna Venable usiłowała ją przedstawić, pragnąc, by Hester uwierzyła jej bez zastrzeżeń?

- Ale - dodała gwałtownie Chloe - chce mnie zmusić do poślubienia człowieka, którego nie kocham i nie mogę pokochać!

- Co takiego? - wykrztusiły jednocześnie panna Blayne i jej przyjaciółka, panna Larkin, a Chloe posłała swemu opiekunowi triumfalne spojrzenie.

- Naturalnie - prychnął Thorne. - Aby zapewnić jej wielką fortunę, przyrzekłem rękę tego niewinnego kwiatka pewnemu staremu rozpustnikowi. Człowiek ten ma osiemdziesiąt dwa lata, ani jednego zęba i jest chromy. Tęgo pije i zdołał już wpędzić do grobu trzy żony, ale Jest niewyobrażalnie bogaty i obiecał mi, że w dzień ślubu dostanę od niego pokazną sumkę, która ocali mnie przed więzieniem za długi. Hazard to bowiem moja słabość. Żałuję też, że nie noszę wąsa, bym mógł go podkreślać na znak, Jaki to ze mnie wspaniały mężczyzna.

Hester, wciąż siedząca na kanapie, skrzywiła usta.

- Doskonale, milordzie, możemy przyjąć, że nie jest pan czarnym charakterem z kiepskich powieści wydawanych przez Minerva Press.

- Och, nie - wtrąciła Chloe. - Pan Wery, którego wuj Thorne wybrał na męża dla mnie, nie jest stary ani zły; nic z tych śmiesznych rzeczy, o których mówił. Właściwie jest nawet bardzo miłym człowiekiem. Rzecz w tym, że ja go po prostu nie kocham i nie wyobrażam sobie, że bym mogła spędzić z nim resztę życia.

- Miłość! - parsknął z pogardą hrabia.

Hester uniosła brwi.

- Nie uznaje pan miłości, milordzie? - spytała z niewinną miną.

- Po prostu w nią nie wierzę, przynajmniej nie w jej baśniową wersję, o jakiej zdaje się marzyć Chloe. Moim zdaniem małżeństwo powinno się opierać na rozsądnej umowie między dwojgiem ludzi i ich rodzinami.

Chloe popatrzyła na Hester, potem wzniosła oczy ku niebu i wzruszyła ramionami.

- Rozumiem - rzekła Hester. Ale okropny człowiek był z tego hrabiego. - Zatem w taki właśnie sposób wybrał pan swoją żonę?

- Ja? - zapytał zaskoczony Thorne. - Nie jestem żonaty, nie mam również najmniejszego zamiaru wpaść w te sidła w najbliższej przyszłości.

Chloe uśmiechnęła się, ukazując wdzięczne dołeczki w policzkach.

- Ciotka Augusta twierdzi co innego - powiedziała mrużąc oko.

- Ciotka Augusta powinna pilnować swojego wścibskiego nosa - odparł z pewnym zmieszaniem. - W każdym razie nie ma to nic do rzeczy. No, moja panno. Już dość długo wystawiałaś na próbę cierpliwość panny Blayne. Pakuj się zaraz i jedziemy.

Chloe skrzywiła się płaczliwie.

- Nie chcę wracać do domu. Chcę zostać tutaj. Dlaczego nie mogłabym zostać, chociaż na troszkę? - zatkąła. Odwróciła się do Hester. - Naprawdę, nie sprawię pani kłopotu. Z radością zostanę służącą u pani. Tyle można się od pani nauczyć.

W pierwszym odruchu Hester chciała dołączyć do błagalnego tonu Chloe, gdyż doskonale rozumiała, co dziewczyna teraz przeżywa. Bóg jeden wiedział, jak bardzo ona sama pragnęła być jak najdalej od swojej rodziny, kiedy była w tym wieku. Jednak wystarczył jeden rzut oka na zaciętą i stanowczą twarz hrabiego, by przywrócić jej poczucie obowiązku.

- Jak już powiedziałam, moja droga, to niemożliwe. Obiecuję wszakże odpisywać na wszystkie listy, jakie od pani dostanę, a gdy pani dorośnie...

Hrabia postąpił krok naprzód i chwycił swą podopieczną za rękę.

- Dość tego, Chloe. Jedziemy natychmiast, po rzeczy przyślemy później.

- Nie! - krzyknęła rozzwierając Chloe. - Przenigdy! - Po tym zdecydowanym oświadczeniu wyrwała się z uścisku Thorne'a i wybiegła z domku.

Na krótką chwilę zaskoczenie sparaliżowało Thorne'a, lecz zaraz się otrząsnął, po czym z soczystym przekleństwem na ustach rzucił się za nią w pościg. Hester pospieszyła za nim, na końcu zaś truchtała Larkie. Zanim jednak panna Blayne dobiegła do drzwi, do jej uszu doszedł dziwny, ostry dźwięk, któremu towarzyszył łomot ciała padającego na ziemię. Potem usłyszała przeciągły jęk urozmaicony gradem przekleństw.

Wybiegła z domku i oczom jej ukazał się hrabia Bythorne rozciągnięty na kamiennej ścieżce prowadzącej do furtki. Najwidoczniej jego nogi zaplątały się w rydel, łopatę i grabki, które Hester tam porzuciła, kiedy go zobaczyła.

### 3

Niedługo potem posadzono ostrożnie Thorne'a na kanapce w saloniku w domku Hester Blayne. Zamiast lewego buta na nodze miał zimny i mokry opatrunek.

- Nonsens - mówił już trzeci czy czwarty raz. - Nie potrzebuję żadnego lekarza. Po prostu skręciłem kostkę i jeśli będą panie tak miłe i zwrócą mi but...

- Młody człowieku - wtrąciła surowo panna Larkin. - Posłaliśmy już po doktora. Buta i tak nie zdoła pan włożyć, bo kostka spuchła jak balon. Pewnie pan ją zwichnął i zaręczam panu, że dziś nie ma mowy o podróży do Londynu.

W jej głosie było coś, co przypomniało Thorne'owi jego nianię, toteż w jednej chwili zamilkł. Spojrzał jeszcze błagalnie na Hester, ale w jej oczach nie znalazł wsparcia.

- Tak jest, milordzie - rzekła. - Jeszcze raz przepraszam pana za moje niedbalstwo - nie powinnam zostawiać narzędzi na środku drogi - nie darowałabym sobie, gdybym na dodatek pozwoliła panu odjechać w takim stanie. Jutro opuchlizna na pewno nieco ustąpi i...

- Jutro?! - ryknął hrabia. - Nie mogę zostać tu na noc.

Dobry Boże, myślał gorączkowo, przecież na dzisiejszy wieczór miał zupełnie inne plany. Miał być dziś u Desiree. Swoją drogą imię było dosyć mylące, ponieważ dama zbliżała się do pięćdziesiątki i miała solidną posturę, ale jej dziewczęta były schludne i atrakcyjne. Nie chciał nocować w domu porządnych kobiet, gdzie traktowano go jak nieproszonego gościa i gdzie czuł się jak jeszcze jeden mebel.

- Wprost przeciwnie - odparła panna Larkin. - Noc spędzi pan tutaj, a rano zobaczymy... co zobaczymy.

Rozgniewany Thorne spojrział na nią spode łba.

- Dobra kobieto, świetnie umiem dawać sobie radę sam i nie mam najmniejszego zamiaru zostawać tutaj.

Opuścił nogi na podłogę i spróbował wstać z kanapy, ale natychmiast opadł sromotnie z powrotem, niczym bezwładna kłoda, sycząc z bólu. Do diabła, pomyślał, tylko tego mu brakowało, by przypieczeretować jeden z najbardziej koszmarnych dni, jakie pamiętał. Gdyby przywiózł tu ze sobą Williamsa, pewnie dałby radę odjechać jeszcze dziś, lecz jedynym służącym, jakiego miał pod ręką, był stangret, drobny i wątkły chłopaczyna, który nie mógłby mu pomóc nawet przy wsiadaniu i wysiadaniu z kariolki. Thorne spojrział spod zmarszczonych brwi na Chloe, która wróciła do domu, usłyszawszy o nieszczęsnym wypadku swego opiekuna. Stała teraz w bezpiecznej odległości od wulkanu gniewu, w jaki zmienił się cierpiący na kanapce Thorne, a jej błękitne oczy napełniły się łzami skruchy.

- Tak mi przykro, wuju. Wcale nie chciałam, żeby wuj mnie gonił.

Jedyną odpowiedzią na to szczere wyznanie było pogardliwe parsknięcie.

Lekarz, który przybył godzinę później, potwierdził diagnozę panny Larkin.

- Moim zdaniem - rzekł autorytatywnie po gruntownym zbadaniu kończyny - przez resztę dnia należy przykładac zimne kompresy. Wówczas opuchlizna zejdzie na tyle, że będzie pan mógł jutro wyjechać. Przyślę panu kulę i z pomocą tego młodego człowieka będzie mógł pan bez zbytnich trudności pojechać do domu.

Rad nierad Thorne musiał na to przystać. Doktor pomógł mu wejść po schodach do sypialni dla gości. Ku zdziwieniu hrabiego okazała się dosyć przestronnym pokojem, w którym stało bardzo wygodne łóżko i który poza tym był urządzony niezwykle gustownie.

Lekarz pomógł Thorne'owi rozebrać się i kiedy chory leżał już w łóżku, odziany w niezbyt dopasowaną koszulę



nocną, którą wręczyła mu panna Larkin, opadł na poduszki z głębokim westchnieniem.

Tymczasem na dole Hester wydała z siebie niemal równie głębokie westchnienie, co przed chwilą jej gość, po czym odezwała się do swojej towarzyszki:

- Larkie, powiedz, cóż takiego skłoniło cię do tego, żeby zaproponować temu człowiekowi nocleg? Miał rację, mógł przecież jechać do domu, korzystając z pomocy stangreta i panny Venable.

- Hester, zdumiewasz mnie. - Okulary aż podskoczyły na nosie dotkniętej panny Larkin. - Chciałabyś, żebym złamała jedno z podstawowych przykazań gościnności i wyrzuciła z domu rannego człowieka tylko dlatego, że jego obecność może nam sprawiać drobny kłopot?

- Drobny kłopot! Larkie, nie zwykłyśmy przecież zabawiać dżentelmenów. W dodatku ten hrabia jest jednym z najmniej przyjemnych przedstawicieli tego gatunku, jakich miałam nieszczęście poznać. Bóg raczy wiedzieć, jakież to jego zachcianki będziemy musiały spełniać.

- To tylko jedna noc, moja droga - upomniała ją łagodnie panna Larkin. - Na nasze szczęście tylko jedna - dodała po chwili. Przez moment zawahała się. - Reputacja lorda Bythorne'a jest... delikatnie mówiąc nie najlepsza jak na gościa w tym domu.

Hester uniosła zdziwiona brwi. Larkie miała w Londynie siostrę, która niegdyś była przez parę lat gospodynią u wicehrabiego Manning i która była dla niej źródłem wszelkich informacji i plotek. Z tej przyczyny panna Larkin uważała się za eksperta w dziedzinie prywatnego życia śmietanki towarzyskiej Londynu. Teraz przybrała zatroskany wyraz twarzy.

- Widzisz, Hester, mówiąc otwarcie, człowiek ten cieszy się niezbyt chlubną sławą największego uwodziciela w Anglii. Powiadają, że romansował z połową mężatek w Londynie, a nawet nieraz się o nie pojedynkował. Podobno nie dalej jak w zeszłym roku potykał się z lordem Archerem... - Urwała nagle. - Tak czy siak, nie ma to nic do rzeczy. W tej chwili nasz hrabia nie dybie na twą cnotę ani nie stawia żadnych żądań.

Hester milczała, przypominając sobie moment, w którym wprowadziła hrabiego Bythorne'a do domu. Wydawało się, że wypełnia arogancką obecnością cały pokój, on - spadkobierca całych stuleci męskiej dominacji, świadom swych przywilejów; jego zachowanie sprawiało, że Hester poczuta niewytłumaczalny, paniczny skurcz w żołądku. Wzdrygnęła się. Co za absurd! Całe życie miała do czynienia z męską pychą, nie była więc takim żółtodziobem, by mógł ją przejąć lękiem jeszcze jeden nadęty przedstawiciel tego szczególnego rodzaju - nawet jeśli byłby zdeklarowanym uwodzicielem. Z jej piersi znów wyrwało się westchnienie.

- Masz rację, Larkie. Pewnie ani on lepszy ani gorszy od innych mężczyzn, a poza tym jest naszym gościem. Pójdę zobaczyć, czy mu czego nie potrzeba.

Kiedy dotarła do sypialni hrabiego, pożałowała tego postanowienia, w odpowiedzi bowiem na swe ciche pukanie usłyszała tylko dochodzący zza drzwi gniewny pomruk. Weszła do pokoju i ujrzała hrabiego Bythorne'a, który spoczywał na sterze poduszek i mierzył ją nieprzyjaznym wzrokiem. Na jego widok poczuła znów gdzieś głęboko ów tajemniczy niepokój. Nawet gdy leżał w pościeli i wyglądał dość bezbrinnie w długiej bawełnianej koszuli nocnej, jego rozczochrane włosy i cień cierpienia malujący się na twarzy przywodziły Hester na myśl drapieżne zwierzę - ogromną, rozdrażnioną bestię, żyjącą w sercu pradawnej puszczy.

Znów odpędziła od siebie tę wizję i zapytała:

- Czy możemy coś jeszcze dla pana zrobić, milordzie? Zdaję sobie sprawę, że pańskie obecne położenie nie jest dla pana najszczęśliwsze, ale może... chciałby pan coś poczytać?

Hrabia skrzywił się.

- Ma pani na myśli *Apologię praw kobiety*?

Hester roześmiała się, a Thorne'a po raz drugi uderzyło przedziwne połączenie surowości starej panny i kobiecego ciepła, jakie dostrzegał w tej damie, która wyobrażała sobie, że jest wielką pisarką.

- Jeżeli ma pan ochotę, mogę dać panu egzemplarz tego ważkiego dzieła, ale może chciałby pan coś ze Scotta, panny Jane Austen, Jonathana Swifta, Addisona? Chyba że woli pan poezję: Colendge, Keats, Blake?

- Dostyc eklektyczny zestaw, trzeba przyznać - zauważył uprzejmie hrabia. - Choć z drugiej strony - ciągnął - lepiej będzie, jeśli zapoznam się z prozą, która tak poruszyła Chloe. - Uśmiechnął się szeroko. - Proszę mi przynieść *Apologię*.

Odwzajemniając jego uśmiech, Hester wyszła z sypialni i po chwili wróciła z małą książeczką w rękę. Wręczyła ją Thorne'owi i ponownie wycofała się z pokoju, informując go przedtem, że niedługo nadejdzie pora kolacji i służąca przyniesie mu tacę. Z tymi słowami Hester opuściła pokój z delikatnym szelestem sukni i zostawiając za sobą, jak się hrabiemu zdawało, leciuteńki zapach fiołków.

Spojrzał na książkę. Nie wyglądała wcale tak strasznie - była cienka i ładnie oprawiona. Otworzył ją na chybił trafił, rozparł się wygodnie na poduszkach i zaczął czytać.

*W sprawach podstawowej inteligencji, kobiety z natury rzeczy wcale nie stoją niżej od mężczyzn.*

Thorne podniósł czarne brwi. Doprawdy, pomyślał z rozbawieniem. A świnki mają skrzydełka. Chociaż z drugiej strony, po namyśle musiał przyznać, że wiele kobiet, które znał, było całkiem rozbawionych. Żadna z nich jednak nie była zdolna do głębszych refleksji. Kobiety jako płeć miały tendencję do zaprzątania sobie głowy takimi drobiazgami, że niewiele miejsca zostawało na logiczne myślenie. Nie, patrząc na sprawę z tej strony, twierdzenie

panny Blayne, iż kobieca inteligencja stoi na równi z męską, mija się z prawdą. Czytał dalej:

*Niestety, rozwój umysłowy kobiety celowo ogranicza się od urodzenia. Podobnie jak nie pozwala się rosnąć stopom Chinek, tak kobiecie nie zezwala się na rozwinięcie jej zdolności intelektualnych. Owszem, mamy obowiązek poświęcać się rozmyślaniom o pewnych konkretnych sprawach: wszystkie Wysiłki mamy skupić na znalezieniu odpowiedniego partnera, urodzeniu i Wychowaniu jego dzieci oraz dbaniu o jego wygody. Zezwala się nam również na myślenie o modzie (musimy wyglądać atrakcyjnie, by zwabić samca), jedzeniu (samca trzeba nakarmić), urządzeniu domu (samiec potrzebuje wygod) i o moralności, lecz W bardzo wąskim znaczeniu tego słowa (musimy strzec cnoty swojej i swych córek, by spełnić jednostronne oczekiwania samca co do naszego właściwego zachowania).*

No, no, pomyślał hrabia, coraz bardziej zdumiony.

*Dziewczynkom odmawia się prawa do nauki o rzeczach Ważnych, która ma być zastrzeżona wyłącznie dla chłopców. Tym samym nasz naród sam pozbawia się swego naturalnego bogactwa, jakim bez wątpienia jest kapitał umysłowy połowy jego obywateli.*

Nauka dla kobiet? - pomyślał z niedowierzaniem Thorne. Po diabła im nauka? Czy panna Blayne naprawdę wyobraża sobie, że Anglia potrzebuje kobiet, które znają grekę albo potrafią dyskutować na temat poglądów Kartezjusza? Wkrótce zaczną się domagać Bóg wie jakich przywilejów. Następną rzeczą, jakiej zażądata, będzie zapewne prawo do głosowania - i kto wtedy zechce się z takimi żenić? Nie, sam wcale nie zamierzał szukać żony, nic podobnego. Kobiety były jego zdaniem miłymi stworzeniami, ale małżeństwo wydawało mu się zbyt dużym ciężarem, by miał chęć wziąć go na swoje barki.

Uśmiechnął się z wysiłkiem, dochodząc do wniosku, że myśli mu się płaczą. Czuł mętlik w głowie, którego powodem była niewątpliwie spora dawka laudanum, zaaplikowana mu przez lekarza. Rozparł się wygodniej w swym miękkim legowisku z poduszek, podciągnął koldrę pod brodę i przymknął oczy. Nieoczekiwanie w myśli stanęła mu groźna postać ciotki Augusty. Mhm... Gdyby otrzymała staranne wykształcenie, mogłaby zostać nawet premierem. Zachichotał. A panna Blayne? Z jej dzieła biła pasja, która uczyniłaby ją wspaniałym mężem stanu - żoną stanu? Zastanawiał się, czy tę pasję wyraża tylko poprzez swoje pisarstwo. Rzecz jasna, jej dość surowy wygląd nie zdradzał, że wewnątrz mógłby kipieć wulkan; nie, oczywiście, wcale nie ciekawiło go wnętrze panny Blayne, bez względu na to, czy było surowe, czy nie.

Z zadowoleniem wciągnął w nozdrza lawendowy zapach świeżej pościeli i usłyszał szmer wietrzyka, który dochodził zza białych, wykrochmalonych zasłon. Książka wysunęła mu się z ręki i po chwili Jego oddech stał się głęboki i równy - Thorne zapadł w płytką, pozbawioną snów drzemkę.

Tymczasem na dole owa panna Blayne o surowym wyglądzie siedziała w saloniku w towarzystwie panny Larkin i panny Chloe Venable. Chloe wciąż miała na sobie sukienkę służącej, toteż wyglądała trochę niestosownie, popijając herbatę z najprzedniejszej porcelany Hester.

- Tak mi przykro - powiedziała, ale jej słowom towarzyszył ledwie dostrzegalny, bojowy błysk oka, który mówił coś wręcz przeciwnego. - Wiem, że nie powinnam była kłamać, lecz nie mogłam z założonymi rękami czekać na wybawienie. Przyszedł mi do głowy ten plan, który uznałam za najlepsze wyjście. Na pewno ujawniłabym prawdę w... we właściwym czasie.

Hester uśmiechnęła się krzywo. Nieprzydatność dziewczyny do roli służącej wyszłaby zapewne na jaw przy pierwszym obieraniu ziemniaków.

- Nie mają panie pojęcia, jak bardzo jestem nieszczęśliwa - mówiła Chloe łamiącym się z emocji głosem. - Jestem pod ciągłą obserwacją. Dobiera mi się przyjaciół, instruuje, jak mam mówić, jak się ubierać, jak się zachowywać, jak... - przerwała. - Wie pani, co mam na myśli. Ale najgorszy ze wszystkiego jest John Wery.

- John Wery? - zapytały równocześnie Hester i panna Larkin.

- Człowiek, którego mój opiekun wybrał mi na męża - wyjaśniła z goryczą Chloe.

- Jego osoba jest dla pani aż tak przykra? - spytała Hester.

Chloe wzdrygnęła się.

- O tak, jest taki... taki nijaki. Ma cienkie brązowe włosy i potrafi mówić tylko o swojej posiadłości w Hertfordshire, o swoich uprawach i hodowlach. Nie interesuje go moja pasja naprawiania błędów, których pełno w naszym kraju. Nie uwierzy pani, ale w ogóle nie obchodzi go fakt, że kobiety nie mają żadnych praw! Jego zdaniem kobieta może być tylko przedmiotem, własnością męża, gotową na każde jego skinienie. Nie, nie mamy ze sobą nic wspólnego. Mówiłam już wujowi, że nie zgadzam się, by zmuszano mnie do wiązania się z mężczyzną, który traktuje mnie w taki sposób, ale polecił mi, żebym dała mu spokój i przestała się dąsać.

- Ile lat ma ten pan Wery? - błysnęły okulary panny Larkin. - Przypuszczam, że nie osiemdziesiąt dwa, jak twierdził lord Bythorne?

- Nie - mruknęła Chloe przez zaciśnięte zęby. - Chyba jakieś dwadzieścia sześć. Równie dobrze jednak mógłby być o wiele starszy z tymi swoimi nudnymi przemowami o osuszaniu bagien albo o dobrodziejstwach płynących z hodowli owiec, albo... - Nagle odwróciła się gwałtownie do Hester. - Och, panno Blayne, pani jest taka niezależna. Pani nie wie, co to znaczy być zdaną na łaskę i niełaskę nieczulego tyrana. Nie mogę znieść myśli, że przyszedłoby mi spędzić resztę życia w niewoli u takiego człowieka. Proszę mi pomóc.

Hester zmrzyła oko.

- Moja droga - rzekła po raz pierwszy naprawdę przyjaznym tonem. - Bardzo współczuję pani doli. Ja także znam to uczucie, kiedy mężczyźni ze wszystkich sił próbują rządzić życiem kobiety. Obawiam się jednak, że nic nie mogę dla pani zrobić. Mogłabym natomiast służyć pani radą, to wszystko.

- Radą! - Chloe skoczyła na równe nogi. - Nie po rady w środku nocy wykradałam się z domu. Musiałam przekupić lokaja, żeby wystarał się dla mnie o bilet do Guildford, a trzeba zapisywać się na listę pasażerów dużo wcześniej, zanim pozwolą wsiąść do dylizansu. Potem musiałam przekupić go jeszcze raz, żeby sprowadził mi dorożkę, a później jechałam sama przez miasto aż do White Horse Cellars w Picadilly. Musiałam zapłacić woźnicy, który zgodził się zabrać mnie do Overcross, a po drodze patrzył na mnie w sposób, który bardzo mi się nie spodobał. - Z oczu Chloe trysnęły łzy i potoczyły się gradem po jej policzkach. - To było okropne przeżycie, ale miałam przed sobą cel, który pozwalał mi wszystko przetrzymać: myśl, że u pani znajdę pomoc. A teraz... - Złote loki rozsypały się w pełnym pogardy geście, jakim Chloe przypieczętowała swoją tyradę. - Teraz proponuje mi pani radę? Och! - Na powrót opadła na kanapę. - Tego już za wiele!

Hester wymieniła pełne rozbawienia spojrzenie z panną Larkin, po czym wstała z krzesła i usiadła obok Chloe.

- Droga panno Venable - zaczęła, biorąc w dłonie jej szczupłą rękę. - Pani opiekun ma wedle prawa całkowitą władzę nad panią. Nie mogę pani przed nim bronić. Zgodzę się, że trudno się z nim żyje, ale musi pani jakoś się do tego przyzwyczaić. A teraz moja rada: nie nalegam, oczywiście, żeby pani koniecznie z niej skorzystała, ale proszę przynajmniej przemyśleć moje słowa. Jeżeli istotnie z pewnych powodów ma pani opory przed wyjściem za mąż za pana Wery'ego, musi pani o tym przekonać lorda Bythorne'a. - Powstrzymała ją uniesioną dłonią, bowiem na twarzy Chloe już pojawiło się oburzenie i otwierała usta, by dać mu upust. - Długimi melodramatycznymi przemowami i płaczem nic tu pani nie zwojuje. Jestem pewna, że jego lordowska mość wcale nie pragnie, by działa się pani krzywda, jeśli go więc pani przekona, iż akurat tu postąpił wbrew pani dobru, na pewno spróbuje naprawić swój błąd. Hrabia po prostu nie potrafi postępować z młodymi osobami o, hm... dość dużym temperamencie, a pani gwałtowne demonstracje uczuć utwierdzają go tylko w przekonaniu, że nigdy się tego nie nauczy.

Hester wciągnęła powietrze. Z oczu panny Venable nie wyczytała nawet cienia zrozumienia dla swoich słów, ale brnęła dalej.

- Musi pani zrozumieć, panno Venable, że...

- Proszę mi mówić Chloe - przerwała dziewczyna.

- Doskonale. A więc musisz zrozumieć, Chloe, że pozwalając sobie na te wszystkie niedorzeczności, ucieczkę z domu i głośne protesty, osiągnęłaś cel dokładnie przeciwny do tego, jaki sobie wyznaczyłaś. Przekonujesz go, że jesteś po prostu jeszcze jedną z tych głupiutkich kobiet, które mają włosy dłuższe niż rozum.

- Mam więc siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i na wszystko odpowiadać: „Tak, wuju Thorne”, „Nie, wuju Thorne”, podczas gdy on wydaje mi wyłącznie polecenia? - Chloe aż podskoczyła z oburzenia na krzesle.

- Czy poza wujem nie masz innych krewnych? - spytała Hester czując, że wyczerpała już wszystkie argumenty.

- Wujem? - Cienkie brwi uniosły się w zdumieniu. - Och, on nie jest moim prawdziwym wujem. Był najlepszym przyjacielem papy, który pod Waterloo uratował mu życie; według ich późniejszej umowy, po śmierci papy miałam trafić pod jego opiekę, co też się stało ponad rok temu. - Jej usta zadrżały. - Mama umarła, kiedy się urodziłam, nie mam żadnego rodzeństwa. Żadnych ciotek ani wujków. Och, tak bardzo brakuje mi papy! - Kolejny raz zaniósł się szlochem. - Był taki dobry, tak świetnie mnie rozumiał. Nawet by mu do głowy nie przyszło wydawać mnie za kogoś, kogo nie kocham.

- Tak - rzekła Hester, czując przyływ współczucia dla dziewczyny. - To musi być dla ciebie okropnie trudne. Ale co z panem Johnem Werym? Mówiłaś mi, że nie chcesz go poślubić?

- Właściwie jeszcze mnie nie prosił o rękę... oficjalnie. Lecz wuj Thorne niedwuznacznie wyraża życzenie, abyśmy zostali małżeństwem, a pan Wery... domyślam się, że powoli dojrzewa do oświadczeń.

- Zniechęcasz go?

- Ma pani na myśli to, że odmawiam mu spotkania albo wylewam mu podczas wizyty herbatę na kolana? - zapytała Chloe poważnie. - Nie, nigdy nie uciekam się do podobnych metod. Zresztą pan Wery nie robi nic, by sobie zasłużyć na takie traktowanie. Nigdy nie próbuje wziąć mnie za rękę, nie mówi mi, jaka jestem piękna, ani nic w tym rodzaju. Po prostu ciągle gędzi o tych swoich owcach!

Hester powstrzymała się od spojrzenia na Larkie i z trudem opanowała wybuch śmiechu.

- Rozumiem - powiedziała tylko. - Cóż, powinnaś spróbować wzbudzić w nim niechęć. Kiedy, jak powiadasz, zaczniesz gędzić o owcach, ty zacznij rozmawiać o ksiązkach albo feminizmie, albo o czymkolwiek innym, co na pewno nic. a nic go nie obchodzi. Wierz mi, to zawsze działało, jeśli idzie o mnie - dodała z uśmiechem.

- Mogę spróbować - zgodziła się Chloe i ciężko westchnęła. - Ale nawet jeżeli to zadziała, wuj Thorne zaraz znajdzie następnego kandydata do mojej ręki. Zna wszystkie rodziny w Londynie i doskonale wie, w której znajdzie się jakiś samotny syn czy kuzyn, który ma prawo do sporej części majątku rodziny.

- Nie masz żadnych przyjaciół, którzy mają podobne zdanie na ten temat co ty? - zapytała z ciekawością Hester. - Młodych ludzi, u których znalazłabyś poparcie, choćby moralne?

- Phi - prychnęła Chloe. - Wszystkie dziewczęta, które znam, niczego więcej nie pragną, jak tylko dobrze wyjść

za mąż. Wszystkie mają w głowie tylko bale, rauty i przyjęcia u Almacka. Wszystkie poza Sarą.

- Sarą?

- Sarą Wendover. Chodziłyśmy razem do szkoły i od tamtego czasu jest moją najlepszą przyjaciółką na świecie. Podziela moje zdanie o niesprawiedliwości, jaka dzieje się kobietom. - Chloe uniosła dłoń w teatralnym geście. - Jej także rodzina nie daje spokoju. W zeszłym miesiącu rodzice zaręczyli ją z lordem Bascombem, który ma już trzydzieści trzy lata i przy każdej sposobności wyjeżdża na polowania.

- To okropne.

- Tak, płakała i błagała, ale na nic się to nie zdało. Radziłam, żeby uciekła z domu, lecz chyba zabrakło jej odwagi. Jej rodzina mieszka niedaleko Bythorne Park, nigdy ich jednak więcej nie widziałam, odkąd wyjechali z Londynu, zaraz po zaręczynach. Pisałam do niej wiele razy i mam nadzieję, że skorzysta z moich rad.

- Ja również mam nadzieję, że skorzystasz z moich - rzekła z uśmiechem Hester. Wstała i poprawiła suknię. - Larkie, musimy zobaczyć, co z kolacją.

- Och! - podskoczyła Chloe. - Proszę mi pozwolić pomóc.

Panna Larkin zachnęła się.

- Stanowczo się nie zgadzam. Jest pani, panno... Chloe, jesteś naszym gościem i...

- Ależ nie - roześmiała się Chloe i wskazała na swój strój. - Jestem tu nową służącą. W każdym razie byłabym nią naprawdę, gdyby moja sztuczka nie wyszła na jaw.

Panna Larkin już otwierała usta, by zaprotestować, ale ubiegła ją Hester.

- Dziękuję, moja droga. Chętnie skorzystamy z twojej pomocy.

Tak więc gdy w niedługi czas potem lord Bythorne został obudzony lekkim stukaniem do drzwi, ku swemu zdumieniu ujrzał swą przyszywaną bratanicę, która ostrożnie niosła ogromną tacę uginającą się pod ciężarem półmisek. Musiał to być nielichy ciężar, gdyż twarz dziewczyny poczerwieniała z wysiłku.

- Proszę! - sapnęła z triumfalną miną, stawiając tacę na łóżku. - Oto pyszna kolacja dla wuja. Sama pomagałam!

- Ty? - zdziwił się hrabia, uśmiechając się z niedowierzaniem.

- Tak jest. Niech wuj popatrzy na fasolkę. Ja ją przygotowałam.

- Naprawdę? - Przyglądał się jej rozbawiony, wciąż nie wierząc.

- No, umyłam ją, obrałam i pokroiłam, a panna Larkin ją ugotowała - przyznała wspaniałomyślnie. - Pomagałam też w pieczeniu kurczaka. Nigdy bym nie pomyślała, że gotowanie to taka wesoła zabawa.

- W takim razie wyślemy cię do kuchni, kiedy wrócimy do domu. - Thorne wstrzymał oddech, czekając na reakcję Chloe, która mogła uznać jego słowa za otwartą prowokację.

Istotnie, dziewczyna zrazu skamieniała i otworzyła usta, zamierzając widocznie zaprotestować, ale po chwili, zastanowiwszy się chyba nad swoją postawą wobec opiekuna, uśmiechnęła się.

- Może nie zostałabym w kuchni na stałe, ale chyba chciałabym nauczyć się gotować i piec. Panna Blayne mówi, że każda kobieta, bez względu na to, kim jest, powinna umieć wykonywać większość zadań przeznaczonych zwykle dla służby.

- Doprawdy? Zdumiewasz mnie - oświadczył hrabia.

- Oczywiście - zapewniła Chloe. - Tych samych zajęć powinni także nauczyć się mężczyźni.

- Ten pogląd panny Blayne akurat mnie nie dziwi.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Pójdę już. Na pewno będzie wujowi wszystko smakowało, zwłaszcza fasolka. Przyjdę później po tacę.

Jednak po mniej więcej godzinie, zamiast Chloe, do sypialni weszła gospodyni we własnej osobie.

- Ach, widzę, że smakowało - powiedziała, podchodząc do łóżka.

- Rzeczywiście, kolacja była wyborna - odrzekł Thorne, podając jej tacę. - Rzadko mam okazję delektować się świeżym wiejskim jedzeniem, a to było znakomite. Moje najwyższe uznanie dla kucharza, a może mówię właśnie do niego?

Hester zaśmiała się.

- To raczej dzieło zbiorowe, milordzie. Chloe na przykład...

- Chloe przygotowała fasolkę - dokończył za nią Thorne - i asystowała przy pieczeniu kurczaka.

- Nie wspominając o tym, że przygotowała warzywa na sałatkę. Pomagała z wielkim zapalem.

- Och, w to nie wątpię - odparł sucho hrabia. - Gdyby to pani ją poprosiła, zapewne oczyściłaby jeszcze popielniki w piecach i wyszorowała podłogi.

- Hm, sądzę, że to chyba naruszałoby nieco granice jej poczucia wolności osobistej. - Wzięła tacę i skierowała się do drzwi, ale Thorne powstrzymał ją gestem.

- Nie, proszę. Może pani przy mnie chwilkę posiedzieć? - Prośbę okraślił najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki było go stać tego męczącego dnia.

Hester odpowiedziała uśmiechem, w którym czaił się cień obawy, jednak odłożyła tacę i przysiadła na brzegu krzesła, które stało obok łóżka.

- Skoro już pan nie śpi, milordzie - powiedziała z pewnym roztargnieniem - powinniśmy zmienić panu zimny kompres. Jak tam opuchlizna? Schodzi powoli?

W odpowiedzi Thorne odrzucił kołdrę i pokazał nogę, zostawiając ocenę Hester. Wzdrygnęła się, ponieważ ten nagły ruch przestraszył ją.

Dobry Boże, pomyślała ze złością. Zgoda, ów człowiek może ją trochę onieśmielać, ale żeby na widok jego bosej nogi podskakiwać jak spłoszony królik? Starając się wyglądać na opanowaną, poddała oględzinom muskularną nogę hrabiego, która niemal spoczywała na jej kolanach, po czym oświadczyła:

- Tak, wygląda już dużo lepiej. Sen pana pokrzepi i jestem pewna, że rankiem na tyle dojdzie pan do siebie, że będzie mógł wyjechać.

- Ku pani wielkiej uldze, prawda? - mruknął hrabia.

- Och, nie - odrzekła wzburzona i zmieszana Hester. - To znaczy...

- Zdaję sobie sprawę, że to dość niezręczna sytuacja dla pani i panny Larkin gościć pod swym dachem obcego mężczyznę. Wiem, też, że moja ciotka będzie się o mnie niepokoić.

Hester wydawało się, że zauważyła w jego głębokich oczach isierki rozbawienia. Uznała je za niezbyt przyzwoite i wyprostowała się.

- Ależ skąd, milordzie. Zresztą nie ma w panu nic, co mogłoby kogokolwiek niepokoić.

Thorne uniósł rękę, naśladując gest szermierza.

- *Touché\**, panno Blayne. - Wsunął nogę z powrotem pod przykrycie i chwilę przyglądał się swej gospodyni. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego mieszka pani właściwie całkiem sama na takim pustkowiu? Nie ma pani żadnej rodziny?

- Mam kilkoro rodzeństwa, milordzie. Mój najstarszy brat to sir Barnaba Blayne i mieszka w naszym domu rodzinnym niedaleko „Shrewsbury. Ja po prostu wolę mieszkać sama.

- A sir Barnaba chętnie ponosi dodatkowe koszty na utrzymanie oddzielnego domu mieszkającej samotnie siostry?

Hester zeszywniała jeszcze bardziej. Jakim prawem ten niezdolny człowiek śmiał zadawać jej tak obcesowe pytania?

- Mój brat nie ma nic wspólnego z moim domem. Utrzymuję go sama, z własnych środków.

Hrabia uniósł w zdumieniu brwi.

- Z własnych środków? Nie narzeka pani zatem na niedostatek?

- Nie przypuszczam, by mogło to pana interesować, milordzie - odparła Hester. - Jakies cztery lata temu dostałam niewielki spadek po śmierci ojca. Za te pieniądze kupiłam domek, natomiast na utrzymanie swoje i panny Larkin sama potrafię zarobić.

O mało nie roześmiała mu się w nos, widząc na jego twarzy bezbrzeżne zdziwienie.

- Ależ jest pani kobietą, i to kobietą szlachetnie urodzoną. Jak to możliwe, że trudni się pani pracą zarobkową?

- Zdaje się, milordzie - odparła Hester z niewinną miną - że pojęcie tak zwanej pracy zarobkowej wśród osób szlachetnie urodzonych jest panu obce, lecz jak panu niewątpliwie wiadomo, piszę książki. W Londynie mieszka pewien miły człowiek, który mi za to płaci i co więcej płaci jeszcze za to, że te książki sprzedaje. Są również ludzie, którzy płacą, by przyjść i posłuchać tego, co mam do powiedzenia. Owszem, nie są to wielkie pieniądze, ale jak mógł się pan przekonać, ja i panna Larkin mieszkamy w warunkach w miarę komfortowych. Możemy nawet dać pracę biednej dziewczynie, jeśli zapuka do naszych drzwi...

Hrabia Bythorne poczerwieniał po czubki uszu i przez długą chwilę nie mówił ani słowa.

- Chyba słusznie mi się dostało - powiedział wreszcie. - Nie przypuszczałem po prostu...

Hester zrobiło się żal hrabiego.

- Wiem - rzekła łagodnie. - Kobieta z dobrego domu, która potrafi się utrzymać bez męskiej opieki, nie przystaje do pańskiego obrazu świata. Sądzę jednak, że powinien pan go zmienić, gdyż w niedalekiej przyszłości coraz więcej kobiet będzie się pragnęło uniezależnić od łaski mężczyzn.

- Czemu pani ochoczo przykłaśnie, jak mniemam - powiedział Thorne z uśmiechem.

- Naturalnie, milordzie. Mam wrażenie - ciągnęła, pragnąc zmienić temat - że pan i pańska przybrana bratanica znów nawiązaliście nić porozumienia.

Thorne uśmiechnął się szeroko, a Hester zdumiała zmiana, jakiej uległa jego surowa i nieco zmęczona twarz, która teraz nabrała jakiegoś wewnętrznego blasku.

- Zgadza się, mała złośnica była ucieleśnieniem grzeczności, kiedy przyniosła mi kolację. Nie sądzą, żeby zaczęła żałować swojej karkołomnej ucieczki w pani progi, ale przynajmniej nie wpadła we wściekłość, gdy wspomniałem o jutrzejszym wspólnym powrocie do domu.

- Chloe to całkiem miłe dziecko - powiedziała z wahaniem Hester.

- Tak, jest miła. Słusznie też nazywa ją pani dzieckiem. Jest kapryśna i nieposłuszna i mówiąc szczerze sam czasem nie wiem, jak z nią postępować.

- Próbował pan kiedyś wysłuchać, co ma do powiedzenia?

Thorne zaśmiał się krótko.

---

\* *touché* (franc.) - trafiony

- Droga panno Blayne, wydaje mi się, że nie robię nic innego. Bez przerwy wygłasza tyrady o swoich szalonych pomysłach.

- Nigdy nie przyszło panu do głowy, milordzie, że Chloe pragnie panu opowiedzieć o czymś, w co bardzo głęboko wierzy?

W odpowiedzi Thorne parsknął pogardliwie.

- Czy pan nigdy w nic głęboko nie wierzył? - spytała z ciekawością Hester.

Zaśmiał się.

- Uważam, że przyjemności życia nie trwają wiecznie, i dlatego należy z nich korzystać, dopóki starczy sił.

- Chwalebny cel, bez wątpienia - odparła chłodno Hester. - Na szczęście są tacy, którym przyświecają inne cele, wypływające, jak by pan zapewne powiedział, z poczucia sprawiedliwości społecznej.

- Pani na przykład.

- Staram się uświadomić mieszkańcom tego kraju, że są ludzie, którzy rozpaczliwie pragną pomocy. - Hester spostrzegła, że jej palce zaciśnięte na poręczach krzesła zbielały, postanowiła się więc opanować.

- Biedni nieszczęśnicy, tacy jak moja niesforna podopieczna, tak? - Z twardy Thorne'a zniknął uśmiech, spoglądał na Hester niemal wrogo.

Panna Blayne spokojnie skinęła głową.

- Owszem, ale także wszystkie kobiety w tym kraju, które w najlepszym przypadku traktuje się jak miłe zwierzątka domowe, a w najgorszym jak woły robocze. Staram się też bronić dzieci, których dzieciństwo upływa w cieniu kominów fabryk, niewinnych ludzi, których wiesza się za to, że ukradli kawałek chleba, by nakarmić wygłodzoną rodzinę, i...

Thorne wbrew sobie poczuł, że udziela mu się pasja tkwiąca w tych słowach, lecz przerwał jej gestem.

- Już wszystko rozumiem, panno Blayne. Z pani słów wynika, że tacy natrętni naprawiacze stanowią podstawę rozwoju postępowego społeczeństwa, ale gdy brzęczą komuś w sypialni, stają się nieco dokuczliwi.

Hester wstała gwałtownie, chwyciła tacę i skierowała się do drzwi. Stojąc już na progu, odwróciła się jeszcze do hrabiego.

- W takim razie życzę panu dobrej nocy, milordzie. Jeśli będzie pan jeszcze czegoś potrzebował, panna Larkin uczyni zadość wszystkim pańskim życzeniom. Mam szczerą nadzieję, że do rana wydobrzeje pan na tyle, by udać się w podróż do Londynu.

Nie czekając na jego odpowiedź, wypadła z pokoju. Już za drzwiami oparła się o futrynę, ciężko dysząc z tłumionej wcześniej wściekłości. Co za wstrętny człowiek! Leżał sobie rozparty na poduszkach, czekając, by mu usługiwano - ucieleśnienie wszystkich najgorszych cech, których nienawidziła u mężczyzn.

Kiedy doszła do siebie i zaczęła oddychać spokojniej, pomyślała, że na szczęście hrabia wyjedzie rankiem i już nigdy nie będzie go musiała oglądać.

#### 4

Następnego dnia rano lord Bythorne wraz ze swą krnąbrną podopieczną opuścili domek panny Blayne, w którym, po zamieszaniu wywołanym ich nagłym wtargnięciem, życie wpłynęło na dawne, spokojne tory. Panna Larkin wróciła do przeglądu bielizny, którym zajmowała się od paru dni, przyjęto także do pracy nową służącą - która tym razem posiadała pełne kwalifikacje do obierania ziemniaków.

Hester znów zasiadła do pisania. Głęboko przemyślawszy wszystkie za i przeciw, postanowiła na razie odłożyć na półkę dzieło filozoficzne i zgodnie z sugestią wydawcy, a także dla dobra swych finansów, zaczęła nową powieść. Mimo to jednak wiedziała, że aż do chwili, gdy książka pojawi się w księgarniach, będzie zmuszona zaciskać pasa.

Siadała więc co dzień do pracy i kreśliła żywą i barwną opowieść o dzielnej, uczciwej dziewczynie prześladowanej przez gromadę niemoralnych mężczyzn, z którymi łatwo sobie radziła za pomocą wrodzonego sprytu i dzięki swej odwadze. W książce występował także bohater męski, ale Hester musiała sama przyznać, że na tle silnej i wyrazistej osobowości bohaterki wypadał nieciekawie i blade. O wiele bardziej interesującą postacią był bohater negatywny. Pewnego ranka, gryząc koniec pióra, szukała odpowiednich słów, by najtrafniej opisać charakter Maksymiliana Fordyce'a, uwodziciela podle wykorzystującego łatwowierność kobiet.

Odkryła, że jej myśli krążą wokół lorda Bythorne'a, co było zapewne naturalnym następstwem jego wizyty w jej samotni, którą rzadko nawiedzali goście. Nie chciała zagłębiać się w przyczyny, dla których jej pamięć uporczywie wracała do ich rozmów. Niechętnie przyznawała, że rozmowy te bardzo ją poruszyły i w dziwny sposób poprawiły jej nastrój. Na litość boską, czyżby była aż tak spragniona czyjegoś towarzystwa, że zaledwie półtora dnia spędzone z jakimś zarozumiałym i aroganckim arystokratą do tego stopnia wytrąciło ją z równowagi?

Zgoda, człowiek ten miał jakiś swoisty wdzięk; nie był może zbyt przystojny, ale na pewno przyciągał uwagę - były to zresztą cechy charakterystyczne dla wszystkich ludzi jego pokroju.

Hester pracowała właśnie przy biurku stojącym w rogu jej sypialni, gdy nagle z zamyślenia wyrwał ją turkot powozu, który po chwili zatrzymał się pod domem. Wstała i wyjrzała przez okno. Zobaczyła doskonale jej znaną wyścigową kariolkę, czarną w czerwone wzory. Hester szybko zbiegła na dół, dziwnie zaniepokojona i tknięta złym przeczuciem. Otworzyła drzwi i nieomal zderzyła się z hrabią Bythorne'em, który właśnie wznosił pięść, by

załomotać do drzwi.

- Czy ona jest tutaj?

Na widok niekłamano, zdumienia na twarzy Hester, ręce mu jednak opadły.

- O Boże, czyżby panna Venable znowu... pana opuściła?

- Tak - odparł krótko hrabia.

- O Boże - powtórzyła Hester. - Cóż, proszę wejść.

Nie mogąc pozbyć się przykrego uczucia *déjà vu*<sup>\*</sup>, panna Blayne wprowadziła gościa do saloniku, zaprosiła gestem, by usiadł na kanapce, i zadzwoniła na służącą, by podała herbatę. Następnie usiadła naprzeciw hrabiemu.

- Znowu pokłócił się pan z Chloe? - spytała ostrożnie.

- Można tak powiedzieć. Sir George i lady Wery, rodzice młodego człowieka, którego upatrzyłem na męża Chloe, zaprosili nas, to znaczy Chloe, moją ciotkę Lavinie i mnie, na skromną kolację. Wszystko miało przebiegać bez zarzutu i zgodnie z dobrymi obyczajami. - Uśmiechnął się promiennie i Hester ponownie zdziwiło zaskakujące ciepło, jakie rozświetliło jego twarde rysy. - Zwykle staram się za wszelką cenę unikać występowania w podobnych rolach, lecz jestem gotowy do każdego poświęcenia, żeby związać Chloe węzłem małżeńskim. Chloe naturalnie ma na ten temat zdanie odmienne. Wygłosiła je w wyczerpującej przemowie, kiedy powiadomiłem ją o zaproszeniu i dałem jej do zrozumienia, że właściwie nie ma wyboru. Nazajutrz rano już jej nie było. Tym razem nie zostawiła nawet liściku.

- Przypuszczam, że pytał pan o nią jej przyjaciół, tak jak poprzednim razem? - zapytała Hester, bardziej przez grzeczność niż z rzeczywistej chęci ponownego wnikania się w sprawę hrabiemu i jego męczącej podopiecznej.

- Owszem, rozpytywałem o nią, a właściwie zrobiła to ciotka Lavinia. Lepiej ode mnie potrafi zadawać dyskretne pytania, mimo to jednak nic nie udało jej się wskórać. W każdym razie wiemy, że Chloe zabrała ze sobą służącą.

Hester rozpoznała się.

- To dobra wiadomość. Być może pojechała do jakiejś przyjaciółki... Przerwało jej wejście nowej służącej, która wносиła tacę z dzbankiem niezbędnymi do podania herbaty naczyniami. Na jej widok Thorne zerwał się z kanapy i wlepił w nią tak badawczy wzrok, że dziewczyna o mało nie upuściła wszystkiego na środek pokoju.

- Dziękuję, Klaro - powiedziała Hester, czym prędzej odbierając tacę z jej rąk. - Czy możesz powiedzieć pannie Larkin, że mamy gościa? - Posłała pokrępiący uśmiech dziewczynie, która widocznie nie była przyzwyczajona do obcowania z arystokracją, a zwłaszcza z tak znacznymi jej przedstawicielami, którzy w dodatku wyglądali, jak gdyby mieli lada chwila wybuchnąć pośrodku salonu.

- Dobrze, proszę pani - wyjąkała i wypadła z pokoju, jakby goniły ją demony.

Hester nalała herbatę do filiżanek i zaprosiła gestem hrabiemu, by poczęstował się mlekiem albo śmietanką. Potrząsając głową, Thorne wziął w roztargnieniu filiżankę.

- Jak mówiłam - kontynuowała Hester - być może Chloe pojechała w odwiedziny do kogoś na wieś. Sprawdź już pan w gospodach po drodze?

- Owszem, ale żaden z pośredników biletowych nie przypominał sobie młodej dziewczyny podróżującej ze służącą. - Potrząsnął głową ze złością. - Tam jest taki bałagan, że nie zauważyliby pewnie nawet słonia podróżującego z żyrafą. - Przesunął palcami po włosach, i tak już potarganych. - Pewnie nie wie pani, gdzie mógłbym jej szukać?

- Ja? - Hester stwierdziła, że przenikliwe spojrzenie hrabiemu działa na nią wyjątkowo obezwładniająco, toteż przeszła do obrony. - Chyba nie podejrzewa pan, że prowadzę z nią potajmną korespondencję?

- Oczywiście że nie - odparł poirytowany Thorne. Dobry Boże, ta kobieta była równie nieprzyjemna, jak jej cała absurdalna filozofia zniewolenia kobiet. - Miałem na myśli tylko to, że pani i Chloe nawiązałyście ze sobą jakieś porozumienie i...

- Owszem, pewnie dlatego, że ja starałam się nie ranić jej uczuć - przerwała mu ostro Hester.

Hrabia zeszywniał.

- To prawda, ale pani naturalnie nie ma do czynienia z uczuciami Chloe na co dzień.

Hester zarumieniła się. Co ją, u licha, podkusiło, by go tak potraktować?

- Nie. Chciałam przez to powiedzieć, że jeżeli się pan nie obrazi, milordzie, nie ma pan najmniejszego pojęcia, jak postępować z młodą dziewczyną, która ma swoje... hm, pragnienia.

- Rzeczywiście. Postępowanie z młodymi dziewczętami to dla mnie wiedza tajemna.

- To zrozumiałe - rzekła Hester pojednawczym tonem. - Jednakże... o, Larkie - powiedziała z niejaką ulgą na widok wchodzącej damy.

- Ach, lord Bythorne. - Panna Larkin wyciągnęła rękę do wstającego Thorne'a. - Miło znów pana ujrzeć. Jak noga, nic już jej nie dolega?

- Jak nowa. - Thorne wyprostował kończynę i na dowód pokręcił nią energicznie.

- Lord Bythorne znowu szuka swej przybranej siostrzenicy - poinformowała Hester, gdy wszyscy troje zasiedli do herbaty. W kilku słowach opowiedziała swej przyjaciółce o najnowszej eskapadzie Chloe.

<sup>\*</sup> *déjà vu* (franc.) - coś znanego

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła panna Larkin. - A to ladaco! Chociaż może nie powinnam... - dodała, zreflektowawszy się nagle.

- Nic nie szkodzi, panno Larkin - odparł Thorne, parszkając krótkim, niezbyt wesołym śmiechem. - To jedno z łagodniejszych określeń, jakie przychodzi mi do głowy.

- Milordzie - powiedziała Hester po dłuższym milczeniu. - Kiedy byliście tu oboje, Chloe wspomniała o swojej przyjaciółce, najlepszej przyjaciółce, jedynej osobie, która podziela jej krytyczne zdanie na i temat małżeństwa z panem... Werym, czy tak?

- Tak, tak, ale kto to jest?

Hester zapatrzyła się w dal, wysilając pamięć, lecz nie mogła wydobyć nazwiska owej panny z jej zakamarków.

- Obawiam się, że nie pamiętam.

Thorne ze złością wciągnął powietrze.

- Niech to diabli! To jest, raczą mi panie wybaczyć, ale proszę wyteżyc pamięć, panno Blayne...

Hester zamyśliła się głęboko, ale pod badawczym wzrokiem hrabiego nie potrafiła niczego sobie przypomnieć. Pragnęła tylko, by Thorne przestał na nią patrzeć. Po paru chwilach potrząsnęła głową z przeprasającym uśmiechem. Thorne zmarszczył brwi.

- Spróbujmy pomyśleć. Chloe nie zna zbyt wielu dziewcząt w jej wieku mieszkających w Londynie, właściwie tylko tyle, ile zdołała poznać po przyjeździe z Indii. Natomiast w sąsiedztwie mojej posiadłości mieszkają Susan Shaw i lady Charlotte Wellbeloved. Myślę, że Chloe przyjaźniła się także z Sarą Wendover, może też z...

- Otóż to! - zawołała Hester. - Sara Wendover. Panna Venable mówiła, że dziewczynę tę zmuszono do zaręczenia się z człowiekiem, do którego czuła ogromny wstręt. Ciekawe, czy...

Lecz Thorne już zerwał się na równe nogi.

- Nie wiem, ale sądzę, że warto sprawdzić ten trop. - Podszedł do Hester i ujął jej dłoń. - Dziękuję, panno Blayne. Jestem pani niezmiernie wdzięczny. A teraz, jeśli panie pozwolą, wyruszę.

Skierował się ku drzwiom, lecz przystanął z ręką na klamce, tak że Hester, która wstała z zamiarem odprowadzenia gościa, wpadła na niego z impetem. Odwróciwszy się, Thorne powstrzymał ją ruchem ręki.

- Przepraszam - rzekł z pewnym zakłopotaniem. - Właśnie przyszło mi coś do głowy.

Ku zdumieniu Hester wrócił na swoje miejsce i usiadł. Na jego twarzy malowała się niepewność.

- A, tak - powiedział, spostrzegłszy, że Hester i Larkie patrzą nań wyczekująco. - Pomyślałem sobie... skoro tak dobrze rozumiała się pani z Chloe, kiedy byliśmy tu ostatnio, i zadziwiająco łatwo udało się ją pani przekonać, by wróciła do domu, może mogłaby pani...

Hester wymieniła krótkie spojrzenie z Larkie, po czym ostrożnie popatrzyła na hrabiego.

- Zastanawiam się - zakończył szybko - czy nie mogłaby mi pani towarzyszyć w wyprawie do domu panny Wendover.

- Słucham? - wykrztusiła Hester.

- Sara Wendover mieszka niedaleko Bythorne Park, więc nie dalej niż piętnaście mil stąd. Pani, i panna Larkin, rzecz jasna, możecie jechać ze mną i wrócić jeszcze przed wieczorem. Bardzo proszę - dodał na widok powątpiewania Hester. - Jeżeli naprawdę uciekła do panny Wendover, nie wydostanę jej stamtąd za żadne skarby, chyba żebym ją związał jak baleron i wyniósł. Gdyby zaś pani mogła z nią porozmawiać...

Nie skończył zdania, lecz posłał jej najmiłszy uśmiech, na jaki mógł się zdobyć, i który, jak wiedział z doświadczenia, był zawsze skuteczny. Tym razem jednak Thorne poczuł, że się przeliczył.

- Nie - oświadczyła kategorycznie Hester.

- Ale dlaczego?

- Drogą lordzie Bythorne - zaczęła cierpliwie panna Blayne. - Bardzo panu współczuję z powodu pańskich kłopotów z podopieczną, ale nie może żądać pan ode mnie, abym porzuciła wszystko i biegła panu na pomoc. Zresztą nie jestem w najmniejszym stopniu skłonna próbować przekonywać Chloe, by bez szemrania zgodziła się wypełnić pana żądania. Pańska chęć, żeby wydać ją za człowieka, któremu jest niechętna, wydaje mi się niezrozumiała i posunięta za daleko.

Thorne wstał i zbliżył się do niej. Zdjęła go dziwna chęć, by złapać pannę Blayne za ramiona i trząść nią tak długo, aż zgrabny kok, w jaki były upięte jej włosy, rozsypie się w nieładzie na jej plecach.

- Chwilczkę, panno Blayne. Po pierwsze, jak chyba pani wyjaśniłem, nie jestem żadnym straszliwym wujaszkiem rodem z kiepskiego melodramatu. Chloe jest pod moją opieką i jestem za nią odpowiedzialny. Za jeden z najważniejszych obowiązków wobec niej uważam znalezienie jej odpowiedniego kandydata na męża. Człowiek, którego wybrałem, jest wspaniałym młodzieńcem. Dokładnie zbadałem jego rodzinę. To, że Chloe opiera się ze wszystkich sił, świadczy tylko o tym, jak dziecinnie i beztrosko traktuje swoją przyszłość. Po drugie, nie proszę wcale, żeby porzuciła pani wszystko, proszę tylko, by zechciała mi pani poświęcić jedno popołudnie ze swego, niewątpliwie napiętego, rozkładu zajęć. - Wziął głęboki oddech i odsunął się od niej nagłym ruchem. - Jednakże proszę uznać tę prośbę za niebyłą. Żałuję, że panią niepokoiłem. Dziękuję za informacje o panie Wendover i jeśli panie pozwolą...

Odwrócił się na pięcie i ponownie ruszył ku drzwiom krokiem, który zdradzał wyjątkowe wzburzenie.



- Proszę zaczekać - Hester ze zdumieniem usłyszała własne słowa. Wyciągnęła do hrabiego rękę. - Proszę mi wybaczyć, milordzie. Zdaje się, że z zasady przypisuję jak najgorsze motywy wszelkim planom, jakie mężczyźni mają wobec kobiet.

- Rzeczywiście, Hester - wtrąciła panna Larkin. Kosmyki jej siwych włosów podskakiwały w rytm słów. - Spełnienie prośby lorda Bythorn'a nie powinno sprawić ci żadnych kłopotów. Sama mówiłaś mi dziś rano, że praca nad książką idzie lepiej, niż zaplanowałaś, nie mamy też żadnych specjalnych planów towarzyskich, przynajmniej aż do przyszłego wtorku, kiedy jesteśmy zaproszone do pana dziedzica Maltby'ego.

Hester uśmiechnęła się do Thorne'a z przymusem.

- Doskonale. Z przyjemnością więc będziemy panu towarzyszyć, jeżeli nadal pan tego pragnie.

Pełen ulgi uśmiech Thorne'a powiedział jej, że przeprosiny zostały przyjęte.

- Oczywiście, że tak - odrzekł. - Niestety, moja kariolka jest za mała, by pomieścić nas wszystkich, będę więc musiał wynająć powóz w... White Stag, czy dobrze pamiętam? - Nazwa, którą wymienił, odnosiła się do przydrożnej gospody, stojącej na obrzeżach wsi.

- Zgadza się - powiedziała Hester. - Tak chyba będzie najlepiej, bo jedyny pojazd, którym dysponujemy, to maleńki jednokonny powozik.

Thorne skinął głową i pośpiesznie opuścił dom z uczuciem nieopisanego ulgi. Po niespełna godzinie wrócił okazałym powozem zaprzężonym w czwórkę koni i z forysem do pomocy.

Nie minęła następna godzina, gdy przyjechali do Willows, gdzie mieszkał pan Jonathan Wendover. Na spotkanie gościom wyszedł sam dziedzic w towarzystwie małżonki, za nimi pojawili się również najstarszy syn Miles oraz najstarsza córka Melissa. Rodzina wyglądała na niezwykle zdenerwowaną nieoczekiwanym pojawieniem się czcigodnej postaci hrabiego Bythorne'a, lecz skwapliwie zaproszono całą trójkę gości do salonu.

- Nie spodziewaliśmy się pana tak szybko, milordzie! - zawołała pani Wendover, a w następstwie jej słów hrabia obrócił się ku niej ruchem tak nagłym, że omal nie przewrócił damy.

- Tak szybko? - powtórzył ostro. - To znaczy, że Chloe tu jest?

- Oczywiście, to znaczy niezupełnie. Wzięły powozik z kucem i pojechały z Sarą do wsi, ale niedługo powinny wrócić. Nie przypuszczaliśmy, że Chloe będzie u nas tak krótko. Z tego, co mówiła, wywnioskowaliśmy, iż zabawi tu większą część lata.

- Doprawdy? - rzekł Thorne, biorąc głęboki oddech. Odwrócił się do Hester i Larkie. - Chciałbym państwu przedstawić moją... hm, kuzynkę, pannę Blayne, oraz jej przyjaciółkę, pannę Larkin.

Hester spojrzała na niego zdumiona. No, tak, pomyślała, zreflektowawszy się po chwili. Wydawałoby się więcej niż dziwne, gdyby wyszło na jaw, że hrabia jeździ sobie powozem w towarzystwie jakiejś obcej starej panny i jej starszej przyjaciółki. Wyciągnęła rękę do pani Wendover, a następnie do jej małżonki, wyrażając wielką radość z powodu zawarcia z nimi znajomości.

Towarzystwo zasiadło do herbaty i poczęło zabawiać się rozmową. Zaledwie kilka minut później z hallu dał się słyszeć jakiś tumult i gwar dziewczęcych głosów - znak, że oto wróciła najmłodsza córka gospodarzy wraz ze swoim gościem. Po chwili obie młode damy wpadły z impetem do salonu.

- Mamo! - zawołała panna Wendover. - Nie uwierzysz, czego się dowiedziałam...

Nie skończyła, ponieważ przerwał jej zduszony krzyk Chloe, która weszła do pokoju za przyjaciółką. Policzki dziewczyny zbladły jak ściana, a oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- Wuj Thorne! - zdołała krzyknąć, po czym padła zemdlna na podłogę salonu.

## 5

Nic dziwnego, że upłynęło sporo czasu, nim w domostwie pana Wendover zapanował porządek. Wkrótce po swym omdleniu Chloe oprzytomniała, lecz jeszcze długo potem słyhać było rozdzierające jęki, którymi skarżyła się na opłakaną sytuację, w jakiej się znalazła, a panna Wendover skwapliwie jej w tym wtórowała.

Wreszcie państwo Wendover, po zapewnieniu przez hrabiego, iż nie obarcza ich winą za współudział w ucieczce jego wychowanki, kazali Sarze uspokoić się i iść do swego pokoju, gdzie miała czekać na dalszy rozwój sytuacji. Następnie, zabierając resztę potomstwa, wymaszerowali z pokoju, pozostawiając Chloe na łaskę i niełaskę lorda Bythorn'a.

Chloe nie okazała zdziwienia na widok panny Blayne towarzyszącej hrabiemu. Co więcej, wobec wiszącej nad nią groźby nieuchronnej kary, przebiegła przez pokój i przypadła do jej kolan.

- Och, panno Blayne! - zatkała. - Proszę, niech mu pani nie pozwoli mnie zabrać.

- Posłuchaj, Chloe - zagrzmiał hrabia, ale Hester natychmiast rzuciła mu groźne spojrzenie. Jednak po chwili przemówiła bardzo łagodnym głosem:

- Może pan, milordzie, przejdzie się z panną Larkin po tarasie i pozwoli pannie Venable dojść do siebie.

Zrobiła znaczącą minę i po chwilowym wahaniu Thorne skinął głową. Odwróciwszy się podał ramię pannie Larkin i razem wyszli przez oszklone drzwi prowadzące na taras, z którego rozpościerał się piękny widok na okolicę.

- Chodź, Chloe. - Hester poprowadziła zapłakaną dziewczynę do kanapy, na której usiadły obok siebie. Wyciągnęła chustkę i otarła nią zapuchnięte oczy Chloe, po czym uśmiechnęła się do niej pocieszająco. - Musimy

pomyśleć, jak rozwikłać sytuację, w którą się wplątałaś.

- Nic nie możemy zrobić. - Chloe pociągnęła nosem i biorąc chusteczkę z rąk Hester, poczęła doprowadzać się do porządku. - Sama pani widzi, jaki on jest. Zrobi wszystko, żeby mi narzucić swoją wolę.

- No tak. - Usta Hester ściągnęły się. - Ma w sobie trochę z... hm, dyktatora, ale musisz zrozumieć, że jak większość mężczyzn, zwłaszcza o takiej pozycji społecznej, jest przyzwyczajony do tego, że wszyscy są mu bezwzględnie posłuszni.

- W takim razie - mruknęła Chloe - powinien się od tego odzwyczaić, bo ja nie zamierzam...

- Chwali ci się tak męzny duch, moja droga - przerwała łagodnie Hester - ale zawsze trzeba patrzeć realnie; nie wznieca się rewolucji, kiedy się jest bez szans. Pamiętasz naszą rozmowę u mnie w domu? - Chloe patrzyła na nią obojętnym wzrokiem. - Chyba zgodziłyśmy się wtedy, że najlepszym obecnie planem działania będzie przekonanie twojego opiekuna, że jesteś już wystarczająco dorosła, by sama podejmować rozsądne decyzje na temat swojej przyszłości.

Wzrok Chloe powędrował w dół na chusteczkę, która teraz była mokra i zmięta.

- T-tak, pamiętam. - Podniosła oczy. - Sądzę, że.. że pani zdaniem moja ucieczka nie była odpowiednim dowodem na moją... moją dojrzałość.

- Moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy. Ważne jest, co ty sama myślisz o swoim postępku. I oczywiście, co myśli o nim lord Bythorne. Spróbuj postawić się na jego miejscu. - Uniosła dłoń, powstrzymując protesty, jakie już cisnęły się na usta dziewczyny. - To naprawdę dobra metoda. Często z niej korzystałam w moich potyczkach z mężczyznami. Myślę, że zgodzisz się ze mną, iż jego lordowska mość nie jest z natury złym człowiekiem.

- Nie, chyba nie - przyznała niechętnie Chloe.

- Zatem wszystkie jego przewinienia wynikają z przekonania, że to, co robi, jest słuszne. - Hester głęboko westchnęła. - Właśnie to przekonanie ze strony mężczyzn jest przyczyną wielu naszych kłopotów. Zbyt często to, co oni uważają za słuszne, w rzeczywistości stoi w rażącej sprzeczności z naszymi potrzebami. Ale wróćmy do ciebie. Powiedz mi, Chloe, co twoim zdaniem jest dla ciebie najlepsze? - Odpowiedzią znów był pytający wzrok dziewczyny. - Mam na myśli twoje cele w życiu.

- Och... - Chloe bawiła się chustką. - Myślałam... och, panno... Hester, chciałabym być taka jak pani!

Teraz z kolei Hester wlepiła w nią wzrok.

- Słucham? - spytała, nie rozumiejąc, o co jej może chodzić.

- Tak - odparła Chloe, tym razem śmielej. - Chciałabym szerzyć feminizm, pisząc i mówiąc o jego ideach. Mogłabym nawet znosić prześladowania za swoje przekonania i nigdy, przenigdy nie pozwolę sobie rozkazywać żadnemu mężczyźnie, i prędzej umrę niż wyjdę za mąż! - Przemowa tak ją uskrzydliła, że ostatnie słowa wygłosiła z zaróżowioną od pasji twarzą i błyszczącymi oczyma.

Hester złapała ją za rękaw.

- Wszystko to bardzo pięknie brzmi i życzę ci powodzenia w twych zamiarach, jeśli naprawdę chcesz podjąć takie działania, ale...

- Jeśli chcę? - krzyknęła. - Ależ nie mam żadnych wątpliwości, że chcę. Razem z Mary Wollstonecraft wskazałyście drogę, którą mają iść kobiety, które chcą zrzucić z siebie jarzmo niewoli, a ja...

- Tak - znów przerwała jej Hester - ale czy napisałaś już coś na ten temat? Próbowałaś przelać swoje myśli na papier? To wcale nie takie proste, jak ci się wydaje. Co zaś do jarzma niewoli, nigdy nie występowałam przeciw małżeństwu; właściwie popieram je gorąco jako instytucję.

- Jak to? - Oczy Chloe zaokrągliły się ze zdumienia.

- Tak, bo moim zdaniem rodzina jest bardzo ważna dla prawidłowego rozwoju dziecka, które musi mieć matkę i ojca. Sądzę natomiast, że kobiety i mężczyźni powinni mieć absolutną swobodę w wyborze przyszłego małżonka. Powinna oczywiście słuchać rad rodziców, którzy jako starsi mają o wiele więcej doświadczeń, czego nie możemy ignorować, ale podjęcie ostatecznej decyzji trzeba zostawić tym, którzy zamierzają spędzić ze sobą resztę życia.

Chloe milczała, przyglądając się z powątpiewaniem swemu bożyszczu. Hester parsknęła śmiechem.

- Cóż, chyba dałam ci dość dużo tematów do przemyślenia. Być może zechcesz wziąć pod uwagę to, co powiedziałam, zanim zdecydujesz, co przedstawia dla ciebie wartość, a co wolałabyś wyrzucić za okno. Jeżeli mogę coś doradzić...

Chloe nic nie odpowiedziała, tylko uniosła brwi, które wiele umiały wyrazić.

- Wróc ze swym opiekunem do Londynu - ciągnęła Hester. - Idź z nim na kolację do państwa Werych i bądź dla nich miła. Lord Bythorne na pewno będzie tym co najmniej zaskoczony.

- Do czego to jednak prowadzi? - zapytała Chloe nieco wzburzona. - Jeśli będę miła dla Johna Wery'ego, czy przez to nie stanę prędzej przed ołtarzem?

- Być może tak, być może nie. Powiedz, co szczególnie podoba się twemu opiekunowi w panu Werym?

- Jest stateczny, godny zaufania i można na nim polegać, wszystkie te nudne cechy, poza tym ma majątek, który przynosi niemały dochód.

- Rzeczywiście, potężne atuty. Nie ma żadnych wad? Może lubi hazard, kobiety?

- Nie - odrzekła Chloe z goryczą. - Jest wzorem wszelkich cnót. Dziwisz się, że go nie cierpię?

Hester skrzywiła się.

- Wygląda na jakiś nieprawdopodobny ideał. Zastanawiam się - dodała po krótkim namyśle - czy nie mogłabyś odrobinę zmienić strategii.

Chloe spojrzała na nią pytająco.

- Mówiliśmy już wcześniej, że zamiast próbować przekonać lorda Bythorne'a, by porzucił zamiar wydania cię za pana Wery'ego, mogłabyś spróbować przekonać pana Wery'ego, że nie jesteś odpowiednią żoną dla niego.

Wyraz twarzy Chloe dowodził, że dziewczyna pojmuje.

- No tak, przypominam sobie tę radę, ale do tej pory nie robiłam nic, co mogłoby go do mnie zniechęcić.

Hester skinęła głową.

- Oczywiście, nie mówię o tym, żebyś od razu wywoływała skandal - rzekła pośpiesznie. - Możesz go po prostu bliżej poznać: jego upodobania, jego plany na przyszłość, i tak dalej, a potem dać mu do zrozumienia, że nie pasujesz do jego oczekiwań.

- Tak - zgodziła się ochoczo Chloe. - Nigdy nie rozwijałam przed nim moich poglądów na temat feminizmu, gdybym to jednak zrobiła...

- Niewątpliwie pan Wery zacząłby patrzeć na ciebie z najwyższym zaniepokojeniem.

- Tak jest. Gdybym jeszcze zaznaczyła, iż uwielbiam Londyn i nie zamierzam wyjeżdżać na wieś, do jakiejś zmuszałej posiadłości w Hertfordshire...

- Tak bardzo lubisz mieszkać w Londynie? - spytała zaskoczona Hester.

- Nie bardzo. Właściwie czułam się najszcześliwsza, kiedy spędzaliśmy z wujem Thorne'em kilka miesięcy w Bythorne Park, ale pan Wery nie musi tego wiedzieć. A ponieważ pan Wery należy do osób bardzo oszczędnych - dodała rozsądnie - nie od rzeczy będzie wspomnieć o drogich sukniach i klejnotach, jakich będę potrzebować jako mężatka, z pewną przesadą oczywiście.

Hester roześmiała się serdecznie.

- Biedak pewnie ucieknie w popłochu po dwóch tygodniach. - Po chwili jednak spoważniała. - Z drugiej strony mogłabyś zrewidować swój stosunek do lorda Bythorne'a. Skoro założyłyśmy, że twoje dobro naprawdę leży mu na sercu, nie ma chyba sensu sprawiać mu kłopotów bez potrzeby, prawda? Jeśli tylko nie traktuje cię źle...

- Och, nie. Kiedy zamieszkałam razem z nim i z jego ciotką Lavinią, nawet mi się spodobał. Jest taki przystojny, zawsze dzielił się ze mną wszystkimi najnowszymi ploteczkami, no, prawie wszystkimi, bo mimo swojej nie najlepszej reputacji - ciągnęła z poważną miną - mnie traktuje bardzo surowo. Chociaż nigdy nie miał nic przeciwko temu, że chodzę na odczyty feministek i czytam pani książki i pamflety. Nie przywiązywał do nich po prostu wielkiej wagi - wyjaśniła.

- Doprawdy? - rzekła zimno Hester.

- O, tak - przytaknęła Chloe, nie zwróciwszy uwagi na zmianę w jej głosie. - Kiedyś powiedziałam mu, że chcę iść na pani wykład, który odbywał się w budynku Zgromadzenia w Westminster. Zaśmiał się tylko i zapytał, czy zamiast tego nie wolałabym zobaczyć tresowanej świni, którą pokazywali na targu Bartholomew.

- Rozumiem. - Głos Hester przypominał teraz arktyczną zimę. Wstała gwałtownie. - Zbieraj się, Chloe, a ja powiem jego lordowskiej mości, że postanowiłaś wrócić z nim do domu.

Zanim Chloe spakowała swoje rzeczy i wśród łez pożegnała się z Sarą, a państwo Wendover raz jeszcze wyrazili swój żal z powodu nieświadomego współudziału w ucieczce panny Venable, popołudnie zbliżało się już ku końcowi. Gdy już wsiadali do wynajętego powozu, hrabia zwrócił się do Hester:

- Obawiam się, że dotrzemy do Overcross grubo po zmroku, a dziś w nocy nie będzie księżycy. Rozsądniej chyba będzie pojechać do Bythorne Park. Odeślemy ten powóz i jutro odwieziemy panie do domu o dowolnej porze którymś z moich powozów.

Hester wciąż tłumiała w sobie gniew, jaki wywołała w niej opowieść Chloe o poglądach hrabiego na temat jej pracy i już miała odrzucić tę dość obcesową propozycję, jednak wbrew sobie przyjęła ją. Perspektywa długiej podróży klekoczącą bryczką nie była zbyt kusząca, a rzut oka na twarz Larkie powiedział jej, że starsza pani także jest już zmęczona.

Hrabia wysłał przodem umyślnego, by powiadomił o ich rychłym przyjeździe do dworu, po czym wszyscy wsiedli do powozu i wyruszyli w drogę.

Dwór w Bythorne Park był wielkim budynkiem pamiętającym jeszcze czasy Tudorów. Ściany ze staromodnej cegły rzucały różowy blask, a dzielone kamiennymi słupkami gotyckie okna odbijały blask popołudniowego słońca. Ku zdziwieniu Hester na spotkanie wyszedł uśmiechnięty kamerdyner razem z żoną, która widocznie zajmowała się domem, gdy gospodarzy nie było we dworze. Wnętrze domu lśniło czystością i wszędzie panował nienaganny porządek, jak gdyby wiedziano o przyjeździe pana wiele dni wcześniej.

Thorne spojrział na pannę Blayne i uśmiechnął się.

- Bythorne Park leży niedaleko od Londynu - rzekł - więc bardzo często zapraszam tu gości - czasem zaś służy mi jako schronienie przed ludźmi. Służba jest tu zawsze w komplecie, abym mógł zjechać niemal w każdej chwili.

- Schronienie? - zdziwiła się Hester.

- Mhm. W głębi serca jestem stworzeniem miejskim, lecz czasami hałas i zgiełk mogą zmęczyć nawet tak

zdeklarowanego mieszczucha jak ja. Z tym domem wiązą się miłe dla mnie wspomnienia; bardzo lubię jego spokój i ciszę.

Hester znów popatrzyła na niego z zaskoczeniem. Jego usta okraślił uśmiech i panna Blayne pomyślała, że to wcale nie takie trudne wyobrazić go sobie jako małego chłopca, który wspina się na drzewa otaczające dwór albo pływa w jeziorze, które połyskiwało w oddali.

Gospodyni, pani Pym, zaprowadziła Hester i pannę Larkin do pokoi gościnnych, które także wyglądały, jakby tylko czekały na przyjęcie gości. W pokoju Hester na palisandrowej komodzie stał wazon świeżych kwiatów, a na uroczej toaletce, naprzeciw której wisiało lustro, leżały przeróżne szczotki i grzebienie.

- Jego lordowska mość przestrzega tu wiejskiego rozkładu dnia - powiedziała gospodyni, nalewając wody z pięknego dzbana do miednicy; na jej twarzy malowała się dyskretna ciekawość. - Kolację podamy o szóstej, mniej więcej za godzinę. Wcześniej pan hrabia spotyka się z gośćmi w zielonym salonie. Kiedy będą panie gotowe, proszę zadzwonić, a ktoś przyjdzie i pokaże paniom drogę. - Uśmiechnęła się i ogarnawszy pokój ostatnim spojrzeniem, dygnęła i wyszła z szelestem krepowej sukni.

Niedobrze, pomyślała Hester zdejmując swój zwykły, codzienny szal. Powinam była wziąć jakiś strój na zmianę. Choć z drugiej strony, zreflektowała się ze śmiechem, w swej szafie nie miała nic, co odpowiednio okazałoby się w tej królewskiej sypialni. Wzruszywszy ramionami, zanurzyła dłonie w chłodnej wodzie - oczywiście perfumowanej - i przemyła twarz, po czym skorzystała ze szczotek i grzebieni, by doprowadzić do ładny włosy po niewygodach podróży. Ostrożnie włożyła czepek i kilka chwil później szła już korytarzem za służącą, po drodze zabierając Larkie.

- Wielkie nieba, Hester - mówiła dama z oczyma błyszczącymi przejęciem. - Widziałas kiedy takie eleganckie pokoje? W moim jest wszystko, czego potrzeba, by spędzić najwygodniejszą noc na świecie. Nawet flakony perfum i książki na nocnym stoliku!

- Zatem ciesz się tym, póki możesz, moja droga - zaśmiała się cicho Hester - bo już jutro wrócimy do naszego szałas w sercu Rosemare.

Panie poprowadzono dalej szerokimi korytarzami i ogromnymi schodami, aż wreszcie weszły do wielkiej, bajkowej komnaty, urządzonej z najwyższym smakiem i elegancją. Olbrzymie okna, spowite szmaragdowym adamaszkiem, wychodziły na puszysty trawnik, który rozciągał się przed dworem. Lord Bythorne siedział na pokrytej pasiastym atłasem kanapie, pogrążony w rozmowie ze swą podopieczną. Kiedy ujrzał wchodzące do pokoju panie, podniósł się.

- Mam nadzieję, że już się panie rozgościły? - spytał uprzejmie, przyjmując z zadowoleniem ich twierdzącą odpowiedź.

Chloe miała na sobie prostą, muślinową suknię, na którą narzuciła lekką tunikę z różowej tafty, której kolor podkreślał barwę jej policzków. Stroju dopełniały różowe wstążki wplecione w jasne loki i dziewczyna zdaniem Hester wyglądała uroczo. Pan Wery chyba nie miał oczu, żeby w jej obecności mówić tylko o owcach i uprawie roli.

Dziewczyna wzięła sobie do serca jej nauki, bowiem jasne było, iż postanowiła ściśle się nimi kierować - zachowywała się równie czarująco, jak wyglądała. Przez całą kolację okazywała pełną szacunku uprzejmość, z rzadka się odzywając. Nie było po niej widać, żeby zaznała surowej kary za swą nieudaną ucieczkę; niespiesznie delectowała się wspaniałym posiłkiem, na który składały się pieczone w maśle, nadziewany drób à la Davenport, pieczony karp po portugalsku oraz bukiet z jarzyn w przeróżnych sosach.

Larkie, pozostająca najwidoczniej pod wrażeniem otaczającego ją przepychu, w ogóle się nie odzywała, toteż na Hester i Thorne'a spadł ciężar podtrzymywania rozmowy, która była zadziwiająco wesoła.

Prawdę powiedziawszy, Thorne był rozbawiony świadomością, że oto gości przy stole najszlachetniejszą feministkę Angin. W swej prostej sukni i tym absurdalnym czepku zawiązanym mocno pod brodą,

z błyszczącymi przenikliwością oczyma wyglądała w tym miejscu równie stosownie, jak strzyżyk w złoczonej klatce dla kanarka. Boże, cóż powiedzieliby jego londyńscy kompani, gdyby wkroczyli teraz do jadalni i ujrzeli lorda Bythorne'a biesiadującego w barwnym towarzystwie złożonym z jego smarkatej podopiecznej i dwu starych panien z jakiejś zapomnianej wioski leżącej gdzieś na uboczu Surrey? Naturalnie pomyśleliby, że do reszty oszalał. Nie bardzo zależało mu zresztą na opinii zgrai zblazowanych hulaków z St. James. Ku swemu zdumieniu odkrył nawet, że rozmowa z groźną panną Blayne sprawia mu wielką przyjemność.

- Nie uważa więc pani Byrona za mrocznego i niebezpiecznego człowieka? - spytał ją od niechcenia.

- Na pewno nie jest tak niebezpieczny, za jakiego chciałby uchodzić w oczach czytelników - odparła Hester nieco szorstko. - Uważam go za świetnego poetę, ale byłby na pewno lepszy, gdyby przestał snuć te nedorzeczne rozmyślania na temat własnej osoby.

Thorne roześmiał się.

- Panie z towarzystwa wrzuciłyby zapewne panią do najbliższego dołu, gdyby usłyszały podobną opinię o jednym ze swych faworytów. Byron opuścił w hańbie swój piedestał i może właśnie dlatego wciąż jest o nim głośno\*.

<sup>□</sup> Poeta lord George Byron (1788-1824) w roku 1816 był zmuszony do wyjazdu z Anglii po skandalu obyczajowym wywołanym rozpadem jego małżeństwa z Anne Milbanke

- Och, nie wątpię, że tak by właśnie uczyniły - rzekła Hester z uśmiechem. - Ale przyzwyczaiałam się już do ostracyzmu, nie zrobiłoby więc to na mnie żadnego wrażenia.

Thorne zaatakował widelczykiem kawałek placka ze śliwkami, który przed nim postawiono.

- Słyszałem - rzucił krótkie spojrzenie na Chloe - że jest pani córką szlachcica, panno Blayne, którego nazwisko ma piękną i bogatą tradycję. Mogła pani, gdyby tylko pani zechciała, zająć miejsce wśród innych cieszących się przywilejami należnymi ich urodzeniu. Nie żałuje pani, że wybrała inną drogę?

Hester zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią, przekrzywiwszy na bok głowę ruchem, który Thorne uznał za nieoczekiwane wdzięczny.

- Nie - powiedziała w końcu, parszkając śmiechem. - Ja po prostu uciekłam na wolność. Kiedyś spędziłam w towarzystwie takich ludzi pewien czas czy, jak oni to nazywają, sezon. Nigdy w życiu się tak nie wynudziłam. Czas spędzałam w miejscach, których wolałabym nie odwiedzać, i rozmawiałam z ludźmi, którzy niewiele mieli w głowach.

Co za dziwna kobieta, zadumał się Thorne. Jej oczy były naprawdę piękne, ale ta pospolita twarz... Choć, czy rzeczywiście była pospolita? Miała kształtny nos i ładne, pełne wargi, które wyglądały szczególnie uroczo, kiedy się śmiała. Jej krągły, drobny podbródek aż się prosił, by go ująć w dłoń. Tylko ten wojowniczy wyraz twarzy... - Thorne zdecydował, że właśnie to czyni ją mało atrakcyjną - i ten staroświecki, niezbyt gustowny strój, nie wspominając o okropnym, wykrochmalonym czepku z płótna i koronek, który nosiła na włosach spiętych tak mocno, że jej oczy były pewnie pełne łez. Uśmiechnął się. Mimo jej wysiłków od czasu do czasu jakiś kosmyk wymykał się spod czepka i spływał kokieteryjnie wzdłuż policzka.

Miała włosy o bardzo ładnej barwie. Thorne starał się wyobrazić ją sobie z rozpuszczonymi włosami, swobodnie opadającymi na plecy. Czy mógłby się oprzeć, by nie podejść i nie zanurzyć w nich dłoni? Opleść ich jedwabnych splotów wokół palców?

Hola, hola, dokąd to, stary koniu, pomyślał z nagłym przestraszeniem. Spośród wszystkich kobiet, które znał, ta wydawała się najmniej odpowiednią kandydatką do kolejnego flirtu. Oderwawszy się więc od swoich rojeń, ponownie skupił się na tym, co mówiła Hester. Opowiadała coś o prawie zbożowym - na miły Bóg, ale znalazła temat.

- Zgadza się pan, milordzie? - usłyszał.

- Z czym, panno Blayne?

Chrząknęła urażona.

- Pytam, czy zgodzi się pan ze mną, że obecne prawo zbożowe jest wyjątkowo niesprawiedliwe.

Thorne już miał zabłysnąć celną ripostą, gdy panna Blayne dodała tylko:

- Jeśli chce mi pan powiedzieć, milordzie, żebym nie zaprzętała sobie głowy podobnymi sprawami, będę zmuszona pana rozplatać.

Na dowód, że nie żartuje, pomachała mu groźnie przed nosem widelczykiem do ciasta.

Larkie wstrzymała oddech, a Chloe uniosła przestraszona głowę. Thorne wybuchnął śmiechem.

- Wobec takiej groźby nie śmiałybym nawet wspomnieć niczego w tym rodzaju. Ale musi pani sama przyznać - dodał przebiegle - że to trochę niezwykle, by kobieta rozprawiała z taką namiętnością na tematy nie związane z modą, domem albo...

- Albo zdobyciem męża - skończyła za niego Hester, odkładając na stół swą śmiercionośną broń, lecz nie zmieniając kwaśnego tonu.

Pewnie ta jęzda w ogóle nie umiała powiedzieć nic sensownego na te tematy, a zwłaszcza na ostatni, pomyślał hrabia. Boże, jakże współczuł temu nieszczęśnikowi, który miałby trafić we władanie obłudnej panny Blayne. Pewnie po dwóch tygodniach poszatkowałaby go na strzępy tym swoim ostrym, żmijowatym językiem.

Choć z drugiej strony to, co uczyniła z Chloe, zakrawało na prawdziwy cud. Wystarczyło spojrzeć na małą złošnicę, jak pochylała się z grzeczną miną nad talerzem, jakby była ucieleśnieniem niewinności. Hrabia obawiał się jednak, że ten wspaniały stan rzeczy potrwa tylko do jutra, gdy panna Blayne opuści ich dom. Wzdrygnął się na tę myśl i poczuł, że niemal boi się jutrzejszego dnia.

Ale... nieoczekiwanie do głowy wpadła mu pewna myśl, tak nagła, że o mało nie wylał sobie wina na kolana. Nie, pomyślał w chwilę potem, pomysł wydał mu się absurdalny. Jednak mimo to... Spojrzał zadumany na przeciwną stronę stołu.

- Panno Blayne, proszę pozwolić mi dolać pani jeszcze tego przedniego Chamberlina - rzekł przymilnie.

## 6

Po kolacji hrabia porzucił swój poprzedni zamiar, by w samotności delektować się portwajnem i dołączył do pań, które podały do saloniku z fortepianem, gdzie Chloe uraczyła wszystkich muzyką. Choć nie była może najlepszą pianistką, grała z wielkim uczuciem i została nagrodzona szczerymi brawami.

Potem Thorne zaproponował gościom zwiedzenie dworu, na co Hester i panna Larkin z ochotą przystały. Chloe z wielkim entuzjazmem poszła za nimi.

- Jak już się panie zapewne domyśliły - rzekł hrabia - dom zbudowano jeszcze za panowania królowej Elżbiety. Panem był tu wówczas Henry Trent, czwarty baron Trent. Tytuł hrabiowski rodzina uzyskała kilka pokoleń

później, a dwór stopniowo rozbudowywano, stąd znaczne pomieszenie stylów. - Wskazał długie schody wiodące od korytarza w stylu Stuartów w górę. - My, Trentowie, nigdy nie przywiązaliśmy wagi do wysmakowanej architektury, zwykle przedkładamy wygodę i przestrzeń nad modę.

Na potwierdzenie swych słów powiódł gości przez wielkie komnaty przeplatane różnymi chaotycznie rozmieszczonymi korytarzykami i przejściami. Wreszcie skręcili do ogromnej galerii, która ciągnęła się przez całą długość frontu domu. Jak pozostałe komnaty, była elegancko umeblowana, a na ścianach widniał długi rząd portretów rodzinnych.

- Oto i Henry we własnej osobie - powiedział Thorne, wskazując portret postawnego, odzianego w pończochy i długi kubrak mężczyzny, który stał obok swego ulubionego rumaka. - Zawsze nam mówiono, że należał do faworytów królowej. Tam znowu, proszę spojrzeć, wisi portret Rodericka, jego syna i spadkobiercy. Biedny Roderick, nie odziedziczył po ojcu niestety jego czarującego usposobienia, toteż kiepsko mu się wiodło, a za panowania Jakuba I ledwie uszedł z życiem przed królewskim gniewem. Los ponownie uśmiechnął się jednak do rodziny za sprawą syna Rodericka, drugiego Henry'ego, który dobrze się ożenił. Tu mamy portret obojga małżonków. Nietrudno zgadnąć, że wybranka Henry'ego musiała posiadać naprawdę dużą fortunę.

Wpatrując się w lady Trent, wysoką kobietę o groźnym spojrzeniu, ściągniętej twarzy i tyczkowatej posturze, Hester stłumiła chichot.

Potem Thorne przeszedł do swoich następnych przodków i tak przedstawił wszystkich - od czasów Tudorów, przez panowanie Stuartów, aż do dynastii hanowerskiej. Kiedy doszli do końca galerii, hrabia pokazał ostatni obraz, przedstawiający dystyngowanego dżentelmena, olśniewająco piękną kobietę i małego, ciemnowłosego chłopca.

- A oto - rzekł - przechodzimy do świeżo rozkwitłej gałęzi rodu. To mój ojciec i moja matka oraz moja skromna osoba w wieku około dziewięciu lat, o ile dobrze pamiętam.

Hester przyjrzała się badawczo portretowi. Ojciec Thorne'a był niewątpliwie przystojnym mężczyzną, lecz w jego rysach było coś posępnego. Matka zaś była na pewno klejnotem pośród kobiet: miała bujne, złote włosy, ogromne błękitne oczy i uśmiech, który wydawał się wychodzić poza ramy obrazu i urzekał widza promieniującą zeń magią.

- Niezwykle piękna kobieta - powiedziała. Spoglądała na przemian to na obraz, to na Thorne'a.

- Rzeczywiście, była bardzo piękna - przytaknął hrabia - ja zaś przypominam bardziej ojca.

Hester zdziwił zagadkowy błysk, jaki zauważyła w jego oku, gdy przyglądał się portretowi i niemal niedosłyszalnie mruknął:

- Jednak mam po niej pewne cechy.

Po chwili hrabia odwrócił się, dając tym samym znak, by iść dalej, i Chloe wraz z panną Larkin chciały już ruszać, ale Hester została przy portrecie.

- Jest pan ich jedynym dzieckiem. - Bardziej stwierdziła, niż zapytała, z pewnym zaskoczeniem w głosie.

- Zgadza się - odparł Thorne tonem, który nie wróżył nic dobrego.

- Przepraszam za tę osobistą uwagę. Po prostu wydaje mi się niezwykle, że syn tak znakomitych rodziców nie ma żadnego rodzeństwa.

- Podobno ojciec chciał mieć większą rodzinę, lecz matka natura nie dopomogła mu w tym, niestety.

Ostatnie słowa hrabia wypowiedział tonem bardzo lekkim, ale Hester poczuła, że uśmiech, jaki im towarzyszył, był raczej wymuszony. Ponownie kierując się do wyjścia, tym razem Thorne delikatnie ujął ją za łokieć, by wyprowadzić z galerii. Panna Blayne rzuciła ostatnie spojrzenie trójce z portretu, po czym wyszła, unosząc ze sobą obraz nie dwojga szczęśliwych ludzi, którym los nie poskąpił urody ani bogactwa, lecz wizerunek małej, samotnej figurki chłopca, stojącego sztywno między rodzicami.

Wszyscy wrócili do szmaragdowego salonu, gdzie czekała już na nich herbata. Przez resztę wieczoru toczono lekką i nie zobowiązującą rozmowę. Chloe starała się przede wszystkim mówić o nadchodzącej kolacji u państwa Werych, a Thorne z zadowoleniem przyjmował tę nową, rozsądną postawę wobec jej przyszłości. Kiedy życzyli sobie dobrej nocy, Hester zdziwiło zamyślenie malujące się na twarzy Thorne'a, gdy nachylał się nad jej dłonią.

Później, z rozkoszą wsuwając się do miękkiego łóżka i układając się wygodnie w jedwabnej pościeli, Hester uświadomiła sobie nagle, że nie spędzała nocy w takim zbytku odkąd opuściła dom rodzinny. Zresztą w Wisseton Priory, choć dom był duży i wygodny, nie zaznała nawet połowy luksusu Bythorne Park.

W najbliższych miesiącach i przy obecnym stanie jej finansów, myślała sennie, nawet spartańskie warunki w Rosemare Cottage mogą się pogorszyć. Wsunęła się głębiej pod ciepłą kołdrę. Byle tylko nie zawisła nad nią groźba spłaty hipoteki, a wszystko jakoś się ułoży.

Nazajutrz rano po sutym śniadaniu całe towarzystwo wyruszyło do Overcross, ponieważ hrabia, po odwiezieniu pań do Rosemare Cottage, chciał jechać od razu do Londynu. W drodze był niezwykle mało mówny, lecz ciszę wypełniała Chloe, zasypując Hester gradem pytań na temat jej dokonań na polu feminizmu.

Kiedy przyjechali do domu, Hester przypuszczała, że po wymianie wzajemnych uprzejmości hrabia bez zwłoki odjedzie. Tymczasem Thorne bardzo chętnie pozwolił się zaprosić pannie Larkin, by posilili się ciastem i filiżanką herbaty przed czekającą ich jeszcze podróżą. Hrabia upił może dwa tyki ze swej filiżanki, po czym zwrócił się do

Hester, dziwnie zdenerwowanym głosem:

- Czy moglibyśmy porozmawiać bez świadków, panno Blayne?

Wszystkie trzy wytrzeszczyły na niego oczy.

- Wuju Thorne... - zaczęła Chloe z niekłamana ciekawością, lecz hrabia uciszył ją jednym ruchem dłoni.

- Ależ naturalnie, milordzie. - Hester wstała i zaprowadziła go do maleńkiej pracowni, która znajdowała się w głębi domu. Usiadła na trzcinowym krzeselku i wskazała Thorne'owi drugie. On jednak nie zamierzał siadać, a po chwili począł chodzić w tę i z powrotem, przemierzając niewielką przestrzeń pokoiku. Przez długi czas nic nie mówił, Hester także go nie ponaglała; założywszy ręce, uprzejmie czekała, na pozór całkiem spokojna. Wewnątrz jednak zadawała sobie mnóstwo gorączkowych pytań. Czego, u licha, mógł od niej chcieć ten człowiek? Co takiego ma jej do powiedzenia, czego nie mogą usłyszeć Larkie i Chloe? Może zamierzał udzielić jej ostrej reprymendy, ponieważ ośmieliła się wygłaszać przed jego przybraną siostrzenicą swe gorszące poglądy? Jeśli tak, to ona oczywiście...

- Panno Blayne.

Wzdrygnęła się.

- Panno Blayne - powtórzył i Hester z zaskoczeniem wyczula w jego głosie jakiś lęk. - Chciałbym wyrazić ogromną wdzięczność za to, że przybyła pani na ratunek... mnie i Chloe. - Przerwał na moment, ale zaraz podjął na nowo. - Ma pani szczególny dar postępowania z młodymi, lekkomyślnymi kobietami, zwłaszcza z tą lekkomyślną pannicą.

Hester uśmiechnęła się.

- Cóż, sama kiedyś taka byłam - powiedziała. - Nic dziwnego, że łatwo sobie poradziłam z Chloe, bo bardzo mi przypomina mnie samą w jej wieku.

- Naprawdę? - zdumiał się Thorne, a Hester poczuła nagłą złość za to, że hrabia nie potrafił jej sobie widocznie wyobrazić jako młodej kobiety. - W każdym razie - dodał szybko - nigdy nie była taka posłuszna i mówiąc szczerze, wiele dałbym za to, żeby ten stan rzeczy utrzymał się dłużej. Właściwie jestem gotów dać wiele, by to osiągnąć. - Hester patrzyła na niego, nie rozumiejąc. - Panno Blayne, w moim życiu panował zupełny nieład, zanim pojawiła się w nim Chloe. Przez lata wiodłem kawalerski żywot i nie przywykłem do obcowania z tak młodymi pannami. Zanim zaopiekowałem się Chloe, mieszkałem w wynajętym mieszkaniu przy Jermyn Street, za jedyne go towarzysza mając Williama, mego służącego. W Bythorne Park gospodarowała moja ciotka Lavinia, ale rzadko ją widywałem. Była dla mnie tak dobra, że przeprowadziła się do Londynu, gdy urządziłem tam dom dla Chloe i starała się jak najlepiej zastąpić jej matkę, lecz prawdę powiedziawszy... moja ciotka umie z nią postępować niewiele lepiej ode mnie, a sama pani widziała, jak kiepsko mi to idzie. Ciotka jest doskonałą gospodynią, ale nie umie zyskać posłuchu.

Hester powoli zaczynała pojmować, do czego hrabia zmierza.

- Przykro mi z powodu pańskiej sytuacji, milordzie - rzekła zdecydowanie - ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

Thorne ściągnął swe ruchliwe brwi i wziął głęboki oddech.

- Przypuszczam, że doskonale pani wie, co to ma wspólnego z panią, panno Blayne. Potrzebuję pani pomocy. Chloe potrzebuje pani pomocy. Tak, dobrze pani odgadła: proszę, by zamieszkała pani w moim domu jako osoba do towarzystwa dla mojej podopiecznej. Proszę zaczekać - dodał pospiesznie. Widząc, że Hester wstaje, usiadł gwałtownie naprzeciw niej i chwycił ją za ręce. - Proszę mnie wysłuchać. Nie zamierzam prosić pani o poświęcenie całego życia ani o długi pobyt w mojej posiadłości. Chcę tylko, żeby Chloe przestała uciekać z domu za każdym razem, kiedy robię coś dla jej własnego dobra. Gdy tylko oficjalnie ogłosimy jej zaręczyny z Johnem Werym, jestem pewien, że się ustatkuje i...

- Lordzie Bythorne - przerwała Hester - chyba pan oszalał. Gdybym nawet chciała zrezygnować z moich wszystkich planów, a na pewno nie zrezygnuję, fakt, iż udało mi się zawrócić Chloe ze złej drogi dwa razy, wcale nie oznacza, że znam metody, by ją skłonić do wypełniania pańskiej woli.

- Mówiłem już, że nie zamierzam wymuszać spełniania mojej woli. No, może rzeczywiście ma pani rację, ale to wszystko dla jej dobra. Proszę mi powiedzieć, panno Blayne... - Nie wyszła pani za mąż... - Hester spojrzała na niego wzrokiem nie wróżącym nic dobrego, więc Thorne skończył pospiesznie: - Jestem pewien, że z wyboru. Ale czy nie żałuje pani tego kroku? Nie brakuje pani czasem domu, rodziny?

- Mam swój dom, lordzie Bythorne - odparła lodowatym tonem. - Jeśli zaś chodzi o rodzinę, Larkie w zupełności mi wystarcza. - Poprawiła się nerwowo na krześle, ponieważ wiedziała, że nie mówi całej prawdy. Nie potrzebowała wprowadzić męża, ale zawsze boleśnie odczuwała brak dzieci, bez których życie wydawało się jej nieznośnie puste.

- Sądzi pani, że Chloe jest gotowa postąpić podobnie? - kontynuował hrabia. - Owszem, z wielkim entuzjazmem popiera pani wybór, ale wątpię czy ma tyle samo... siły, by ten cel osiągnąć. Całe życie chroniono ją przed złym światem i gdy zostanie pozbawiona mojej opieki, co musi kiedyś nastąpić, nie będzie jej lekko, jeśli pozostanie niezamężna.

Hester musiała się z tym zgodzić. Obserwując Chloe, doszła do podobnych wniosków. Choć nie chciała

przyczyniać się do nie chcianego małżeństwa, prawdę mówiąc nie widziała dla niej innej przyszłości niż właśnie zamążpójście. Przeklęła w duchu porządek świata, który odmawiał kobietom prawa do należytej edukacji, dzięki której mogłyby nabyć umiejętność samodzielnego radzenia sobie w życiu.

- Niemniej jednak, milordzie...

- Chciałbym, rzecz jasna, sownie wynagrodzić grzeczność, jaką mi pani wyświadczy. Moja propozycja jest następująca: zamieszka pani z nami na okres trzech miesięcy albo do czasu, gdy Chloe przyjmie oświadczyzny Johna Wery'ego - zależnie od tego, co nastąpi pierwsze, i za to jestem gotów zapłacić pięćset funtów.

- Pięćś... - głos uwiązał jej w gardle. Dobry Boże, z taką sumą mogła do końca spłacić hipotekę domu, naprawić dach, wstawić nowe szyby w oknach, postawić nową szopę i jeszcze by jej zostało na nowy piec i nowe okulary dla Larkie. Pomysł był jednak niedorzeczny. - Milordzie, cały ten pomysł wydaje mi się niedorzeczny - oświadczyła głośno.

Spodziewała się, że hrabia po prostu skłoni się i wróci do salonu. On jednak siedział w milczeniu, patrząc na nią wyczekująco. Mówiła więc dalej, zawieszając co chwila głos i szukając właściwych słów, by przekonać go o szaleństwie tego planu. - Co powiedziałyby pańska ciotka, gdyby narzucił jej pan obecność obcej osoby w domu? Nie, nie jednej, dwu osób, ponieważ nie wyobrażam sobie, że mogłabym zostawić Larkie samą. Poza tym jestem właśnie w trakcie pracy nad pewnym dziełem, które jest dla mnie bardzo ważne. Zdaję sobie sprawę, że pana zdaniem wszystkie moje teksty to tylko niepoważna pisanina starej panny, której brak piątej kleпки, ale dla mnie znaczą naprawdę dużo. Mówiąc bez ogródek, to dla mnie sprawa przetrwania. Mam określony termin zakończenia pracy, dlatego nie mogę sobie pozwolić na takie długie wakacje. Co więcej - brakowało jej już tchu i wiedziała, że zaczyna mówić niezbyt zrozumiale - mam grono przyjaciół, z którymi często się spotykam. Z ciężkim sercem porzuciłabym ich na tak długo. I wreszcie, co powiedzą pańscy przyjaciele i rodzina, gdy przyjmie pan pod swój dach autorkę pamfletów, które jawnie podzęgają do rewolucji?

- Ani mi się śniło - rzekł łagodnie Thorne - żądać, by przerwała pani pisanie na czas mieszkania u mnie. Goszcząc u mnie, miałyby pani do dyspozycji także cichy pokój z biurkiem, papierem i atramentem. Przecież nie wymagałbym, żeby na krok nie opuszczała pani Chloe. Na co dzień towarzyszą jej zwykle ciotka i służąca. Miałyby pani mnóstwo czasu na spotkania z przyjaciółmi. Przypuszczam, że większość z nich mieszka w Londynie. Nie będę miał nic przeciwko temu, żeby przyjmowała ich pani w moim domu. - Thorne zmówił w duchu modlitwę, by nie musiał otwierać swych drzwi przed gromadą fanatyków o dzikim spojrzeniu ani nie mytych intelektualistów. - Myślę, że krótki pobyt w stolicy dobrze pani zrobi. Proszę pomyśleć o odczytach, bibliotekach...

- Tak, tak, to wszystko prawda - przerwała niecierpliwie Hester - ale musi pan zrozumieć, milordzie, że pański plan jest absolutnie nie do przyjęcia.

- Dlaczego?

- Już panu powiedziałam dlaczego - odparła ostro.

- Ależ wyjaśniliśmy już wszystkie pani wątpliwości, może poza opinią mojej rodziny i przyjaciół. Ciotka Lavinia na pewno rzuci się pani na szyję, płacząc z wdzięczności, gdy zjawi się pani, by pomóc w wychowaniu Chloe. Jeśli zaś idzie o resztę rodziny, nie mam zwyczaju zasięgania ich rady przy podejmowaniu decyzji.

- Och, z pewnością pan nie ma - mruknęła Hester. Wstała i wyciągnęła do niego rękę. - Przemyślę pańską propozycję, milordzie, lecz muszę przyznać, że nie mam ochoty jej przyjmować.

Thorne znów chwycił ją za ręce i zmusił, by usiadła. Uśmiechnął się do niej zagadkowym uśmiechem, w którym wesołość psotnego chłopca mieszała się z dziwną nutą czułości i Hester wbrew sobie gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Nie proszę o nic więcej, panno Blayne - rzekł cicho. - Przrzekam pani, że dołożę wszelkich starań, by trzy miesiące pobytu w moim domu w niczym nie zmąciły pani planów. Zrobię wszystko, by ukończyła pani swą pracę w terminie, i postaram się zapewnić pani i pannie Larkin największe wygody. Nie będę już więcej nalegał, panno Blayne. Za tydzień przyślę do Rosemare Cottage powóz. Jeśli zdecyduje się pani przyjąć moją propozycję, proszę po prostu do niego wsiąść, a moi forysie zajmą się bagażem, jaki zechce pani ze sobą zabrać. Jeżeli zaś pani odmówi, proszę odesłać powóz z powrotem. Nie będę pani dłużej niepokoił.

Uśmiechnął się życzliwie, pochylając się nad jej dłonią, ale gdzieś w jego oczach czaił się błysk tak nieuchwytny i nieokreślony, że Hester wyrwała rękę i skoczyła na równe nogi.

- Dziękuję, milordzie - wykrztusiła ledwie dosłyszalnie przez ściśnięte gardło. - Pomyślę nad tym, co mi pan powiedział.

Po tych słowach wybiegła z pokoiku, by znaleźć się bezpiecznie u boku Larkie. Nie potrafiła jednak wytłumaczyć, dlaczego tak nagle poczuła potrzebę azylu.

## 7

Później, kiedy hrabia i Chloe odjechali, okazując sobie wzajemną życzliwość, Hester wyjawiała pannie Larkin propozycję hrabiego przy kolejnej filiżance orzeźwiającej herbaty.

- Powiedziałam mu, że przemyślę całą sprawę - rzekła na zakończenie - ale oczywiście nie mam zamiaru się zgodzić.

Podniosła wzrok na starszą panią, czekając na potwierdzenie słuszności swojej decyzji. Tymczasem ku jej zdziwieniu Larkie z powątpiewaniem pokręciła głową.



- Nie rozumiem cię, Hester - powiedziała, sypiąc cukier do filiżanki i mieszając. - Trzy miesiące to przecież wcale nie tak długo, a pięćset funtów... - mówiła wolno, starannie wymawiając słowa, jakby rozkoszowała się wysokością tej sumy. Po chwili otrząsnęła się z rozmarzenia i ciągnęła już bardziej rzeczowo. - Nie masz teraz żadnych zobowiązań poza książką. W przyszłym miesiącu masz wygłosić odczyt w Canterbury, ale z Londynu byłoby ci znacznie bliżej, jak sądzę...

- Larkie, doskonale wiesz, że kiedy piszę książkę, praca pochłania mnie bez reszty.

- Nie przesadzaj, Hester. Wygląda na to, że jego lordowska mość wcale nie oczekuje, żebyś bez przerwy zajmowała się panną Venable. Myślę, że chce tylko, byś była w pobliżu, kiedy znowu będzie miał z nią kłopoty.

- Z tego, co widziałam, zdarza mu się to nader często - rzekła z przekąsem Hester. - Ale masz rację. - Westchnęła.

- Pięćset funtów to niemała suma.

- Pomyśl tylko o hipotece, moja droga - Larkie znów ściszyła głos. - Mogłybyśmy zreperować dach, może nawet położyłybyśmy nowy i...

- Wiem, i okna, i piec, i twoje okulary, i może jeszcze nowe łóżko dla ciebie.

- Och! - Na twarzy starszej damy odmalował się wyraz nabożnej pokory. - Nie myślałam wcale o sobie, choć nowe okulary rzeczywiście by się przydały, a nowe łóżko... Ojej!

- W zeszłym miesiącu zepsuło się dwa razy, więc trzeba je wymienić. Dobrze, przemyślę to jeszcze.

I rzeczywiście, przez trzy dni i noce nie myślała o niczym innym. Wkrótce doszła do wniosku, że odrzucenie propozycji hrabiego byłoby szaleństwem, choć postąpiłaby zgodnie ze swoimi zasadami. Perspektywa szybkiego wyjścia z tarapatów finansowych przy niewielkim wysiłku, nie mówiąc o przyjemności mieszkania w eleganckich wnętrzach, w których każde jej życzenie byłoby natychmiast spełnione, była nader kusząca. Trzy miesiące w Londynie były także nie do pogardzenia. Lord Bythorne trafnie się domyślał, że większość jej przyjaciół mieszka w stolicy. Hester należała do kilku towarzystw skupiających intelektualistów i od czasu, gdy wyprowadziła się do Overcross, rzadko uczestniczyła w organizowanych przez nie spotkaniach.

W myślach stanął jej nagle Trevor. Pamiętała niepokój i smutek malujące się na jego wrażliwej twarzy, kiedy oznajmiła mu swój zamiar porzucenia miasta i wyprowadzenia się na wieś. Już dawno domyślała się, że Trevor Bentham, zamożny i odczytany dżentelmen, czuje do niej coś więcej niż przyjaźń; dla niej zaś zawsze pozostawał tylko przyjacielem, mimo to jednak cieszyła się na myśl o spotkaniu z nim.

Tak, ogólnie rzecz biorąc, propozycja hrabiego bez wątplenia przyszła w najbardziej odpowiednim czasie, Hester nie mogła też nic zarzucić charakterowi oferowanego zajęcia.

Dlaczego zatem takim wielkim niepokojem napawała ją perspektywa mieszkania w jego domu, nawet jeśli miało to trwać krótko? Nie było w tym żadnej niestosowności - przecież razem z nimi byłyby tam Larkie i ciotka hrabiego Lavinia.

Po głębokim zastanowieniu doszła do wniosku, że to sam czarujący pan hrabia sprawiał, że na myśl o zamieszkanu z nim czuła się nieswojo, choć nie umiała sobie wyjaśnić przyczyn takiego stanu. Nawet jeśli to prawda, że jest największym kobieciarzem w stolicy, było mało prawdopodobne, żeby dybał na jej staropanieńską cnotę. Jej na pewno się nie podobał. Był typem mężczyzny, którego szczególnie nie znosiła - arogant i szowinista, bezwzględnie wykorzystujący kobiety. Swą prawdziwą twarz ukazał pierwszego dnia, gdy pojawił się na progu ich domu, przypomniała sobie. Krzyczał wtedy na nią, jakby była pomywaczką. Nie, pomyślała pogardliwie, nawet najędzniejsza pomywaczka nie zasługiwała na takie traktowanie.

O nie, urok hrabiego i jego przykuwająca wzrok męska uroda nie groziły pannie Hester Blayne.

Skoro już wyjaśniła sobie tę sprawę, rankiem, czwartego dnia po ich pierwszej rozmowie na ten temat, oznajmiła Larkie, że postanowiła przyjąć propozycję lorda Bythorne'a.

- To wspaniale, moja droga - ucieszyła się panna Larkin. - Panna Venable będzie wniebowzięta.

- Mhm - mruknęła Hester. - Mam nadzieję, że nie będzie zbyt rozczarowana odkryciem, że jej bożyszcze jest, niestety, stworzeniem z krwi i kości, niewolnym od ludzkich słabości. W każdym razie - dodała - powóz pana hrabiego przyjedzie tu za kilka dni. Chyba lepiej będzie, jeśli zaczniemy się już pakować.

- Wielkie nieba - rzekła zdumiona panna Larkin. - My? Nie sądziłam... to znaczy, czy ja także mam jechać?

- Ależ oczywiście, Larkie. Jak mogłabym mieszkać w obcym domu bez ciebie, a ty nie zostałabyś tu przecież sama.

- Wielkie nieba - powtórzyła niemal bez tchu panna Larkin. - Wolalabym jednak zostać tutaj. Widzisz, w głębi serca jestem wieśniaczką i w mieście nie czułabym się najlepiej. Nie mam nic przeciwko pozostaniu w domu, zwłaszcza że mam sporo roboty i nie chcę teraz wyjeżdżać. Kto przygotowuje dzieci do parady? Wiesz dobrze, że kościelna wyprzedaż dobroczynna jest także na mojej głowie. Poza tym...

- Och, Larkie, tak mi przykro. Nie chciałam cię dotknąć. Po prostu zdawało mi się...

- Oczywiście, jeśli naprawdę mnie potrzebujesz... - Panna Larkin wyglądała na skonsternowaną.

- Naturalnie, że cię potrzebuję. Bardzo bym chciała, żebyś przy mnie była, ale zdaje się, że ciotka lorda Bythorne'a to bardzo miła osoba, która chyba będzie mi przychylna. Właściwie - ciągnęła Hester uspokajającym tonem - będę spokojniejsza wiedząc, że masz tu wszystko na oku, kiedy wyjadę. Nie podobał mi się pomysł, że dom zostanie pusty na tak długo.

Chwyciła starszą damę za rękę.

- Obiecuj mi, że będziesz do mnie często pisać i opowiadać o wszystkim, co się dzieje we wsi.

- Oczywiście, moja droga. - Panna Larkin cmoknęła ją w policzek. - Trzy miesiące to wcale nie tak długo.

Kilka dni później pod dom zajechała elegancka karetka hrabiego i Hester nie zdziwiła się zbyt, widząc w środku dwoje pasażerów. Pierwsza wysiadła Chloe; właściwie wypadła z powozu tuż po otwarciu drzwi, nie czekając, aż pomoże jej chłopak, który dopiero gramolił się z kozła. Po niej na stopniach karety ukazał się hrabia, poruszający się niespiesznie i z większą godnością.

Chloe padła w ramiona Hester, po czym entuzjastycznie przywitała się z panną Larkin.

- Przepraszam za ten najazd - rzekł Thorne, choć w jego głosie nie było cienia poczucia winy. - Mówiłem pani, że wyślę tylko powóz, lecz kiedy wspomniałem o moim planie Chloe, nie posiadała się z radości i wręcz zmusiła mnie do przyjazdu. Wpadła na genialny pomysł, żebyśmy zjednoczyli siły i w ten sposób zmniejszyli ryzyko, że pani odmówi.

Obdarzył ją jednym ze znanych jej już czarujących uśmiechów, Hester zaś ze złością poczuła na twarzy zdradziecką falę gorąca.

- Chyba jednak - dodał hrabia, ujrawszy niewielki bagaż panny Blayne - niepotrzebnie się niepokoiłiśmy.

Akurat, pomyślała z goryczą Hester. Hrabia na pewno ani przez chwilę nie wątpił, że Hester chwyci zarzuconą przez niego przynętę jak ryba haczyk.

- Och, Hester! - krzyknęła Chloe. - Naprawdę zamieszkaś z nami?

- Nie - odparła szybko. - Bardzo ci dziękuję za to gorące powitanie, moja droga, ale zamierzam zatrzymać się u was tylko na jakiś czas.

- Pewnie, właśnie to miałam na myśli - zgodziła się natychmiast dziewczyna.

- A zatem - powiedział hrabia, zacierając energicznie ręce - jeśli są panie gotowe, możemy jechać.

Nastąpiło kierowane osobiście przez Thorne'a zapakowanie skromnego bagażu Hester do karety, po czym hrabia podał dłoń pannie Blayne, by pomóc jej wsiąść. Chloe wspiąwszy się po stopniach, zajęła miejsce koło niej. Panna Larkin uroniła jeszcze parę łez i udzieliła Hester kilku instrukcji co do ostrożności w wielkim mieście. Wreszcie powóz ruszył z turkotem w kierunku Londynu.

Dom lorda Bythorne'a stał przy Curzon Street. Była to szeroka ulica, wzdłuż której ciągnęły się duże, eleganckie domy należące do ludzi z lepszego towarzystwa. Dom stał w pewnej odległości od ulicy, osłonięty przed wzrokiem przechodniów wysokim murem. Do środka można się było dostać przez dwie bramy znajdujące się po przeciwnych stronach muru okalającego posesję. Kiedy zajechali pod dom, jedna z bram była otwarta, powóz wjechał więc na kręty podjazd. Po chwili hrabia wychylił głowę przez okno i wydał z siebie zduszony jęk.

- Mój Boże, a cóż ona, u diabła, tutaj robi?

Podążając za jego wzrokiem, Hester dostrzegła elegancki powozik stojący pod portykiem od frontu domu. Na drzwiach pojazdu znajdował się herb, ale powozik był pusty - pasażer został już widocznie wpuszczony do domu, a stangret zajął miejsce na koźle i szykował się do odjazdu do stajni.

Hester spojrzała pytająco na Thorne'a.

- Gussie, to znaczy moja ciotka Augusta, lady Bracken. Mieszka w Hampshire. Mogłem się jej spodziewać - dodał z goryczą. - Ciotka zawsze zjawia się bez ostrzeżenia, by stawić czoło sytuacjom, które zwykła określać jako „kryzys w rodzinie”. Dobry Boże! - wykrzyknął, nieruchomiejąc nagle. - Czyżby... - urwał i po chwili głęboko westchnął. - Cóż, i tak nic tu nie poradzimy, lepiej więc wejdźmy do środka.

Nic dziwnego, że słowa hrabiego obudziły w Hester pewien niepokój, ale wspierając się na ramieniu Thorne'a zeszła ze stopni karety z największą godnością, na jaką było ją stać. Drzwi domu otworzyły się na oścież, a na progu stanęła jakaś sroga postać w liberii lokaja. Postać zeszła do nich po schodkach.

- Witaj, Hobarcie - rzekł Thorne. - Zdaje się, że jak grom z jasnego nieba pojawiła się moja ciotka. Jest w środku?

- Tak, milordzie - odparł lokaj, z wyrazem szacunku i pełnego zrozumienia współczucia. - Milady przyjechała jakiś kwadrans temu i teraz pije herbatę z lady Lavinia w złotym pokoju.

Hrabia poznał Hester z Hobartem, po czym sługa pobiegł co tchu do gospodyni, by zanieść wiadomość o przyjeździe pana domu i jego gościa, Thorne zaś z wielką atencją wprowadził pannę Blayne do domu. Przecięli mozaikową posadzkę hallu, z którego wiodły w górę ogromne, wysokie schody, i doszli do drzwi jednej z komnat, które hrabia otworzył.

Na stojącej przed kominkiem kanapie siedziały dwie kobiety: jedna mogła mieć około pięćdziesięciu lat, była niewysokiego wzrostu, a jej siwe włosy ułożone były w bardzo twarzową fryzurę, która doskonale podkreślała jej piękne rysy. Druga z pań musiała być kilka lat młodsza. Była wysoka i szczupła, ubrana według najnowszej mody. Gdy Thorne i Hester weszli do komnaty, wstała. Zbliżywszy się do hrabiego, uniosła z lekceważeniem swe podkreślone ołówkiem brwi.

Thorne najpierw pochylił się, by złożyć pocałunek na policzku starszej damy, a dopiero potem podał dłoń młodszej.

- Gussie - rzeki do niej serdecznie - cóż cię sprowadza do Londynu o tej porze roku? Już myślałem, że darowałaś

sobie tegoroczny sezon.

- Witaj, Bythorne - odparła dama, obdarzając go bladym uśmiechem. - Rzeczywiście mówiłam, że nie zamierzam udzielać się zbytnio w tym sezonie, ale skoro Bracken musiał przyjechać na posiedzenie Parlamentu, zdecydowałam się mu towarzyszyć. Pomyślałam, że będę mogła zajrzeć tu i tam.

- Och, to doskonały pomysł - mruknął Thorne. - Przyjechałaś akurat w porę, pomożesz mi godnie powitać mego gościa. - Zwrócił się do starszej damy. - Ciociu, pozwól przedstawić sobie pannę Hester Blayne. Panno Blayne, oto moja ciotka, lady Lavinia St. John. A to moja ciotka Augusta, lady Bracken. Dzieli nas niewiele lat, dlatego możemy nie bawić się w żadne konwenanse.

Lady Bracken skłoniła po królewsku głowę, ale nie podeszła do Hester.

- Miło mi poznać panią - powiedziała z miną, która wskazywała, że dama musiała przed chwilą zjeść coś niebywale kwaśnego. - Lavinia mówiła mi o pani rychłym przyjeździe. Witamy w domu Bythorne'ów.

Hester nigdy nie dano do zrozumienia w tak widoczny sposób, że jest najmniej pożądaną osobą w towarzystwie, odpowiedziała jednak lekkim dygnięciem.

- Dzwoniłam już na panią Murray - rzekła lady Lavinia z uśmiechem, który jednak niezbyt rozwiał obawy Hester. - Wiem, że pani... ach, oto i ona. - Dama wskazała na kobietę ubraną w tradycyjny strój ochmistrzyni, która właśnie weszła do pokoju.

- Doskonale - odezwała się lady Bracken. - Jestem pewna, że zechce się pani udać do swoich pokoi, by się odrobinę odświeżyć po podróży. Chloe - do podopiecznej swego siostrzeńca zwróciła się ostrzej - sądzę, że też chciałabyś pójść na górę.

Rozkazujący ton jej głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości, lecz Chloe odęta wargi, co nie wróżyło nic dobrego. Hester postąpiła krok naprzód.

- Owszem, chodźmy na górę - powiedziała. - W obcym domu zawsze czuję się tak... tak nieswojo.

Zacisnąwszy usta w wąską kreskę, Chloe odwróciła się i wyszła za ochmistrzynią do hallu. Thorne postanowił im towarzyszyć.

- Być może byłoby jednak lepiej - powiedziała Hester drżącym głosem - gdyby w tym przypadku zasięgnął pan rady rodziny przed Podjęciem decyzji.

- Tak - pisnęła Chloe. - Ciotka Augusta wcale nie musiała być okropna.

- Nonsens - odparł Thorne. Odwrócił się do Hester i dodał: - Zanim pojechaliśmy do Overcross, ciotka Lavinia mówiła mi, że bardzo się cieszy z pani przyjazdu. Gussie zaś... - Zaczepił tchu. - Cóż, Gussie z zasady nie akceptuje planów, co do których nie zasięgano jej opinii. Proszę jednak zostawić ten kłopot mnie. Zanim wyjedzie, dostanie taką burę, że gdy spotka ją pani następnym razem, przyrzekam, cioteczka będzie wcieleniem serdeczności.

- Uśmiechnął się ciepło. - Proszę zejść do nas, kiedy będzie pani gotowa. Mamy sporo rzeczy do omówienia.

Kolejny raz Thorne stwierdził, że uśmiech, który nigdy go nie zawiódł przez całe dorosłe życie i który umiał topić najtwardsze kobiece serca, stracił chyba swą magiczną moc. Panna Blayne przez kilka chwil patrzyła na niego nieodgadzionym wzrokiem, po czym bez słowa skinęła głową. Podążając za Chloe i panią Murray, weszła z kamienną twarzą na schody.

Thorne zawrócił i pomaszzerował pełen gniewu z powrotem do ciotek. Okazało się jednak, że Gussie, doświadczona w postępowaniu ze swym siostrzeńcem, dla którego była bardziej siostrą w czasie, gdy razem dorastali, pierwsza przystąpiła do ataku.

- Bythorne, jak mogłeś? - krzyknęła oskarżycielskim tonem, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. - Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy przeczytałam list od Lavinii i dowiedziałam się, że masz zamiar zaprosić pod swój dach tę wichrzycielkę o wątpliwej sławie.

- Ja tylko wspomniałam o tym w liście, Thorne - usprawiedliwiła się lady Lavinia. - Skąd mogłam wiedzieć, że Augustę tak bardzo to poruszy?

- A jak miało nie poruszyć? Taka wiadomość - gorączkowała się szanowna lady Bracken. - Co cię u licha podkusiło, żeby ją tu zapraszać? Co powiedzą ludzie, gdy odkryją, że jedna z najbardziej gorszących kobiet w Anglii zamieszkała w domu Bythorne'ów?

Thorne zdusił w sobie wybuch złości.

- Gussie, panny Blayne nie można nazywać ani osobą siejącą zgorszenie, ani znaną wichrzycielką. Owszem, dzięki swoim wystąpieniom zdobyła pewien rozgłos, ale to jeszcze nie powód, żeby odsądzać ją od czci i wiary. Poza tym sprowadziłam ją tu, żeby pomogła mi okiełznać Chloe - dodał z prostotą.

- Cóż - obruszyła się lady Bracken. - Jeżeli sprawia ci to tak wielką trudność, chętnie zabiorę ze sobą Chloe do Summerlea.

Thorne uśmiechnął się niewesoło.

- Doskonale wiesz, że ty i Chloe nie znajdujecie wspólnego języka. Pamiętasz, co wydarzyło się na balu u lady Pantron?

Lady Bracken wzdrygnęła się.

- Mimo to, Bythorne - odparła ostrym tonem - zaproszenie w gościnę osoby niższego stanu i przyjmowanie jej z najwyższymi honorami na pewno da powody do...

- Być może jej poglądy wydają się nieco dziwaczne - przerwał jej Thorne - ale nie życzę sobie, żebyś mówiła o niej jak o byle ulicznicy. Panna Blayne pochodzi ze szlacheckiej rodziny.

Lady Bracken rzuciła krótkie spojrzenie lady Lavinii.

- Nie mówiłaś mi o tym.

- Tak - kontynuował Thorne. - Zdaje się, że pochodzi ze Shropshire.

- Doprawdy? - Tym razem brwi lady Bracken podjechały niemal do linii jej włosów. - Blayne'owie ze Shropshire? To jeden z najstarszych rodów szlacheckich w Anglii. Jesteś pewien?

Thorne wzruszył ramionami.

- Sir Barnaba Blayne to jej brat.

- Hm... - mruknęła lady Bracken, zastanawiając się głęboko. - Wprawdzie jest tylko baronetem, ale mimo wszystko... Wątpię, żeby sir Barnaba pozwalał siostrze robić z siebie widowisko.

- Mam wrażenie, że nie ma w tym wypadku wiele do powiedzenia - odrzekł cierpko Thorne.

- Ależ jest głową rodziny.

- Panna Blayne nie przywiązuje do tego zbyt wielkiej wagi. Jest niezależna finansowo od brata i ponad wszelką wątpliwość dorosła. Jeśli będzie miała ochotę, może wykrzykiwać swoje absurdalne teorie choćby z wieży katedry Świętego Pawła.

- Okropność - prychnęła lady Bracken. - W każdym razie jest osobą niezamężną i masz zapewne świadomość, jakie plotki zaczną krążyć na twój temat.

- Na miłość boską, Gussie. Przyjrzałaś się jej? Wygląda jak straszdyło. Te jej czepki! Ubiera się w sukienki, których wstydziliby się nosić najbiedniejsza guwernantka. - Zmilczał jednak, że szczupłe ciało, kryjące się pod tym prostym strojem, było według niego warte bliższego zbadania. - Nie sądzę, żeby towarzystwo mogło wyciągać jakieś niestosowne wnioski na temat jej pobytu w moim domu. Przecież jest tu także ciotka Lavinia i wszelkie podejrzenia o gwałt czy próbę uwiedzenia są, przynajmniej jeśli idzie o mnie, po prostu niedorzeczne.

- Przypuśćmy, że masz rację - przyznała niechętnie lady Bracken - ale czy pomyślałeś o tym, jaki wpływ mogą mieć niebezpieczne teorie panny Blayne na Chloe?

Thorne zaśmiał się.

- Nie uważam, żeby jej teorie były niebezpieczne, Gussie. Gadanie o prawach kobiet to tylko słowa. Jeśli pannę Blayne bawi marnowanie czasu na takie głupstwa, nie widzę w tym nic groźnego. Nawet pozwoliłem jej zapraszać tu swoich przyjaciół, lecz nie boję się, że garstka intelektualistów o mętnej wizji świata mogłaby zagrozić społeczeństwu.

- Ależ, drogi Thorne - wtrąciła ciotka Lavinia, spoglądając na Gussie. - Książki panny Blayne cieszą się dużym powodzeniem, i to nie tylko w Londynie, lecz, jak słyszałam, prawie w całym kraju.

- Cóż... - mruknął hrabia. - Kobieta z brodą, którą pokazują na targu Bartholomew przyciąga mnóstwo widzów, ale nie sądzę, żeby groziło to niepokojem społecznym.

Lady Bracken cicho odchrząknęła.

- Co na to powie Barbara?

- Barbara? - powtórzył Thorne, bacząc, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie. - Wyobrażam sobie, że lady Barbara będzie trochę zdziwiona tą sytuacją, podobnie jak ty, lecz jest osobą inteligentną... a w ogóle co tu ma do rzeczy Barbara?

- Jak to, jej zdanie musi mieć przecież dla ciebie ogromne znaczenie. W końcu ty i ona...

- Gussie - rzekł Thorne miękko. - Zostawmy na razie związki między mną i Barbarą. A teraz posłuchaj, proszę. Panna Blayne jest moim gościem i jeśli koniecznie musisz się we wszystko wtrącać, żądam, żebyś traktowała ją z uprzejmością, jaka należy się każdej wysoko urodzonej młodej damie.

- Skoro tak... - odrzekła lady Bracken, rzucając na siostrzeńca spojrzenie spod swych rzadkich rzęs. - Przynajmniej zgadzasz się, że jej wygląd pozostawia dużo do życzenia. Panna Blayne ubiera się jak córka szmacciarza. Nie mówię, żeby nosiła się zgodnie z najnowszą modą, ale... można przecież ubierać się prosto i zarazem ładnie.

Thorne machnął lekceważąco ręką.

- To już naprawdę nie moja sprawa i chętnie powierzę ją tobie, Gussie, choć niewykluczone, że będzie miała inne zdanie na ten temat.

Hrabia nie mylił się w swych przewidywaniach. Parę minut później Hester zeszła na dół. Thorne miał nadzieję, że zanim panna Blayne ponownie zjawi się w salonie, Gussie opuści już jego dom, ciotka jednak ani myślała wyjeżdżać, a usta się jej nie zamykały.

- O, jest już pani, panno Blayne - mruknęła lady Bracken.

Serce w Hester zamarło. Ona także miała nadzieję, że już dziś nie zobaczy lady Bracken, która robiła wszystko, by ją onieśmielić. Zauważywszy pogardliwe spojrzenie, jakim dama obrzuciła jej szarą, prostą suknię z muślinu, w którą się przebrała, podniosła dumnie głowę i weszła do pokoju.

Po pierwszym spotkaniu z lady Bracken Hester chciała w pierwszym odruchu uciec stąd jak najdalej i nigdy nie wracać. Jakim prawem lord Bythorne pozwalał swej ciotce odnosić się do niej, jakby była kuchcią, która przyszła

starać się o posadę! Jeśli hrabia i jego nieznośna krewniczka sądzili, że jest przyzwyczajona do takiego traktowania, grubo się mylili. W końcu przybyła tu dobrowolnie i nie miała zamiaru pozwalać, by ją obrażano.

Rozmyślając o tym, że złością chodziła w tę i z powrotem po grubym dywanie, którym była wyłożona podłoga sypialni. Wreszcie uspokoiła się na tyle, żeby rozgościć się w swoich pokojach. Do jej dyspozycji oddano salon i sypialnię. Smak, z jakim urządzono obie komnaty, Wskazywał, iż są to najwspanialsze pokoje gościnne w domu. Jej uwagę przykuło zwłaszcza ustawione pod oknem biurko. Było spore jak na oznuary pokoju i wyglądało, jakby zostało tu przeniesione z gabinetu należącego do mężczyzny. Czyżby hrabia kazał je tu wstawić specjalnie dla niej? Otwierając po kolei szuflady, odkryła zatrzęsienie piór, noży do ostrzenia piór, papieru do pisania, suszek, bibuły i kilka buteleczek atramentu.

Nieco udobruchana przeszła do sypialni i usiadła na łóżku, po czym sprawdziła jego sprężystość. Nagle ktoś zastukał delikatnie do drzwi i Hester zerwała się Jak oparzona. W drzwiach ukazała się młodzianka pokojówka z dzbanem wody w ręce.

- Dzień dobry, proszę pani - powiedziała cichym głosem. - Nazywam się Parker i będę pani służącą. Jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko temu - dodała pospiesznie, uśmiechając się nieśmiało.

Hester skinęła przyzwalająco głową, więc Parker zajęła się bagażem uprzednio przyniesionym na górę, na który składało się kartonowe pudło modniarskie i niewielka walizka. Choć dziewczyna zdziwiła się nieco, że gość hrabiego przywiózł ze sobą nie więcej ubrań, niż miała najuboższa służąca w domu, nie dała tego po sobie poznać. Nalała wody do pięknej porcelanowej miednicy, po czym zaczęła układać rzeczy Hester w szafach. Kilka sukien sprawiało dość smutne wrażenie, gdy zawisły we wspaniałej szafie, która zajmowała prawie całą ścianę sypialni. Bieliznę, szale i inne części garderoby Parker włożyła do obszernych szuflad stojącej nieopodal komody, a szczotki i grzebień położyła na eleganckiej palisandrowej toalecie.

Upewniwszy się, że nie będzie już potrzebna, dziewczyna dygnęła wdzięcznie i wyszła, zostawiając Hester samą w wielkim pokoju. Panna Blayne wkrótce stwierdziła, że nie może się tu ukrywać przez resztę dnia, przystąpiła więc energicznie do toalety i upięła włosy najmocniej, jak tylko umiała. Następnie włożyła swój najmniej twarzowy czepek, wzięła głęboki oddech i zeszła po schodach do lorda Bythorne'a i jego ciotek. Gdy weszła do salonu, zdziwił ją wyraz twarzy lady Bracken, która tym razem spojrzała na nią niemal uprzejmie.

- Prosimy do nas, moja droga - rzekła lady Lavinia. - Podano właśnie świeżo parzoną herbatę. Proszę też spróbować tych wyśmienitych biszkopcików, to specjalność naszego kucharza.

Po chwili wahania Hester weszła do pokoju i usiadła na krześle wskazanym jej przez lady Lavinie.

- Zatem - powiedziała lady Bracken, rozpoczynając rozmowę - pochodzi pani z rodu Blayne'ów ze Shropshire. Czy sir Reginald był pani ojcem?

- Tak, milady - odparła Hester, biorąc z jej rąk filiżankę herbaty. - Zmarł kilka lat temu, a tytuł po nim przejął mój brat Barnaba.

- Czy nie ma pani siostry o imieniu Mary?

- Owszem, jest kilka lat starsza ode mnie.

- Tak myślałam. Chodziłyśmy razem do szkoły. - Lady Bracken pokiwała głową, jakby ów fakt miał jakieś ukryte znaczenie.

Hester uśmiechnęła się z grzeczności. Lady Bracken indagowała ją alej.

- Co zamierza pani robić w Londynie?

Hester znieruchomiała. Wielkie nieba, zachowanie tej damy niedwuznacznie wskazywało, że wietrzyła jakiś okropny spisek wymierzony przeciw lordowi Bythorne'owi i jego rodzinie. Zaciśnęła dłonie spoczywające na kolanach.

- Pomyślałam sobie, że na początek zaproszę Towarzystwo na Rzec Obalenia Monarchii, aby organizowało swoje spotkania w tym domu. i

Thorne wybuchnął krótkim śmiechem, a lady Bracken zorientowała się, że palnęła głupstwo.

- Nie miałam zamiaru pani urazić, panno Blayne. Chciałam tylko...

Hester złagodniała. Można było wybaczyć lady Bracken podejrzliwość wobec faktu, iż w domu jej siostrzeńca gości osoba znana z tak radykalnych poglądów. Uśmiechnęła się.

- Proszę wybaczyć mój niewyparzony język, milady. Naprawdę przyjechałam tu po to, by pełnić rolę kogoś w rodzaju damy do towarzystwa dla Chloe. Wydaje mi się, że trochę potrafię ją zrozumieć, i lord Bythorne pomyślał...

- Lord Bythorne pomyślał - przerwał jej hrabia - że pannę Blayne zesłali nam dobrzy bogowie.

Lady Bracken milczała, tylko obrzuciła Hester kolejnym krótkim, acz badawczym spojrzeniem. Po chwili dama odwróciła wzrok i głęboko odetchnęła.

- Cóż, wygląda na to, że nie można sprzeczać się z faktami, lecz... - Spojrzała znacząco na siostrzeńca - co powiemy ludziom?

## 8

O czym im mamy powiedzieć? - spytał zdumiony Thorne.

- Na miły Bóg, Bythorne - odparła zirytowana ciotka. - Nie można sprowadzać do domu obcej kobiety bez słowa

wyjaśnienia. Nawet jeśli jest to kobieta szlachetnie urodzona - dodała pospiesznie - nawet, gdy w domu mieszka czcigodna osoba, która czuwa nad zachowaniem wszelkich form.

- Och, na litość boską! - zawołał z wyrzutem Thorne.

- Pańska ciotka ma rację, milordzie - powiedziała cicho Hester i dwie pary zdumionych, ciemnych oczu zwróciły się na nią. - Jeśli sprowadził mnie pan tutaj, abym pomogła ustatkować się Chloe, musi pan wszystkich przekonać, że moja obecność w domu Bythorne'ów nie wiąże się z niczym niestosownym. Sama już o tym myślałam.

Thorne pstryknął palcami.

- Mówiliśmy Wendoverom, że jest pani moją daleką kuzynką. Moglibyśmy podtrzymać tę wersję.

- To nonsens, Bythorne - wtrąciła jego młodsza ciotka. - Wszyscy w towarzystwie doskonale znają całą twoją rodzinę i taka mistyfikacja rychło wyszłaby na jaw.

- Właściwie... - Na dźwięk tego cichego głosu cała trójka odwróciła się gwałtownie. Lady Lavinia, która nie odezwała się ani słowem, odkąd Hester znalazła się w salonie, teraz odchrząknęła i powiedziała: - Właściwie chyba naprawdę jesteśmy spokrewnieni z panną Blayne.

- Co takiego? - Filizanka zatańczyła z brzękiem w długich palcach lady Bracken. - To niemożliwe - stwierdziła krótko.

- Ależ nic podobnego, moja droga. Tylko pomyśl - odrzekła starsza dama. - Kiedy byłam dzieckiem, często bawiłam się z dziewczynką, która nazywała się Matilda Renfrew. Powiedziano mi, że to moja daleka kuzynka. Później dowiedziałam się, że wyszła za mąż za Matthew Byrda. Ich syn ożenił się z córką pana Mayfielda, którego żona, jestem prawie pewna, była córką niejakiego Christophera Blayne'a.

- To mój krewniak - wyrwało się Hester.

- Widzicie? - Lady Lavinia spojrzała triumfalnie na Gussie i Thorne'a, potrząsając dumnie siwymi włosami.

- Nie jestem pewna, czy to w ogóle rozwiązuje nasz problem - powiedziała lady Bracken. - Połowa szlachty jest w podobny sposób spokrewniona z drugą połową.

Thorne uśmiechnął się szeroko.

- Pozostaje nam więc tylko rozpuścić wieści, że istnieje między nami pokrewieństwo, choć może dość dalekie. To powinno zamknąć usta plotkarzom, a jeśli ktoś będzie tak źle wychowany, by dopytywać się o szczegóły naszych koligacji, po prostu spojrzymy na niego z góry.

- Doprawdy - rzekła kwaśno lady Bracken. - Być może jest to jakiś sposób, ale nie zmienia to faktu, że gościsz pod swym dachem znaną emancypantkę. I pomyśleć, że jestem spokrewniona z Hester Blayne!

Hester głośno wciągnęła powietrze. Bezcelność tej kobiety nie znała granic. Lady Bracken, zauważywszy jej oburzenie, odezwała się do niej:

- Nie chcę pani obrażać i jestem pewna, że nie weźmie pani sobie tego do serca. Musi pani jednak zrozumieć, w jak trudnej sytuacji stawia to osobę o mojej pozycji.

Thorne poczuł ze zdziwieniem nagły przyływ złości.

- Posłuchaj, Gussie - powiedział przebiegle miłym głosem. - W każdej rodzinie zdarza się jakaś czarna owca, ale jestem pewien, że nikt nie będzie nas winił za to, iż wśród naszych krewnych mamy kobietę, która umie używać mózgu do samodzielnego myślenia i która godzi się na zerwanie z rodziną w imię wyższych celów, w które głęboko wierzy.

Hester rzuciła na niego krótkie spojrzenie, by sprawdzić, czy się nie przesłyszała, a lady Bracken zmrużyła oczy.

- Hm, chyba masz rację. Ale - tu wzniosła poważnym gestem rękę w kierunku Hester - może na czas obecności w tym domu mogłaby pani używać innego nazwiska, na przykład panińskiego nazwiska swojej matki. Wydaje mi się...

- Nie! - wybuchnęła Hester. - Bardzo mi przykro, milady, ale nie będę udawać nikogo innego. Jeżeli moja obecność tutaj ma być powodem pani skrępowania wobec jej wysoko urodzonych przyjaciół, z radością wyjadę.

Wstała i skierowała się do drzwi, ale drogę zastąpił jej lord Bythorne, który także porwał się z miejsca. Złapał ją obiema dłońmi za rękę i odwrócił się do swej ciotki, mówiąc ostro:

- Zdaje się, że Jesteś winna pannie Blayne przeprosiny, Gussie.

Lady Bracken patrzyła na Hester spod zmrużonych oczu.

- Mówiłam już, panno Blayne, nie chciałam pani urazić. - Westchnęła głęboko. - Widzę, że nic nie można poradzić. Cóż, w takim razie trzeba będzie jakoś przez to przebrnąć.

Jak na przeprosiny, słowa te pozostawiały wiele do życzenia, lecz Hester sama zaczynała już żałować swej dramatycznej przemowy. W milczeniu schyliła tylko lekko głowę. Potem uwolniwszy rękę z ciepła uścisku hrabiego, wróciła na swoje miejsce.

- Dobrze, przejdźmy zatem do następnej sprawy - zaczęła żywo lady Bracken i zwróciła się do Hester: - Musimy coś zrobić z pani garderobą. Znowu proszę, bez urazy - dodała, widząc zwięzające się oczy Hester. - Chciałam jedynie powiedzieć, że pani stroje, odpowiednie może na głębokiej prowincji, nie będą...

- Overcross jest dwadzieścia mil od Londynu - przerwała jej chłodno Hester. - To nie żadna prowincja.

Lady Bracken zniecierpliwiona machnęła ręką.

- Wszystko jedno. W każdym razie, jeśli będzie pani pokazywać się w towarzystwie, musi się pani nieco ogarnąć.

Hester głęboko wciągnęła powietrze i Thorne mógłby przysiąc, że zobaczył sople lodu na jej wargach.

- Lady Bracken. Nie pragnę wcale bywać na herbatkach u pani wysoko urodzonych przyjaciół. Jestem tu tylko po to, by pomóc lordowi Bythorne'owi w wychowaniu jego podopiecznej, i sądzę, że mogę to uczynić ograniczając swoje pokazywanie się w towarzystwie do minimum.

- Ależ skąd! - zawołała lady Bracken, nie zwracając uwagi na stłumiony chichot swego siostrzeńca. - Jest pani gościem w tym domu i na pewno będzie pani uczestniczyć w życiu towarzyskim lorda Bythorne'a. W przyszłym tygodniu będzie to na przykład kolacja u państwa Werych.

- Nie jestem zaproszona do państwa Werych - odparła Hester, ze wszystkich sił starając się opanować wybuch gniewu. - Nie mam też, zamiaru...

- Och, panno Blayne - wtrącił Thorne głosem drgającym jeszcze od śmiechu. - Za pozwoleniem, życzyłbym sobie, żeby była pani obecna właśnie na kolacji u państwa Werych. Wprawdzie Chloe zgodziła się tam iść, ale nie znaczy to jeszcze, że będzie się rozsądnie zachowywać.

Hester zadrżała z gniewu i upokorzenia. Lord Bythorne otwarcie się z niej wyśmiewał! Jeśli sądził...

- Proszę - rzekł hrabia innym tonem, przyjrawszy się jej uważnie. - Pewnie wydaje się pani, że jesteśmy lekkoduchami. Gussie na pewno nie chciała powiedzieć, że czegoś brakuje pani strojom. - Rzucił ciotce groźne spojrzenie. - My po prostu żyjemy w trochę innym świecie, przyznaję, może odrobinę powierzchownym. Ale przez parę miesięcy będzie pani jego częścią i nie chciałbym, żeby stała się pani obiektem niewybrednej krytyki ze strony mieszkańców naszego świata, równie powierzchownych i fałszywych. Jestem oczywiście gotów - dodał - przyjąć na siebie ciężar, hm, niezbędnej odnowy pani garderoby.

Hester już miała zwymyślać wszystkich obecnych, lecz zreflektowała się. Szczyciła się swym poczuciem sprawiedliwości, a w głosie hrabiego wyczuła szczerą uprzejmość, a także pewną dozę prawdy. Musiała przyznać, że jej suknia nadawała się może na zakupy na wsi albo herbatkę na plebani!, ale w salonie lorda Bythorne'a wyglądała co najmniej niestosownie.

Była zwykłą kobietą. Znana była ze swych płomiennych wystąpień Przeciw szaleńczej pogoni za modą. Z drugiej jednak strony jakaś część Jej kobiecej natury cieszyła się w duchu na myśl o pięknych sukniach - w końcu nosiłaby je tylko przez jakiś czas. Najlepiej, żeby było to coś dyskretnie eleganckiego, w twarzowym kolorze. Może lord Bythorne spojrzałby na nią innym okiem? Oczywiście wcale jej na tym nie zależało, skądże znowu. Z kolei, choć uległa namowom hrabiego i zgodziła się skorzystać z jego hojności w zamian za poświęcenie mu swego czasu, straciłaby do siebie szacunek, gdyby miała mu zawdzięczać swoje stroje.

Z wielką godnością zwróciła się zatem do lady Bracken.

- Przyjmuję pani argumenty, milady, postaram się o bardziej odpowiednią garderobę. Lecz - odwróciła się do hrabiego i spojrzała nań z wyższością - sama potrafię ją zdobyć. Wynagrodzenie, jakie mi pan zaproponował, milordzie, wystarczy mi na to, bym sama kupiła wszystko, czego potrzebuję.

- Och - rzekł tylko Thorne w zakłopotaniu. Przemiana tej zdecydowanie mało urodziwej przedstawicielki stanu staropanieńskiego w kogoś, kto choć trochę przypominałby modną, współczesną kobietę, kosztowałaby dużo więcej niż pięćset funtów. Poza tym nigdy żadna spośród wielu kobiet, jakie znał, nie odrzuciła propozycji podobnej do tej, jaką przed chwilą złożył. - Ależ... - zaczął, ale ciotka natychmiast powstrzymała go gestem i spojrzeniem, z którego odczytał, że lady Bracken wie już, jak pokierować sprawą. Skłonił się więc Hester z przesadną dwornością, przychylając się do jej prośby.

Ustalono, że następnego dnia Hester w towarzystwie lady Bracken uda się do kilku wybranych salonów mody. W tym momencie do towarzystwa zgromadzonego w salonie dołączyła Chloe i rozmowa zeszła na inne, ogólniejsze tematy. Zanim lady Bracken zebrała się do wyjścia, zdążyła już zawrzeć pokój z Hester i obie rozstały się w zgodzie.

Po wyjściu ciotki, Chloe ponownie wyrażając radość z powodu przyjazdu Hester zaofiarowała się oprowadzić ją po domu. Kiedy wyszli z salonu, Thorne chwycił pannę Blayne za łokieć i odciągnął na bok.

- Chciałem wyrazić moją osobistą wdzięczność z pani przyjazdu - rzekł do niej półgłosem.

Trochę zmieszana tym niespodziewanym wyznaniem, Hester mruknęła coś w odpowiedzi.

- Teraz jednak muszę panią opuścić. Prawdopodobnie nie zobaczymy się już dzisiaj, ponieważ jadę do mojego klubu, gdzie zjem kolację. Zanim wyjdę, chciałbym się jeszcze upewnić, czy ma pani wszystko, czego jej potrzeba.

- O tak, milordzie - odparła spokojnie Hester.

- Pomyślałem sobie... - ciągnął hrabia - przyjaciele mówią mi Thorne.

- Ależ...

- Jesteśmy przecież spokrewnieni, myślę więc, że stosowniej będzie, gdy i pani będzie się tak do mnie zwracać. Ja zaś będę mówić pani Hester.

- Nie sądzę...

- Znakomicie. - Posłał jej konspiracyjny uśmiech. - Skoro to już ustaliliśmy, mogę się pożegnać. - Uniósł jej dłoń do ust i musnął koniuszki palców wargami, które były zaskakująco ciepłe i miękkie. Trwało to nie dłużej niż mgnienie oka, lecz Hester podskoczyła, jakby ją ugryzione.

Zirytowana swoją niefortunną reakcją, skłoniła się sztywno.

- Do widzenia, milordzie. Życzę dobrej zabawy

Która na pewno upłynie w jakimś piekielnym miejscu i zakończy się w buduarze oświetlonym dyskretnym blaskiem świec, dokończyła w myśli Hester. Prychnęła pogardliwie. Na szczęście nic a nic jej nie obchodziły. noce rozpuстного lorda.

Kilka dni później Hester stała przed lustrem w sypialni, oglądając z satysfakcją swe odbicie. Po wizytach w mnóstwie sklepów, w których towarzyszyły jej lady Bracken i lady Lavinia i które zdawały się trwać wieczność, jej garderoba wreszcie wzbogaciła się o stroje „do przyjęcia”, a niektóre z nich były wręcz ostatnim krzykiem mody.

Dzisiejszego wieczoru, gdy po raz pierwszy miała wystąpić przed przedstawicielami *beau monde*<sup>\*</sup> na przyjęciu u państwa Werych, Przywdziała jedną ze swych nowych sukni - z jedwabiu w kolorze morelowym i obszytą złotem, na którą zarzuciła lekką narzutkę z kremowej siateczki. Gdy Hester ujrzała ją w salonie mody madame Celeste, była prawie pewna, że cena będzie zbyt wysoka jak na jej Mli możliwości, suknia okazała się jednak zaskakująco niedroga. Podobnie było z innymi sukniami, jakie pokazała madame - po wymianie spojrzeń z lady Bracken panna Blayne uznała, że może sobie na nie pozwolić.

Przyglądała się uważnie swemu odbiciu w lustrze. Ta kreacja była jedną z najbardziej twarzowych, jakie miała w życiu; doszła do takiego wniosku, okręcając się wokół i obserwując ciężkie fałdy materiału wirujące wraz z nią. Parker pięknie upięła jej włosy, na które Hester włożyła lekki koronkowy czepek z jedwabnymi wstążkami, które zawiązała pod uchem. Służąca protestowała przeciw temu dodatkowi, ale Hester postawiła na swoim.

- Chcę jasno określić moje intencje, Parker. Nie chciałabym, by ktokolwiek pomyślał, że przyjechałam do Londynu, aby znaleźć męża.

- Jestem pewna, że nikt nie będzie tak myślał, proszę pani, ale jest pani za młoda, żeby nosić czepki. A w ogóle - dodała po namyśle, gdyż od początku zawiązała się między nimi nić sympatii - czy to by było złe, gdyby pani szukała męża?

- Chyba nie - roześmiała się Hester. - Ale zostawiam innym te łowy.

Poprawiając ostatni raz koronkowy przedmiot sporu, podziękowała Parker za pomoc i zeszła do salonu.

Zastała w nim tylko jedną osobę. Był to sam gospodarz, który stał przed kominkiem, niedbale oparty o marmurową półkę ponad nim. Jego skromny strój wieczorowy składał się z tradycyjnego, ciemnego surduta, hartowanej kamizelki oraz jasnych, atlasowych bryczesów, lecz hrabiego otaczała niezwykła aura drapieżnej męskości, która, zdaniem Hester, niewątpliwie działała jak magnes na niektóre serca niewieście.

- Dobry wieczór, Hester - rzekł.

- Dobry wieczór, milordzie - odpowiedziała, kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowo.

- Och, myślałem, że zgodziliśmy się mówić sobie po imieniu.

Mówiąc to, przywołał na twarz słynny uśmiech, który sprawił, W Thorne jeszcze bardziej upodobnił się do drapieżnika na łowach.

Na Boga, miałem rację, pomyślał hrabia. W takim stroju panna Blayne wyglądała nawet atrakcyjnie. Nie bardzo pięknie, ale atrakcyjnie. Jedwab sukni podkreślał łagodnym łukiem każde zaokrąglenie jej ciała, niezwykle miłe dla oka. Wrażenie psuł jednak ten śmieszny czepek. Czyżby uważała, że to wystarczy, aby ją ochronić przed zakusami samotnych nikczemników, których zamiary były zazwyczaj niedwuznaczne? Thorne zastanawiał się, jakie jeszcze tajemnice kryją się pod tą jedwabną suknią. Może śpi tam przyczajona namiętność, która tylko czeka, by ktoś ją wyzwolił? Westchnął. Niestety, to nie jego dotyk wyswobodzi ukryte żądze, jeśli istotnie takie drzemią w tym cieple. Nie miał zamiaru flirtować z tą szlachetnie urodzoną damą, która gościła pod jego dachem. Cóż, każde z nich miało w końcu swoje zasady.

- To pan zdecydował się mówić mi po imieniu - szlachetnie urodzona dama miała wyjątkowo ostry głos. - Moim zdaniem daleko nam do takiej poufałości.

W odpowiedzi Thorne tylko się uśmiechnął.

- Zobaczysz, moja droga Hester, jaki jestem uparty. Kiedy...

- Hester! - usłyszał nagle. Do salonu weszła właśnie ciotka Lavinia. - Wyglądasz po prostu wspaniale, moja droga. Chodź, pokaż no się bliżej.

Hester z uśmiechem wykonała piruet przed starszą damą.

- Dziękuję, ciociu Lavinio. Czuję się w tej sukni równie doskonale i zawdzięczam to dobremu gustowi cioci.

Thorne uniósł w zdumieniu brwi. Najwyraźniej jego ciotka nie miała żadnych kłopotów w osiągnięciu takiego stopnia poufałości z jego gościem, by mówić doń po imieniu. Istotnie, w bardzo krótkim czasie, jaki Hester spędziła w domu Bythorne'ów, obie panie stały się dobrymi przyjaciółkami. Ucieszyło to hrabiego, ponieważ w dalszym ciągu czuł się trochę winien, że wyciągnął ciotkę Lavinie z Bythorne Park do zgiełku miasta. Długo mieszkała w posiadłości i Thorne był pewien, że ciotce bardzo brakuje wsi. Potrzebowała więc kogoś takiego jak Hester - miłej, towarzyskiej kobiety, która mogła uprzyjemnić jej pobyt w stolicy.

Po chwili w pokoju pojawiła się Chloe, ubrana w suknię z białej satyny i swą ulubioną, różową narzutkę. Jej loki

<sup>\*</sup> *beau monde* (franc.) - elegancki świat, wyższe sfery



spowijał wianek z pączków róż i miała lekko zaróżowione policzki. Jeśli John Wery istotnie mówił z nią tylko o uprawie roli i hodowli owiec, pomyślał Thorne, to ów szanowny młodzieniec rzeczywiście musi być ostatnim durniem. Być może sam powinien porozmawiać z nim i doradzić mu, jak zdobyć serce swej damy.

- Chciałam włożyć swoje perły - mówiła Chloe do Hester - ale Pinkham powiada: „Młodość to klejnot sam w sobie”. Zawsze tak mówi. Osobiście uważam, że czasem młodości można pomóc. Co myślicie? Hester, ciociu Lavinio?

Obie panie zaśmiały się.

- Chyba jednak Pinkham ma rację - rzekła Hester. - Wyglądasz jak pierwsze barwy wiosny.

- Tak jest, wyglądasz doskonale - zgodziła się lady Lavinia.

- Dziękuję. Hester, ty też wyglądasz cudownie - zawołała Chloe. - Kto by pomyślał, że ciotka Augusta ma taką rękę do twarzowych strojów. W tej sukni wyglądasz o wiele lat... - urwała, przysłaniając usta urękawiczoną dłonią.

Hester wybuchnęła śmiechem.

- Nic nie szkodzi, moja droga Chloe. Zważywszy na mój wiek, doceniam ten komplement.

- Chciałam tylko powiedzieć - płątała się zmieszana Chloe - że wyglądasz pięknie. Prawda, wuju? - Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Rzeczywiście - odparł z całą powagą Thorne. - Obie będziecie najbardziej olśniewającymi młodymi damami tego wieczoru.

Hester nie dała się zwieść, ponieważ w oczach hrabiego dojrzała coś na kształt kpiny i to utwierdziło ją w przekonaniu, że komplement był bardzo dwuznaczny.

Jej podejrzenia potwierdziły się, gdy zajechali do domu przy Grosvenor Street, który wynajmowali państwo Wery. Kiedy weszli do przestronnego salonu, okazało się, że poza nią i Chloe w pokoju nie było żadnej kobiety, która nie miałaby skończonych pięćdziesięciu lat. Lady Wery, niska i gadatliwa dama, której pulchna figura nie wyglądała najlepiej w sukni o modnym obecnie kroju - z wysoką talią i bufiastymi rękawami - witała wylewnie wszystkich gości, stojąc u szczytu schodów prowadzących na piętro.

- Lordzie Bythorne, bardzo nam miło widzieć pana i lady Lavinie. I oczywiście drogą lady Bracken. Cieszę się, że nas państwo zaszczylili. - Po chwili dodała z nutką ironii i odrobinę figlarnie: - Przykro mi, że lady Barbara miała na dziś wieczór inne plany. Gdyby przyszła, mielibyśmy przyjęcie w gronie rodzinnym, prawda?

Hester nastawiła uszu. Lady Barbara? Nikt jej nie mówił o lady Barbarze. Czyżby jakaś krewna? Sądząc z tonu lady Wery, raczej nie. Może więc dopiero miała zostać członkiem rodziny? Lord Bythorne, zdeklarowany libertyn, w potrzasku małżeńskich sideł? Obraz doprawdy zaskakujący, ale nawet najbardziej zatwardziały kawaler musi ulec naciskom tradycji, zwłaszcza jeśli jest szlachcicem, którego zadaniem jest przedłużenie rodu.

Za lady Wery stał jej mąż, sir George, rozdzielający uśmiechy, równie korpulentny jak małżonka i podobnie jak ona rad hrabiemu i jego towarzyszkom.

Lady Wery przywitała się z Hester uprzejmie, choć nie bez oznak zdziwienia, po czym przedstawiła ją starszym damom, które stały najbliżej. Jedna z nich, niejaka pani Fenton, wyraziła wielką radość z powodu poznania kuzynki lorda Bythorne'a, co prawda dalekiej, lecz wydawało się, że jakaś myśl nie dawała jej spokoju.

- Czy myśmy się już gdzieś nie spotkały, panno Blayne? Nie pamiętam wprawdzie pani twarzy, ale nazwisko wydaje mi się znajome.

Ku zdumieniu Hester głos zabrała Augusta.

- Oczywiście, droga Horacjo, że znasz to nazwisko. Hester Blayne to znana emancypantka. Być może czytałaś jej książki albo byłaś na jakimś odczycie. Cieszy się dużym powodzeniem. Bracken i ja prawie błagaliśmy ją, by zgodziła się zatrzymać u nas, gdy przyjedzie do Londynu, ale nasz dom jest niewielki, a podczas pobytu w mieście Hester planuje zapraszać swoich przyjaciół. W przyszłym tygodniu na przykład zaprosiła na kolację lorda Ormesby. Chyba słyszałaś jego mowę w Izbie w zeszłym tygodniu; występował w obronie funduszy na edukację ubogich dziewcząt.

Pani Fenton otworzyła usta, ale natychmiast odzyskała równowagę i wyjąkała:

- T-tak, oczywiście. To dla mnie wielki zaszczyt, panno Blayne.

Hester, która także nie posiadała się ze zdumienia po tej przemowie, zdołała przywołać na twarz słaby uśmiech i wymamrotać coś w odpowiedzi. Popatrzyła na Augustę i dojrzała sardoniczny uśmieszek, który zaraz ustąpił miejsca wyrazowi pogodnej łaskawości.

Kiedy wieczór miał się już ku końcowi i towarzystwo wracało do domu, jadąc słabo oświetlonymi ulicami, Hester pomyślała, że dosyć bezboleśnie przeszła tę próbę. Traktowano ją z wielką uprzejmością, choć przez całą kolację spoglądano na nią ukradkiem z podejrzliwością i pewnym zdumieniem. Kilku gości państwa Wery odważyło się spróbować wciągnąć ją w dyskusję o sytuacji kobiet w królestwie, ale mieli tak niewielką wiedzę na ten temat, że Hester powstrzymała się od wygłaszania zdecydowanych sądów. Na wszystkie pytania odpowiadała z chłodną uprzejmością, którą skutecznie broniła się przed bardziej osobistymi pytaniami, jakie najwyraźniej chciały zadawać obecne przy stole damy.

Chloe zachowywała się nadzwyczaj poprawnie. W czasie kolacji siedziała obok Johna Wery'ego. Ów niewinny, szczupły młodzieniec o ciemnych włosach i wyrazistych brązowych oczach był uprzedzająco grzecznym i ku

rozbawieniu Hester oboje młodzi podczas posiłku wyglądali, jakby byli w najlepszej komitywie. Mówiła głównie Chloe i Hester zauważyła, że spora część jej rozmowy z niedoszłym narzeczoną dostarcza mu powodów do głębokich przemyśleń. Kilka uwag, jakie poczyniła dziewczyna, wprawiło go w prawdziwe osłupienie i odpowiadał dopiero po dobrej chwili. Stopniowo młodzieniec milki coraz bardziej i tylko wpatrywał się w Chloe w zamyśleniu.

W trakcie całego wieczoru Hester prawie nie widziała lorda Bythorne'a. Raz czy dwa, gdy podniosła oczy i spostrzegła hrabiego stojącego po przeciwnej stronie pokoju, spotykała utkwiony w sobie jego wzrok. Innym razem czuła jego spojrzenie tak dojmująco, jakby podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. W każdej chwili instynktownie wiedziała, gdzie jest hrabia, czy gawędził z kimś w pobliżu drzwi, czy też rozgrywał partyjkę kart przy stole. Ten fakt rozżłościł ją i zapragnęła zerwać te niewidzialne i niewytłumaczalne więzy łączące ją z lordem.

Teraz ona spojrzała na niego ukradkiem. Jego twarz oświetlana od czasu do czasu blaskiem lichtarzy, stojących przy każdym drzwiach, wydała się niezwykle ponura. Chociaż nie odpowiedział spojrzeniem, czuła, że zdaje sobie sprawę z jej badawczego wzroku i szybko odwróciła oczy.

Jakież to myśli kryją się za tymi przenikliwymi brązowymi oczyma - myślał Thorne. Uśmiechnął się lekko. Z pewnością Hester Blayne była osobą oryginalną. Spotykał już wcześniej przedstawicielki tego specyficznego rodzaju - uparte kobiety, które naprawę wszelkiego zła na świecie uznały za swoją misję. Wszystkie były przeraźliwie nudne ze swoimi kategorycznymi żądaniami i bezsensownymi nadziejami. Hester była zupełnie inną odmianą tego gatunku. Swoje racje umiała wyłożyć bardzo spokojnie i racjonalnie, a argumenty przeciwników zbijała w sposób logiczny i - co dziwniejsze - uprzejmy. Thorne doszedł rozbawiony do wniosku, że Hester potrafi dyskutować jak mężczyzna, choć pewnie nie byłaby mu wdzięczna za to porównanie.

Odwiózłszy lady Bracken do jej londyńskiego domu, pojechali na Curzon Street, gdzie całe towarzystwo wyspało się z powozu. Chloe i lady Lavinia ziewnęły i oświadczyły, że idą spać. Hester zamierzała iść w ich ślady, ale zanim weszła na schody, zatrzymał ją hrabia.

Ujął jej dłonie i podniósł do ust.

- Dziękuję - rzekł tylko.

Podniosła na niego zdumione oczy.

- Za co, milordzie?

- Za miły wieczór, który mógł skończyć się mękami piekielnymi. Chloe była dziś zupełnie inną osobą.

Hester roześmiała się i spróbowała delikatnie wyswobodzić dłonie z jego uścisku. Hrabia chwycił mocniej jej ręce.

- Rozmawiała całkiem normalnie z młodym Johnem - ciągnął. - Chyba pierwszy raz odbyli prawdziwą rozmowę. Nie wiem, jakich czarów pani użyła, ale błagam, by dalej miały nad nią moc.

- To nonsens, milordzie. - Hester stwierdziła, że ma niewielkie trudności z oddychaniem. - Po prostu przekonałam Chloe, że dla własnego dobra powinna zachowywać się jak osoba dorosła. Teraz, jeśli Pan pozwoli... robi się już późno i...

Jeszcze raz spróbowała się wywinąć i umknąć na schody, lecz hrabia ani myślał jej na to pozwolić.

- Hester, jeśli mamy w oczach świata uchodzić za kuzynów, myślę, że powinnaś mówić mi Thorne. Inaczej ludzie uznają nas za dziwną rodzinę.

- Nie sądzę...

Uśmiechnął się delikatnie.

- Mówiłem już, że jestem uparty. Wierz mi, będzie znacznie prościej, jeśli spełnisz tę skromną prośbę.

- Ależ... - rzekła rozdrażniona. - No dobrze, Thorne. Mogę już iść?

- Nigdy nie sprzeciwiam się woli damy.

Zanim ją puścił, nachylił się i dotknął ustami jej urękawiczonej dłoni. Hester wykrztusiła tylko:

- Dobranoc mi... Thorne. - Odwróciła się na pięcie i pomknęła na górę, czując się jak pensjonarka, która coś przeskrobała.

## 9

W swoim pokoju Hester znalazła Chloe, która czekała na nią siedząc z podwiniętymi nogami na pokrytym aksamitem krześle obok kominka. Dziewczyna rozplotła włosy i w zamyśleniu przesuwiała po nich palcami, pozwalając im opaść swobodnie na twarz.

- Bardzo dobrze się dzisiaj bawiłam - oświadczyła z prostotą. - A ty?

- Ja? Cóż, można powiedzieć, że dla mnie był to pouczający wieczór - odrzekła Hester, a kąciki jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

- Byłaś wspaniała - zapewniła ją z przekonaniem Chloe. - Och, Hester, zrobiłam dokładnie tak, jak mi radziłaś, to znaczy z panem Werym, i podziękuję! Kiedy tylko zaczął mówić o swoim majątku, ja zaczynałam mówić o twojej książce, o *Apologii*. Usta mi się nie zamykały!

- Zauważyłam jego osłupiałą minę w czasie kolacji.

Chloe zaśmiała się gardłowo.

- O tak. Patrzył na mnie, jakby mi nagle wyrosła druga głowa.

- Próbował się z tobą sprzeczać?  
- Właściwie to nie. Chyba był zbyt zaskoczony, żeby w ogóle myśleć o tym, co mówiłam. Chociaż, gdy sobie przypomnę, zadał parę nawet inteligentnych pytań.

Hester uśmiechnęła się szeroko.

- Zdumiewasz mnie.

- Naprawdę. Przypomniał mi, że w kraju wielu mężczyzn nie ma praw wyborczych, i dziwił się, że nie zatroszczymy się najpierw o ich prawo do głosu, zanim zaczniemy się martwić o kobiety. Zrobił na mnie duże wrażenie, bo nie wiedziałam, że ma tyle wiadomości na ten temat.

- Doprawdy? - mruknęła Hester.

- Tak. A potem zaczął mi opowiadać o tym, co robi w swoim majątku, żeby poprawić byt robotnikom. Nie miałam pojęcia, że zajmuje się takimi rzeczami. Hester, on założył szkoły dla dzieci - i to dla chłopców i dziewczynek!

- To rzeczywiście jest już coś. Może pan Wery wcale nie jest takim złym kandydatem na męża. - Hester spojrzała ciekawie na Chloe, chcąc sprawdzić, jaką reakcję wywołały jej słowa.

- Być może, gdybym zamierzała wyjść za męża. Ale na pewno nie chcę - odparła stanowczo. - Chociaż ma całkiem miły uśmiech, nie sądzisz? A dziś nawet sprawił mi komplementy na temat mojego wyglądu!

- Nie może być! - zdumiała się Hester. - Jest więc dla niego pewna nadzieja.

- Może i jest, ale zamierzam trzymać się naszego planu. Na pewno go zaskoczyłam dziś wieczór, mimo tego, co mówił.

Patrząc na zawziętość, jaka odmalowała się na twarzyczce Chloe, i na jej figlarnie roziskrzone oczy, Hester pomyślała sobie, że dziewczyna mimo woli przyczyniła się do tego, iż pan Wery zaczynał doceniać młode, zagorzałe emancypantki.

- Przypomniałam sobie - powiedziała ostrożnie Hester, wracając do tematu, który nurtował ją przez większą część wieczoru - że lady Wery wspominała o jakiejś lady Barbarze. Kilka innych osób też o niej mówiło, dziwiąc się, że nie było jej na przyjęciu. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Czy to ktoś z rodziny? Może powinnam wiedzieć, skoro mam uchodzić za krewną lorda Bythorne'a?

Zadała to pytanie od niechcenia i Chloe odpowiedziała jej równie lekkim tonem.

- Ależ naprawdę jesteś jego krewną.

- Owszem, ale...

- Lady Barbara? To lady Barbara Freemantle, córka księcia Weymouth. Między nią i wujem Thorne'em jest, hm, jakiś rodzaj milczącego porozumienia. Moim zdaniem, bardziej z jej strony, ale zdaje się, że wuj Thorne też za nią przepada. Oczywiście, sama się o to od dawna starała. Barbara to naprawdę smaczny kęs i przez długi czas nie mogła się opędzić od konkurentów do swej ręki, ale odrzucała wszystkie oświadczenia. Chyba czekała, aż oświadczy się wuj Thorne, bo był najważniejszym z jej adoratorów. On jednak mawia, że dżentelmenowi nie przystoi małżeństwo, a przynajmniej do pewnego czasu, więc coś się w ich stosunkach popsło. - Dziewczyna zachichotała. - Kiedy ciotka Augusta przyjeżdża do Londynu, zawsze robi wszystko, żeby ich do siebie zbliżyć, bo uważa lady Barbarę za doskonałą partię dla wuja, ale on jest sprytniejszy. Pokazuje się z nią przy różnych okazjach i nie robi nic więcej, by, jak powiada, złożyć się w ofierze na ołtarzu obowiązku wobec rodziny. A przez cały ten czas ugania się za dziewczętami po całym mieście. - Ściągnęła znacząco różowe usta. - Naturalnie, nie wolno mi o tym nic wiedzieć.

Zasłoniła dłonią usta, by powstrzymać potężne ziewnięcie, i niedługo potem poszła do swojej sypialni. Hester także postanowiła udać się na spoczynek, ale nie chciała fatygować Parker i sama dokonała niezbędnej toalety. Czowała się dziwnie niespokojna. Miała wrażenie, że dobrze się dziś sprawiła. Dzięki niespodziewanej pomocy lady Bracken udało jej się przetrwać pierwsze zetknięcie z wyższymi sferami, które widziały w niej jedynie wicherzycielkę. Spróbowała delektować się swoim małym triumfem, lecz jej myśli mimo woli wracały do sceny, jaka rozegrała się niedawno u stóp schodów.

Spojrzała z roztargnieniem na swoje ręce. Zdawało jej się, że wciąż widnieje na nich piętno, jakie odcisnęły wargi hrabiego - ich ciepły dotyk sprawił, że poczuła falę gorąca przepływającą przez całe ciało. Otrząsnęła się. Co się z nią dzieje, na Boga? Zachowywała się jak Pensjonarka, która odchodzi od zmysłów na widok dwojga ciemnych oczu i uśmiechu. Na litość boską, przecież ten mężczyzna życzył jej tylko dobrej nocy, nic więcej.

Chyba jednak coś więcej. W życzliwym spojrzeniu, które wzbudziło w niej tak wielki popłoch, krył się pewien sygnał. Choć brzmiało to niewiarygodnie, jednak ów mężczyzna flirtował z nią. Hester usiadła przy toalecie i uwolniwszy włosy od fryzury, do której nie nawykły, poczęła je czesać, cały czas przypatrując się swemu odbiciu. Mówiła sobie, że nie jest to twarz kobiety, do jakiej umizgałby się taki człowiek jak hrabia Bythorne. Dlaczego więc posyłał jej swój zniewalający uśmiech? I dlaczego, pomyślała, tak żywo i wbrew swej woli ulegała jego czarowi?

Chwyciła szczotkę i ze złością zaczęła rozczesywać włosy, niszcząc najmniejsze ślady misternie ułożonych loków. Zwinęła je na czubku głowy i spięła, po czym włożyła nocny czepki i wsunęła się do łóżka. To jasne, pomyślała krzywiąc się, hrabia Bythorne miał naturę uwodziciela i to ona kazała mu flirtować z każdą napotkaną

kobietą. Był to odruch, taki sam jak zmruczenie oczu przy nagłym zbliżeniu nieznanego przedmiotu.

Jeśli zaś chodzi o jej mimowolną reakcję, być może również był to jakiś odruch - pierwotny, zwierzęcy instynkt, który nieoczekiwanie dawał o sobie znać w najmniej stosownych momentach. Była w końcu istotą ludzką i trudno było oczekiwać, by pozostała obojętna wobec atrakcyjnego mężczyzny, zwłaszcza gdy był bardzo blisko.

Wzruszyła ramionami. Oczywiście, więcej to się nie powtórzy. Odtąd będzie już mieć baczenie na instynkty Thorne'a - i swoje własne. Zdmuchnęła zdecydowanie świecę na nocnym stoliku i wtuliła twarz w poduszkę. Jednak gdy już wpadała w miękką otchłań snu, gdzieś w głowie kołatało jej pytanie: kim była Barbara Freemantle i jaką władzę posiadała nad nieuchwytnym lordem Bythorne'em.

Kilka dni później, wróciwszy pewnego popołudnia z meczu, jaki odbył się w Sali Bokserskiej Jacksona, Thorne ze zdziwieniem zastał w swym salonie jakiegoś obcego dżentelmena.

- Niejaki pan Bentham - poinformował go szeptem Hobart, biorąc od swego pana kapelusz i laseczkę. - Przyszedł zobaczyć się z panną Blayne.

Kiedy Thorne wszedł do pokoju, dżentelmen wstał bez pośpiechu i zbliżył się do niego dostojnym krokiem. Był wysoki i szczupły, miał jasne włosy, które układały się miękką falą ponad jego wąską twarzą. Ubrany był starannie, zgodnie z najnowszą modą: miał na sobie letni surdut z najlepszego materiału i obcisłe, jasnoszare spodnie, które nosił z naturalnym wdziękiem i skromnością.

- Ach - rzekł nieznanomy tonem, w którym brzmiała ostrożna serdeczność. - Zapewne mam przyjemność z lordem Bythorne'em? Jestem Trevor Bentham. Przyjechałem, by...

- Trevor! - przerwał mu głos od drzwi. - Jak miło cię widzieć!

Hester podbiegła do nich i Thorne zdumiał się jeszcze bardziej, gdy pozwoliła się uścisnąć nieznanemu panu Benthamowi i sama pocałowała go w policzek; tak jawne okazywanie entuzjazmu hrabia uznał za niesmaczne.

- Poznałeś już lorda Bythorne'a? - spytała panna Blayne.

- Właśnie się sobie przedstawialiśmy - odparł Thorne. Podniósł pytająco brwi. - Zdaje się, że jesteście starymi przyjaciółmi.

- O tak. - Hester dotknęła ramienia pana Benthama. - Trevor i ja znamy się od lat. Mój wydawca, John Thompson, to jego dobry znajomy i kiedy pisałam swoją pierwszą książkę, *Apologię*, Trevor okazał mi wielką pomoc. Zredagował całą książkę i dat mi wiele cennych rad.

Uśmiechnęła się do niego, ukazując wdzięczne dołeczki w policzkach, a pan Bentham odpowiedział jej uśmiechem pełnym skromności.

Thorne zadzwonił na służącą, by podała herbatę. Hester wskazała gościowi kanapę i usiadła obok niego, zostawiając Thorne'owi krzesło stojące nieco dalej.

- Mieszka pan w Londynie? - zapytał hrabia.

- Tak - odrzekł pan Bentham. - Mieszkam z matką przy Queen Ann Street, niedaleko Cavendish Square.

Thorne uznał, że to bardzo szanowana, jeśli nie najmodniejsza dzielnica.

- Przypuszczam, że dawno nie widział pan Hester.

Pan Bentham uniósł lekko brwi, trochę zaskoczony, że hrabia mówi o panie Blayne tak familiarnie, ale nie dał tego po sobie poznać i odparł:

- To prawda. Zdrowie mojej matki nie pozwala mi opuszczać na długo domu, tak więc ostatni raz widzieliśmy się z Hester w czasie jednej z jej krótkich wizyt w stolicy.

Nacisk, z jakim Bentham wymówił jej imię, nie uszedł uwagi hrabiego, uśmiechnął się więc w duchu. Czyżby poruszył czułą strunę? Ciekawe, jak bliskie związki łączą Hester z Trevorem Benthame? Jego myśli przerwał głos Benthama.

- Bardzo nas ucieszyła wiadomość, że Hester przyjeżdża na trochę dłużej. Wszyscy jej przyjaciele będą uradowani. - Rzucił przelotne spojrzenie na Thorne'a i przeniósł je na Hester. - Nie wiedziałem, że znałaś już wcześniej lorda Bythorne'a - rzekł.

- Nie wiedział pan, że jesteśmy kuzynami? - spytał niewinnie hrabia. Na widok niedowierzania Benthama, ciągnął lekkim tonem. - Oczywiście, jest to pokrewieństwo dość dalekie, ale matka Hester i moja były w wielkiej przyjaźni, a my bawiliśmy się jako dzieci. - Zignorował syk Hester. - Po prostu odnowiliśmy stare związki, kiedy moja podopieczna wyznała mi, że jest wielbicielką talentu Hester. Gorąco poparłem jej pomysł, by zaprosić Hester na dłuższy pobyt w Londynie, a gdy zaproszenie zostało przyjęte, wszyscy byliśmy niezmiernie szczęśliwi. Szkoda tylko, że nie ma w domu Chloe i cioci Lavinii.

W tym momencie do salonu wkroczył Hobart w towarzystwie lokaja, który niósł ogromną tacę z herbatą i ciasteczkami. Postawił ostrożnie swoje brzemię na stoliku przed Hester, która odruchowo przejęła rolę gospodyni i zaczęła nalewać herbatę do filiżanek. Gdy zamierzała poczęstować nią Thorne'a, ten wymówił się grzecznie.

- Jestem pewien, że macie sobie dużo do powiedzenia po tak długim czasie, moja droga, a na mnie czeka jeszcze sporo spraw, których muszę dopilnować. Zostawiam was zatem. Miło było pana poznać.

Wstał i pożegnawszy się, wyszedł. Hester odniosła wrażenie, że wraz z jego odejściem zniknęło coś, co nadawało salonowi niepowtarzalny nastrój. Mimo swej elegancji pokój wyglądał teraz bezbarwnie i nieprzyjaźnie.

Otrząsnęła się, odsuwając od siebie te niemądre myśli, i zwróciła się do Trevora:

- Opowiedz mi teraz, co nowego u was. Czy pan Fenwick napisał już swoją rozprawę? Czy...

- Nigdy mi nie mówiłaś, że jesteś krewną hrabiego Bythorne'a - przerwał jej Trevor. Natychmiast zawstydził się swego nietaktu. - To znaczy, przyznaję, że jestem nieco zaskoczony, widząc cię w takim, hm, zbyt kownym otoczeniu. Muszę powiedzieć, że ta sytuacja wygląda trochę niestosownie, i dziwię się, że przyjeżdżasz do Londynu, w ogóle mnie o tym nie zawiadamiając. Gdybym wiedział o twoim przyjeździe, mama i ja zaprosilibyśmy cię, byś zatrzymała się u nas.

Hester poczuła przyływ złości. O ile bardzo lubiła i szanowała Trevora, nie podobała się jej sztywna formalność, z jaką zawsze ją traktował. Od dawna dawał jej do zrozumienia, że chciałby, aby łączyło ich coś więcej niż przyjaźń; kilka lat temu nawet otwarcie się oświadczył. Odmówiła mu wówczas stanowczo, choć bardzo uprzejmie - może nie dość stanowczo albo nazbyt uprzejmie, gdyż widocznie potraktował to jako przejaw młodzieńczych wahań. Chociaż nigdy później nie ponowił swej propozycji, nie zaprzestał swych starań, jakby niedługo mieli się zaręczyć.

Hester podniosła dumnie głowę.

- Nie czuję się w obowiązku zasięgać twoich rad, Trevorze, nie rozumiem też, na jakiej podstawie oceniasz moje postępowanie jako niestosowne. W każdym razie jesteś w błędzie. Przyzwoitości w tym domu strzeże ciotka Thorne'a i... o co chodzi? - spytała nagle, spostrzegłszy, że Trevor zmarszczył z dezaprobatą czoło i spojrział na nią surowo.

- Zauważyłem, że ma czelność zwracać się do ciebie po imieniu, omal nie zwróciłem mu uwagi. Nie sądziłem jednak, że również jesteś z nim na ty. - Prychnął z oburzeniem. Złość Hester ustąpiła miejsca wybuchowi serdecznego śmiechu, na dźwięk którego Trevor jeszcze bardziej zeszywniał, tak że można go było wynieść z salonu jak bezwonną kłodę.

- Przepraszam cię, Trevorze - powiedziała, krztusząc się od śmiechu, którego nie mogła opanować. - Ale to, co mówisz, jest po prostu śmieszne. Lord Bythorne jest wielce szanowanym człowiekiem.

Trevor parsknął.

- Przynajmniej jeśli idzie o jego rodzinę - poprawiła Hester. - A to jego dom rodzinny, na litość boską. Nie mieszkam tu z nim sama, jest przecież ciotka i jego przybrana siostrzenica. Jest także lady Bracken, druga ciotka hrabiego, najbardziej niewzruszona ostoja przyzwoitości, jaką znam. Nie mieszka wprawdzie w domu, ale bardzo często tu bywa i powitała mnie bardzo łaskawie.

Przy ostatnich słowach ugryzła się w język, lecz dalej patrzyła na niego z wyrzutem, jednak nie pozbawionym wesołości.

Trevor, postanawiając widocznie przezornie się wycofać, westchnął urażony.

- Niepotrzebnie się unosisz, moja droga. Chciałem tylko wyrazić swoją troskę. Wydaje mi się, że jesteśmy kimś więcej niż tylko przyjaciółmi, i dlatego uważam, że mam do tego prawo.

Śmiech zamarł jej na ustach, jak nożem uciął. Odezwała się ostrożnie:

- Doceniam twoją troskę, Trevorze, ale jest ona równie niepotrzebna jak nieuzasadniona. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Musimy się zgodzić, że się nie zgadzamy, gdy idzie o tę sprawę. Opowiedz wreszcie, co u pana Fenwicka.

Trevor ściągnął usta i przez chwilę wydawało się, że chce ciągnąć tę dyskusję, ale po chwili zastanowienia porzucił tę myśl i uśmiechnął się ze smutkiem i rezygnacją.

- Nie, nie skończył jeszcze swej pracy. Kiedy widziałem go po raz ostatni, właśnie postanowił porzucić swoje dzieło o porównaniu poezji Pindara i Owidiusza na rzecz krytyki dramatów Ajschylosa. Ogromnie się zapalił do tego nowego projektu, czym, jak nietrudno zrozumieć, wytrącił z równowagi pannę Yelping.

Hester w lot pojęła, o czym mówił Trevor. Pan Jasper Fenwick i panna Henrietta Yelping byli członkami grupy dyskusyjnej, do której należeli także Hester i Trevor. Od lat w niczym się nie zgadzali i parę lat temu, by udowodnić wyższość swego intelektu, panna Yelping zaczęła interesować się twórczością dramaturga starożytnej Grecji. Pan Fenwick poszedł w jej ślady i zajął się Ajschylosem, a to oznaczało otwartą wojnę.

Gdy rozmawiali o tych postaciach, przed oczyma Hester stanęły kłótnie i słabostki innych ludzi z ich towarzystwa i w jednej chwili poczuła, że jest u siebie. Należała do tych ludzi, była częścią świata, w którym najważniejsze były żarliwe intelektualne dyskusje o najbardziej ezoterycznych kwestiach. Tylko na chwilę pozwoliła lordowi Bythorne'owi wciągnąć się na jego towarzyską orbitę, ale była tam jedynie przelotną kometą na rozgwieżdżonym firmamencie. Za niecałe trzy miesiące miała powrócić do swego cichego zakątka, miała też przyjaciół, którzy nie pozwolą zapomnieć o jej miejscu w życiu.

Posłała Trevorowi promienny uśmiech, który dzentelmenowi niemal zaparł dech w piersiach.

- Tak, wyobrażam sobie, jak wściekła musiała być panna Yelping. Ale pani Mayville chyba jak zwykle dzielnie ją wspiera?

Rozmawiali jeszcze przez parę minut i kiedy nadeszła pora, gdy popołudniowa wizyta byłaby już niestosowna, Trevor podniósł się.

- Muszę już iść - powiedział z żalem i złożył czuły pocałunek na jej policzku. - Proszę, odwiedź nas. Mama na

pewno bardzo się ucieszy.

Mrucząc coś w odpowiedzi, Hester odprowadziła gościa do drzwi, obiecując mu, że na pewno przyjdzie na następne spotkanie grupy, które miało się odbyć w przyszłym tygodniu w domu jednego z jej członków.

Ledwie tylko zamknęła drzwi za Trevorem, spostrzegła hrabiego, który zbiegał lekkim krokiem po schodach, u stóp których czekał na niego Hobart z płaszczem, kapeluszem i laską.

- Milord... Thorne, czyżbyś nas opuszczał? - spytała.

- Owszem. Jestem umówiony na kolację u White'a, a potem na karty.

A później na bardziej intymne spotkanie, pomyślała Hester mimo woli.

- Mogłabym prosić o chwilkę rozmowy, zanim wyjdiesz? - zapytała spokojnie.

- Naturalnie, moja droga, jestem do usług - odrzekł uprzejmie i wskazał jej złotą salę, do której prowadziły drzwi prosto z hallu.

- Słucham - powiedział łaskawie, wszedłszy za nią do pokoju. W jego ciemnych oczach zamigotały iskierki rozbawienia, które wydało się jej niestosowne, i poczuła, że rumieni się ze złości.

- Nie jestem twoją drogą - rzekła cierpkim tonem. - Poza tym po co była ta historia o naszych matkach? Najlepsze przyjaciółki i my, dzieci bawiące się pod ich okiem. Zdziwiłabym się, gdyby twoja matka w ogóle wiedziała o istnieniu żony jakiegoś skromnego baroneta ze Shropshire.

- Ja także byłbym zaskoczony - odparł chłodno - i będę pierwszym, który przyzna, że cała historia to jedno wielkie oszustwo. No dobrze, nałgałem mu w oczy, ale w dobrej wierze, chyba się ze mną zgodzisz? Nie chcielibyśmy, żeby Trevor doszedł do jakichś błędnych wniosków, prawda?

- Milordzie...

- Thorne.

- Dobrze, Thorne, nie potrzebuje twej wątpliwej pomocy, żeby rozproszyć niepokój Trevora.

- Ależ twoja reputacja, Hester. - Thorne szeroko otworzył oczy. - Jesteś przecież moją kuzynką i muszę dbać o twoje dobre imię.

- Moja reputacja nie potrzebuje takiej ochrony - odrzekła ostro. - Nawet gdybyśmy mieszkali w tym domu sami, bez przyzwoitki, wystarczyłoby, żebym tylko ja wiedziała, że między nami nie ma nic zdroźnego. I nic mnie nie obchodzi, co inni sobie pomyślą!

- Ach!

Hester wstrzymała oddech, bowiem w oczach Thorne'a znów pojawił się tamten diabelski błysk.

- Naprawdę nic zdroźnego?

Nastąpiła chwila pełnej grozy ciszy, w której Hester po prostu patrzyła na Thorne'a. Hrabia podniósł rękę i zsunął z jej włosów czepek. Straciła oddech i chwyciła się za głowę obiema rękami, ale było już za późno. Jednym szybkim ruchem Thorne wsunął palce w kok. Szpilki poleciały na dywan, a ciężkie sploty włosów rozsypały się na jego rękach i opadły jej na ramiona.

Hester wydała cichy okrzyk, lecz hrabia nie zważał na protesty.

- Tak jedwabiste, jak przypuszczałem - rzekł głosem niemal zadumanym. - W dotyku przypominają trochę futro sobolowe, które trzymałem w rękach kiedyś w dzieciństwie.

Przeżrana Hester próbowała go odepchnąć, ale jego ręce ześliznęły się na jej ramiona, nie przestając gładzić kaskady włosów, które spływały teraz w nieładzie. Popatrzyła mu w oczy i natychmiast pożałowała tego kroku, gdyż poczuła, że tonie w jego spojrzeniu, które hipnotyzowało ją, wciągało niczym potężny wir. Poglądził delikatnie jej policzek, a potem pochylił się i Hester poczuła na swych wargach jego usta. Płomień ogarnął ją od stóp do głów i zrozumiała, że jest w rękach mistrza. Ciepło jego warg i wprawa, z jaką całował, przejęły ją lękiem, że jeśli za chwilę nie przestanie, nogi odmówią jej posłuszeństwa i osunie się w jego ramiona.

Ale hrabia nie przestawał. Oderwał usta od jej warg, by dotknąć nimi przymkniętych oczu, potem poczuła pocałunek na brodzie, później niżej - rozkoszny dreszcz przeszedł wzdłuż szyi. Po chwili Thorne wrócił do ust i koniuszkiem języka zmusił ją, by je rozchyliła. Kiedy poznawał ich smak, Hester usłyszała własny zduszony jęk. Zmusiła się, by go odepchnąć, a gdy nie zareagował, pchnęła go silniej. Wreszcie bardzo powoli puścił ją.

Hester, drżąc na całym ciele, odetchnęła głęboko i z energią, o jaką się nawet nie podejrzewała, zaczęła doprowadzać do ładu włosy.

- Cóż - powiedziała normalnym głosem, ciesząc się w duchu, że prawie nie słysząc jej przyspieszonego oddechu.

- Świetnie to robisz, Thorne. - Starła się mówić tonem, jakim dorośli strofują niegrzecznego chłopca, który zajrzał do zakazanej szafki. - Nie twierdzę, że było to nieprzyjemne, ale bez znaczenia. Proszę, nie próbuj tego więcej robić, bo będę zmuszona podjąć odpowiednie kroki.

Gdyby chlusnęła mu w twarz zimną wodą, Thorne nie byłby bardziej zaskoczony. Odsunął się od niej o krok i przez kilka chwil patrzył na nią w osłupieniu. Potem odwrócił się na pięcie i opuścił pospiesznie pokój. Po chwili Hester usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych.

## 10

Hester, błagam - dyszała lady Bracken. - To dzisiaj chyba dziesiąta księgarnia. Jeśli nie mają tej twojej nieszczęsnej książki nawet u Hatcharda, to znaczy, że nie znajdziemy jej już nigdzie.

Hester spojrzała na nią z poczuciem winy.

- Och, Gussie, przepraszam cię! Po całym dniu zakupów każę ci jeszcze biegać ze mną po mieście w poszukiwaniu jakiejś książki. Musisz być do cna wyczerpana. Chodź, odpoczniemy w tej małej herbaciarni po drugiej stronie ulicy.

Gussie z wdzięcznością przystała na tę propozycję i wkrótce obie panie siedziały naprzeciw siebie przy niewielkim stoliku. Hester rozbawiona przyglądała się starszej pani. Dwa tygodnie, jakie upłynęły od przyjazdu Hester do domu Bythorne'ów, znacznie zmieniły stosunek damy do panny Blayne. Zwłaszcza od przyjęcia u państwa Werych zaczęła odnosić się do gościa swego siostrzeńca ze zdecydowaną sympatią. Pewnego dnia sama ją poprosiła, by zwracała się do niej tym specyficznym zdrobnieniem, którego wolno było używać jedynie siostrzeńcowi, mężowi, niewielkiej liczbie krewnych i starym, naprawdę bardzo starym przyjaciółom. Wysłuchiwała uważnie Hester, gdy mówiła o swoich przekonaniach, po czym przyznała, że czytała nawet krótkie urywki z *Apologii*. Zdaniem Hester to, że Gussie poparła z entuzjazmem niektóre z jej radykalnych poglądów, było całkiem naturalne, ponieważ Augusta, lady Bracken, na pewno należała do kobiet, które miały większe ambicje niż spędzić całe życie w cieniu męża.

- Jakiej książki szukasz? - spytała Gussie, gdy kelner postawił przed nią filiżankę parującego płynu.

- To zbiór przemówień, jakie pan Wilburforce wygłaszał w Parlamencie, nie tylko na temat handlu niewolnikami.

- Ach, tak. Ale przecież zniesiono już handel niewolnikami.

- Zgadza się, szukam jednak w nich argumentów, którymi mogłabym poprzeć swoje własne mowy o tym, że wielu obywateli naszego kraju żyje jak niewolnicy. Ich panowie każą im pracować po wiele godzin w fabrykach za pieniądze, które nie wystarczają nawet na jedzenie i przyodziewek. Czy wiesz, Gussie, że przeciętny robotnik w Anglii...

- Lady Bracken! - rozległ się melodyjny głos. - Byłam pewna, że to ty. Dowiedziałam się, że jesteś w mieście.

- Barbara! - zawołała radośnie Gussie, odwróciwszy się na swym krześle. - Jak cudownie znów cię spotkać. Prosimy do nas.

Hester zwróciła się w stronę, z której dobiegał głos, i ujrzała jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widziała. Kosmyki złotych włosów wymykały się spod uroczego kapelusza w wiejskim stylu, a jego błękitne wstążki idealnie pasowały do jej oczu barwy spokojnego lazuru. Miała prosty nos i pełne, kształtne usta, których kąciki były lekko uniesione, co nadawało uśmiechowi wyjątkowe ciepło. Zjawiskowa postać usiadła przy stoliku Hester i Gussie z szelestem jedwabnej sukni.

- Mogę z wami posiedzieć tylko chwileczkę - powiedziała. - Jestem tu z Sally Merton i jej ciotką. - Wskazała im dwie damy, które uśmiechnęły się i pomachały do nich.

- Pozwól przedstawić sobie moją... kuzynkę, Hester Blayne - rzekła Gussie. - Hester, pozwól, to lady Barbara Freemantle, droga Przyjaciółka naszej rodziny. Tak - dodała na widok pytającego spojrzenia lady Barbary - zapewne spotkałaś się już z tym nazwiskiem, jeśli tylko słyszałaś o ruchu feministycznym.

- Ależ oczywiście - odparła lady Barbara. - Ogromnie się cieszę, Panno Blayne, że mogę panią poznać. Musi pani wiedzieć, że jestem gorzałą wielbicielką pani twórczości.

- Naprawdę? - Hester nie dowierzała własnym uszom.

- Tak. Kupiłam pani Apofogię, kiedy się tylko ukazała, i całkiem niedawno byłam na pani odczycie w Gloucester. Zrobiła pani na mnie wielkie wrażenie, nie tylko treścią swego wystąpienia, ale odwagą, z jaką głosi pani swoje przekonania.

Hester, która zrazu poczuła do lady Barbary zupełnie bezpodstawną antypatię, teraz, jak łatwo się domyślić, znacznie złagodziła swój pochopny sąd o niej.

- Miło mi to słyszeć, lady Barbaro. A czy pani nigdy nie myślała, by samej wystąpić publicznie? Ktoś z pani pozycją...

Lady Barbara roześmiała się.

- Och, nie. Niestety, nie ma we mnie krztyny hartu ducha. Gdy ktoś pyta mnie o zdanie, oczywiście wyrażam je, ale na co dzień staram się nie wychylać ponad innych. Wolę szydełkowanie, pielęgnowanie ogrodu i podobne zajęcia, którym od czasu do czasu się poświęcam. Mieszka pani teraz w Londynie, panno Blayne? Wydawało mi się, że przedtem mieszkała pani dość daleko od stolicy.

Gussie niezwłocznie przedstawiła lady Barbarze nieco okrojoną wersję historii przyjazdu Hester do domu Bythorne'ów.

- Ach, tak. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona z pobytu w mieście. - Lady Barbara wstała. - Muszę iść, widzę, że Sally i lady Bilkham są już gotowe. Zobaczymy się na balu u Debenhama? - zwróciła się do Gussie.

- O, tak. Myślę, że będzie tam całe mrowie ludzi - odparła ze śmiechem Gussie. - Będzie także Thorne. Może przyszedłbyś wcześniej do nas na kolację?

- Z radością, wieki już nie widziałam Thorne'a. - Zniżyła głos, a w jej oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. - Słyszałam, jeśli wierzyć plotkom, że ostatnio był bardzo zajęty. Podobno niesłychanie zagustował w tancerkach.

Wyszła, wdzięcznie kiwając im na pożegnanie ręką. Hester spojrzała zdziwiona na Gussie.

- Zdaje się, że lady Barbara nie bardzo przejmuje się tymi tancerkami Thorne'a - powiedziała. Natychmiast

jednak zarumieniła się. - Och, przepraszam. Nie powinnam się wtrącać, ale Chloe mówiła mi...

- Tak, to prawda - odparła szybko Gussie. - Barbara i Thorne pozostają w przyjaźni od lat, ale ona jest po prostu realistką. Doskonale wie, że te jego słabostki nie mają żadnego związku z nią. Oczywiście Thorne nigdy nie zamierzałby się żenić z żadną z tych swoich *chères amies*. - Pochyliła się ku niej w zaufaniu. - W moim przekonaniu Barbara chce w ten sposób dać mu do zrozumienia, że nie będzie się wtrącać do jego życia, dopóki się nie pobiorą.

- To... to bardzo osobliwe - powiedziała słabym głosem Hester.

- Ach, nie - odparła żywo Gussie. - To bez wątpienia powszechny zwyczaj.

Hester zamilkła. Zastanawiała się nad tym, co powiedziała Gussie. Dobry Boże, jak to możliwe, że lady Barbara nie czuła cienia zazdrości i tak spokojnie patrzyła na to, co wyprawia Thorne, jeżeli naprawdę miał zamiar się z nią ożenić? Gdyby to ona spotkała mężczyznę, który okazałby się godzien miłości i którego zamierzałaby poślubić, byłaby załamana wobec takiej pogardy dla jej uczuć. Byłaby gotowa wydrapać oczy jemu i każdej jego kochance.

Popijając herbatę, przypomniała sobie wczorajsze zdarzenie w złotej sali domu Bythorne'ów. Wspomnienie dotyku Thorne'a było wciąż żywe. Na ustach ciągle czuła ciepło jego warg. Oczywiście, powinna była się bronić. Hrabia uważa ją pewnie teraz za ostatnią rozpustnicę. Teraz mogła myśleć tylko o tym, jak ukryć przeszywające na wskroś wrażenie, jakiego doznała, gdy dotknął jej twarzy. Wolałaby raczej umrzeć w mękach niż przyznać się przed Thorne'em jak bardzo ją pociąga. Był to pociąg czysto fizyczny, ale nie miało to znaczenia. Nie wstydziła się swych cielesnych instynktów - były przecież częścią natury ludzkiej - lecz nie miała zamiaru im ulegać.

Jeśli zaś chodzi o Thorne'a, to pomimo jego zniewalającego magnetyzmu wciąż nie lubiła go jako człowieka. Owszem, potrafił być zabawny, ale Jego urok był częścią arsenału typowego uwodziciela i nie mógł jej zwieść. O nie, ani jego oczy iskrzące się humorem, ani czarny kosmyk włosów niesformnie opadający na czoło nie mogły złamać jej serca. Nie była naiwną Panienką i wiedziała, że jeden płomienny pocałunek nie oznacza związku na całe życie. Zresztą wcale nie o to jej chodziło - zwłaszcza z mężczyzną, który nie dorastał jej do pięt - o nie, piękne dzięki.

Mimo to zrobiło się jej przykro, gdy uświadomiła sobie, że wszystkie te moralnie budujące rozważania mają charakter czysto teoretyczny. Myśl, iż hrabia Bythorne mógłby poważnie zainteresować się zwykłą młodą kobietą o nieszczególniej urodzie była doprawdy zabawna. Istotnie, od wczorajszego zdarzenia zachowywał się wobec niej z rezerwą, traktując ją niemal jak powietrze.

Prychnęła z pogardą. Jak to dobrze, że opinia lorda Bythorne'a znaczy dla niej tyle co nic. Mniej niż nic.

Zanim skończyły z Gussie herbatę i zasiadły w powozie, by wyruszyć w drogę powrotną do domu, Hester poczuła, że odzyskała już władzę nad dalszym rozwojem wypadków - do tego stopnia, że kiedy spotkały Thorne'a, który właśnie zajechał pod dom swoją kariolką, potrafiła przywitać się z nim zachowując zimną krew.

Jego lordowskiej mości obcy był jednak jej spokój. Gdy ujrzał Hester wysiadającą z powozu jego ciotki, w pierwszym odruchu chciał do niej podbiec, złapać ją za ramiona i mocno potrząsnąć, tak aby ten głupi czepek wpadł do rynsztoka. Doświadczenie nauczyło go, że może spodziewać się różnych reakcji na swoje pocałunki, ale nigdy, nawet podczas swych pierwszych młodzieńczych kontaktów z płcią przeciwną, jeszcze podczas studiów w Oksfordzie, nie spotkał się z tak całkowitą obojętnością ze strony kobiety. „Świetnie to robisz!”, na mity Bóg, zupełnie jakby guwernantka chwaliła niezbyt pojętnego ucznia za to, że udało mu się odrobić zadanie bez większych błędów.

Za kogo ona się, u diabła, uważa, ta stara panna, która tak niewiele znaczy; zwykła, szara kobietka z niedorzecznymi poglądami? Zapraagnął zabawić się z sawantką - i dostał za swoje. Co go, na litość boską, podkusiło, żeby zanurzyć ręce w jej jedwabiste włosy, a potem wziąć ją w ramiona i skraść pocałunek, od którego krew w nim zawrzała?

Bowiem szczerze mówiąc, ta niewinna stara panna potwierdziła wszystkie jego domysły. Pod tym czepkiem i purytańską miną tlił się prawdziwy ogień, który drżał niecierpliwie, by ktoś rozdmuchał zeń pożar namiętności. Hrabia wyraźnie czuł brak oporu z jej strony i już zamierzał uciec się do wszystkich zręcznych sztuczek, jakie znał, by bez tchu poddała się jego woli, gdy nagle go odepchnęła. Do diabła, przecież sama przyznała, że pocałunek sprawił jej przyjemność, ale to samo mogłaby powiedzieć o kremie truskawkowym, który podano na deser!

Lekcja nie poszła na marne. Nie będzie więcej flirtów z panną Przemądrzalską. W Londynie mieszkało mnóstwo kobiet, które z radością otworzą dla hrabiego Bythorne'a swoje ramiona i drzwi buduarów. Nie będzie marnował czasu i poświęcał uwagi osobom w rodzaju Hester Blayne i ich demoralizującym teoriom o miejscu kobiety we współczesnym świecie.

Hrabia zbliżył się do pań, które kierowały się w stronę domu. Hester przystanąła na jego widok i przechyliła na bok głowę, obserwując go spod kapelusza. Jej brązowe oczy były szeroko otwarte i błyszczące: przywiodły mu na myśl lisicę, na którą natknął się kiedyś w dzieciństwie za kurnikiem swego wuja - ona także miała w oczach tę samą niewinność, a cała była w kurzych piórach. Nagle Thorne roześmiał się i kiedy po chwili dołączyła do niego, poczuł dziwną ulgę.

- Nie, nie będę nawet wchodzić - mówiła Gussie. - Za niecałe pół godziny mam umówioną wizytę u monsieur LaCosse'a. Myślę o zmianie dyżury - dotknęła swych loków. - Mam nadzieję, że doradzi mi coś odpowiedniego.



Ucałowała w policzek Hester, hrabiemu machnęła niedbale ręką i wsiadła do powozu, który po chwili wyjechał z turkotem na Curzon Street.

Po wejściu do domu Hester pospiesznie skierowała się w stronę schodów, lecz Thorne zatrzymał ją, łapiąc po prostu za nadgarstek.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli można - rzekł prawie nieśmiało.

- O, nie - odparła Hester. - To znaczy, muszę jeszcze...

- To potrwa tylko chwilę. - Nie czekając na odpowiedź, wprowadził Hester do biblioteki, gdzie posadził ją w eleganckim, pokrytym Jedwabiem fotelu w słomkowym kolorze, sam zasiadł na wyściełanym krześle z wysokim oparciem i założywszy nogę na nogę, przyglądał się W badawczo. Kiedy pytająco uniosła brwi, zaśmiał się odrobinę skrzepowany. - Zastanawiałem się, jakich czarów użyłaś, żeby zmienić Russie w jedną ze swych najbardziej zagorzałych wielbicielek. Sądziłem, że będzie cię traktować z chłodną uprzejmością, ona tymczasem przyjęła cię do rodziny z otwartymi ramionami. A Chloe? Boże, nie poznaję jej ostatnio. Odkąd jesteś tutaj, ani razu nie wdała się ze mną w żadną sprzeczkę. Uchyl rąbka tajemnicy, jak ty to robisz?

Hester dojrzała płomień tańczący na dnie jego smolistych oczu. Po chwili, jak zwykle w takich razach, hrabia uraczył ją swym uśmiechem, co wprawiło ją w niepokój i przyspieszyło oddech. Jednak poczuła znaczną ulgę usłyszawszy, iż Thorne nie przyprowadził jej tu, by rozmawiać na temat wczorajszego zajścia. Zarumieniła się.

- Jeśli Gussie okazuje mi pewne względy, jestem pewna, że to z powodu mojej siostry. Mówiła mi, że ona i Mary były w szkole najserdeczniejszymi przyjaciółkami. Co do Chloe, cóż, po prostu przekonałam ją, że dla własnego dobra powinna lepiej traktować pana Wery'ego.

- Hmm. - Thorne uśmiechnął się niepewnie. - Nie byłbym tego taki pewien. Chciałbym wierzyć, że nie planuje żadnej nowej diabelskiej sztuczki.

- Tak naprawdę to rzeczywiście, planuje, ale chyba na koniec zrozumie, że postąpiłaby wbrew sobie. Jestem przekonana, że małżeństwo jest dla Chloe najlepszym rozwiązaniem, a panu Wery'emu trzeba dać szansę przekonania jej, że nie ma lepszego od niego kandydata na męża.

- To wszystko brzmi bardzo tajemniczo, ale nie będę się wtrącał do twych planów.

- Dziękuję za zaufanie. - Hester skinęła mu głową niemal protekcjonalnie.

- Doskonale. - Thorne rozłożył ręce. - Przyznam, że niewiele tu mam do powiedzenia. Dopóki przyświeca nam ten sam cel co do przyszłości Chloe, zaakceptuję każdy twój krok.

Hester ponownie kiwnęła głową, ale przezornie nie powiedziała mc.

- To niedobrze - rzekła po chwili - że nie miałaś nikogo pośród swoich najbliższych, kogo mogłaś prosić o pomoc, kiedy zjawiła się tu Chloe. To znaczy - dodała widząc, że Thorne zastygł w bezruchu - Gussie musi wychować swoje dzieci. - Zawahała się przez chwilę. - Gdyby tu była twoja matka...

Przerwała zdziwiona, bowiem Thorne wybuchnął sarkastycznym śmiechem.

- Moja matka! Dobry Boże, nie znalazłbym gorszego wzoru dla młodej dziewczyny, która właśnie wkracza w dorosłość.

- Ale... ale była przecież taka piękna - powiedziała zaskoczona Hester, myśląc o kobiecie z portretu. - Miała taki ciepły uśmiech.

- Och, doprawdy? - Thorne skrzywił z goryczą usta. - Spytaj o niego tych wszystkich mężczyzn w Londynie, do których uśmiechała się z bardzo, bardzo bliska.

- Och! - Hester zaniemówiła na mgnienie oka. - Nie chciałam...

Thorne wzruszył ramionami.

- Nie powinienem być dla niej taki surowy. W końcu była tym, kim była.

Hester nie wiedziała, co odpowiedzieć na zawartą w jego słowach sugestię. Zauważywszy jej zmieszanie, uśmiechnął się ze znużeniem.

- Nie należysz do wielkiego świata, Hester, i powinnaś się z tego cieszyć. Zawsze roił się, i nadal się roi, od kobiet w rodzaju mojej matki. Chociaż - dodał z namysłem i Hester zmroził jego matowy ton - niewiele z nich może się szcycić takim powodzeniem jak mama. Umiała przyciągać miłość, wręcz się jej domagała, i nikt, od kogo jej żądała, nie potrafił odmówić. Nie mówię tylko o mężczyznach. Wszyscy: mężczyźni, kobiety, dzieci musieli ulec temu ujmującemu uśmiechowi, nieodpartemu urokowi, który mówił: Jestem wyjątkowa. Jestem samym ciepłem. Będę pokarmem twojej duszy!" - Spojrzał w dal przed siebie i Hester doznała wrażenia, że Thorne patrzy na małego chłopca, który tyle lat temu szukał matczynego ciepła i którego miłość nigdy nie została odwzajemniona. - Moim zdaniem jednak nie należy się dziwić, że mama szukała podziwu w oczach innych mężczyzn. Wprawdzie ojciec przez pewien czas składał należne jej hołdy, ale on również pochodził z tego świata i z natury nie umiał być wierny jednej kobiecie zbyt długo. Nie potrafił jednak zachować takiej dyskrecji jak mama, gdy wplątał się w jakiś nowy związek. Tak, tych dwoje było ucieleśnieniem stylu całego *beau monde*.

- Och! - wyrwało się znów Hester, po czym, ku jej konsternacji, głos uwiązał jej w gardle. Thorne spojrział na nią i zaśmiał się. Był to najbardziej ponury dźwięk, jaki Hester kiedykolwiek słyszała.

- Moja droga, niepotrzebnie się tym tak bardzo przejmujesz. Trzeba przyznać, że istotnie bardzo przeżyłem odkrycie istnienia pierwszego kochanka, potem następnego, a po nim całej armii. Doszło nawet do tego, że dość

dotkliwie pobitem młodego Weatherby'ego Minora już w pierwszym tygodniu w Eton, ponieważ bez przerwy naigrawał się ze mnie z tego powodu, a dzieci potrafią być bardzo okrutne. Później miałem już spokój. A poza tym to było tak dawno. - Nagle wstał i głęboko odetchnął. - Musisz mi wybaczyć. Sam nie wiem, dlaczego w ogóle zacząłem mówić o moich przejściach z dzieciństwa. Zapewniam cię, że nie mam zwyczaju wracać do tamtych spraw.

Hester ze zdumieniem poczuła, że jej dłonie odruchowo się zaciskają. Boże drogi, jak nieczułą trzeba być istotą, aby odwrócić się od czystej, bezinteresownej miłości małego chłopca, który w końcu musiał się zmienić w skrzywdzonego mężczyznę, stojącego teraz przed nią. Z zamyślenia wyrwał ją jego głos.

- Bal u Debenhama? - spytała z roztargnieniem, zaskoczona tak nagłą zmianą tematu. - A, tak. Gussie wspominała o nim coś dziś po południu. Nie, to lady Barbara - Barbara Freemantle.

Oczy Thorne'a rozbliły, a Hester natychmiast poczuła ścisnięcie serca, które bardzo ją zirykowało.

- Barbara! Nie wiedziałem, że się poznałyście.

Hester streściła mu zatem przebieg dzisiejszego spotkania z lady Barbarą.

- Cudownie! - zawołał Thorne. - Sam chciałem was poznać ze sobą, ponieważ wiedziałem, że na pewno przypadniecie sobie do gustu. Cieszę się, że Gussie zaprosiła ją na kolację. Możemy potem wspólnie pójść na bal.

Hester uśmiechnęła się potakująco, zdecydowana wymówić się migreną od wyjścia owego wieczoru. Już wcześniej zdawała sobie sprawę, że podczas pobytu w domostwie lorda Bythorne'a będzie mało ważną osobą, lecz perspektywa publicznego wystąpienia w cieniu wspaniałej lady Barbary Freemantle wydawała się przesadą. Nie, tego wieczoru musi pozostać w bezpiecznym ukryciu swego pokoju. Powinna w końcu spędzić trochę czasu na jakimś pożytecznym zajęciu. Przez te wszystkie wizyty i sprawunki z Gussie bardzo zaniedbała pracę nad książką. Tak, zajmie się pisaniem i w ten sposób odwróci swoją uwagę od obecności lady Barbary w domu Thorne'a i w jego życiu.

Niestety, nie dane jej było wprowadzić w czyn tych szczytnych postanowień. Kolacja w domu Bythorne'ów, która w planach Gussie miała być bardzo skromna, przerodziła się w okazałe przyjęcie, w którym Hester musiała uczestniczyć od samego początku. Po sporządzeniu listy gości, na której ku zdumieniu Hester pojawił się sam książę Yorku. (- Och, tak - potwierdziła z zapalem Gussie, gdy Hester spytała o to zduszonym głosem - książę przyjaźni się z Bracknem od dziecka, a dla swych starych przyjaciół jest zawsze łaskawy), Gussie przeszła do arcyważnego pytania: co na siebie włożyć.

- Gdyby to był tylko bal, mogłabyś włożyć po prostu tamtą suknię z błękitnego jedwabiu, a ja moją z rosyjskiego atłasu. Ale przecież to proszona kolacja! Cóż, nie ma rady, musimy jechać do madame Celeste i znaleźć coś odpowiedniego.

- Nie, nie wydaje mi się... - zaczęła Hester.

- Nonsens, moja droga. Żadna z rzeczy, jakie ostatnio kupiłaś, nie jest stosowna na naprawdę wielki wieczór.

- Gussie, od kiedy przyjechałam do Londynu, niemal bez przerwy jestem na zakupach, a wcale nie miałam zamiaru brać udziału w życiu towarzyskim. Nie widzę więc potrzeby...

- Hester - odezwała się z okropną powagą i godnością Gussie - jeżeli znów zamierzasz zamęczać mnie tyradą o prostej kobiecie z ludu, będę zmuszona czymś cię uderzyć. Zgodziłyśmy się na samym początku, że jesteś członkiem rodziny? Nie możesz więc siedzieć przy piecu, kiedy twoje złe przyrodnie siostry czy kuzyni i kuzynki, albo ktoś inny z rodziny bawią się na balach i przyjęciach. Co sobie ludzie pomyślą? Tylko mi znowu nie mów, że nie obchodzi cię zdanie innych ludzi. Otóż weźmiesz udział w przyjęciu, pójdziesz na bal i - odrzuciła w tył głowę, jakby patrzyła na nią taksującym wzrokiem - oczarujesz wszystkich.

Tak więc kilka dni później Hester stała przed lustrem w swej sypialni i z niekłamanym zdumieniem wpatrywała się w swoje odbicie.

Parker spędziła mnóstwo czasu, układając jej fryzurę, która wyglądała jak wzięta prosto z ilustracji z „La Belle Assemblee”. Mimo jej głośnych protestów, zabroniono Hester włożyć czepek i wezwano monsieur LaCosse'a, któremu dano absolutnie wolną rękę w twórczych poczynaniach dotyczących jej mahoniowych loków. Zaatakował je przy użyciu grzebieni, szczotek i najstraszliwszej broni - nożyczek. W wyniku tych działań na głowie Hester pojawił się niewielki koczek, z którego wiły się lśniące pukle włosów, łącząc się ponad szyją. Efekt, jaki dała ta koafiura, musiał mieć zdaniem Hester wiele wspólnego z prawdziwą magią. Jej oczy stały się bowiem większe, a szyja wydawała się po prostu łabędzia.

Strój Hester, który składał się z cieniutkiej sukni barwy kwiatu pomarańczy i pajęczko lekkiej tuniki, mieniącej się od błyszczących ozdób, ciasno przylegał do jej ciała, ukazując całą jego kształtność, której sama Hester nie była świadoma. Z rumieńcem wstydu, ale też nie bez przyjemności stwierdziła, że głębokie wycięcie sukni ukazuje znacznie więcej niż powinno. Jej wysiłki, by zamaskować choć część dekoltu przejrzystym szalem, jeszcze bardziej podkreślały hojność natury wobec jej ciała. Hester pomyślała ze złością, że natura mogłaby okazywać większą dyskrecję w szafowaniu swymi wątpliwymi darami.

Palce musnęły perły na szyi. Naszyjnik ten był jej jedyną prawdziwą biżuterią odziedziczoną po matce. Hester czuła wielkie zdenerwowanie i stała przed lustrem poprawiając strój ostatni raz.

- Och, proszę pani - powiedziała Parker z za jej pleców. - Wygląda pani prześlicznie.

Wręczyła Hester torebkę i odprowadziła ją do drzwi, po drodze strzepując z jej sukni niewidzialny pyłek i poprawiając ostatni niesforny lok. Wreszcie otworzyła drzwi i pozwoliła swej pani opuścić spokojną przystań sypialni i wypłynąć na wzburzone wody salonów.

Na dole Hester zorientowała się, że jest ostatnim członkiem rodziny, który pojawił się w salonie. Gussie, odziana w suknię z weneckiego jedwabiu i w mieniącym się od piór zawoju na głowie, siedziała nachylona ku Chloe, na której strój składała się urocza taftowa suknia koloru brzoskwini i tiulowa, kremowa narzutka z wyhaftowanymi złotymi żółędziami, które migotały, odbijając ogień płonący na kominku. Thorne stał w swojej ulubionej pozycji przy kominku. Wyglądał imponująco w atlasowych spodniach, ciemnym surducie i koronkowym halsztuku, w którym połyskiwał jeden jedyny brylant.

Hester odniosła dziwne wrażenie, że jego smoliste oczy jeszcze bardziej pociemniały, gdy weszła do salonu, a jego wzrok z uznaniem przesunął się po jej sylwetce. Chloe zerwała się z krzesła.

- Och, Hester! Wyglądasz wspaniale. Przy tobie wszystkie stracimy blask, prawda, ciociu Gussie?

Gussie lekko skinęła głową.

- Istotnie, moja droga, wyglądasz niezwykle korzystnie.

Hester postanowiła zignorować ton, jakim Gussie wypowiedziała te słowa, który znaczył „I któżby w to uwierzył?” Sama nie bardzo w to wierzyła.

Zanim usiadła, poczęli zjawiać się pierwsi goście. Był to lord Sebford z małżonką, których Hester poznała na przyjęciu u państwa Werych, toteż mogła z nimi swobodnie rozmawiać. Później zaczęto anonsować coraz to nowych gości, którzy płynęli coraz szerszym strumieniem. Hester nie знаła większości z nich, dlatego z uczuciem ulgi zobaczyła wchodzącą lady Barbarę. Nim jednak zdołała się do niej zbliżyć, młoda dama wpadła już w sidła Thorne'a, który przywitał się z nią serdecznie, całując w policzek.

Hrabia podał lady Barbarze ramię i poczęli przeciskać się przez gęstniejący tłum, tak że w końcu wpadli na Hester. Rozmawiała z damą, której przedstawiono ją już przedtem, ale jej nazwisko zdążyło już wylecieć pannie Blayne z głowy.

Barbara nie miała jednak podobnych kłopotów.

- Pani Tufts! - zawołała radośnie. - Miałam nadzieję spotkać tu panią. Zdaje się, że dopiero co wróciła pani z kontynentu. Tak bardzo chciałabym posłuchać o pani podróżach. Widziała pani Byrona?

- Wielkie nieba, nie - odparła pani Tufts. Była niska i pulchna, różowa na twarzy, a wybuch jej śmiechu przywiódł Hester na myśl krzyk rozeźlonej perliczki. - Nie byliśmy w Grecji - dodała dama. - Chociaż, gdybyśmy tam nawet pojechali, na pewno nie szukalibyśmy Byrona. - Parsknęła pogardliwie, aż pióra na jej głowie zatrzęśły się z oburzeniem.

W tym momencie nadeszła Gussie, która ciągnęła za sobą szczupłego, Jasnowłosego dżentelmena.

- Hester - odezwała się dama zdecydowanym głosem - chciałabym, żebyś poznała jednego z moich najlepszych przyjaciół. To jest właściwie, to ja i jego ciotka... - Wzięła głęboki oddech. - Hester, przedstawiam ci pana Roberta Carvera. Robercie, oto panna Hester Blayne.

Na dźwięk jego nazwiska lady Barbara odwróciła się gwałtownie i nieszczęśliwie uderzyła pana Carvera, który właśnie się kłaniał, torebką w podbródek.

- Och! - wykrzyknęła, natychmiast oblewając się purpurą. - Bardzo przepraszam, nie chciałam...

Ku zdziwieniu Hester bardzo się zmieszała i zaczęła nerwowo poruszać rękami, z jakimś niezwykle niepokojem.

- Dobry wieczór, lady Barbaro - rzekł pan Carver z ledwie dostrzegalnym chłodem w głosie. - Dawno się nie widzieliśmy. - Pochylił się nad wyciągniętą dłoń Hester. - Panno Blayne, jest mi niezmiernie miło poznać panią. Czytałem wszystkie pani książki, nawet powieści, i chciałbym wyrazić mój wielki podziw, nie tylko dla pani talentu, ale także dla pani zdecydowanych poglądów.

Hester spoglądała, nie rozumiejąc, to na lady Barbarę, to na pana Carvera, ale tych dwoje wydawało się nie dostrzegać siebie nawzajem.

- Szczerze panu dziękuję - odrzekła wreszcie. - To rzadkość spotkać mężczyznę, który przychyła się do zdania, że kobiety w Anglii nie są traktowane sprawiedliwie.

Pan Carver uśmiechnął się, a Hester zaskoczyło promieniujące z tego uśmiechu ciepło.

- Przypuszczam, że to prawda. Powinienem dziękować za tę wiedzę mojej matce, która święcie wierzyła w równouprawnienie obu płci. Obserwując ją w działaniu, często miałem wrażenie, że gdyby urodziła się mężczyzną byłaby świetnym generałem.

Hester roześmiała się.

- Niewątpliwie to samo można powiedzieć o wielu innych kobietach.

Po kilku chwilach rozmowy pan Carver przeprosił ją i odszedł w inną stronę sali. Hester, zawahawszy się przez chwilę, odwróciła się do lady Barbary, która stała w milczeniu przez całą czas, gdy rozmawiali.

- Zna pani pana Carvera? - zapytała.

Barbara drgnęła.

- Tak. Jego brat, hrabia Wickham, i mój brat są w wielkiej przyjaźni. Znam go z pewnymi przerwami niemal od

kołyski. Sporo... widywaliśmy się pewnego Bożego Narodzenia kilka lat temu, gdy spędzał dłuższy czas w Whitebrothers Abbey - mej rodzinnej posiadłości. - Zaśmiała się krótkim, nerwowym śmiechem. - Sądziłam, że mogę go uważać także za swego przyjaciela, jednak rozwój wypadków pokazał, że jest zupełnie inaczej. - Podniosła dłoń w rękawiczce w gwałtownym geście. - Proszę spojrzeć, przyszła Sylvia Moreland. Musi ją pani koniecznie poznać.

Chwyciła dłoń Hester i pociągnęła ją przez gęstniejącą cizbę.

Zanim zaproszono wszystkich do stołu, Hester poznała panią Moreland i wiele innych osób, między innymi księcia Yorku, który okazał się tak łaskawy i dobroduszny, jak opisała go Gussie. Wiedząc, że na pewno nie spamięta co najmniej połowy usłyszanych dziś nazwisk, poczuła ogromną wdzięczność, że przy stole przypadło jej miejsce obok pana Carvera. Thorne siedział trochę dalej, obok lady Barbary.

Patrząc na ciemną głowę Thorne'a pochylającą się nad złotymi lokami misternie ułożonej fryzury lady Barbary, Hester musiała przyznać, że razem tworzą przepiękną parę. Dlaczego, zastanawiała się, nie pobrali się już dawno temu? Z tego, co mówiła Gussie, Hester wywnioskowała, że związkowi takiemu opierał się Thorne. Gussie twierdziła także, że Barbara byłaby gotowa w każdej chwili przyjąć oświadczenia, gdyby tylko hrabia zdecydował się poprosić ją o rękę.

Gdy przyglądała się, jak ciepło śmiał się do niej i spoglądał jej w oczy, trudno było uwierzyć, że mógłby myśleć z niechęcią o ożenku z tą kobietą. Była idealną kandydatką na żonę - szlachetnie urodzona i piękna - doskonale wiedziała, czego oczekiwali od małżonki mężczyzna, który nie zamierzał porzucać swego trybu życia w imię tak mało istotnego wydarzenia jak ślub.

Dlaczego jednak, pomyślała Hester, Barbara pokornie czekała, aż Thorne dojrzeje w końcu do oświadczenia? Przecież mogła zdobyć każdego mężczyznę w całym królestwie. Czyżby tak bardzo kochała Thorne'a, że była gotowa niezłomnie czekać, aż hrabia zdecyduje się wreszcie poświęcić? A może po prostu kiedyś postanowiła, że chce wyjść tylko za Thorne'a i nie potrafiła przyznać się do porażki?

Wzdrygnęła się, dziękując bogom opiekującym się losem niezamężnych kobiet, że dane jej było umknąć przed jarzmem niewoli małżeńskiej.

Zwróciła się do siedzącego po jej prawej ręce Roberta Carvera, który znów mówił o jej związkach z feminizmem.

- Ostatnimi czasy - rzekł - urządzam w swym domu spotkania dla niewielkiej grupy pokrewnych dusz. Wahałbym się nazwać ich intelektualistami, uważam, że byłoby to nieco pretensjonalne, ale cieszą nas dobre książki i ciekawe rozmowy. Może mogłaby nas pani odwiedzić pewnego wieczoru? Jeśli, oczywiście, lord Bythorne nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Brzmi to zachęcająco. Dziękuję, bardzo chętnie przyjdę na takie spotkanie. Jestem pewna, że Thorne nie będzie się temu sprzeciwiał, ale w takich sprawach jego zdanie niewiele znaczy.

- Ach, ale na pewno nie patrzy zbyt przychylnie na pani działania i nie ma zbyt pochlebnego zdania na temat pani poglądów.

- Ma pan zupełną rację, panie Carver - odrzekła trochę szorstko. - Lord Bythorne nie potrafi po prostu zrozumieć, że kobieta umie sama pokierować swym życiem. Na szczęście nie muszę przed nim odpowiadać za moje postępowanie.

- Zdaje się - zauważył pan Carver - że udało się pani nie ulec legendarnemu urokowi hrabiego. To bardzo rzadkie wśród kobiet.

Rzucił kpiące spojrzenie w stronę Thorne'a i Barbary, która właśnie opowiadała hrabiemu jakąś historię, niesłychanie zabawną, sądząc z jego wyrazu twarzy. Zauważywszy pewną surowość na twarzy Carvera, Hester powiedziała ostrożnie:

- Lady Barbara mówiła, że jesteście przyjaciółmi od paru lat.

- Tak mówiła? - odparł od niechcenia. - Przyjaciółmi to za dużo powiedziane. Po prostu jesteśmy znajomymi, i to dość dalekimi.

Pomimo jego obojętnego tonu Hester zdumiał ironiczny błysk jaki pojawił się w oczach dżentelmena.

## 11

Hester nie miała okazji, by przemyśleć ukryte w słowach pana Carvera znaczenie, ponieważ przez resztę wieczoru nie miała ani chwili wytchnienia. Po kolacji całe towarzystwo udało się do jednej z pięknych, rzęsiście oświetlonych posesji przy Upper Brook Street, gdzie przedstawiono Hester jeszcze większej liczbie osobistości z wyższych sfer. Ku swemu zdziwieniu była jedną z najbardziej rozchwytywanych tancerek tego wieczoru - niewątpliwie zawdzięczała to wysiłkom lady Bracken.

Zapomniała już dawno, jak radosny może być taniec, lecz po kilku tańcach ludowych i dwóch czy trzech walcach poczuła się, jakby urosły jej skrzydła. Zadyszana i zaróżowiona rozmawiała z jakąś grupą pań i panów, którzy dzień wcześniej byli jej zupełnie obcy. Spodziewała się, że z powodu radykalizmu jej poglądów ludzie z *beau monde* będą od niej raczej stronić, ale nie spotkała się z żadną otwartą reakcją na dźwięk swego nazwiska. Owszem, panowie pozdrawiali ją przeważnie uśmiechami, wyrażającymi tolerancyjną pobłażliwość, panie natomiast obdarzały ją pełnymi zaciekawienia spojrzeniami, którym towarzyszyła przyciszona wymiana uwag, lecz Hester była już przyzwyczajona, że jest traktowana jak dziwo natury. Ogólnie mówiąc jednak, wydawało się, że

większość gości nigdy nie słyszała o Hester Blayne i jej skandalicznych teoriach.

Chociaż z drugiej strony, pomyślała ze smutkiem, może większości osób po prostu nic nie obchodziła jej działalność. Przecież całe towarzystwo z wyższych sfer z uporem ignorowało wojnę z Napoleonem, dopóki nie zbliżyła się na zbyt niebezpieczną odległość do wybrzeży kraju. Nic więc dziwnego, że mogli nie zwracać uwagi na obecność między nimi czołowej bojowniczką feminizmu. Mimo to wszystkie jej wysiłki, by wmieszać się pomiędzy szacowne damy siedzące pod ścianami sali balowej Debenhama, spełzły na niczym i szczerze powiedziawszy, Hester bawiła się znakomicie. Właśnie obdarzyła promiennym uśmiechem dżentelmena, który prosił ją do kolejnego tańca.

- Cudownie, lordzie Mumblethorpe...

- Zapomniałaś, moja droga, że następny taniec obiecałaś mnie - usłyszała za sobą głęboki i rozbawiony głos.

Odwróciła się i ujrzała obok siebie Thorne'a. Lord Mumblethorpe, którego korpulentna figura była uwięziona w chrzęszczącym przy każdym ruchu gorsecie, posłał hrabiemu oburzone spojrzenie.

- Ależ to czysty rozbój, mój panie. Ma pan pojęcie, że mogę żądać od niego satysfakcji?

- Spokojnie, milordzie, niechże pan tego nie robi. Mam poza tym pierwszeństwo, choćby ze względu na więzy krwi.

Nie czekając na odpowiedź, Thorne porwał za sobą Hester na parkiet. Skomplikowane figury tańca nie pozwoliły im swobodnie rozmawiać, lecz kiedy umilkły ostatnie akordy muzyki, Thorne poprowadził ją do stołu z zakąskami. Posiliwszy się ponczem i pasztecikami z homarem, przeszli do małej salki obok głównej sali balowej.

- Och, było cudownie! - powiedziała zdyszana Hester, siadając na jednym z krzesełek rozstawionych po całej komnacie. - Bałam się, że już zapomniałam kroków, ale nogi same mnie niosły.

- Tańczysz znakomicie, moja droga. Naprawdę tak dawno byłaś ostatni raz na balu?

- Boże, to było wieki temu - odparła Hester, postanawiając zignorować niestosowne jej zdaniem „moja droga” w ustach Thorne'a. - Właściwie poza kilkoma wieczorkami na wsi, od mojego ostatniego sezonu spędzonego w Londynie nie stałam na parkiecie.

- Sezonu? - Thorne uniósł zdumiony brwi. - Nie, nie ma w tym nic dziwnego - dodał szybko tonem usprawiedliwienia. - Dziwne tylko, że się nie spotkaliśmy.

- Och, możliwe, że się poznaliśmy - odrzekła lekko. - Poznałam wtedy tylu ludzi, że nie mogłam wszystkich pamiętać.

*Touché*, panno Blayne - pomyślał Thorne i zaśmiał się w duchu.

- Choć moja rodzina pozostawała zawsze trochę na uboczu życia towarzyskiego - ciągnęła Hester - to jednak dbała, by każda córka miała swój debiut. Przynajmniej dopóki żyła mama. Po tym, jak wprowadzono w wielki świat Mary i Cecyli, zaczęły nam dokuczać kłopoty finansowe, ale gdy nadeszła moja kolej, mnie także pokazano. Mieszkałam u ciotki Aurelii, przy Portland Square. - Spojrzała na niego z filuternym błyskiem w oku. - Zdaje się, że ten pomysł zakończył się absolutną katastrofą, ponieważ nie miałam powodzenia.

- Zdumiewasz mnie - oświadczył z powagą Thorne. - Chcesz mi wmówić, że żaden z dżentelmenów, których poznałaś, nie miał ochoty pilnie wysłuchać wykładu twych poglądów? Domyślam się bowiem, iż każdego wprowadzałaś w sposób wyczerpujący w tajniki swej filozofii.

- Jak na to wpadłeś? - Śmiejąc się, lekko rozchyliła usta i Thorne zaciekał się, czy Hester jest świadoma magicznej siły swego uśmiechu. Doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne, gdyż chyba w ogóle nie zdawała sobie sprawy ze swego uroku. - Byłam przecież chudą, zdecydowanie ponurą myszką. Oczywiście, nosiłam te swoje niestosowne stroje. - Uśmiech zniknął z jej ust. - Krótko mówiąc, było niemal pewne, że nie znajdę męża ani nawet nie zdołam wzbudzić cienia zainteresowania w kimkolwiek.

- Ale dziś wieczorem nadrabiasz to w dwójnasób. Może po prostu należysz do tej odmiany pięknych kwiatów, które rozkwitają nieco później?

- Bardzo późno - zauważyła zgryźliwie Hester. - W każdym razie wiem komu zawdzięczać tę nieoczekiwaną popularność. Gussie bardzo ofiarnie działała w mojej sprawie, a wolałabym, żeby tego nie robiła.

- Nie cieszysz się, że proszą cię do każdego tańca?

- Naturalnie, to bardzo miłe, lecz wiem, że nie robią tego ze względu na mnie, i trochę mnie to smuci. Prawdę mówiąc, bardzo mnie też świerbi język; chciałabym wbić parę szpilek niektórym gościom, Naszcza tym dumnym i nadętym, żeby pękli niczym balony.

- Kiedy wreszcie postanowisz dać upust tym chęciom, zawołaj mnie. Myślę, że byłby to paradny widok.

Thorne zdał sobie sprawę, iż znajduje niezwykle przyjemność patrząc na wojownicze błyski w jej oczach. Być może Hester Blayne jest solą w oku społeczeństwa, ale nie sposób się z nią nudzić, pomyślał.

- Chciałbyś zobaczyć, jak stawiają mnie pod pręgierzem za moje poglądy? - spytała dość ostrym tonem.

- Nie, oczywiście, że nie. Opacznie mnie zrozumiałaś. Nigdy nie przepadałem za nadętymi ludźmi, sam także nigdy taki nie byłem, więc chętnie usłyszałbym dźwięk balonów pękających na środku parkietu.

Hester roześmiała się rozbrojona.

- Teraz tak mówisz, lecz ciekawa jestem, jak zareagowałbyś, gdybym zaczęła rozprawiać o strasznej niesprawiedliwości jaka dzieje się kobietom.

Thorne rozejrzał się wokół.

- Uważam, że o niesprawiedliwości można mówić tylko w przypadku biedniejszych kobiet, ale tu nie dostrzegam żadnych jej przejawów. Wszystkie obecne tu kobiety wyglądają na dobrze odżywione. Za każdą z sukni, jakie na sobie mają, można by karmić jedną głodującą rodzinę przez okrągły rok, a ich biżuteria wystarczyłaby na pokrycie wszystkich wydatków jakiegoś niewielkiego państwa.

Hester obruszyła się.

- To jest właśnie sposób myślenia, który uważam za wstrętny. Wszystkie, prawie wszystkie kobiety na tym balu nie są niczym więcej, jak tylko wyrazem statusu społecznego swych mężów. Nie mają własnej tożsamości, a jedyną rolą w ich życiu jest dogłądanie domów swych panów i rodzenie im dzieci.

- A cóż w tym złego? - zapytał Thorne niewinnie, wstrzymując jednocześnie oddech, bowiem w odpowiedzi na swe słowa spodziewał się wybuchu. Boże, kiedy naprawdę wpadała w gniew była prawie piękna.

- Co w tym złego? - powtórzyła i jak na zawołanie jej oczy rozgorzały oburzeniem. - Żadna ludzka istota nie powinna być... sprzętem innej. To poniżające i... - urwała nagle i przeszła go wzrokiem. Raptem jej twarz przygasła i zamknęła się w sobie. - Ach, rozumiem. Pan hrabia doskonale się bawi, to bardzo w jego stylu. Za pozwoleniem więc, dziękuję za wspaniały taniec, ale chyba powinnam już wrócić na salę.

Wstała i przy akompaniamencie szelestu jedwabiów wyszła z pokoju - wyprostowana i z wysoko podniesioną głową. Thorne patrzył w ślad za nią, chłonąc fiołkową woń, jaka po niej pozostała. Miał dziwne poczucie winy i wstydił się swego zachowania. Tak poważnie to wszystko traktowała, że kpina była w tym wypadku wyjątkowo niegrzeczna. Westchnął. Gdyby tylko nie mówiła z takim przejęciem o swych niemądrych teoriach - flirt z nią mógłby być nawet miłą rozrywką. Ale wystarczyło rzucić jakąś żartobliwą uwagę na temat jej pasji i już poczytywała to sobie za afront.

Wrócił na salę balową z postanowieniem odnalezienia lady Barbary. Tak, to była kobieta, która doskonale wiedziała, jak można sprawić przyjemność prawdziwemu dżentelmenowi. Nie była nadwrażliwa i dokładnie wiedziała, czego się od niej oczekuje.

Gdy ostatni raz mignęła mu postać Hester, torującej sobie drogę przez stłoczoną salę, musiał stłumić w sobie uczucie, że coś utracił - jakby coś bardzo cennego wymknęło mu się z rąk.

- Jak sądzisz, Hester, czy ten kapelusz będzie dobrze wyglądał z bladeżółtym muślinem?

Kiedy Chloe weszła do pokoju, Hester uniosła głowę znad biurka, przy którym siedziała w swoim saloniku. Dziewczyna trzymała uroczy, zakrywający uszy słomkowy kapelusz ozdobiony wisienkami i długimi wiśniowymi wstążkami. Na głowie natomiast miała zgrabny kapelusik w stylu wiejskim, którego zielonkawe wstążki doskonale pasowały do Sukni, jaką na sobie miała.

Hester odłożyła pióro.

- Myślę, że ten, który masz na głowie jest całkiem dobry, choć ten z wiśniami jest może troszkę bardziej zuchwały.

- Tak właśnie myślałam - oświadczyła Chloe, zrzucając z głowy ten miejski i wkładając kapelusz z wisienkami.

- Dokąd się wybierasz? - zainteresowała się Hester.

Chloe skrzywiła się.

- Och, to naprawdę nic ciekawego. Kilkoro przyjaciół postanowiło wybrać się na wycieczkę do Richmond. Nawet nieźle się zapowiadała, ale John, to znaczy pan Wery, dowiedział się o niej i po prostu się wprosił. Teraz całe popołudnie będę miała zepsute.

- Jak to? - zdziwiła się Hester. - Zdawało mi się, że od paru dni ty i pan Wery rozumiecie się o wiele lepiej. Przecież wczoraj na balu tańczył z tobą dwa razy.

- Tak, ale tylko ludowe tańce. - Znowu się skrzywiła. - Jego zdaniem walc jest zbyt odważny dla młodych dziewcząt. Też coś, przecież walc tańczy się od kilku lat i uczą się go nawet dziewczęta na pensjach.

Hester uśmiechnęła się.

- Chyba pan Wery chce dać ci do zrozumienia, że troszczy się o twoją reputację.

- Lepiej by się zatroszczył o swoje umiejętności taneczne i nauczył się walca - prychnęła wzgardliwie Chloe. Westchnęła ponuro. - Gdyby tylko nie był tak niewyobrażalnie nudny, można by było łatwiej znosić jego towarzystwo.

- A jak przebiega twój plan zniechęcenia go do siebie?

Chloe smutno pokręciła głową.

- Niedobrze. Trudno w to uwierzyć, ale chyba stwierdził, że mam dużo racji w swoim zdaniu o edukacji dla kobiet. Teraz zamiast gadać o owcach, ciągle nudzi o swoich szkołach. Nie, wcale nie chcę powiedzieć, że mnie to nie interesuje - dodała pospiesznie - ale od czasu do czasu chciałabym porozmawiać o czymś innym: o modzie... czy ja wiem, o plotkach.

- Naturalnie - rzekła Hester z powagą. - Zamierzałaś jednak mówić mu o tym, jak pragniesz być obsypywana klejnotami i że ponad wszystko chcesz mieszkać w Londynie.

Chloe rozpromieniła się.

- O, tak, to akurat idzie znacznie lepiej. - Zachichotała. - Wczoraj wieczorem, kiedy usłyszałam od niego komplement na temat moich pereł, od razu poskarżyłam się, że jestem jeszcze za młoda, żeby nosić szmaragdy po mamie. Potem dość długo mówiłam o wszystkich tych błyskotkach, jakie mam nadzieję nosić, gdy będę już mężatką. Kiedy zabrakło mi oddechu, biedak był już bardzo blady.

- Brzmi to bardzo obiecująco - zgodziła się ze śmiechem Hester. - Podejrzewam, że wkrótce nabierze do ciebie takiej niechęci, że w ogóle przestanie przychodzić z wizytą. Na pewno poczujesz ulgę, gdy nie będzie już więcej prosił cię do tańca albo błagał, żeby go wziąć do Richmond.

Chloe nieco się stropiła.

- Pewnie tak. Czekam na ten dzień. - Podniosła się z krzesła, na którym przycupnęła, i poprawiła sukienkę. - Pójdę przygotować się do wyjazdu. Wery za chwilę tu będzie. - Spojrzała przez okno. - Ojej, wygląda, jakby miało jeszcze dzisiaj padać. Pinkham ma pomysł na nową fryzurę dla mnie i chciałabym ją wypróbować. - Zaśmiała się, lekko zmieszana. - Wczoraj John wyznał mi, że podoba mu się, jak upinam włosy na czubku głowy. To chyba pierwszy prawdziwy komplement, jakim mnie obdarzył, i mam zamiar sprawić, żeby nie był ostatnim.

Wybiegła z pokoju, zostawiając Hester pełną wątpliwości. Młody John Wery z pewnością należał do bardzo wartościowych mężczyzn, lecz musiał się jeszcze wiele nauczyć, jak zdobyć serce niewinnej kobiety. Doprawdy źle się dzieje, że klucz do niewieścich serc spoczywa w rękach mężczyzn najmniej tego wartych - lekkomyślnych uwodzicieli.

Przyszedł jej na myśl główny przedstawiciel tego gatunku, gospodarz tego domu. Żadne względy moralne nie mogły go powstrzymać przed czerpaniem przyjemności, kiedy tylko nadarzała się okazja, i czynił to bez skrpułów. Wśród kobiet obecnych wczoraj na balu nie było ani jednej, która by o tym nie wiedziała. A jednak te głupie stworzenia niemal same padały mu do nóg, gdy przechadzał się między nimi; każda wstrzymywała oddech w oczekiwaniu, że to ona będzie kolejnym kwiatem, który hrabia zerwie i pobawiwszy się nim trochę wyrzuci. Wszystkie miały świadomość, iż nie może mieć żadnych poważnych zamiarów i nie interesuje go małżeństwo. Mimo to otwarcie go prowokowały - panny czy mężatki - bez różnicy. Niejedna święcie wierzyła, że to właśnie jej misją będzie nawrócić go na drogę cnoty. Jak to możliwe, by w sercu każdej kobiety hrabia umiał wzbudzić święte przekonanie, iż to właśnie ona jest tą wybraną, z którą zwiąże się na zawsze?

Lady Barbara Freemantle była niewątpliwie jedną z nich, lecz zdawało się, że w odróżnieniu od innych dam, posiadała tajemnicę sposobu zdobycia miłości Thorne'a. Ale, na miły Bóg, czy ów cel wart był takich środków? Ze wszystkich kobiet w Londynie chyba tylko jedna Hester widziała w czarującej postaci hrabiego tego, kim był naprawdę - lekkomyślnego lubieżnika, którego jedynym zamiłowaniem było łamanie serc. Żałowała tylko, że natura poskąpiła jej przymiotów, które mogłyby skłonić ku niej jego żądze. Z prawdziwą satysfakcją złamałaby mu wtedy serce - pod warunkiem, że hrabia takowe posiada, w co jednak głęboko wątpiła.

Parę chwil później Hester otrząsnęła się z dziwnego snu na jawie, w którym ujrzała tajemną schadzki w pachnącym ogrodzie skąpanym w blasku księżycy, potem w pełnym świec buduarze, a na koniec ukazała się jej wizja twardego, muskularnego ciała pochylającego się nad jej ciałem, gdzieś pośród zmiętej pościeli.

Co, u licha, czyżby mimo wszystko odczuwała brak mężczyzny? W myślach stanął jej Trevor Bentham, który tylko czekał na jej skinienie. Jednak gdy wyobraziła sobie, że to jego ust dotykają jej wargi w owym księżycowym ogrodzie, nie poczuła podobnego dreszczu, jaki przeszył jej ciało chwilę wcześniej, kiedy myślami była w ogrodzie z zupełnie innym mężczyzną. Potem pomyślała o Robercie Carverze. Wczoraj, podczas drogi powrotnej z balu, Gussie niedwuznacznie dała jej do zrozumienia, iż przedstawiła jej Roberta Carvera, mając na uwadze bardzo konkretny cel. Choć nie dosłowna, wiadomość była aż nadto czytelna - zdaniem Gussie Robert był idealnym kandydatem na jej męża.

Hester przyjęła jego zaproszenie na spotkanie grupy dyskusyjnej, jakie miało się odbyć w jego domu, nie dzięki chytrym zabiegom Gussie, lecz dlatego, że naprawdę go polubiła. Postanowiła zatem skorzystać z zaproszenia i po prostu czekać na dalszy rozwój wypadków. Na pewno nie wyniknie z tego nic złego, a - kto wie - może sprawa przybierze bardzo pomyślny obrót. Jednak, jak już nieraz zdecydowała oświadczać, wcale nie zależało jej na znalezieniu męża - należało po prostu, oczywiście od czasu do czasu i w granicach rozsądku, spotykać się także w męskim gronie.

Wcześniej Trevor zabierze ją pewnie któregoś wieczoru na spotkanie miłośników literatury greckiej do pana Jaspiera Fenwicka, specjalisty od Owidiusza i Pindara. Nie mogła się już doczekać spotkania ze starymi przyjaciółmi, ale miała również nieprzepatną ochotę wyrwać się wreszcie z pełnego niebezpieczeństw i niemoralności świata lorda Bythorne'a i wrócić pod skrzydła swego znajomego i przyjaznego środowiska.

Zaszły jednak inne zdarzenia, które odsunęły w czasie te projekty. Na krótko przed kolacją Hester, lady Lavinia i lord Bythorne siedzieli w złotej sali, gdy jakiś tumult w hallu kazał im wybiec i sprawdzić przyczynę owego nagłego poruszenia. Ich oczom ukazał się osobliwy widok: na środku hallu stała Chloe, którą trzymał w ramionach John Wery. Jej służąca Pinkham stała z boku wyraźnie rozdygotana, a z jej ust dobywały się jakieś niezrozumiałe słowa. Obie młode damy były w oplakanym stanie. Słomkowy kapelusz Chloe wisiał smętnie na jej plecach, po wisienkach zostało tylko wspomnienie, a suknia była podarta i powalana błotem.

- Boże wielki! - zakrzyknął Thorne. - Co się stało?

Chloe, blada i drżąca, na dźwięk jego głosu odwróciła się i spojrzała na niego błędnym wzrokiem.

- Och, wuju! - Wyciągnęła doń rękę, lecz nie odstępowała na krok Johna. - Był wypadek, straszny wypadek. Och, to było przeokropne! Myślałam, że wszyscy zginiemy!

John zaprowadził ją do krzesła stojącego na skraju mozaikowej posadzki hallu i ostrożnie posadził na miękkim, wyściełanym siedzeniu. Następnie wyprostował się i zwrócił się do Thorne'a, podczas gdy lady Lavinia pospieszyła ku Chloe.

- Powóz miał wypadek, sir. Sądzę, że Chl... panna Venable nie doznała żadnej poważniejszej szkody, ale na pewno przeżyła ogromny szok. Może służąca mogłaby odprowadzić ją na górę?

- Ja ją zaprowadzę - powiedziała stanowczym głosem Hester. - Pinkham także ucierpiała w tym wypadku i wygląda na równie roztrzęsioną.

- Och! - pisnęła cicho Pinkham, zdumiona tym, że ktokolwiek mógłby się przejmować jej stanem. - Dziękuję za troskę, proszę pani, ale czuję się zupełnie dobrze. To tylko...

- John! - zawołała Chloe, zacerpnawszy oddechu pomiędzy jednym i drugim spazmem szloch, który wstrząsał jej ciałem. Jedną ręką chwyciła mocno dłoń ciotki, a drugą wyciągnęła do niego. - Nie odchodź! Nie zdążyłam ci jeszcze podziękować.

- Co, na litość boską... - przerwał ostrym tonem Thorne. - Co się stało? - powtórzył.

Chloe, trochę już uspokojona, uniosła ku wujowi rozjaśnioną nagle twarz.

- Och, wuju! John był wspaniały! Gdyby nie jego błyskawiczna decyzja i jego siła, leżelibyśmy teraz bez życia na drodze do Richmond!

John zarumienił się po czubki swych cienkich, brązowych włosów.

- To nic takiego - zapewnił pospiesznie Thorne'a. - Jechaliśmy powozem Freda Wilkersona, który był z nami. Siedzieliśmy w środku w siódmkę, toteż było nieprawdopodobnie ciasno, a więc ja i jeszcze jeden z naszych towarzyszy postanowiliśmy usiąść na górze. Dojeżdżaliśmy już prawie do miejsca, w którym zamierzaliśmy urządzić piknik nad rzeką, gdy nagle niebo pociemniało. Obawiając się, że zaraz zacznie padać, zdecydowaliśmy się nieco zboczyć z trasy i przeczekać nawałnicę w gospodzie w Wandsworth. Nie ujechaliśmy zbyt daleko, kiedy pogoda zrobiła się naprawdę mało zachęcająca.

- Była z nami pani Salburst, matka Helen - wtrąciła Chloe - i zaczęła krzyczeć, jakby ją obdzierali ze skóry.

- Tak jest - przytaknął John. - Zaczęło błyskać i grzmieć, od czego konie stały się bardzo niespokojne. Pech chciał, że w pewnym momencie piorun uderzył w drzewo, obok którego właśnie przejeżdżaliśmy.

- Nigdy w życiu nie słyszałam tak okropnego dźwięku - rzekła Chloe, blednąc na samo wspomnienie. - Pomyślałam, że świat się kończy.

John uśmiechnął się krzywo.

- Prawie tak było, przynajmniej dla nas. Pień drzewa złamał się i upadł na powóz, strącając stangreta z kozła na ziemię. Konie naturalnie zareagowały na to wszystko we własny sposób i...

- Oszalały ze strachu - wyszeptała dramatycznie Chloe.

- I poniosły - dokończył po prostu John. - Na szczęście udało mi się wdrapać na miejsce stangreta i spróbowałem je zatrzymać. Zdołałem jednak zmusić je tylko do tego, by zwołniały, i dopiero potem wpadliśmy do rowu.

- Był absolutnie wspaniały - oświadczyła niemal bez tchu Chloe, spoglądając na niego z bezbrzeżnym podziwem. - Kiedy wreszcie powóz się zatrzymał, nikt nie miał zielonego pojęcia, co dalej począć, ale John zeskoczył z kozła i przekonawszy się, że nic nam się nie stało, kazał chłopakowi wyprząc z powozu konie. Potem nadbiegł stangret, który wyszedł z upadku prawie bez szwanku, więc John posłał go po pomoc do najbliższego domu. - Głęboko westchnęła, ciągle drząc. - A później wynajął inny powóz w miejscowej gospodzie i przywiózł nas wszystkich całych i zdrowych do domu.

Znowu zwróciła pełen podziwu wzrok na swego wybawiciela.

- Ha! - zawołał gromko Thorne. - Wygląda na to, że został pan bohaterem dnia, panie Wery. Niechże pan przyjmie ode mnie serdeczne gratulacje za hart ducha, dzięki któremu opanował pan sytuację i doprowadził całą historię do szczęśliwego końca.

John poczerwieniał po same uszy, ale milczał, zmieszany przestępując z nogi na nogę. Hester zauważyła, że Chloe ciągle wygląda na bardzo przejętą.

- Pozwól zaprowadzić się na górę, moja droga - rzekła dając znak Pinkham, by także im towarzyszyła. Po chwili mała kawalkada ruszyła po schodach, kierując się do sypialni Chloe. John odezwał się nagle do hrabiego niepewnym głosem i kiedy razem z lady Lavinią prowadziły Chloe w górę, Hester zdawało się, że zdołała usłyszeć jego ostatnie słowa: - Czy mógłbym prosić pana o chwilę rozmowy w cztery oczy, sir?

## 12

Już na górze Hester odprawiła Pinkham, polecając jej wziąć gorącą kąpiel i czym prędzej położyć się spać. Ciotka Lavinia wyglądała na odrobinę zdumioną okazywaniem takiej troskliwości wobec służby, słabym głosem wyraziła jednak zgodę, prosząc jednocześnie, by sprowadziła jakąś inną służącą, która przyniesie Chloe gorącej wody.

Chloe bez sprzeciwu przyjęła pomoc Hester przy zdejmowaniu pokierszowanego kapelusza i poplamionej sukni.



- Aj, jaka przemoczona - powiedziała. - Nigdy nie będę należała do kobiet gotowych wskoczyć w ubraniu do wody, żeby pokazać wszystkim swoją figurę. To okropnie niewygodne spędzić cały wieczór w tak nieprzyjemnym kostiumie.

- Nie wątpię - zgodziła się z powagą Hester. - W każdym razie miałaś szczęście, że poza zniszczeniem sukni i kapelusza nic ci się więcej nie stało.

- O, tak! - zawołała Chloe, wracając do tematu, który nurtował ją od chwili wypadku w pobliżu Richmond. - Och, Hester, ciociu, załujcie, że nie widziałyście Johna podczas tej wspaniałej akcji. Przypominał któregoś z bohaterów powieści Ann Radcliffe.

- Doprawdy? - Porównanie to zrobiło spore wrażenie na lady Lavinii. Dama pobiegła otworzyć drzwi służącej, która z wysiłkiem wniosła do sypialni wielkie wiadro gorącej wody i po chwili Chloe, wzdychając z zadowolenia, zanurzyła się w parującej kąpieli.

Ciotka Lavinia uległa namowom Hester, by zeszła na dół i zjadła kolację. Nie było takiej potrzeby, mówiła jej Hester, by obie musiały pielęgnować dziewczynę, która co prawda sporo dziś przeszła, ale nic jej nie jest.

Wychodząc z balu i wkładając batystową koszulę nocną, Chloe nie mogła przestać mówić o odważnych wyczynach Johna Wery'ego.

- Naprawdę myślę, że wszyscy byśmy zginęli, Hester. Z początku wydawało się, że powóz rozleci się na kawałki, a kiedy wreszcie wylądowaliśmy w rowie, rzuciło nami straszliwie! Nie wiedziałam gdzie jest niebo, a gdzie ziemia. Kitty Fairchild upadła na mnie, a wrzaski pani Salburst mogły, jak już wcześniej mówiłam, obudzić nieboszczyka.

- To prawdziwe szczęście, że John z wami pojechał - odrzekła cicho Hester. - Nawet - dodała z uśmiechem - jeśli właściwie sam się wprosił.

Chloe spiekła raka.

- Nieładnie z mojej strony, że tak powiedziałam, prawda? Wcale tak oczywiście nie myślałam. Och, Hester! Nie poprosiłam go, żeby nas jutro odwiedził. Myślisz, że przyjdzie?

- To chyba bardziej niż prawdopodobne - odparła Hester, myśląc o słowach, które udało się jej podsłuchać, zanim weszły na schody.

Tymczasem na dole, w elegancko urządzonej bibliotece Thorne'a, zaczynała się poufna rozmowa, o którą poprosił hrabiego pan Wery. Młody człowiek wziął głęboki oddech i rzekł:

- Powiem krótko, milordzie. Chcę prosić pana o pozwolenie starania się o względy pańskiej podopiecznej.

Thorne pomyślał z ulgą, że nigdy nie słyszał piękniejszych słów. Po chwili jednak targnął nim jakiś niepokój. Może Hester miała rację, może rzeczywiście dążył do tego związku tylko w imię własnych celów, nie zważając na zdanie Chloe? Czy naprawdę stateczny i śmiertelnie Poważny John Wery był odpowiednim towarzyszem życia dla żywej, impulsywnej i wesołej Chloe?

Nie dowierzając własnym uszom, Thorne usłyszał, jak mówi do pana Wery'ego:

- Jesteś pewien, że właśnie tego chcesz, John? Chloe to naturalnie wspaniała dziewczyna, ale... bardzo się od siebie różnicie. Widzisz, ona jest bardzo niecierpliwa i byle drobiazg wytrąca ją z równowagi. Sądziś, że sam, o własnych siłach, potrafiłbyś sobie z nią poradzić? Ja mam z tym nie lada kłopot. Naprawdę niewiele trzeba, by doprowadzić ją do hysterii.

- Ależ skąd, sir - zaprzeczył gorąco John. - Nie widział jej pan dziś podczas tego nieszczęścia. Bardzo dzielnie zniosła ów wypadek: zanim wysiadła z powozu, upewniła się, czy żadnej z dziewcząt nic się nie stało, dodawała im otuchy i starała się wszystkie uspokoić, a także panią Salburst. Dopiero gdy wszystko skończyło się szczęśliwie, trochę, hm, straciła głowę.

- Naprawdę? To niewiarygodne.

- To prawda, sir. Owszem, zgadzam się, że Chloe jest odrobinę impulsywna, ale ostatnio zauważyłem, jak poważnie podchodzi do wielu rzeczy. Bardzo przejmuje się na przykład sprawami społecznymi.

- Tak, wiem.

- Choć z drugiej strony zdradza zbyt wielką słabość do kosztownej biżuterii.

- Chloe?

- Tak, lecz pewien jestem, że to tylko przejaw typowego dla młodego wieku przykładania zbyt dużej wagi do drobiazgów. Twierdzi także, że chciałaby mieszkać w Londynie, ale mam wrażenie, że nie mówi tego szczerze.

- Rzeczywiście, chyba masz rację - rzekł Thorne ze zdziwieniem. - Pamiętam, jak bardzo podobał się jej nasz pobyt w posiadłości i kilka razy wspominała o przewagach życia na wsi. Dobrze więc - zakończył, uspokoiwszy sumienie. - Jeśli tak...

Przerwało mu wejście Hobarta.

- Ma pan... a właściwie panna Blayne ma gościa, sir. Pan Bentham.

- Cóż u diabła? A tak, pamiętam go. Wprowadź go do salonu i powiadom o jego przyjeździe pannę Blayne. - Ponownie zwrócił się do Johna. - Jak już powiedziałem... coś jeszcze, Hobart? - spytał lokaja, który wciąż stał w drzwiach i chrząkał z zakłopotaniem.

- Panna Blayne jest teraz u panienki Chloe, sir. Nie jestem pewien, czy życzyłaby sobie, żeby jej przeszkadzano.  
- Och, na litość boską. Więc... dobrze już, sam pójdę. John...  
- Proszę się mną nie przejmować, sir, już wychodzę. Nie chciałbym przeszkadzać panie Blayne w opiece nad Chl.... panną Venable - w jego głosie zabrzmiała nuta nabożnego szacunku, jakby mówił o świątynnej służebnicy doglądającej westalki, która nagle zaniemogła.  
- Dziękuję, chłopcze - odrzekł Thorne z dobroduszną miną. - A co do tamtej sprawy, masz moje pełne poparcie w swych staraniach - dodał zwracając się do Wery'ego. John rozpromienił się w uśmiechu, ukazując wszystkie zęby.  
- Dziękuję! Dziękuję, sir. Mam nadzieję, że niedługo znów będziemy mogli o tym porozmawiać.  
- Ja także mam taką nadzieję, John, naprawdę szczerą nadzieję. - Życząc mu miłego wieczoru, hrabia czym prędzej pobiegł na górę zastukał do drzwi sypialni Chloe. Po chwili na progu ukazała się Hester.  
- Mój Boże - powiedziała, gdy Thorne wyłuszczył jej powód, dla którego odrywał ją od Chloe. - Zupełnie zapomniałam, że Trevor miał dzisiaj przyjść. Ale - obejrzała się przez ramię - Chloe właśnie zasnęła. Dałam jej ciepłego mleka, więc chyba będzie spać do rana. Jednak wolałabym być przy niej, gdyby się przypadkiem obudziła.  
- Myślę, że może przy niej posiedzieć ciocia Lavinia, jeśli naprawdę uważasz, że to konieczne - zauważył bez wielkiego entuzjazmu hrabia. Uśmiechnął się blade. - Mam nowiny i chciałbym ci je przekazać jeszcze dziś wieczór. - Sam był zdziwiony uczuciem niechęci, jakim napawała go perspektywa wyjścia Hester z domu. Czuł dziwną potrzebę, by koniecznie powiedzieć jej o prośbie Johna Wery'ego. Nie, żeby tak bardzo mu zależało na opinii Hester w tej sprawie - po prostu tęsknił za rozmową z nią. - A w ogóle to nie jadłaś jeszcze kolacji - dodał z zakłopotaniem.

Hester również zawahała się przez chwilę. Myślała o tym wyjściu i czekała na nie od ładnych paru dni, lecz teraz po tym, co powiedział Thorne, pomysł spędzenia wieczoru poza domem stracił nagle cały swój urok. Znacznie bardziej kusząca stała się z kolei perspektywa pozostania w domu i rozmowy z lordem.

- Chyba byłoby to nierozsądne z mojej strony, gdybym dziś wyszła - powiedziała niezbyt szczerze. - Ciotka Lavinia na pewno poradziłaby sobie z Chloe, lecz nie sądzę, żeby miała na to wielką ochotę.

- Zgadza się.

Hester uśmiechnęła się.

- Zejdę więc na dół i wyjaśnię wszystko Trevorowi. Jestem pewna, że zrozumie.

- Nie rozumiem - rzekł Trevor, gdy Hester przedstawiła mu pokrótce przebieg dzisiejszych wypadków. Jego cienki nos wydawał się bardziej spiczasty niż zwykle. - Umawialiśmy się na to spotkanie ponad tydzień temu. Wszyscy czekają dziś na ciebie. Nie mogę uwierzyć, że mogłabyś zostawić przyjaciół samych tylko po to, żeby trzymać za rękę jakąś rozpieszczoną panienkę, która...

- Trevor, proszę cię - przerwała mu ostro Hester. - Przecież nie zostawiam swoich przyjaciół. Zamierzałam zaprosić wszystkich tutaj za kilka dni na jakąś małą przekąskę. Jutro roześlę zaproszenia. Ale dziś naprawdę nie powinnam wychodzić z domu: zaniedbałabym w ten sposób swoje obowiązki. Jak zapewne pamiętasz, przyjechałam do Londynu przede wszystkim po to, by pomóc kuzynowi w wychowaniu jego podopiecznej. Dzisiejszego wieczoru dziewczyna miała naprawdę przykre przeżycia i właśnie z niemałym trudem udało mi się położyć ją spać. Gdyby się przypadkiem obudziła, powinnam być w pobliżu, aby, hm, służyć jej pomocą.

- A więc nie ma o czym mówić. - Trevor obrócił się na pięcie i wyszedł z salonu. Hester z westchnieniem opadła na fotel stojący przed kominkiem i zapatrzyła się w skaczące płomienie. Z zamyslenia, które trwało dłuższą chwilę, wyrwało ją dopiero wejście Thorne'a.

- Ach, zdecydowałaś się więc pozostać w domu. Mam nadzieję, że przyjaciele nie będą zbyt zawiedzeni?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła szybko.

- To dobrze. Zdaje się, że kolacja czeka już na nas od paru minut. Pozwolisz? - rzekł z uśmiechem.

Hester poczuła skrępowanie, gdy okazało się, że lady Lavinia zjadła już kolację i udała się na spoczynek: mieli więc biesiadować tylko we dwoje. Wkrótce jednak opuściły ją wszelkie obawy, ponieważ wszystko wskazywało na to, że hrabia nie zamierza rozmawiać z nią o żadnych sprawach, których wolałaby nie poruszać. Opowiedział o swojej rozmowie z Johnem Werym i z zadowoleniem przyjął gratulacje.

- Spodziewam się, że lada dzień poprosi o jej rękę. Jeżeli wszystko potoczy się pomyślnie, wydam Chloe za mąż jeszcze w tym roku.

- Sądzisz, że się zgodzi? - spytała Hester, a w jej głosie dał się słyszeć cień zwątpienia.

Thorne zastygł z kawałkiem pasztetu baraniego na widelcu, który właśnie podnosił do ust.

- Oczywiście. Masz odmienne zdanie?

- Cóż, ostatnio jej postawa wobec pana Wery'ego bardzo się zmieniła, chociaż... Wcześniej była tak nieprzejednana... Och, to niedorzeczne. Oczywiście, że się zgodzi. To przecież wspaniały i dobry młodzieniec.

Potem ich rozmowa zeszyła na inne tematy. Mówili o poezji Coleridge'a, przeprowadzili nadzwyczaj wnikliwą analizę słabości księcia regenta jako władcy królestwa, dyskutowali o nadziejach na budowę bitych dróg na północ od Londynu w kierunku Yorku i tak minęła kolacja - choć później Hester nie umiała sobie przypomnieć, co właściwie jedli.

Wstali zatem od stołu, lecz zamiast do salonu, udali się do gabinetu Thorne'a znajdującego się na parterze, gdzie, jak oświadczył hrabia, Hester miała obejrzeć kolekcję miniatur, którą udało mu się niedawno kupić. Obrazy były jeszcze bez ram i Thorne nie mógł się zdecydować, gdzie je powiesić.

Hester po raz pierwszy dostąpiła zaszczytu przestąpienia progu sanktuarium hrabiego i być może zdziwiłoby ją, gdyby wiedziała, iż jest w ogóle pierwszą kobietą, jaka postawiła stopę w jego zacisznej kryjówce, którą urządził sobie w samym sercu swej miejskiej rezydencji. Pokój był bardzo ładny, choć urządzony bez przesadnej elegancji: stały w nim wygodne, trochę już podniszczone krzesła, stoliki i podnóżki. Obok kominka na prostym drewnianym stoliku spoczywała szachownica z figurami noszącymi ślady długiego używania, a w rogu pokoju stał wielki globus żeglarski. Naprzeciw podwójnego, wysokiego okna stał na trójnogu mały mosiężny teleskop. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki wypełnione przeróżnymi osobliwymi przedmiotami, pośród których Hester dostrzegła coś, co przypominało gniazdo dużego ptaka, oraz misterną figurkę z zielonkawego minerału.

Widząc lekkie zdziwienie malujące się na jej twarzy, Thorne roześmiał się.

- Masz zapewne wrażenie, że trafiłaś do jakiejś okropnej rupieciarni. Chciałem mieć przynajmniej jeden pokój tylko dla siebie i zwiozłem tu z Bythorne Park mnóstwo rzeczy, które zbierałem przez całe lata. To na przykład - wskazał na gniazdo - przywiózł z Afryki mój wuj Pointdexter. Twierdzi, że własnymi rękami wyrwał je spod kopyt wściekłego oryksa. Miałem wtedy dwanaście lat i nie miałem pojęcia, co to może być oryks, i to błękitnokopytny, jak mówił wuj, ale tak mnie to wówczas zaintrygowało, że mam to gniazdo do dzisiaj.

- Nic dziwnego - powiedziała Hester, oglądając misterną konstrukcję z traw, liści i innego budulca, którego nazwy nie umiała nawet odgadnąć. - A to? - spytała, biorąc z półki figurkę.

- To moja własna zdobycz. Znalazłem ją, co ciekawe, w małym sklepiku w Kairze. Piękna, prawda? - rzekł i przysunawszy się bliżej, dotknął opuszką palca drobnej twarzyczki tajemniczej bogini Wschodu.

- Och! - zawołała Hester. - Więc byłeś w Egipcie. Jakże ci zazdroszczę!

- Owszem, dzięki tej awanturze z Napoleonem można było zwiedzić kilka pięknych miejsc, ale po wojnie byłem jeszcze parę razy w Afryce.

- Bardzo bym chciała kiedyś tam pojechać. Zawsze marzyłam o podróżach.

- Na przykład do Paryża?

- Tak, i do Rzymu, Wenecji i do Grecji, może nawet do Turcji.

- Czyżbyś także tam chciała wziąć udział w rewolucji?

- Także? - Spojrzała na niego z ukosa. - Uważasz, że jestem rewolucjonistką?

Posadził ją na wygodnym krześle przy kominku.

- A nie jesteś? - zapytał, nalewając wina. Wręczył jej kieliszek i usiadł na krześle naprzeciw niej, żałując, że w ogóle wypowiedział te słowa. Nie miał najmniejszego zamiaru prowokować Hester do dyskusji na temat, który zawsze wzbudzał jej największe emocje. Chociaż rozdrażniona wyglądała bardzo pięknie, to równocześnie rozmowa stawała się okropnie nudna, gdy Hester pozwalała, by instynkt sawantki całkowicie nią zawiadnęła. Jednak ku jego zdumieniu wybuchnęła śmiechem.

- Gdybyś mógł teraz zobaczyć, jak wyglądasz - rzekła, opanowując atak wesołości. - Oto wcielenie typowej męskiej obojętności.

- Cóż, nie każdy może wzniecać rewolucję. - Powiedział to bardzo spokojnie, ale był odrobinę zirytowany. Czyżby uważała go za gburę bez sumienia tylko dlatego, że nie podzielał jej skłonności do działań, zmierzających do naruszenia status quo tego świata? - Powiedz mi - rzekł pochyłając się lekko w jej stronę - jak to się stało, że postanowiłaś poświęcić się... naprawie naszego społeczeństwa?

- Boże mój - odrzekła zdumiona. - Nie stawiam sobie przecież za cel naprawy całego społeczeństwa. Jest tylko parę spraw, które chciałabym zmienić. Zdaje się - ciągnęła z namysłem - że wszystko zaczęło się wiele lat temu i miało związek z moimi dwiema przyjaciółkami. Z jedną z nich chodziłam do szkoły; druga była córką naszego wiejskiego aptekarza. Ojciec mojej pierwszej przyjaciółki był znanym uczonym i wprowadzał córkę w tajniki swej nauki, by mogła zostać jego asystentką. Pomagała mu w badaniach, przepisywała notatki. Był to człek oświecony i pozwalał jej intelektowi swobodnie się rozwijać, toteż gdy skończyła dwadzieścia lat, jej wiedza niemal dorównywała wiedzy ojca. Oczywiście, nikt nie miał o tym pojęcia i w ogóle nie zauważono jej wkładu w wyniki prac badawczych. Gdy uczony umarł, był właśnie w trakcie pracy nad książką swego życia, która miała przynieść taki zysk, by wystarczył na godny posag dla córki. Biedna Jennifer, bo tak miała na imię, została sama prawie bez grosza przy duszy. Doskonale dałaby sobie radę sama i ukończyła książkę, ale wydawca nie chciał o tym nawet słyszeć. Bez posagu Jennifer nie miała szans na zdobycie męża, który mógłby ją w dodatku wspierać w jej wysiłkach. Sytuacja, w jakiej się znalazła była doprawdy rozpaczliwa. Wreszcie udało się jej zdobyć posadę guwernantki przy rodzinie z licznym potomstwem. Mieszka teraz w Hereford i wciąż do siebie pisujemy.

Moja druga przyjaciółka, Elizabeth Whitcombe, córka aptekarza, była bystrą i rezolutną dziewczyną. Dość wcześnie zaciekała ją praca ojca, lecz rodzina nie zachęcała jej zbytnio, by kontynuowała naukę w tym kierunku. Doszło nawet do tego, że Jeremiasz Whitcombe groził Elizabeth, i zdaje się, nie tylko groził, że stłucze ją na kwaśne jabłko, jeśli dalej będzie się chować po kątach z jego księgami o farmacji, zamiast pomóc w domu matce.

Pod naciskiem ojca wyszła za mąż, gdy miała dziesięć lat, za dzierżawcę pewnego majątku, odpychającego

człowieka, który, jak łatwo się domyślić nie pochwalał jej głodu wiedzy. Brat Elizabeth, którego nie interesowało prowadzenie apteki i którego marzeniem było pływanie po morzach, oczywiście odziedziczył sklep ojca. Jednak ostatnio doszły mu słuchy, że już go stracił, głównie ze względu na swój pociąg do butelki. A Elizabeth - dodała bezbarwnym głosem - zmarła rok temu przy narodzinach szóstego dziecka.

Thorne bezwiednie nakrył ręką zaciśnięte dłonie Hester. Natychmiast je wyrwała, by energicznym ruchem otrzeć łzy, jakie ukazały się w jej oczach.

- Nie rozumiesz? - prawie krzyknęła. - Historie takich Jennifer i Elizabeth powtarzają się tysiące razy w całym kraju. To niesprawiedliwe, żeby kobieta miała tylko jeden wybór: albo ograniczenie aspiracji intelektualnych do posłuszeństwa w małżeństwie, zwykle z przymusu, albo upokarzające ubóstwo przez resztę życia. - Odetchnęła głęboko i mówiła dalej już spokojniejsza. - Poza tym, co często powtarzała Mary Wollstonecraft, w ten sposób naród sam pozbawia się połowy swoich możliwości, co na pewno nie pomaga mu w rozwoju.

Wbrew sobie Thorne poczuł się poruszony jej słowami. Po raz pierwszy w życiu spojrzął na kobiety zamieszkujące królestwo jak na pełnoprawnych obywateli, którzy jednak nigdy nie będą mogli swobodnie kierować swym życiem. Gdyby dać kobietom wolny wybór, pewnie większość z nich wolałaby zostawić ciężar zarabiania na życie i podejmowania ważnych decyzji na barkach mężczyzn. Ale dla niektórych, takich jak nieustraszona Hester Blayne i podobne jej bojowniczkę, które stać było na wiele więcej, takie ograniczenia były - musiał przyznać - krzyżującą niesprawiedliwością.

- I tak Hester Blayne - powiedział łagodnym głosem - stanęła na podium, by zaprotestować przeciw złu tego świata.

Hester zeszywniała.

- Zapewne doskonale się bawisz, milordzie, ale nie jestem w nastroju do drwin z pracy mojego życia.

Uczyniła gest, jakby chciała wstać, lecz Thorne powstrzymał ją, chwytając ją za rękę

- Przepraszam, Hester. Nie chciałem, by zabrzmiało to jak kpina. Naprawdę myślę, że trzeba było dużej odwagi, by odwrócić się od rodziny i wygodnego, pozbawionego trosk życia, aby pozostać wierną swoim przekonaniom. - Mówił to z niezwykłym dla niego skrzepowaniem i Hester, wbrew swoim chęciom, poczuła się poruszona.

- Mhm, tak... - bąknęła równie skrzepowana. - Rzeczywiście, nie było to łatwe, ale nie wyobrażałam sobie innego życia. - Uśmiechnęła się. - Jestem wolna i to wystarczy, żeby wynagrodzić mi wieczne oszczędzanie na wszystkim, upokorzenia, wrogość i... całą resztę.

Thorne odwzajemnił uśmiech.

- Zdaje się, że podjęłaś także kolejne wyzwanie. Nie zapominaj, że byłem przy twojej ostatniej rozmowie, niezwykle pouczającej, z lordem Pickeringiem, gdy mówiłaś o skróceniu godzin pracy dla dzieci.... nie - podniósł rękę - o całkowitym zakazie zatrudniania dzieci poniżej czternastu lat.

W oczach Hester pojawił się błysk, który zaczął sprawiać hrabiemu zagadkową przyjemność.

- Szybko się uczysz, jak na mężczyznę. To prawda - dodała, poważniejąc. - Nie ma końca niesprawiedliwości, jaka dzieje się najbiedniejszym i najbardziej bezbronnym mieszkańcom Anglii. Chociaż, trzeba przyznać, że powoli, bardzo powoli, sytuacja zaczyna się zmieniać na lepsze. Skończył się upokarzający handel ludźmi dzięki wysiłkom pana Benneta. Harry Gray Bennet, musiałeś o nim słyszeć. Jest synem hrabiego Tankerville'a i najbardziej gorącym zwolennikiem zakazu wykorzystywania małych chłopców do prac na kominach. Byłam Parą raz na obradach jego komisji w Parlamencie.

- Hm, tak, pan Bennet jest przewodniczącym komisji w Izbie, Prawda? Chyba próbował nawet przedstawić odpowiednią ustawę w Parlamencie jeszcze w tym roku, ale nie zdążył. Może uda mu się w przyszłym roku.

Hester uniosła brwi.

- Nie wiedziałam, że interesujesz się ruchem reformatorów.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, że nie mam do nich żadnych zastrzeżeń - wycedził Thorne. - Lecz nawet najbardziej zdeklarowanego hedonistę musi poruszyć los małych chłopców zapędzanych dzień w dzień na dymiące kominy. Zwłaszcza że istnieją inne sposoby ich czyszczenia, wcale nie bardziej kosztowne.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała z uśmiechem Hester. - Może więc zechcesz mi towarzyszyć na spotkaniu z panem Grayem w przyszłym miesiącu?

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł. Chciałbym jednak, jeśli tylko pozwolisz, uczestniczyć w spotkaniu, które zamierzasz urządzić tutaj w przyszłym tygodniu.

Hester opuściła wzrok i zaczęła pilnie obserwować swoje dłonie, które nerwowo skubały brzeg sukni. Nie mówiła hrabiemu o swoich planach zaproszenia przyjaciół do domu Bythorne'ów i pomyślała, że Thorne chce jej dać do zrozumienia, iż nieco nadużywa jego gościnności.

- Nie chciałam... to znaczy ciocia Lavinia uznała, że...

- Że nie będę miał nic przeciwko temu - dokończył Thorne. - Oczywiście, że nie mam. Mówiłem od samego początku, że zgadzam się, byś swobodnie podejmowała tu każdego, kogo tylko zechcesz zaprosić. Przypuszczam, że wśród tych gości znajdzie się pan Bentham?

Z nie wyjaśnionych przyczyn zarumieniła się.

- Tak, przyjdzie też Robert Carver i lady Barbara, która wyraziła wielką chęć uczestniczenia w tym spotkaniu.

- Barbara? - Thorne spojrział na nią szczerze zdumiony. - A to dopiero!  
- Przyznaję, że sama trochę się zdziwiłam. Akurat mówiłam o moich planach z ciotką Lavinia w obecności lady Barbary, więc wypadło ją zaprosić, choćby przez grzeczność. Ona tymczasem przyjęła zaproszenie z ogromną radością i obiecała na pewno się pojawić.

- No, no.

- Mam jednak nadzieję, Thorne - dodała ze śmiechem Hester - że nie będziesz mnie winić, gdyby okazało się, że wzięłaś sobie za żonę zwolenniczkę krucjaty.

- Co proszę?

Hrabia powiedział to tak lodowatym tonem, że Hester na chwilę zaniemówiła. Potem bąknęła:

- To znaczy tak rozumiałam... twoja ciotka, właściwie obie ciotki mówiły, że ty i lady Barbara... że wy...

- Pozwól więc powiedzieć sobie, droga panno Blayne, że to, co łączy mnie i lady Barbarę Freemantle, nie powinno obchodzić nikogo poza mną i oczywiście lady Barbarą.

Hester zastygła ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Naturalnie. Nie miałam zamiaru wtrącać się w twe prywatne sprawy, milordzie.

Thorne gwałtownym ruchem wyprostował się na krześle.

- Nie życzę sobie, by moja rodzina wypowiadała się w moim imieniu. Przypuszczam, że pewnego dnia istotnie ożenię się z Barbarą, lecz nie mam zamiaru dawać się zakuć w kajdany, dopóki ten dzień nie nadejdzie.

- Nie chcesz więc się z nią żenić? - spytała Hester i natychmiast uświadomiwszy sobie niestosowność swego pytania, zakryła dłonią usta. - Boże, przepraszam, nie powinnam...

- Nie chciałbym się z nikim żenić - odparł wymijająco - ale biorąc pod uwagę moją pozycję społeczną obawiam się, że to nieuniknione. Barbara jest taką samą kandydatką jak każda inna i jestem pewien, że ona tak samo myśli o mnie. Bardzo ją lubię, czego nie mogę powiedzieć o tłumie wdzięczących się panien, który dzięki moim cioteczkom miałem sposobność poznać w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Ale wiązać się na całe życie z kimś, kogo się tylko lubi... - upierała się Hester, trochę przestraszona własnym nietaktem. Na litość boską, cóż ją obchodziły plany matrymonialne tego człowieka? Dlaczego za wszelką cenę chciała się upewnić co do charakteru jego uczuć?

Spojrzał na nią z niejakim zdziwieniem.

- A czego innego można się spodziewać w takim związku? Ach w jego głosie zadrgała nuta rozbawienia. - Zapewne chodzi ci o głębsze uczucie. Masz na myśli miłość? Nie sądziłem, że jesteś tak sentymentalna, moja droga.

Hester znów oblała się pąsem.

- Moim zdaniem małżeństwo z miłości nie ma nic wspólnego z sentymentalizmem - odrzekła, zaciskając usta.

- Być może, lecz na pewno jest zjawiskiem mało realnym - powiedział Thorne znudzonym tonem.

Hester wstała.

- Żal mi cię, lordzie Bythorne. Jesteś nieczułym człowiekiem - niewrażliwym na krzywdę innych i niezdolnym do żadnych prawdziwych uczuć. To naprawdę smutne.

Thorne także się podniósł i stanął naprzeciw niej. Podniósł dłoń i dotknął jej policzka.

- Chyba nie tak całkiem nieczułym - rzekł powoli, a w jego ciemnych oczach znów pojawił się tamten blask. Uczynił gest, jakby chciał ją objąć za szyję, lecz Hester odskoczyła od niego jak oparzona.

- Mój Boże, upłynął już prawie cały wieczór. Muszę jeszcze zajrzeć do Chloe, a potem chyba sama się położę. Naprawdę miło się rozmawia, ale już się pożegnaj. Dobranoc.

Szybko odwróciła się i wyszła z gabinetu, zostawiając Thorne'a pośrodku pokoju, który nagle wydał się hrabiemu dziwnie pusty.

### 13

Można się było spodziewać, że po deklaracji, jaką John Wery złożył lordowi Bythorne'owi, niebawem ważna nowina rozniesie się wśród osób z towarzystwa za pośrednictwem „Morning Post”. Jednakże wypadki potoczyły się nieco inaczej. Kiedy Thorne poinformował Chloe, iż John oznajmił mu swe zamiary, dziewczyna w odpowiedzi spojrzała nań z nie ukrywanym oburzeniem.

- Ależ, wuju! Oczywiście, że za niego nie wyjdę! Przecież mówiłam o tym wujowi tyle razy.

- A... a fakt, że John uratował ci życie? Jeszcze wczoraj mówiłaś o nim jak o bohaterze na białym rumaku.

Policzki Chloe oblały się różem.

- No, tak. To prawda, ogromnie go podziwiam za to, co zrobił. Swoim czynem bardzo zyskał w moich oczach, ale nawet gdybym uważała go za najdoskonalszego z mężczyzn, to i tak nie miałabym zamiaru za niego wychodzić.

- Boże wielki! - krzyknął z rozpaczą Thorne. Co, u diabła, miał z nią pocać? - Hester! - ryknął po chwili.

- Panny Blayne nie ma w domu, sir - odezwał się Hobart, który w mgnieniu oka zmaterializował się obok hrabiego. - Razem z lady Lavinia miały się spotkać z lady Bracken w Muzeum Egipskim, żeby obejrzeć nową wystawę, chyba jakichś eksponatów z mórz południowych. Lady Lavinia mówiła, że wrócą dopiero na kolację.

Thorne musiał zatem uzbroić się w cierpliwość. Dlaczego, u diabła, właśnie dzisiaj Hester musi wtoczyć się po mieście i oglądać jakieś stare kości? W końcu przyjechała do domu Bythorne'ów przede wszystkim po to, by

pomóc mu poskromić wybryki Chloe. Dlaczego więc jej nie ma, gdy naprawdę jej potrzebuje?

Zresztą od ich wczorajszego *tête-à-tête* w jego gabinecie Hester była prawie nieuchwytna. Wobec hrabiego zachowywała wyniosłość pełną chłodu - niemal arktycznego zimna. Skąd miał wiedzieć, że tak bardzo się przejmie niewinnym flirtem, który właściwie sama zaczęła, ni stąd, ni zowąd wyrzucając mu nieczułość i brak serca.

Miłość! Parsknął w duchu szyderczo. Mógł się spodziewać, iż kobieta wiecznie bujająca w obłokach będzie patrzeć na instytucję małżeństwa przez wyjątkowo różowe okulary.

Cóż, w tej sytuacji musiał po prostu przeciwstawić się pokusie nocnych pogawędek z panną Przemądrzalską, toczonych w przytulnych pokoikach przy kominku. Perspektywa ta nieoczekiwanie przepełniła go poczuciem dotkliwej samotności. Przed oczyma stanęła mu ich ostatnia rozmowa. Na pewno nie było w niej cienia dwuznaczności ani prób żadnych umizgów z jego strony - co sam uważał za niezwykle zjawisko. Dotąd zawsze, gdy rozpoczynał rozmowę sam na sam z kobietą, miał na myśli tylko jeden cel. A jednak w tym przypadku potrafił cieszyć się samą rozmową z Hester, którą traktował niemal jak przyjaciela. Chociaż, prawdę powiedziawszy, niewielu spośród jego przyjaciół umiało mówić tak ciekawie o tylu rzeczach jak Hester - a podobne zdolności u kobiety zazwyczaj zniechęcały hrabiego, który marzył wówczas tylko o tym, by uciec od takiej damy jak najdalej. Musiał przyznać, że nigdy przedtem nie spotkał kogoś takiego jak Hester i nikt nie wywarł na niego takiego wpływu jak ta drobna osobka.

Odkrył, że od niedawna spogląda na świat innymi oczami niż dotychczas. Na rogu ulicy zobaczył starą straganiarkę sprzedającą jabłka. Zastanawiał się, czy gdyby ta kobieta mogła mieć dostęp do edukacji, zastrzeżonej tylko dla nielicznych mężczyzn, może pewnego dnia jakieś jej odkrycie przyczyniłoby się do rozwoju, na przykład medycyny?

Hrabia urodził się w świecie bogactwa i przywilejów - ale setki tysięcy ludzi nie miało takiego szczęścia. Do czego zaś doszliby niektórzy z nich, gdyby dana im była podobna szansa?

Nawet wśród kobiet równych mu urodzeniem było wiele takich, które w niczym nie ustępowałyby mężczyznom w roli na przykład zręcznych finansistów - a może nawet w rządzie? Thorne zaśmiał się cicho na myśl o Gussie wymierzającej sprawiedliwość z wyżyn ław rządowych. A potem pomyślał o Hester. Bez trudu mógł ją sobie wyobrazić odzianą w szatę parlamentarzysty.

Mimo wszystko jednak... Westchnął. To okropne, że jest tak potwornie pruderyjna.

To okropne, że lord Bythorne jest takim niepoprawnym libertynem, myślała po raz chyba setny Hester, spacerując po salach Muzeum Egipskiego. Zwykle dzieła kultury antycznej bardzo pochłaniały jej uwagę, lecz dziś jakoś nie umiała się skupić na oglądanych eksponatach. Mimo najlepszych chęci jej myśli wciąż wracały do wczorajszego wieczoru, gdy wybiegła z gabinetu Thorne'a.

Nie chciała wtedy uciec. Była przynajmniej na tyle uczciwa, by się do tego przed sobą przyznać. Kiedy dotknął jej policzka, ugięły się pod nią kolana i przez chwilę walczyła ze sobą, by nie osunąć się bezwolnie w jego ramiona, którymi - była tego pewna - za chwilę by ją otoczył. Dobry Boże, co się z nią działo? Miała przecież spore doświadczenie i umiała dać do zrozumienia nadskakującym mężczyznom, że nie jest zainteresowana ich względami. Zdawała sobie sprawę, iż nie pociąga ich wcale jej wątpliwy powab, lecz fakt, że otwarcie przyznawała się do przynależności do ruchu sufrażystek. Dla niektórych mężczyzn był to sygnał - mówiła im „nie”, co w ich oczach stawało się zachętą do dalszych działań. Widocznie czcigodny lord Bythorne był jednym z nich. A może po prostu miał już taką naturę, że nie umiał spojrzeć w oczy żadnej kobiecie, nie podejmując próby zamachu na jej cnotę.

Westchnęła. Ta myśl wydała się irytująca, gdyż Hester musiała szczerze wyznać, że tamta dyskusja sprawiła jej przyjemność. Hrabia ukazał bowiem taką stronę swojej osobowości, której istnienia nawet nie podejrzewała. Okazało się, że ten człowiek jest wrażliwy na krzywdę, jaka działa się innym. Może jest więc dla niego jakaś nadzieja? Chyba jednak nie, przynajmniej dopóki nie wyzwoli się z tej niezdolnej skłonności do nastawiania na cześć każdej kobiety, jaką spotykał na swej drodze.

W każdym razie ona zamierzała tę drogę niedługo opuścić. John poprosił o pozwolenie na oficjalne zabieganie o względy Chloe, a bohaterstwo, jakie wykazał podczas tamtego wypadku powinno skłonić dziewczynę do przyjęcia jego zalotów. Zapewne za parę tygodni zostaną ogłoszone ich zaręczyny i Hester Blayne, emancypantka, będzie mogła wrócić do domu, do swych książek, przemówień i szarej codzienności życia, którą uważała za bardzo pożyteczną.

Przekonywała się, jak dobrze będzie znowu zamieszkać w cichym i spokojnym Overcross. Owszem, krótki pobyt w metropolii bardzo się jej podobał, ale - wreszcie myśl, której Hester nie pozwalała dotąd Ujrzeć światła dziennego, została ubrana w słowa - ostatnio za bardzo polubiła towarzystwo Thorne'a. To prawda, pociągał ją fizycznie, lecz z tym umiała sobie poradzić. Ale gdy sama rozmowa z nim uderzała jej do głowy jak szampan był to wyraźny sygnał, że najwyższy czas się wycofać. Nie mogło być dla niej gorszej zguby niż związek z mężczyzną, którego jedynym celem w życiu było uwiedzenie jak największej liczby kobiet, które kolekcjonował z hedonistyczną satysfakcją niczym trofea myśliwskie.

Oczywiście, nie miała powodów do obaw, jeśli chodziło o hrabiego. Jego zdawkowe próby flirtu były tylko

nawykiem - odpowiedzią na rzucone jego męskości wyzwanie. Naturalnie, z porażką w ogóle się nie liczył. Jeśli natomiast jego lordowska mość hrabia Bythorne kiedykolwiek rozważałby możliwość ożenku, na pewno nie miałby na względzie jej skromnej osoby. Raczej zwróciłby się ku pięknej lady Barbarze Freemantle.

Postanawiając trzymać się tych i innych, równie zbawiennych myśli, Hester powróciła do świata antyku. Niedługo potem, wraz z lady Lavinia i lady Bracken, posiliły się ciasteczkami i herbatą w pobliskiej cukierence. Kiedy więc wróciły na Curzon Street, popołudnie miało się już ku końcowi. Ich wejście przywitały odgłosy gwałtownej kłótni, dobiegające z sali fortepianowej, która znajdowała się tuż za pierwszą kondygnacją schodów prowadzących na pierwsze piętro.

- Nie zrobię tego! - krzyknął znajomy głos, na dźwięk którego wszystkie trzy damy spojrzały po sobie z konsternacją i jak jeden mąż wbiegły po schodach. Wpadły do pokoju i zobaczyły Chloe, która siedziała na stołku przy fortepianie i płakała, ocierając wartkie strumienie łez koronkową chusteczką. Nad nią zaś stał Thorne, wyglądający jak chmura gradowa kotłująca się od błyskawic, która lada chwila może dać początek straszliwej nawałnicy.

- Chloe - mówił hrabia z wyrzutem. - Wery w każdej chwili może się pojawić na progu i kiedy przyjdzie, na miłość boską, chcę żebyś...

- Thorne! - krzyknęła Hester. - Chloe! Co się tutaj dzieje?

- Dobry Boże! - pospieszyła jej w sukurs lady Bracken. - Wrzeszczycie jak przekupnie. Na pewno wszyscy sąsiedzi świetnie już wiedzą o co się kłócicie.

Lady Lavinia milczała, tylko bez tchu obserwowała rozgrywającą się przed nią scenę.

Zauważywszy wejście Hester, Chloe skoczyła na równe nogi, podbiegła do niej i rzuciła się jej na szyję.

- Och, Hester! - zawołała. - Tak się cieszę, że już jesteś. Boże drogi, czy ktoś był kiedy tak prześladowany jak ja?

- Na litość boską! - parsknął zniecierpliwiony Thorne. - Rzeczywiście, wielka ci się dzieje krzywda. - Zwrócił się do Hester. - Gdzie się, u diabła, podziewałaś? - Hester zaniemówiła z oburzenia, ale hrabia natychmiast uniósł dłoń w pełnym skruchy geście. - Przepraszam - rzekł. - Chyba przestaję nad sobą panować. - Wziął głęboki oddech, a tymczasem Hester wyswobodziła się z uścisku Chloe i posadziła ją na krześle przy oknie. - Powiedziałem właśnie mojej smarkatej Podopiecznej o zamiarach Johna Wery'ego, który chce ją prosić o rękę, a ona... ona nie zgadza się przyjąć jego oświadczeń - dokończył, jakby nie wierząc własnym słowom.

- Wielkie nieba - powiedziała wreszcie lady Lavinia, po czym wszystkie trzy damy spojrzały na dziewczynę z niedowierzaniem, choć o różnym natężeniu.

- Dobry Boże, dziewczyno! - zawołała lady Bracken. - Cóż to za głupstwa?

Chloe dostała nowych spazmów: osunąwszy się na kolana, wtuliła twarz w spódnicę Hester. Patrząc ponad jej pochyloną głowę, Hester spotkała wzrok Thorne'a i prawie niedostrzegalnym ruchem wskazała mu głowę drzwi. Hrabia otworzył usta, chcąc widocznie zaprotestować, ale po chwili je zamknął.

- Chodź, Gussie - rzekł, przerywając ciotce przemowę, którą właśnie zaczynała. - Ciociu Lavinio - dodał, prowadząc obie damy w stronę drzwi. Kiedy wychodzili z pokoju, Gussie nie przestawała mówić.

Hester pochyliła się nad Chloe.

- Już dobrze, moja droga. Wszystko w porządku. Wszyscy sobie poszli i możemy spokojnie porozmawiać. - Wyciągnęła czystą chustkę i poczęła osuszać zapuchnięte oczy swej pupilki. Po jakimś czasie dziewczyna przestała płakać, choć od czasu do czasu wstrząsał nią krótki szloch.

- Co ja mam teraz zrobić, Hester? - zapytała żałośnie. - Zrobiłam przecież, jak radziłaś. Staralam się spełniać wolę wuja Thorne'a, godzinami mówiłam z Johnem o emancypacji, opowiadałam o kosztownościach i eleganckich domach londyńskich i co? Jestem z nim prawie zaręczona! Och, Hester! - Jej oczy znów napełniły się łzami. - Nie potrafię tego znieść.

- Cóż - odparła Hester najnaturalniej w świecie. - Nikt nie zmusza cię, żebyś to, jak mówisz, zносиła. Jeśli naprawdę uważasz, że nie możesz wyjść za pana Wery'ego, po prostu musisz mu o tym powiedzieć.

Chloe zapomniała na chwilę o własnej rozpacz i obróciła na Hester zdumione spojrzenie.

- Ale... ale co ja powiem wujowi, cioci Gussie? A przede wszystkim, jak ja to powiem Johnowi?

- O wuja i ciotkę nie musisz się martwić, zostaw ich mnie - odrzekła szybko Hester. - Natomiast Johnowi możesz po prostu powiedzieć bez ogródek: „W pełni doceniam zaszczyt, jaki mnie z pańskiej strony spotyka, panie Wery, ale obawiam się, że nie pasujemy do siebie”. Być może, będziesz musiała powtórzyć to kilka razy, aż zrozumie, że naprawdę nie masz zamiaru za niego wychodzić.

- Wygląda, że to bardzo proste.

- Bo to naprawdę nic trudnego. Trzeba tylko pamiętać, żeby cały czas zachowywać godność.

Chloe przez chwilę milczała, bawiąc się zmiętą chusteczką. Kiedy w końcu podniosła oczy, posłała Hester przyzmiłne spojrzenie.

- A czy ty nie mogłabyś porozmawiać z Johnem zamiast mnie? - spytała niewinnie. - Wiem, że to wyjątkowe tchórzostwo z mojej strony, ale... Och, Hester, nie umiałabym mu spojrzeć w oczy. Nie można łamać komuś serca i jednocześnie zachować godność.

- Nic podobnego - odparła natychmiast Hester. - To w ogóle nie wchodzi w grę. Poza tym byłoby to nadzwyczaj

niestosowne, nie sądzisz? Jeżeli zamierzasz złamać mu serce, powinnaś to zrobić patrząc mu w oczy.

Chloe ponownie spuściła wzrok.

- Chyba masz rację. Och, jak w ogóle wuj Thorne mógł mu wmówić, że przyjmę jego oświadczenia?

Hester uśmiechnęła się.

- Być może dlatego, że bardzo sobie życzył, by tak właśnie się stało. Poza tym musisz przyznać, Chloe, że ostatnio sama dawałaś nam do zrozumienia, że twój stosunek do pana Wery'ego uległ ogromnej zmianie.

Chloe popatrzyła na nią zdziwiona.

- Ależ naprawdę zmieniałam o nim zdanie! Bardzo mi zaimponował. Jednak - zaczerwieniła się po włosy - to wcale nie znaczy, że się w nim zakochałam albo że zgodzę się za niego wyjść. Myślę, że wuj Thorne lepiej od innych potrafi to zrozumieć - dodała z goryczą. - Świata nie widzi poza lady Barbarą, ale nie widzę, żeby padał przed nią na kolana i prosił ją o rękę.

- Rzeczywiście - przyznała Hester trochę niepewnie. - Lecz jak już zapewne zauważyłaś, mężczyźni nie mają takiego daru wrażliwości wobec uczuć innych jak my, kobiety.

Chloe nie powiedziała ani słowa, tylko głęboko westchnęła i tak trwały przez chwilę w pełnym ciszy rozmowie.

- Dobrze - powiedziała wreszcie Hester. - Chyba powinnaś teraz pójść do swego pokoju. Lada chwila może nadejść pan Wery, a niedobrze by było, gdyby zastał cię we łzach.

Chloe podniosła się z klęczek z jeszcze bardziej rozdzierającym westchnieniem i pozwoliła zaprowadzić się do hallu, a potem na schody prowadzące do jej sypialni. Tam Hester przekazała ją w opiekuńcze ręce Pinkham. Następnie zeszła na dół i znalazła Thorne'a wraz z ciotkami w salonie. Wszyscy wyglądali na bardzo wzburzonych.

- No i co? Udało ci się wlać odrobinę rozsądku do głowy tej małej złośnicy? - odezwał się Thorne. Słowa te nie zabrzmiały zbyt obiecująco.

- Nie - odrzekła krótko Hester. - Natomiast zamierzam przemówić do twego rozsądku i ufam, że pójdzie mi lepiej.

- Ależ Hester - włączyła się Gussie. - Jesteś jedyną osobą, której ona posłucha, i jeśli jej nie przekonasz, żeby przyjęła oświadczenia pana Wery'ego, co zrobimy?

- Usiądźmy na chwilę, proszę - rzekła Hester, wykazując podziwu godny spokój. - Naprawdę nie ma powodów do rozpacz.

Lady Lavinia była wyraźnie zdenerwowana, lecz posłusznie usiadła, a po kilku chwilach protestów usiedli także Gussie i Thorne. Hester nabrała głęboko powietrza.

- Chloe wydaje się wciąż nieugięta w swoich poglądach na temat małżeństwa, więc poradziłam jej, by odmówiła swej ręki panu Wery'emu.

- Co?! - ryknął Thorne. - Dobry Boże, tylko w taki sposób umiesz rozwiązać ten problem?

- Tak jest - odparła spokojnie Hester. - Przynajmniej na razie. Moim zdaniem Chloe jest już na pół zakochana w Johnie Werym, nawet jeśli nie w pełni zdaje sobie z tego sprawę, więc nie trzeba wielkiego wysiłku, aby ją popchnąć w tę przepaść, by tak rzec. Zbyt długo i zbyt kurczowo trzymała się przekonania, iż najlepszym sposobem na życie jest celibat, że potrzeba trochę czasu, by zmieniła zdanie. Jeśli tylko będziemy wystarczająco cierpliwi, jestem pewna, że już niedługo zobaczymy na jej ręku pierścionek zaręczynowy.

- To zbyt zawile - mruknął Thorne. - Powiadam wam, czas najwyższy, żeby raz na zawsze skończyć z kapryсами panny Venable.

- Zdaje się, że już próbowałaś z dosyć marnym skutkiem. Jeżeli zatem pozwolimy...

Przerwał jej dźwięk kołatki do drzwi. Cała czwórka konspiratorów wstrzymała oddech i czekała w napięciu na lokaja. Po chwili do salonu wszedł Hobart i zaanonsował pana Johna Wery'ego, który przyszedł złożyć wizytę paniencie Chloe. Jego słowa spowodowały nową lawinę wyrzutów pod adresem Hester, która nagłym ruchem uniosła dłoń i uderzyła nią w stojący nieopodal stolik. Od razu zapanowała cisza jak makiem zasiał.

- Proszę - powiedziała zdecydowanym, choć przyciszonym głosem. - Nie mamy teraz czasu na dyskusje. Musicie mi zaufać. - Mówiła do wszystkich obecnych w salonie, ale patrzyła na Thorne'a, który zdołał wytrzymać jej spojrzenie.

- Doskonale - rzekł wstając. - Co zatem mamy zrobić?

- Ależ, Thorne! - krzyknęła Gussie, a lady Lavinia powtarzała tylko: „Wielkie nieba, wielkie nieba!”

- Zaprosiłam tu pannę Blayne, aby mi pomogła - rzekł Thorne do swych zrozpaczonych ciotek. - W tej sprawie nie widzę więc lepszego wyjścia, jak tylko dać jej wolną rękę i pozwolić przeprowadzić własny plan.

Następnie zwrócił się do Hester; jego twarz wyrażała spokój, tylko w oczach miał złowroźne błyski.

- Co więc mamy zrobić? - powtórzył.

- Dziękuję, Thorne - odrzekła Hester. - Chciałabym pomówić chwilę z panem Werym w cztery oczy. Potem poślę na górę po Chloe. Przyrzekam - dodała z uśmiechem, który był niemal filuterny - że wszystko wyjaśnię później.

Hrabia nie odwzajemnił uśmiechu, tylko odwrócił się i wyszedł z salonu, wiodąc za sobą ciotki.

Hester usiadła i założywszy ręce czekała na pana Wery'ego, który po chwili został wprowadzony. Jeśli nawet



zdziwił go fakt, że zamiast swej ukochanej zastał w salonie pannę Blayne, nie dał tego po sobie poznać. Przywitał się bardzo grzecznie i usiadł.

- A więc przyszedł pan z wizytą do Chloe - zaczęła Hester, a John Przytaknął, unosząc pytająco brwi.

- Owszem, dano mi do zrozumienia, że panna Venable jest w domu i przyjmuje gości. - Stwierdzenie to zabrzmiało jednak w jego ustach jak pytanie.

- O, tak - odrzekła Hester. - Chciałam tylko zamienić z panem słówko, mm służba powiadomi ją o pańskim przybyciu.

- Ach - powiedział John z rosnącym zdziwieniem.

- Panie Wery, to prawda, że nie znamy się zbyt dobrze, ale zdążyłam się bardzo zaprzyjaźnić z Chloe i z... z lordem Bythorne'em. Już pan wie, że hrabia bardzo przychylnie patrzy na pańskie starania o jej rękę, ja także. - Hester głęboko odetchnęła. - Właściwie jedyną osobą, która ma coś przeciw pańskim zamiarom jest sama Chloe.

- Co? - zawołał John. - Przecież dano mi do zrozumienia, że... że...

- Proszę mi uwierzyć, panie... czy wolno mi mówić panu po imieniu? Wydaje mi się bowiem, że staniemy się bliższymi znajomymi.

- Oczywiście - odparł John z nieco błędnym wzrokiem. - Ale...

- Uwierz mi, proszę - powtórzyła Hester, gdyż wcześniej bardzo starannie przygotowała sobie tę mowę. - Chloe bardzo cię szanuje, ale obawiam się, iż jest w tym dużo mojej winy, że zdecydowała się odrzucić twoje oświadczenia, jeśli naturalnie nadal jesteś gotów prosić ją o rękę.

- Pani winy! Przecież sama pani powiedziała... - John przejechał drżącymi palcami przez swe bure włosy.

- Owszem, to moja wina, ponieważ to właśnie przeze mnie Chloe jest przejęta ideami feminizmu.

- Istotnie, wiele razy wyrażała się o pani z największym podziwem.

- Obawiam się jednak, że trochę opacznie rozumiała niektóre z moich myśli, wyciągając z nich wnioski, że kobieta nie powinna w ogóle wychodzić za mąż.

- Ach, tak. - Na twarzy Johna począł się pojawiać cień zrozumienia.

- Tak, właśnie - potwierdziła Hester. - Postanowiła zatem całkowicie poświęcić się idei emancypacji i spędzić resztę życia pisząc i wygłaszając mowy na rzecz równouprawnienia kobiet.

John milczał przez chwilę, a Hester pilnie go obserwowała. Parę sekund spoglądał przed siebie nie widzącym wzrokiem, po czym odchrząknął, jakby zdołał się pozbierać po tym, co właśnie usłyszał.

- Muszę wyznać, panno Blayne, że pani słowa mną wstrząsnęły. Naturalnie zauważyłem, że postawa Chl... panny Venable wobec mnie jest daleka od entuzjazmu, ale wczorajszego wieczoru... Sądziłem, że ten wypadek, który razem przeżyliśmy, zbliżył nas do siebie i zdawało mi się...

- John, dlaczego właściwie chcesz ożenić się z Chloe?

Spojrzała na nią, jakby nie pojmując, o czym mówi.

- S-słucham?

- Powiedziałam...

- Tak, słyszałem - odparł pospiesznie. - Dlaczego pani o to pyta, panno Blayne?

Hester uśmiechnęła się.

- Chciałeś pewnie zapytać „A cóż to może panią obchodzić, panno Blayne”, prawda?

John zarumienił się.

- N-no, tak.

- Pytam o to, ponieważ mam wrażenie, że mogę ci pomóc. Zanim to jednak zrobię, muszę najpierw upewnić się co do uczuć, jakie wobec niej żywisz.

John chrząknął.

- Oczywiście, bardzo szanuję pannę Venable. - Dostrzegając jednak, że panna Blayne czeka na coś więcej, wyjaśnił: - Jest piękna i... i taka wesoła, i dotąd sądziłem, że doskonale będziemy do siebie pasować jako małżeństwo.

Hester westchnęła.

- A czy kiedykolwiek mówiłeś jej, że jest piękna i wesoła?

Żachnął się urażony.

- Oczywiście że nie! Sądzi pani, że jestem jakimś pierwszym lepszym uwodzicielem?

- Absolutnie nie - odparła chłodno. - Ale to nie ma nic do rzeczy. Kochasz ją, John? - spytała łagodnie.

John wyraźnie zbladł, jakby go oskarżono o zamiar sprzedania panny Blayne do domu publicznego.

- Już mówiłem, bardzo ją szanuję...

- Tak, tak. - Hester machnęła niecierpliwie ręką. - Ale to przecież nie to samo, prawda? Chcę wiedzieć, co naprawdę do niej czujesz.

- Nie wyobrażam sobie życia bez niej - burknął John. - Lubię być przy niej, a kiedy jej nie ma, czuję okropną pustkę. Lubię po prostu na nią patrzeć, ale o wiele bardziej lubię trzymać ją w ramionach w tańcu.

- I?

- Tak - powiedział z nieszczęśliwą miną. - Kocham ją. Lecz co to może zmienić, jeśli ona nie odwzajemnia moich

uczuc? - Wstał bardzo blady. - Mam wrażenie, że powinienem już iść, panno Blayne. Nie ma sensu, żebym miał ją teraz unieszczęśliwiać swoimi oświadczeniami, nie chciałbym też doznać upokorzenia, gdy mi odmówi.

W oczach Hester błysnęło zadowolenie.

- Usiądź, John. Nie wszystko jeszcze stracone. Zaufaj mi, mam bowiem pewien plan.

John niechętnie opadł z powrotem na krzesło. Jego mina wyrażała powątpiewanie.

- Za chwileczkę dam znać Chloe, że już jesteś, a kiedy tu zejdziesz, oświadczysz się.

Młodzieniec skoczył jak oparzony na równe nogi. Hester powstrzymała go gestem i mówiła dalej. W miarę jak rozwijała przed nim szczegóły swego planu, twarz Johna stopniowo się rozjaśniała. Wreszcie gdy przerwała na chwilę, by nabrać powietrza, w jego oczach pojawił się cień uśmiechu.

- Chyba jedno z nas dwojga musi być szalone, panno Blayne, ale nie odważę się teraz zgadywać kto. Mimo to zrobię dokładnie tak, jak sobie pani życzy. Zdaje się, że powiększę grono pani wielbicieli, na dobre czy złe, wkrótce się przekonamy.

#### 14

W niedługi czas potem do salonu weszła Chloe. John czekał na nią już sam. Dziewczyna była bardzo blada i wciąż jeszcze roztrzęsiona, choć Pinkham zdołała usunąć z jej twarzy ślady niedawnego płaczu. Uśmiechnęła się słabo, gdy John musnął ustami końce jej palców, i pozwoliła się posadzić na małej kanapce pod oknem.

- Panno Venable - zaczął John. Mówił miękkim głosem, uważnie patrząc w jej oczy. - Ufam, że już ochłonęła pani po naszej wczorajszej przygodzie.

Chloe drgnęła i opuściła spojrzenie na swoje ręce - jedna z nich wciąż spoczywała w uścisku Johna.

- O tak, oczywiście. Chociaż nigdy o tym nie zapomnę. - Odważyła się rzucić mu krótkie spojrzenie spod rzęs, lecz spotkawszy jego wzrok, natychmiast się spłoniła.

- Panno Venable - powtórzył John. - Droga panno Venable, widzę, że już pani wie, iż rozmawiałem z lordem Bythorne'em i...

- Boże drogi! - zawołała Chloe, przerywając mu w pół słowa. - Czy nikt się nie zatroszczył, żeby podać panu herbatę? To poważne zaniedbanie ze strony Hobarta.

Wyrwała dłoń z jego ręki, wstała gwałtownie, podeszła do dzwonka i energicznie pociągnęła za tasiemkę. Kiedy wróciła na kanapkę, usiadła odrobinę dalej od niego niż przedtem. Hobart pojawił się niemal natychmiast, co mogło nasuwać podejrzenie, że podsłuchiwał pod drzwiami. Chloe drżącym głosem poleciła mu podać podwieczorek, a gdy lokaj uklonił się i wyszedł, zwróciła się do Johna i zaczęła mówić z wielkim ożywieniem:

- Muszę wysłać liścik do Sophy Salburst i zapytać o zdrowie jej mamy. Biedna pani Salburst, kiedy wróciliśmy do domu, była w takim stanie, że na pewno dostała silnych palpacji.

- Rzeczywiście, wyglądała na bardzo rozstrojoną. Panno Venable...

- Trochę się zdziwiłam, że wczoraj spadł taki deszcz, bo w prognozach nie było o tym żadnej wzmianki. A dzisiaj takie słońce...

- Panno Venable - powiedział łagodnie John. - Chloe. Nie przyszedłem tu po to, by rozmawiać o pogodzie w południowo-wschodniej Anglii. - Chwycił stojące nieopodal krzesło, postawił je na wprost dziewczyny i usiadł. Tym razem chwycił ją za obie ręce. - Nie chciałbym cię, broń Boże, wystraszyć, najdroższa, ale przyszedłem dziś prosić cię, abys została moją żoną.

- Ooooooch! - jęknęła przerażona Chloe. Zagryzła wargi. - Panie Wery, to takie niespodziewane, ja... - Uniosła oczy i napotkała utkwione w niej wyczekujące spojrzenie. - Nie, chyba nie potrafię tego powiedzieć. - Spróbowała wyszarpnąć dłonie z uścisku i nie spotkała się z żadnym oporem z jego strony. Nabrała powietrza w płuca. - Panie Wery, zdaję sobie sprawę z zaszczytu, jaki mnie spotyka, ale obawiam się, że nie pasowalibyśmy do siebie. Postanowiłam poświęcić życie sprawie emancypacji i walce o równouprawnienie kobiet. - Powiedziała to bardzo szybko, po czym utkwiała w nim pełen łęku wzrok.

John odsunął krzesło i wstał. Przez chwilę spoglądał na nią z góry.

- Nie widzisz zatem w swoich planach miejsca dla męża i rodziny? - spytał z uśmiechem.

- Nie! To znaczy... muszę przyznać, panie Wery, że małżeństwo jest dla mnie jedną z form niewolnictwa.

- Ach, tak. - John znów przysunął do niej krzesło i usiadł. - Może gdyby...

W tym momencie na nieszczęście otworzyły się drzwi i do salonu wszedł Hobart ze służącym, który dźwigał tacę z herbatą. Kiedy ustawiał na stole filiżanki, spodeczki i talerz z ciasteczkami, w pokoju panowała krępująca cisza. Wreszcie służba wyszła, a Chloe naala herbaty, czemu towarzyszyło głośne brzękanie delikatnej, miśnieńskiej porcelany. Poczęstowała Johna ciastkiem, ten jednak odmówił.

- Przykro mi...

John spojrział na nią szybko, gdyż powiedziała to bardzo płaczliwym tonem.

- Jestem dziś wyjątkowo niezdar. Pewnie dlatego... - Zabrakło jej tchu, a potem wybuchnęła krótkim, nerwowym śmiechem. - Chyba nigdy nie byłam sam na sam z mężczyzną tak długo. Moje ciotki czekają na górze i kiedy tylko pan wyjdzie, zaraz rzucą się na mnie i zaczną wypytywać, jak przebiegła nasza rozmowa. Gdy im powiem... - Nagle uderzyła w płacz, a John po chwili konsternacji padł przed nią na kolana.

- Proszę - powiedział, bezskutecznie próbując ją uspokoić. - Przestań, proszę. Nie chciałem sprawić ci przykrości.

Och, Chloe... i ja - Delikatnie otoczył ją ramieniem i położył jej głowę na swoim ramieniu. - Przecież nie będę nalegał. Jeśli nie chcesz wyjść za mnie, to ja... uszanuję twoją wolę.

Odsunęła się gwałtownie i popatrzyła na niego oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia. Na jej rzęsach połyskiwały łzy.

- To znaczy? - spytała niemal bez tchu.

John wydobył z kieszeni chustkę i zaczął ocierać jej oczy. W tym geście było tyle dobrotliwej czułości - jakby pocieszał zapłakane dziecko, a nie ukochaną - że Chloe uspokoiła się.

- Ponad wszystko chcę, żebyś była szczęśliwa, Chloe. Boleję nad tym, że moja propozycja jest dla ciebie przykra, ale uszanuję twoją decyzję.

Wstał.

- Chyba nie zostanę na podwieczorku. Pójdę już, Chloe, moja najdroższa Chloe. - Dziewczyna otworzyła w zdumieniu usta. - Ale chcę, abyś wiedziała, że jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie, będę czekał.

Pochyliwszy się, wziął ją za rękę i ponownie złożył na niej pełen szacunku pocałunek. Potem ruszył ku drzwiom, ale trzymając już prawie dłoń na klamce, zatrzymał się nagle i odwrócił.

- Zapomniałem powiedzieć... wyglądasz dziś prześlicznie, jak zawsze.

Po czym wyszedł.

Chloe opadła wyczerpana na kanapę. Jęknęła rozdzierająco, przysłaniając dłonią usta. Długo jeszcze siedziała w bezruchu, zanim wstała i wyszła z salonu.

Ku jej zdziwieniu, nikt nie czyhał na nią pod drzwiami i nie zasypywał gradem pytań. Wyglądało, jakby ani ciotek, ani wuja Thorne'a nie było w domu. Pobiegnęła więc na górę i zapukała do drzwi Hester. Usłyszawszy ciche „proszę”, nacisnęła klamkę i wpadła z impetem do pokoju, gdzie Hester pisała, siedząc przy biurku.

- Och, Hester! - zawołała Chloe. - To był najokropniejszy dzień w moim życiu!

- Przesadzasz - odparła z przekonaniem Hester. - Nie było chyba aż tak źle. Opowiedz mi, co się stało.

- To było straszne! Odmówiłam mu ręki, a on zachował się tak szlachetnie, tak dzielnie! Powiedział - jęknęła - że zależy mu tylko na moim szczęściu!

- Nie widzę więc powodu, dla którego miałabyś tonąć we łzach. Widzisz? Mówiłam ci: wystarczy tylko taktownie odmówić.

- Ależ ja mu zламаłam serce!

- Bzdura. Serc nie łamie się wcale tak łatwo. Zaręczam ci, że nie dalej niż za miesiąc skieruje swe uczucia ku innej ładnej i młodej panie i nie będzie sobie mógł nawet przypomnieć twojego imienia. Widzisz więc, jak dobrze się stało.

- Jak możesz być tak nieczuła, Hester? - Chloe prawie straciła dech z oburzenia. - Powiedział, że będzie czekał, aż zmienię zdanie.

- Och, oni wszyscy tak mówią - odparła z prostotą Hester. Z wesołym uśmiechem na obliczu pochyliła się nad biurkiem. - Wybacz, proszę, ale muszę wrócić do pracy. Jeśli nie skończę dziś tego rozdziału, będę okropnie spóźniona w moich planach. Pozwolisz? - dodała dla przyzwoitości, biorąc pióro do ręki.

- Oczywiście - odrzekła zimno Chloe. - Sama mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

Obróciwszy się na pięcie z gniewem, pełnym godności krokiem wyszła z pokoju.

Hester patrzyła przez dłuższą chwilę na drzwi, za którymi zniknęła, po czym uśmiechnęła się.

Wieczór upłynął w prawie całkowitej ciszy. Lady Bracken nie została na kolacji. Lady Lavinia wyglądała na zupełnie zatopioną w myślach, a Chloe z obojętnym wzrokiem dziobała widelcem zawartość talerza. Na Thorne'a i Hester spadł więc ciężar podtrzymywania wątlej rozmowy.

- Czy nie wspomniałaś ostatnio, że niedługo będziesz miała odczyt? - zapytał Hester Thorne.

- Zgadza się. Zaproszono mnie na spotkanie dla kobiet z Seven Dials. Mój wykład będzie możliwy dzięki wsparciu sir Gerarda Wellesa i odbędzie się w gospodzie Pod Błękitnym Dzikim.

Thorne zmarszczył brwi.

- Dobry Boże, nie możesz tam iść.

Hester rzuciła mu zaskoczone spojrzenie znad talerza.

- Dlaczego?

- Bo... musisz wiedzieć, że to bardzo... nieciekawe miejsce.

- Owszem, wiem, ale będzie ze mną Trevor i...

- Ach, tak - rzekł Thorne lodowatym tonem. - Uspokoiłaś mnie zupełnie. Cóż ci się może stać w towarzystwie dzielnego pana Benthama?

Hester spłoniła się.

- Nie sędzę, by cokolwiek mogło się przytrafić, lecz zapewniam cię, że będą nam towarzyszyć jeszcze stangreci, chłopak stajenny i prawdopodobnie służący, a może nawet dwóch.

Thorne nie rozchmurzył się jednak.

- Mimo to nie podoba mi się ten pomysł.

- Przykro mi to słyszeć, ale powinieneś wiedzieć, mój panie, że bez względu na to swojej decyzji nie zmienię. Nie

zwykłam ulegać czyjemuś widzimisię.

Thorne otworzył usta, ale Chloe, która dotychczas nie włączała się do rozmowy, pisnęła nagle:

- Wuju, ja też zamierzam pojechać na ten odczyt. - Jej oczy wyrażały niezłomny upór.

- Nie ma mowy - uciął krótko hrabia.

Hester westchnęła. Nie miała jeszcze okazji rozmawiać w cztery oczy z Thorne'em na temat swych najnowszych planów związanych z przyszłością Chloe. Boże wielki, hrabia pozostawiony bez instrukcji i polegający wyłącznie na własnej inwencji, gotów jest wszystko zepsuć! Odchrząknęła.

- Jestem pewna, że Chloe skorzystałaby z tego odczytu. - Postąpiła Thorne'owi znaczące spojrzenie, ale hrabia skierował właśnie piorunujący wzrok na swą podopieczną, toteż nie zauważył znaków, jakie usiłowała dać mu Hester.

- Jakież to korzyści może odnieść Chloe z kontaktów z grupką malkontentów i radykałów? - Thorne wreszcie odwrócił się i spojrzał w oczy panny Blayne.

- Na pewno byłoby to niezwykle pouczające. Zobaczyłaby na własne oczy, jak wygląda prawdziwe życie... człowieka idei, czym się zajmuje, jakich spotyka ludzi.

Thorne znów otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale natychmiast zmienił zamiar, powstrzymany spojrzeniem Hester, które było tak stalowo zimne, że hrabia omal nie udławił się kęsem frykanda wołowego. Machnął więc tylko lekceważąco ręką, w której trzymał widelec.

- Później o tym porozmawiamy - rzekł, a Hester odetchnęła z ulgą.

Owo „później” nastąpiło dwie godziny potem w salonie, gdzie zeszli się Thorne, Hester i lady Lavinia. Chloe, która odtrąciła pierwsze w swoim życiu oświadczenia, potem została prawie zupełnie zlekceważona przez swą wychowawczynię, potem zaś dostała burę od opiekuna i wysłuchała pełnej wyrzutów i też przemowy ciotki Lavinii - uznała, że to wystarczy jak na Jeden dzień i dość wcześnie położyła się do łóżka, wymawiając się migreną.

- A więc, Hester - rzekł Thorne, pocieszając się szklaneczką portwajnu - opowiedz nam, proszę, wszystko, od początku do końca. Musisz jednak przyznać, że zachowałem się z podziwu godnym wyczuciem i roztropnością, jednak...

- Wyczuciem! - powtórzyła jak echo Hester. - Kiedy tylko pojawiłeś się w domu dziś po południu, zbeształeś ją jak najsroższy nauczyciel.

W odpowiedzi Thorne wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Jeśli twoim zdaniem to było srogie besztanie, powinnaś mnie zobaczyć, kiedy naprawdę komuś wymyślam. - Jego uśmiech przygasł nagle. - Musisz jednak przyznać, że obszedłem się z nią dość łagodnie. Zasłużyła sobie na znacznie gorsze traktowanie. Spędziłem prawie cały rok pracując nad tą dzikuską, żeby wytworzyła się jakaś nić porozumienia między nią i najlepszym kandydatem na męża, jakiego udało mi się znaleźć. I teraz, gdy wszystko zmierzało ku szczęśliwemu zakończeniu, ona jednym ruchem burzy całą tę misterną konstrukcję, którą z takim trudem wzniosłem. Mam nadzieję, że powiesz mi coś pocieszającego.

- Chyba tak - odparła spokojnie Hester. Nachyliła się ku niemu. - Jak już mówiłam, moim zdaniem Chloe jest zaledwie o krok od zakochania się w panu Werym, jeśli to jeszcze nie nastąpiło, czego wcale nie wykluczam. Trzeba ją tylko odrobinę podrażnić, w granicach rozsądku. Podrażnić - powtórzyła, spoglądając groźnie na Thorne'a - a nie krzyczyć, nie zostawiając na niej suchej nitki.

Lady Lavinia zachichotała, lecz prawie natychmiast spoważniała.

- Jakże to pan Wery ma dalej konkurować do jej ręki, skoro już mu odmówiła?

Hester wyprostowała się na krześle.

- Na tym właśnie polega cała rzecz. Po prostu zaprzestanie swych starań.

- Och, na litość boską! - Thorne złapał się zrozpaczony za głowę. - Czy to ma być ten chytry plan? Co więc ma uczynić? Wyjechać do siebie na wieś, z nadzieją, że Chloe wreszcie za nim zatęskni?

- Nie, oczywiście że nie - odpowiedziała wciąż spokojna Hester, choć musiała się opanować, by nie wybuchnąć złością. - Mój plan polega na tym, aby Chloe natykała się na pana Wery'ego wszędzie, gdziekolwiek pójdzie. Wtajemniczyłam we wszystko Johna. Zdecydował się posłuchać mojej rady. Przy okazji tych spotkań ma jej okazywać przyjazną uprzejmość, od czasu do czasu prawić komplementy, a równocześnie postępować podobnie w stosunku do wszystkich obecnych przy tym młodych dam. Nawet najmniejszym gestem nie może się zdradzić, że stara się o względy Chloe, wręcz przeciwnie. Zdaje się, że jego męstwo podczas wypadku powozu nie uszło uwagi towarzystwa i wzbudziło podziw wielu młodych panien...

- Och! - zawołała lady Lavinia. - Chcesz więc zmusić Chloe, by przekonała się, jak widzą pana Wery'ego inne panny w jej wieku? Bardzo sprytnie, moja droga.

Thorne parsknął z powątpiewaniem.

- W moim przekonaniu nie doprowadzi to do niczego dobrego. Chloe poczuje wielką ulgę, że wreszcie uwolniła się od Johna i jego zalotów, i będzie mogła zupełnie poświęcić się idei - ostatnie słowo wymówił z dramatycznym naciskiem. - Nigdy już nie zdołam wydać jej za męża.

- W takim razie - powiedziała spokojnie Hester - jestem tu niepotrzebna. Z radością wrócę do Overcross, jeśli...

- Nie! - pospiesznie przerwał Thorne. - Nie, nie, nie rób nam tego. Już dobrze - skapitulował wreszcie. - Zdaje się,

że nie mam nic do stracenia, godząc się na ten makiaweliczny spisek.

- Thorne. - W głosie lady Lavinii zabrzmiała przygana. - Mógłbyś odnosić się do Hester bardziej uprzejmie. W końcu zostawiła wszystko, by zająć się twoimi kłopotami, i jeśli chodzi o Chloe, jak dotąd udało się jej zdziałać cuda. Nie widzę żadnych powodów, dla których ten plan miałby się nie powieść.

Thorne spojrział na Hester.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, panno Blayne - rzekł niechętnie i Hester zobaczyła w nim niesforenego uczniaka, którego wezwano do wyrażenia skruchy za psoty. - Jakie jest moje zadanie? Co mam robić?

- Nic - odparła zdecydowanie Hester. - Przestań po prostu namawiać Chloe do wyjścia za mąż i zachowuj się tak, jakbyś pogodził się z porażką w tej sprawie. Gdyby kiedyś o nim wspominała, odpowiedz coś wymijająco, a nawet okaż brak zainteresowania, jakby losy pana Wery'ego nic a nic cię nie obchodziły.

- Doskonale - powiedział Thorne. - Składam więc los Chloe, i właściwie mój własny, w twoje ręce.

W odpowiedzi Hester uśmiechnęła się tylko, pragnąc, by jego słowa dodały jej wiary, bowiem zaczęły ją nękać poważne obawy o powodzenie planu.

Zanim Hester zdołała wprowadzić swój plan w życie, upłynął prawie tydzień. Pewnego ciepłego majowego wieczoru stała w salonie fortepianowym i witała gości, którzy przybywali na spotkanie miłośników literatury antycznej. Nazwa ta, choć nieco myląca, przylgnęła do towarzystwa, w którym można było istotnie znaleźć wielu badaczy twórczości greckich tragików i poetów Rzymu, ale od pewnego czasu na ich spotkaniach pojawiała się tytu reformatorów, że cała grupa wkrótce przeistoczyła się w swoisty ośrodek dla wszystkich, którzy pragnęli zmienić społeczeństwo angielskie.

Pokój był już dość zatłoczony, kiedy weszła lady Barbara Freemantle. Na jej widok Hester bardzo się ucieszyła i pospieszyła ją powitać.

- Lady Barbara! Miałam nadzieję, że panią dziś zobaczę!

- Boże drogi, Hester! - odrzekła młoda dama. - Czy nie mogłybyśmy obyć się bez tej „lady Barbary”? Przyjaciele mówią mi po prostu Barbara, a teraz, kiedy udało ci się zwabić mnie do tej kryjówki buntowników o dzikim spojrzeniu, chyba skończymy z tą formalnością?

Hester rozpromieniła się w uśmiechu.

- Doskonale, Barbaro. Witaj w mojej gromadzie. - Zatoczyła ręką krąg wokół pokoju. - Od czego miałabyś ochotę zacząć? Literatura starożytna? Reforma więziennictwa? Może kwestia pomocy dla młodocianych uliczników?

- Hmm. Pomoc dla młodych uliczników, to brzmi obiecująco. Czytałam niedawno coś na ten temat w „Ladies Magazine”, mogę więc udawać, że wiem, o czym mówię.

Hester zaprowadziła ją do grupki rozpartych wygodnie na kanapach dostojnych dam, które spędzały większą część czasu na szukaniu lepszych zajęć dla lokatorek londyńskich domów rozpusty. Zrazu bardzo je zaskoczyła obecność na przyjęciu córki hrabiego, lecz wkrótce początkowe poruszenie ustąpiło miejsca szczerej życzliwości i po paru chwilach Hester opuściła ich towarzystwo.

- Nie mówiłaś mi, że on też ma przyjść - zasyczał jakiś głos tuż obok niej. Odwróciwszy się, zobaczyła Chloe, która ze zgrozą wpatrywała się w drzwi. Podążając za jej wzrokiem, Hester ujrzała Johna Wery'ego, który właśnie wchodził do salonu. Od czasu, gdy ostatni raz odwiedził dom Bythorne'ów, w jego wyglądzie zaszła jakaś nieokreślona zmiana. Można było sądzić, iż swoją porażkę w staraniach o rękę panny Venable uważał za pewnego rodzaju wyzwolenie. Ponieważ był ubrany w szalenie modny strój, tak różny od swego poprzedniego prostego odzienia wiejskiego dżentelmena. Włosy miał obcięte bardzo krótko, co podkreślało gładkość jego twarzy, a oczom przydawało głębi i wyrazu. Ponad wszelką wątpliwość trzymał się bardziej prosto niż dotąd. Obrzucił spojrzeniem pokój i dostrzegłszy Chloe, uśmiechnął się, ale nie podszedł do niej.

- Ależ tak - odparła od niechcienia Hester. - Mówił mi, że bardzo interesuje go moja praca, więc go zaprosiłam. Nie byłam wprawdzie pewna, czy się pojawi, ale cieszę się, że przyszedł.

- Och, Hester, jak mogłaś? - Chloe nerwowo trzepotała rękami. - To takie krępujące.

- Nie sądzę. Przecież widywałam go już, odkąd odmówiłaś mu ręki, prawda? Jego zachowaniu nie można chyba było nic zarzucić.

- Tak, masz rację - przyznała niechętnie Chloe. - Nie traktował mnie wcale jak odtrącony wielbiciel. Właściwie, gdybym go nie znała tak dobrze, mogłabym podejrzewać, że na raucie u lady Meecham flirtował z Cynthią Morevale. I z Charlotte St. John. W dodatku te głupie gęsi bezwstydnie go kokietowały.

- Cóż, może nie znasz Johna tak dobrze, jak ci się wydaje?

- Może - odburknęła Chloe. - W tym stroju nie poznałaby go własna matka. A ta fryzura...

- Właśnie, bardzo mu w niej do twarzy, nie sądzisz?

- Być może, ale przysięgam, że mnie się nie podoba - prychnęła z pogardą.

Hester uśmiechnęła się.

- Zatem ma szczęście, że nie musi się już martwić twoim zdaniem na ten temat.

Chloe nie odpowiedziała, tylko gwałtownym ruchem obróciła się na pięcie i odmaszerowała, jak tylko mogła najdalej, od młodego człowieka, stojącego wciąż w drzwiach. Po jakimś czasie można było zobaczyć, jak z

ożywieniem dyskutuje z bladym młodzieńcem o wyglądzie poety.

Hester obrzuciła spojrzeniem cały salon, w mgnieniu oka zdając sobie sprawę, kogo tak naprawdę szuka. Chociaż Thorne wyraził chęć uczestniczenia w jej przyjęciu, nie pojawił się w domu na kolacji i w ogóle nie widziała go tego wieczoru. Oczywiście, nie miało to większego znaczenia. Hester była po prostu niezadowolona, że nie dotrzymał słowa. To zresztą bardzo do niego pasowało, pomyślała.

Chociaż po namyśle musiała stwierdzić, że było inaczej. Charles, lord Bythorne, istotnie mógł sprawiać wrażenie, iż gardzi większą częścią społeczeństwa, a w szczególności uczuciami niektórych jego członków, lecz Hester zdążyła już nabrać przekonania, że tak wcale nie jest. Wobec swej rodziny i prawdziwych przyjaciół potrafił okazywać prawdziwą troskę, która nigdy jednak nie przekraczała granic wyznaczonych przez jego władcze nawyki.

Hester uśmiechnęła się do siebie. Być może jednak ta troska nieco przekraczała ową granicę, a na pewno czyniła w niej spory wyłom. Kilka razy wyraził już przecież zdecydowany sprzeciw wobec jej planów wygłoszenia odczytu Pod Błękitnym Dziakiem. Zacisnęła usta. Nie mogła zaprzeczyć, że cieszyła się z tych dowodów przyjaźni, jaką darzył ją hrabia, choć nie chciała się do tego przed sobą przyznać, natomiast nie miała najmniejszych zamiarów pozwolić sobie dyktować, co ma robić.

Jej rozmyślenia przerwał widok nowo przybyłego gościa.

- Trevor! - zawołała, podchodząc do niego. - Już się bałam, że dziś nie przyjdiesz.

Co akurat nie było prawdą, dokończyła w myśli, choć powinno.

Przerwała nagle to powitanie, bowiem za Trevorem w drzwiach ukazał się jeszcze jeden dżentelmen. Był to Robert Carver, który nieśmiało przestępował z nogi na nogę. Na widok gospodyni przyjęcia jego oczy rozbłyły.

- Pan Carver! Jak miło, że zechciał pan do nas dołączyć. Proszę pozwolić przedstawić sobie pana Trevora Benthama.

Panowie wymienili stosowne w takich razach grzeczności, ale rzucało się w oczy, że Trevor Bentham nie przybył dziś do domu Bythorne'ów na uprzejme pogawędki. Przy pierwszej nadarżającej się okazji odciągnął Hester na bok.

- Przychodziłem tu kilka razy w ciągu ostatnich paru dni - rzekł do niej surowo - i za każdym razem informowano mnie, że cię nie ma. - Ostatnie słowa wymówił tak oskarżycielskim tonem, że Hester musiała się uśmiechnąć.

- Cóż, rzeczywiście mnóstwo czasu spędziłam poza domem. - Roześmiała się. - Nawet sobie nie wyobrażasz, ile trzeba kupować strojów, żeby ubrać jedną panienkę z dobrego towarzystwa, i to dość drobną. Odkąd przyjechałam do Londynu, spędzam czas prawie wyłącznie na zakupach.

- Ach, tak - mruknął z głęboką dezaprobatą Trevor. - Jak osoba, która niesie wszystkim kobietom kaganek oświecenia, może zgadzać się na pełnienie roli damy do towarzystwa dla rozkapryszonej panny?

Ta ostatnia uwaga sprawiła, że Hester straciła dla niego nagle całą życzliwość i zapragnęła ostro się odciąć. Jednak przypomniawszy sobie, jak długa i serdeczna łączy ich przyjaźń, powiedziała bardzo spokojnie:

- Doskonale wiesz, Trevorze, że wcale nie jest tak, jak mówisz. Przyjechałam do Trentów w gościnę jako do swych przyjaciół i krewnych i nie ma w tym nic poniżającego, że mogę pomóc hrabiemu. Jestem pewna, że zachowałbyś się tak samo wobec każdego, kto potrzebowałby twojej pomocy. Wybacz mi, proszę, ale muszę iść do gości.

Reszta wieczoru upłynęła bez dalszych zgrzytów. Po krótkim spotkaniu poświęconym interesom, odczytano jeden z mniej znanych utworów poety Graya, który stał się przyczyną bardzo ożywionej dyskusji na temat niektórych ostatnich wydarzeń. Następnie zaproponowano gościom lekką przekąskę w błękitnym salonie, wkrótce więc wszyscy poczęli przesuwać się ku drzwiom.

Kątem oka Hester zdołała zauważyć, że Robert Carver i Barbara podchodzili do siebie kilka razy w czasie całego wieczoru, ale prawie natychmiast się rozłączali, jak wirujące w zamieci płatki śniegu. Teraz jednak stali naprzeciw siebie w odległym kącie salonu tak pochłonięci sobą nawzajem, że nie zwracali zupełnie uwagi na otaczające ich osoby. Barbara zmarszczyła brwi, jej piękna twarz była zarumieniona, twarz Roberta zaś bardzo blada i napięta.

Hester poczęła ich obserwować z zainteresowaniem. Barbara błagalnym gestem uniosła dłoń, którą Robert pochwycił i uczynił ruch, jakby chciał ją przycisnąć do ust. Jednak zaraz ją puścił, mówiąc coś pogardliwie - tak przynajmniej zdawało się Hester - i odwrócił się od Barbary, która patrzyła w ślad za nim, mrugając szybko, by powstrzymać łzy, które cisnęły się jej do oczu. Hester chciała do niej podejść, lecz zatrzymał ją jakiś głos, który powiedział:

- Hester, muszę z tobą porozmawiać.

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała Trevora. Chyba był czymś bardzo przejęty, gdyż chwycił ją za rękę i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Muszę już iść, ale najpierw chcę pomówić z tobą - nabrał w płuca powietrza - na osobności.

Westchnęła i powiodła go do pokoju po przeciwnej stronie korytarza.

- Chciałbym cię przeprosić - rzekł Trevor, nieco pompatycznym tonem.

Hester poczuła ulgę.

- To bardzo miło z twojej strony, mój drogi, ale nie musisz się tłumaczyć. Wiem, że...

- Po prostu bardzo się martwię o ciebie, o twoje miejsce w tym... światowym domu. - Zakreślił ręką koło, wskazując otaczające ich sprząty.

- Och, Trevorze - zaprotestowała ze śmiechem Hester, lecz on mówił dalej nie zwracając na nią uwagi.

- Wiesz, co do ciebie czuję, Hester. Wciąż mam nadzieję, że pewnego dnia połączymy się i będę cię mógł uchronić przed podobnymi wpływami, ale...

- Trevorze - rzekła stanowczo Hester, odpychając go od siebie, ponieważ stał bardzo blisko, dotykając prawie jej ramienia. - Jeśli uważasz, że nasza przyjaźń daje ci prawo dyktowania mi, co mam robić, jesteś w...

- Przecież dobrze wiesz, że jesteśmy kimś więcej niż tylko przyjaciółmi.

Mówiąc to, złapał zupełnie zaskoczoną Hester za ramiona, przyciągnął znieacka do siebie i wycisnął na jej ustach pocałunek pachnący ostrygami, które podano gościom.

- Och, przepraszam - ozwał się czyjś spokojny głos w drzwiach. Hester dobrze go znała i na jego dźwięk serce w niej zamarło.

## 15

Hester struchlała, natomiast Trevor podskoczył jak oparzony.

- K... kto...? - zaskrzeczał. - Panna Blayne i ja rozmawialiśmy właśnie o...

- Naturalnie - odrzekł łagodnie Thorne. - Dyskusje intelektualistów często bywają bardzo gorące, prawda? Proszę o wybaczenie, że przeszkodziłem.

Zaczął się wycofywać z pokoju, ale wtedy włączyła się Hester.

- Nie! To znaczy... - Poprawiła włosy, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. - Prawie skończyliśmy tę naszą... dyskusję. Trevor właśnie wychodził.

Trevor miał minę drapieżnego zwierza gotującego się do skoku.

- Istotnie - odparł lodowato. - Chciałem ci życzyć, miłego wieczoru, moja droga - powiedział do Hester i skinąwszy głową hrabiemu, wyszedł dumnym krokiem na korytarz.

- Ojej - powiedział Thorne, a w jego głosie Hester usłyszała rozbawienie. - Boję się, że spłoszyłem twego... przyjaciela. Niedobrze się stało. Ale będziecie mieli jeszcze wiele okazji, żeby oddać się, hm, waszym intelektualnym dyskusjom.

Hester rzuciła mu spojrzenie, którego temperatura była zdolna stopić szkło.

- Niezmiernie się cieszę, że mogłam dostarczyć ci dobrej zabawy, milordzie. Nie dziwię się jednak wcale, że szczerze uczucia dobrego człowieka mogą stanowić dla ciebie wyłącznie źródło rozrywki i naturalnie przedmiot najwyższej pogardy.

Thorne zamrugał oczami. Dobry Boże, co takiego powiedział, że tak go zwymyślała? Zwłaszcza że kiedy wszedł do pokoju i ujrzał Hester w objęciach Trevora Benthama, poczuł ogarniającą go falę wściekłości. W pierwszym odruchu chciał po prostu oderwać od niej Benthama i stłuc go na kraśne jabłko.

Dopiero gdy zauważył, jak Hester odpycha swego domniemanego ukochanego, czerwona mgła zniknęła mu przed oczu i spojrzał na rozgrywającą się przed nim scenę z właściwej perspektywy. To chyba zdziwienie z powodu gwałtowności własnej reakcji sprawiło, że przybrał swój zwykły, szyderczo-wesoły ton.

Nie widział powodów, dla których miałyby teraz zmieniać swą strategię.

- Zdawało mi się jednak, że twoja odpowiedź na owo szczerze uczucie była nie mniej okrutna niż na moją wcześniejszą próbę. Czyżby więc zapal tego dżentelmena miał pozostać nie odwzajemniony?

Hester przemierzała tam i z powrotem niewielki pokój, zirytowana szeleszcząc suknią.

- Jestem bardzo przywiązana do Trevora Benthama - powiedziała z przekonaniem. - Tylko... - westchnęła. Doprawdy, nie mogła wytłumaczyć, dlaczego omal nie umarła ze wstydu, kiedy Thorne stanął na progu. Nawet jeśli Trevor potraktował ją niczym zwykłą ulicznicę, przecież nie oddała mu pocałunku. Znowu westchnęła. - Ta sprawa w ogóle cię nie powinna obchodzić - ciągnęła - ale jak już wielokrotnie mówiłam, w moim życiu nie ma miejsca na żadne... wikłanie się w podobne związki.

- Wikłanie? Tak nazywasz uniesienia serca? - spytał zaciekawiony. - I to mnie nazwałaś człowiekiem nieczułym!

- Miałam na myśli coś innego - zaprotestowała gwałtownie. - Chciałam... och, nieważne. - Opuściła głowę. - Za pozwoleniem, muszę pożegnać gości i życzyć im dobrej nocy.

Kiedy go mijala, Thorne złożył jej przesadnie zamaszysty ukłon. Potem zaś wpatrywał się przez chwilę w miejsce, w którym stała, i zatopiony w myślach chłonał zapach fiołków, jaki pozostawiła.

Potem odwrócił się, gotów już pójść do swej sypialni, kiedy zatrzymał go rozkazujący głos:

- Chciałabym zamienić słówko, chłopcze, jeśli można.

Thorne westchnął.

- O co chodzi, Gussie? Już dosyć późno i chciałbym położyć się do łóżka.

Gussie wydała z siebie dźwięk, który każdy, kto nie miał jej królewskich manier, z pewnością nazwałby parsknięciem.

- Przez ostatnie dwa tygodnie nie chodziłeś do łóżka wcześniej niż o czwartej nad ranem. Jeśli, oczywiście, nie mówimy o cudzych łóżkach.

- Wystarczy, Gussie. - Thorne zaprowadził ją do małego pokoju przylegającego do salonu i wskazał wygodne

krzesło przy kominku. - Słucham zatem, o co chodzi?

- Chcę z tobą pomówić o Hester.

Thorne zeszytniał i rzekł bezbarwnym głosem:

- Jeśli znowu masz zamiar suszyć mi głowę o to, że zaprosiłem tu Hester, błagam cię...

Gussie przerwała mu, machając zniecierpliwioną ręką.

- Nie, oczywiście, że nie. Zresztą nigdy nie suszyłam ci o to głowy, a w każdym razie ogromnie się cieszę, że sprowadziłeś ją do nas. Świetnie do nas pasuje i doskonale uzupełnia naszą rodzinę. Jednak obserwując ją przez jakiś czas doszłam do wniosku, że mimo całej tej gadaniny o samowystarczalności kobiety, Hester nade wszystko potrzebuje dobrego męża.

Thorne otworzył szeroko oczy i popatrzył na ciotkę z nagłym zainteresowaniem.

- Ach, rozumiem. Oczywiście znalazłaś już odpowiedniego kandydata?

- Naturalnie. Robert Carver. Nie spostrzegłeś tego? - ciągnęła, a Thorne na chwilę zaniemówił. - Jest doskonałą partią: bogaty, niezależny, inteligentny, bardzo miły i, co ważne, podziela jej zainteresowania.

- Dlaczego sądzisz, że ten brylant bez skazy może mieć ochotę na ożenek? Nie znam go zbyt dobrze, ale wydaje mi się, że jest szczęśliwy, pozostając sam, być może dlatego - dodał kwaśno - że nie ma krewnych, którzy zamartwiają się jego nieszczęśliwym położeniem.

Lady Bracken roześmiała się bez urazy.

- Właśnie o tym mówię. Naszym zadaniem będzie zwrócenie jego uwagi na to puste miejsce w jego życiu. Właściwie poczyniłam już pewne kroki...

- Co?!

- Tak jest - potwierdziła wesoło Gussie. - W końcu to ja ich sobie przedstawiłam i dopilnowałam, by Hester zaprosiła go na dzisiejszy wieczór. Muszę przyznać, że od razu przypadli sobie do gustu. Następny krok jest bardzo prosty: trzeba przy każdej nadarzającej się okazji aranżować ich spotkania. Wzajemna bliskość jest bardzo ważną i równocześnie cudowną rzeczą.

Thorne westchnął, wyraźnie zirytowany.

- Ze wszystkich głupstw, jakie zdarzyło ci się popełnić, Gussie, to jest chyba jedno z największych. Przede wszystkim zapominasz, że Hester nie chce w ogóle wychodzić za męża. Po drugie...

- Nonsens. Każda kobieta w głębi duszy pragnie wyjść za męża, nawet jeśli głośno występuje przeciw małżeństwu.

Thorne, nie próbując zastanawiać się, dlaczego myśl o tym małżeństwie wzbudza w nim taki wstręt, począł nerwowo przechadzać się po pokoju.

- Boże drogi, Gussie! Wolałbym, żebyś porzuciła tę fatalną skłonność do układania życia innym. Całkiem możliwe, że Carver jest porządnym człowiekiem, ale to nie jest mężczyzna dla Hester. Dobry Boże, życie z nią byłoby dla niego piekłem.

Gussie spojrzała na niego pytająco.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Ponieważ... hm, sprowadzałyby mu do domu gromady malkontentów, którzy pożeraliby jego mięsiwa i złopali jego wina. Byłby zmuszony ratować ją z rąk różnych okolicznych zbirów, z którymi nasza panna Blayne lubi obcować, a gdyby nawet nie musiał tego robić, wysłuchiwałyby co dzień do znudzenia całej listy rzeczy, które jej zdaniem należy zmienić w kraju.

- Thorne - odrzekła cierpliwie ciotka. - Hester mieszka u nas już prawie trzy tygodnie. Zdawało mi się, że wszyscy bardzo się z tego cieszą i lubią jej towarzystwo, ale też towarzystwo tych, jak się wyraziłeś, malkontentów, których tu zaprasza, a zważ, że są wśród nich najbardziej szanowani obywatele. Nie widziałam jeszcze, żebyś ruszał jej na ratunek ani żeby nudziły cię rozmowy z nią. Wręcz przeciwnie, zauważyłam, że odkąd tu przyjechała, masz znacznie lepszy humor. Pomyśl też o tym, co robi dla Chloe.

- Na razie robi wszystko, by skierować tę małą złośnicę na drogę, z której ja przez długie miesiące usiłowałam ją zawrócić. - Jego własne słowa wydały mu się śmieszne, więc trochę złagodniał. - Dobrze, przyznaję, że Hester stara się nakłonić Chloe do podjęcia decyzji, jaka byłaby po mojej myśli. Jednak na razie jej wysiłki pozostają bezskuteczne.

- Ależ wręcz przeciwnie - zaprotestowała żywo Gussie. - To doskonała strategia. Widziałeś dziś Chloe? Przez cały wieczór nie mogła oderwać oczu od Johna Wery'ego. Od paru dni mówi tylko o nim. Wierz mi, za niecały miesiąc będziemy mieli zaręczyny. A wracając do Hester, mam nadzieję, że zrobisz wszystko co w twojej mocy, żeby połączyć ją z panem Carverem. Myślałam o wyprawie do Vauxhall. Za dwa dni będzie tam wielka zabawa. Moglibyśmy zabrać Hester i Roberta, i oczywiście Barbarę.

- Oczywiście - mruknął zrezygnowany Thorne.

- Mógłbyś wynająć łódź z muzykantami i urządzić naprawdę wesoły wieczór.

Thorne burknął coś w odpowiedzi. Gussie wstała i życząc mu dobrej nocy, wyszła z pokoju. Thorne opadł na opuszczone przez nią krzesło i zapatrzył się w płonący na kominku ogień.

Hester żoną Roberta Carvera. Zdziwiony odkrył, że na samą myśl o tym robiło mu się dziwnie słabo, choć nie umiał tego wytłumaczyć. Nie miał przecież żadnych planów związanych z tą zbuntowaną osóbką. Owszem, nie



miałby nic przeciwko temu, by jakimś zrządzeniem losu znalazła się w jego łóżku, wiedział już bowiem, że pod tą nieco szorstką powierzchownością lada iskra mogła w jednej chwili rozpaść pożar namiętności. Nie należy jednak uwodzić panien zbliżających się do wieku średniego, zwłaszcza gdy są z nami spokrewnione, choćby było to powinowactwo bardzo dalekie, i na dodatek pozostają pod naszą opieką.

Biorąc to wszystko pod uwagę i oceniając sytuację w miarę obiektywnie, Thorne zmuszony był przyznać, że Robert Carver istotnie jest wymarzoną kandydatem na męża Hester. Zakładając, iż Hester w ogóle dopuszcza możliwość wyjścia za męża, w co trudno było uwierzyć. Ta myśl wydała mu się pocieszająca.

Świetnie, zatem urządzi im wspaniały wieczór w Vauxhall i będzie gorąco sprzyjał wyswataniu Hester i Roberta Carvera. Jeśli okaże się, że przypadną sobie do serca - niech będzie, co ma być. Jeśli nie - cóż, hrabia będzie miał czyste sumienie, a panna Blayne będzie mogła wrócić do Overcross, gdzie na nowo podejmie walkę o równe prawa dla kobiet.

Thorne zaś powróci do swego dawnego życia. Wstrzemięźliwość i moralność były może dobre, lecz w niewielkich dawkach, a więc koniec z tym. Przyjdzie wreszcie czas na urzeczywistnienie jego dawnych planów związanych z apetyczną żoną hrabiego Tenby'ego, zanim zdoła go ubiec inny jej adorator, Jack Winsham, który od pewnego czasu ostrzył sobie na nią zęby.

Znów zapatrzył się w ogień, czekając na miły dreszczyk, jaki niechybnie powinna wywołać myśl o pięknej hrabinie. Mimo najlepszych chęci nie poczuł nic poza beznadziejną pustką. Otrząsnął się. Jeżeli nie weźmie się w garść, pomyślał, wkrótce zmieni się w roztrzęsionego starca, próchniejącego powoli w fotelu przed kominkiem. Wstał i powlókł się na górę do swej sypialni.

Dwa dni później do doków Vauxhall na południowym brzegu Tamizy przybiła łódź, z której wysiadło kilka osób. Byli wśród nich lord Bracken z małżonką, hrabia Bythorne, lady Barbara Freemantle oraz pan Robert Carver i panna Hester Blayne. Nieopodal wylądował inny statek, na którym grupa muzykantów wygrywała właśnie ostatnie akordy koncertu, po czym życzyła uczestnikom zabawy miłego wieczoru.

Wydawałoby się, iż perspektywa spędzenia wieczoru w jednym z najbardziej ekskluzywnych miejsc Anglii oraz obiecany koncert i pokaz fajerwerków rozweseli całe towarzystwo, ale wszyscy wydawali się raczej przygnębieni i smutni. W ponurych nastrojach wysiedli ze statku i weszli na ląd wejściem dla ważniejszych gości.

- Nie powiedziałaś mi, że Robert Carver też tu będzie - syknęła w ucho Hester lady Barbara, prawie tym samym tonem, co Chloe, gdy ujrzała Johna Wery na spotkaniu miłośników literatury antycznej.

W ciągu krótkiej znajomości Hester i lady Barbara bardzo się polubiły i szybko zrezygnowały z wszelkich formalności we wzajemnych kontaktach.

- Sama o tym nie wiedziałam - odparła trochę zirytowana. - To wszystko sprawka Gussie. Dobry Boże, chyba czuje się w obowiązku znaleźć mi męża i zdaje się, że na ofiarę upatrzyła sobie właśnie Roberta Carvera. Niech to licha!

- Nie wiem, co cię tak złości - odrzekła Barbara odrobinę chłodno. - Każda kobieta byłaby szczęśliwa, mając takiego męża jak Robert.

- Nie wątpię - powiedziała cierpko Hester - ale jak powtarzam to wszystkim od bardzo dawna i chyba daremnie, nie mam ochoty wychodzić za męża. Poza tym nie widzę, by pan Carver palił się do oświadczeń.

Obie spojrzały na swych towarzyszy. Thorne zachowywał się ze zwykłą kurtuazją, lecz Hester wydało się, że jego myśli błądzą gdzie indziej. Być może w jakimś zacisznym buduarze w pobliżu parku St. James. Robert Carver natomiast nie umiał ukryć niezadowolenia. Hester spodziewała się, że za chwilę on zasyczy jej do ucha: „Nie powiedziała pani, że ona też tu będzie!” Choć w ogóle nie patrzył na piękną lady Barbarę, było jasne, iż myśli tylko o niej.

Tylko lady Bracken i jej czcigodny małżonek dobrze się bawili. Stanton, lord Bracken, był wysokim, szczupłym mężczyzną i miał niewiele ponad czterdzieści lat. Siedział po uszy w polityce i znał chyba wszystkich w Londynie. Ogromna liczba ludzi, pochodzących na pierwszy rzut oka z najróżniejszych warstw społecznych, pozdrawiała go serdecznie, on zaś z życzliwym uśmiechem starał się odpowiadać każdemu. Gussie także kłaniała się znajomym, tak więc ich droga do zarezerwowanych wcześniej miejsc w głównym pawilonie bardziej przypominała przejście pary królewskiej niż zwykłą przechadzkę.

Rozsiadłszy się wygodnie, towarzystwo jęło pokrzepiać się ponczem i pokrojoną w cienkie plasterki pieczoną szynką, z której słyndyły Ogrody Vauxhall. Później Gussie obwieściła, że nadszedł czas na spacer, wyszli więc na ścieżki okalające pawilon, z zamiarem powrotu przed rozpoczęciem koncertu.

Hester nigdy nie czuła się tak niezręcznie jak w chwili, gdy wzięła pod ramię pana Carvera. Przejrzała już chytre plany Gussie i była pewna, że domyślił się ich także pan Carver. Chyba się tym jednak nie przejął. Nie odrywał oczu od Barbary, która szła parę kroków przed nim z głową zwróconą w stronę lorda Bythorne'a.

- Słucham? - spytał z roztrągnięciem Hester, która właśnie coś do niego mówiła.

- Mówiłam, że pięknie wyglądają te świeżo rozkwitłe pączki.

- Mhm, tak, właśnie... słucham?

Zwrócił ku niej twarz, na której malowało się zakłopotanie. Hester roześmiała się.

- A więc jednak pan słucha. Sądziłam, że słucha pan właśnie swoich myśli.

W blasku setek latami oświetlających ścieżki twarz pana Carvera oblała się głęboką purpurą.

- Przepraszam, panno Blayne. Istotnie, muszę wyznać, że przez chwilę myślałem o czymś innym.
- Przez chwilę! Miły panie, nawet ktoś najmniej spostrzegawczy zauważyłby, że pańskie myśli przez cały wieczór krążą wokół czegoś lub kogoś, ale ani na mgnienie oka nie skupiają się na mojej skromnej osobie.
- Och! Doprawdy...

Hester znów wybuchnęła śmiechem.

- Nic nie szkodzi, panie Carver. Albo nie, niech mi wolno będzie mówić panu po imieniu, ponieważ uznałam, że bardzo mi się pan spodobał i pisane jest nam zostać przyjaciółmi, Robercie.

Robert wyglądał na nieco zaskoczonego tą niespodziewaną deklaracją, lecz uprzejmie skinął głową.

- Oczywiście, panno Blayne, jeśli tylko uzyskam taki sam przywilej Względem pani.
- Masz moje szczere błogosławieństwo. Zatem, Robercie - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Powiedz, proszę, cóż to się dzieje między tobą i Barbarą.

Dobroduszny uśmiech natychmiast zamarł na jego ustach.

- Nie mam pojęcia - odrzekł szorstko - o czym mówisz.
- O czym mówię - powtórzyła z przekąsem. - Mówię o tym, że twoje myśli uczepliły się jej dziś jak rzep psiego ogona, zresztą dzieje się tak przy każdej okazji, kiedy jesteście gdzieś razem.

Nieprzyjemne milczenie, które było jego jedyną odpowiedzią, kazało się zastanowić Hester, czy aby nie posunęła się za daleko. Mężczyźni są tacy zabawni w swoim lęku przed ujawnianiem uczuć.

- Robercie, pamiętaj, że jesteśmy przyjaciółmi, a ja nie lubię, gdy moi przyjaciele są nieszczęśliwi. Nie chciałabym być wścibska. - Uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach. - No, może niekoniecznie mówię prawdę, ale ręczę, że nie mam żadnych złych intencji. Chciałabym ci po prostu pomóc. Więc? - spróbowała znowu.
- Zdradź mi, skąd tak dobrze znasz Barbarę.

Przez długą chwilę milczał, wreszcie rzekł drewnianym głosem:

- Przepraszam, Hester, ale nie chcę mówić o lady Barbarze. Ja... - urwał i wykrzywił wargi w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. - Droga nowa przyjaciółko, proponuję, żebyśmy wrócili do pawilonu. Oddaliśmy się nieco od reszty i nie chciałbym dawać nikomu powodów do plotek.
- Dobrze - powiedziała, trochę rozdrażniona i rozczarowana. - Ale wiedz, że tak łatwo nie zrezygnuję.

Robert nie odpowiedział, tylko ująwszy jej ramię, poprowadził ją do głównej alei. Hester wracała do oczekującej ich reszty towarzystwa bardzo zamyślona. W czasie całego koncertu uważnie obserwowała Thorne'a i Barbarę, myśląc równocześnie o zagadkowym związku łączącym Barbarę i Roberta. Stało się bowiem oczywiste, że ów związek istniał.

Zabawne, pomyślała, jeśli ta para nieszczęśliwych głuptasów nie ma na tyle rozsądku, by połączyć swe samotne serca, będzie im w tym musiała po prostu pomóc. Spojrzała z namysłem na Thorne'a. Bez żadnych skrupułów zdmuchnęłaby mu, by tak rzec, Barbarę sprzed nosa. Mimo że od dawna starał się o jej względy, na pewno nie czuł do niej nic więcej ponad przyjaźń.

Hester musiała niechętnie przyznać, że słyszała cichy głos wewnętrzny, który zgryźliwie mówił o jej prawdziwych powodach tej nadwyzwyczajnej i bezinteresownej gorliwości, z jaką zamierzała ingerować w życie dwojga dopiero co poznanych ludzi. Postanowiła go jednak zignorować. To nonsens - na pewno nie powodowała nią chęć odsunięcia pięknej lady Barbary od Thorne'a. Co za niedorzeczny pomysł. Gdyby tylko знаła odpowiednią młodą kobietę, która byłaby dobrą kandydatką na żonę Thorne'a, pierwsza zachęcałaby go, by porzucił stan kawalerski i spróbował rozkoszy życia małżeńskiego. Lekkomysłny hrabia Bythorne był bowiem człowiekiem, któremu bardzo przydałoby się ustatkować.

Zaskoczona stwierdziła nagle, że koncert już się skończył.

- Słucham? - zapytała Roberta, który coś do niej mówił.
- Zdaje się, że orkiestra zacznie teraz grać do tańca - powiedział. - Mam nadzieję, że nie odmówisz?

Skinąwszy głową, wstała i zauważyła, że państwo Bracken oraz Thorne i Barbara również postanowili dołączyć do tancerzy. Właściwie chyba wszyscy goście podjęli taką decyzję, ponieważ wokół nich zrobiło się nagle bardzo tłoczno. Plac przed pawilonem roił się od uczestników zabawy i gdy Hester z Robertem stanęli do kadryła, napierający tłum wnet ich rozdzielił.

Hester zachnęła się i wyciągnęła rękę, ale Robert zniknął jej z oczu. Z pewnym trudem poczęta więc szukać drogi powrotnej do ich miejsc, lecz gęstniejąca ciżba nie pozwalała przejść. Tuż nad jej uchem rozległo się nagle siarczyste przekleństwo.

- Szanowna pani, może byłaby pani łaskawa zejść z mojej nogi... ach, to ty.

Thorne spróbował zrobić jej miejsce, ale tłum pchnął go z powrotem na Hester.

- Boże drogi, co za bałagan! - Chwycił ją w tali i wyciągnął spomiędzy tancerzy, aż wreszcie wydostali się poza płaszący krąg. Nie wypuszczając jej z uścisku, rozejrzał się wokół. - Zgubiłem Barbarę. widzisz ją gdzieś może? Kątem oka Hester dostrzegła Roberta trzymającego w objęciach Jakąś damę, której twarzy nie mogła dojrzeć.
- Nie - odrzekła.
- Cóż, wracajmy więc do stołu.

Ich wysiłki spełzły na niczym, gdyż dum ciągle spychał ich na wewnątrz koła tancerzy. W końcu zasapani i z potarganymi włosami Zależli się u szczytu ścieżki, którą mogli umknąć przed szalonym sznurem rozbawionych gości.

- Boże! - zawołał Thorne, kiedy już szli cichą i spokojną alejką. - Nie widziałem takich tłumów w Vauxhall od czasu zabawy na cześć końca wojny dwa lata temu.

- Uf! - westchnęła z ulgą Hester, otulając się swoim zwiewnym szalem. - Chyba wszyscy mieszkańcy Londynu postanowili się naraz bawić - w tym samym czasie i miejscu.

- Niedługo zaczną się fajerwerki i tłum wylegnie na środek ogrodów.

Thorne przyjrzał się jej bacznie.

- Wyglądasz strasznie - rzekł, lecz dziwnie czuły uśmiech, jaki towarzyszył tym słowom, znacznie złagodził ich wydźwięk. Wyciągnął rękę i zsunął z jej włosów czepek, który przekrzywił się podczas próby wydostania się spomiędzy wirujących par. Ten gest natychmiast przywiódł jej na myśl tamto zdarzenie, gdy hrabia brutalnie zerwał jej czepek z głowy i poczuła rumieniec oblewający twarz. Thorne przecesał jej włosy palcami, po czym umieścił czepek z powrotem na swoim miejscu. Kiedy opuszczał rękę, przypadkiem musnął jej policzek, ale natychmiast cofnął się o krok.

Poprawiwszy na sobie strój, by wyglądał jako tako, poszli dalej rozświetloną blaskiem latami aleją. Inni spacerowicze wyłaniali się albo chronili w zacisznym wnętrzu otulonych liśćmi altanek, które okalały ścieżkę, zaś na końcu alei także przed nimi wyrosła taka mała świątynia, wabiąc ich ciepłym blaskiem bijącym ze środka.

- Dobrze się bawisz, Hester? - zapytał nagle Thorne. - Oczywiście, poza chwilami, w których depczą po tobie współbiedniacy.

Hester drgnęła zaskoczona, ale skinęła głową.

- Tak, naturalnie. Taki piękny wieczór, a muzyka była urzekająca.

- Doprawdy? Zdawało mi się, że nie za bardzo skupiałaś się na muzyce.

Hester zarumieniła się.

- Ależ nie... to znaczy, owszem, słuchałam uważnie.

- Ach, tak.

Chwilę szli w milczeniu.

- Gussie mówiła mi - przerwał ciszę Thorne - że Chloe przeżywa właśnie zwrot uczuć do Johna Wery'ego.

- Chyba tak. Wprawdzie ona sama nie przyzna się do tego za żadne skarby świata, ale moim zdaniem będzie rozsądniejsza, kiedy John następnym razem poprosi ją o rękę - a nastąpi to już niebawem.

- Mam wrażenie, że czekasz na ten dzień z wielką niecierpliwością.

Hester popatrzyła na niego zdumiona.

- Zapewne nie możesz się doczekać powrotu do domu - wyjaśnił Thorne.

- Ach, tak, naturalnie. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie podoba mi się w Londynie - dodała pospiesznie.

- To dobrze. - Odwrócił się, by spojrzeć jej w oczy. - Będzie mi ciebie brakować, gdy wyjedziesz. Dzięki twojej obecności dom... poweselał, nabrał barw.

Nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy w migoczącym świetle, ale nie wyczuła owego kpiącego uśmiešku, który zwykle towarzyszył na pozór uprzejmym słowom hrabiego. Wydało się jej natomiast, że w jego oczach zobaczyła blask, który nie miał nic wspólnego z latarniami płonącymi ponad nimi. Thorne wyciągnął rękę i łagodnie objął jej szyję. Czyżby ocieniona alejka i zapach róż, który ciężko wisiał w powietrzu, sprowokowały wytrawnego łowcę kobiecych serc do powrotu do dawnych zwyczajów?

W takim razie będzie go musiała z tej drogi zawrócić.

Unióś drugą dłoń i dotknął jej ręki; sunąc wyżej, chwycił ją za ramię.

Jeszcze chwila i każe mu przestać.

Delikatnie i bardzo powoli hrabia przyciągnął ją do siebie, Hester zaś poczuła oblewające ją gorąco. Nie mogła wykrztusić ani słowa. Powinna odepchnąć te silne ramiona, które otaczały ją coraz ciaśniej... za chwileczkę, jeszcze...

Lecz nim zdążyła to zrobić, ujrzała przed sobą jego twarz, a potem poczuła na ustach jego wargi. Pocałunek miał w sobie tyle żaru i słodczy, że szczerze chęci, mimo jej nieugiętej postawy, rozpierchły się w jednej chwili, niczym stadko szpaków spłoszone przez jastrzębia.

## 16

Przysięgam - oświadczyła nadąsana Chloe przy śniadaniu - że Londyn stał się ostatnio okropnie nudny. Żałuję, że nie jesteśmy w Bythorne Park. - Mówiąc to, kruszyła na talerzu swoją grzanekę.

Hester uniosła głowę znad porcji marynowanego śledzia i jajek.

- Czyżbyś źle się bawiła na raucie u Carstairsów? - spytała. Podczas gdy pozostali domownicy z domu Bythorne'ów spędzali wieczór w Ogrodach Vauxhall, Chloe była na przyjęciu ze swoją przyjaciółką, Charlotte Tisdale, i w towarzystwie jej matki.

- Było śmiertelnie nudno.

- Ach, tak. Kto był?

- Cała masa ludzi. Oczywiście, panował niewyobrażalny dok.

- Hm, mc dziwnego.

Hester wróciła do śniadania. Nie umiała się dzisiaj skupić ani na jedzeniu, ani na rozmowie z przygnębią Chloe. Myśli wbrew jej woli bez przerwy i uparcie wracały do wczorajszego wieczoru.

Zwłaszcza do wczorajszego pocałunku.

Zastanawiała się, wciąż jeszcze oszołomiona, co się z nią stało w owej zacisznej, rozświetlonej blaskiem księżycy altanie. Najpierw postanawia potraktować hrabiego z całą surowością, tak jak sobie na to zasłużył swoim bezczelnym postępkami, a w chwilę później drży w uniesieniu, tuląc się do niego i wplatając palce między jego gęste loki, jakby za chwilę miała runąć w przepaść.

W pewnej chwili drgnął gwałtownie, chcąc odsunąć się od niej, spłoszony jakimś wybuchem śmiechu w pobliżu, ona zaś musiała chwycić go jeszcze mocniej, by nie upaść. Co dziwniejsze, wydawał się równie zmieszany jak ona - gdzieś zniknęła jego zwykła swoboda. Nie szeptał pustych słówek, nie czynił żadnych banalnych i dwuznacznych uwag. Po prostu stał obok niej, dłuższą chwilę patrząc jej w oczy, ona tymczasem... Boże wielki, bełkotała jakiegoś głupstwa i...

Z zamyślenia wyrwał ją dziwny dźwięk: to Chloe pociągnęła płaczliwie nosem.

- Chloe, o co chodzi?

- Och, nic, tylko... - Otarła oczy brzegiem chustki. - Och, Hester, jestem taka nieszczęśliwa!

Hester wstała i okrążywszy stół, usiadła na krześle obok dziewczyny.

- Co się stało, moja droga?

- Chodzi o Johna. To przez niego cierpię.

- Myślałam, że pogodził się już z faktem, że nie chcesz za niego wyjść. Chyba przestał cię nękać?

Chloe poczęła szlochać nie na żarty.

- Właśnie o to chodzi. Teraz traktuje mnie jak powietrze.

- Ależ ostatnim razem u Winneringów przywitał się z tobą bardzo grzecznie.

- No, tak... tak samo wita się ze wszystkimi znajomymi. Kłania się i uśmiecha, a potem mija mnie i kłania się, i uśmiecha do kogoś innego. U Winneringów dwa razy tańczył z Charlotte, a wczoraj prawie cały wieczór rozmawiał z Mirabelle Brent. Szkoda, że jej nie widziałas, Hester. Co za głupia gęś! Trzepotała rękami i idiotycznie się uśmiechała.

Hester spojrzała na nią ze zrozumieniem.

- Niektóre młode damy są po prostu źle wychowane - powiedziała, starając się ukryć rozbawienie.

- A potem orkiestra zagrała *Les Petites Jouées*. Och, Hester, on dobrze wie, że to moja ulubiona melodia! Popatrzył na mnie, podszedł do Gwendolyn Marchbank i poprosił ją do tańca. Myślałam, że Zapadnę się pod ziemię.

- Chloe - rzekła ostrożnie Hester. - Bardzo się dziwię twojej rozpaczy. Żałujesz, że odtrąciłaś Johna?

- Nie, oczywiście że nie. Chociaż... och, sama nie wiem. Nie przypuszczałam po prostu, że tak łatwo to zniesie. I że potem będzie flirtował z każdą spotkaną dziewczyną. Nie wiedziałam w ogóle, że wie, jak się do tego zabrać, jakby nigdy w życiu nic do mnie nie czuł. To bardzo przykre.

- Na pewno. Ale - dodała stanowczo - nie wątpię, że dasz sobie z tym radę. Przecież nie żywisz do niego żadnych głębszych uczuć.

- N-nie, chyba nie - odparła niepewnie Chloe.

Hester wróciła do śniadania z przekonaniem, że sprawy Chloe postępują we właściwym kierunku. Pragnęła jednak, by i ona z równą ufnością traktowała swoje uczucia do hrabiego. Musi tylko przestać zamieniać się w galaretkę pod wpływem jego najłżejszego dotyku.

Byłaby jednak bardzo zdziwiona wiedząc, iż do podobnych wniosków doszedł także Thorne. Hrabia wczesnym rankiem udał się na przejażdżkę po parku. Galopując przez Rotten Row, wspominał zmieszanie, jakiego doznał wczoraj w Ogrodach Vauxhall.

Zabierając Hester na przechadzkę po ocienionej ścieżce, z dala od rozbawionego tłumu, nie miał względem niej żadnych dwuznacznych zamiarów. Kiedy na nią spojrzał, głos uwiązł mu w gardle. W żałości przekrzywionym czepku i z włosami opadającymi na czoło tak bardzo przypominała mu ptaka z nastroszonymi piórami, że musiał się uśmiechnąć. Sięgnął więc, by poprawić jej niesforny kosmyk i przypadkowo musnął palcem policzek. Doznał nagle uczucia, jakby ktoś sięgnął wprost do jego wnętrza i mocno ścisnął mu serce. Ogarnęła go zupełnie niespodziewana fala czułości, że prawie stracił dech w piersiach. Jej bliskość, jej zapach spowodowały przemożną chęć, by bez słowa przygarnąć ją do siebie. Nie był w stanie oprzeć się temu pragnieniu. Oczywiście, podobne odczucia nie były mu obce. Bliskość pięknej kobiety zawsze budziła w nim mężczyźnę.

Lecz w przypadku Hester był to zupełnie inny rodzaj pożądania.

Po pierwsze, Hester była pozbawiona cech, jakie zazwyczaj pociągały go w kobietach. Nie miała tego szczególnego magnetyzmu budzącego westchnienia mężczyźni, nie była także piękna i nie roztaczała owego zmysłowego czaru, który cenili u swoich kochanek.

Po drugie, Thorne nie był przyzwyczajony do tkliwości wobec żadnej kobiety. Nigdy też nie czuł tak

przejmującego dreszczu, jaki go przeszedł, gdy przytuliła do niego swe szczupłe ciało i podała mu usta do pocałunku.

Co się z nim, u diabła, dzieje, zastanawiał się w popłochu. Żadna z licznych kobiet, jakie trzymał dotychczas w objęciach, nie wzbudzała w nim takich żądz.

Nie zakosztował jeszcze wdzięków lady Tenby. Damy u Desiree nie widziały go od bardzo dawna i pewnie zachodziły w głowę, co też mogło mu się przytrafić. Dobry Boże, doszło do tego, że tylko z Hester czuł się w pełni mężczyzną, a kiedy jej przy nim nie było, ta nieobecność bardzo mocno mu doskwierała. Doprawdy, zabawnie się to wszystko ułożyło.

Na dodatek owa dama, choć jej się podobał i sama przyznała, że jego pocałunki nie są jej niemiłe, uważała go za skrzyżowanie najgorszych cech don Juana i Attyli.

Nadszedł już czas, by podjąć wreszcie jakąś decyzję w sprawie małżeństwa. Dawno temu pogodził się z myślą, że kiedyś będzie się musiał w końcu ożenić, ale dopuszczał oczywiście tylko możliwość małżeństwa z rozsądku. Taki związek nie groził mu żadnymi zobowiązaniami i nie prowadził do sytuacji, jakich zawsze starał się unikać. Nie chciał żenić się z kobietą, która żaliłaby się i płakała z powodu jego różnych miłostek, nie oczekiwał też od przyszłej małżonki, że będzie mu wierna, jeśli tylko zachowa odpowiednią dyskrecję. Cały świat tak postępował i Thorne nie zamierzał być wyjątkiem. Właśnie tak miało wyglądać jego życie rodzinne. Bez skutku starał się jednak stłumić uczucie pustki i beznadziei, wywołane przez te myśli.

Być może nadszedł czas, by oświadczyć się Barbarze.

A wcześniej wypadało ominąć stojącą na drodze do tej decyzji rafę, którą niewątpliwie okazała się pewna drobna, czarująca feministka o ciętym języku.

Zadanie to miało być jednak niełatwe. Sezon w stolicy trwał w ciągu nadchodzących tygodni miał jeszcze nabrać rozmachu. Wrzała praca w Parlamencie, a większość znamienitszych domów w Londynie huczała od plotek, które roznosiła uwijająca się w pocie czoła służba, przekazując sobie najnowsze wieści o wszystkich ważnych rodzinach. Lokatorzy domu Bythorne'ów każdego wieczoru musieli dokonywać wyboru między zaproszeniami na bale, kilka rautów czy wieczerek z muzyką. Dni spędzali na weneckich śniadaniach, przyjęciach w ogrodach, zakupach, odwiedzinach w Muzeum Egipskim albo w Sommerset House, gdzie podziwiali wystawy Królewskiej Akademii Sztuki.

Thorne, jako głowa rodziny z domu przy Curzon Street, miał obowiązek towarzyszyć swej malej gromadce podczas wielu podobnych wizyt. Dlatego też spędzał z Hester więcej czasu niż planował; o wiele za dużo, by osiągnąć spokój, do którego dążył. Zwykle lady Barbara była obecna, ale, co dziwne, hrabiego wcale to nie krępowało. Jednak nie wykorzystał żadnej z nadarzających się sposobności, by oficjalnie się jej oświadczyć.

Pewnego popołudnia, gdy Thorne postanowił zrezygnować z sumiennego wypełniania swych obowiązków względem rodziny, Hester zdobyła brakujący element łamigłówki, jaką od dłuższego czasu była dla niej historia znajomości Roberta Carvera i Barbary. Obie panie, Hester i Barbara, wróciły właśnie z wyprawy do Leicester Square, gdzie pozwoliły sobie uczynić prawdziwy najazd na kilku najlepszych w okolicy bławatników i kupców tekstylnych.

- Naprawdę chcesz wygłosić ten odczyt Pod Dzikim? - spytała Barbara, biorąc z rąk Hester filiżankę herbaty. - Thorne jest, zdaje się, przeciwny temu pomysłowi.

- O, tak - odparła pogodnie Hester. - Ostatnio w Londynie powstało kilka szkół dzięki łaskawości pewnych dam i chciałabym opowiedzieć o tym paru dziewczętom, co do których mam obawy, że zarabiają na życie na ulicy. To dla nich wspaniała okazja, żeby nauczyć się czegoś pożytecznego: nie tylko modniarstwa i krawiectwa, ale rachunków, gramatyki, by kiedyś mogły zostać...

- Tak, tak - przerwała jej zniecierpliwiona Barbara. - Ale musisz przyznać, że to wyjątkowo nieprzyjemna okolica. Podobno wszczyna się tam burdy nawet podczas wystąpień reformatorów. Słyszałam też, że pani Fry ledwie uszła z życiem, kiedy odwiedziła tę północną dzielnicę w zeszłym miesiącu.

- Jestem pewna, że w tej opowieści jest sporo przesady. W każdym razie nie mogę wygłaszać odczytu w Westminster z powodu tego ostatniego śmiesznego zarządzenia, że nie wolno tam organizować zebrań na więcej niż pięćdziesiąt osób. Ale mam dobrą opiekę. Będzie ze mną Trevor i... - zignorowała niezbyt uprzejmy wyraz pogardy, z jakim Barbara odęła swe piękne wargi - weźmiemy paru krzepkich lokajów i chłopaków stajennych. Poza tym - dodała od niechcienia - Robert mówił, że także tam będzie. Mogę liczyć na twoje towarzystwo?

- Robert? - Piękne usta wyrażały teraz popłoch. - Och, nie sądzę...

- Barbaro, Robert będzie w Londynie jeszcze bardzo długo. Nie możesz za każdym razem błędnie na jego widok jak giezło.

Mimo ostrożności, z jaką Barbara postawiła filiżankę ze spodkiem na tacy, delikatna porcelana niebezpiecznie brzęknęła. Splotła ciasno dłonie i spojrzała Hester prosto w oczy.

- Wiele lat temu Robert i ja byliśmy kimś więcej niż po prostu znajomymi. Byliśmy ze sobą zaręczeni.

Hester zaniemówiła i Barbara rzuciła jej szybkie spojrzenie. Natychmiast jednak opuściła oczy i poczęła z uwagą skubać brzeg sukni.

- Mój brat William i Robert byli razem w Harrow, potem razem poszli na Cambridge. Robert był częstym

gościem w naszym domu. - Uśmiechnęła się. - Byłam wtedy zbyt wysoka i za chuda jak na swój wiek, miałam cienkie nogi i ręce, które wyglądały, jakbym wyciągała je równocześnie we wszystkie strony. Robert traktował mnie jak młodszą siostrę. Drażnili się ze mną i kpili bez litości, czasem doprowadzając do łez. Nie pozostawiałam im zresztą dłużną - zapewniła nie bez satysfakcji. - Niezle im dopiekałam.

- Któregoś roku w dzień świętego Michała przyjechał do Abbey, ale coś się zmieniło. Od czasu ostatniego spotkania sporo urosłam, nie byłam już chuda i koścista, miałam nawet kilku wielbicieli w sąsiedztwie. Czuliśmy się z Robertem skrępowani swoim towarzystwem. To było naprawdę dziwne i przykre uczucie, ale pewnego dnia...

- głos Barbary nabral ciepłego tonu - mieliśmy wtedy mnóstwo gości. Cały ranek padało, więc po lunchu postanowiliśmy się z przyjaciółmi zabawić w teatr. Poszliśmy na strych przetrząsnąć stare kufry w poszukiwaniu kostiumów. W pewnej chwili dziwnym zrzędzeniem losu odłączyliśmy się z Robertem od reszty. Zaczęłam mu wymyślać, że mnie zaniedbuje. On odciął się mówiąc, że spędzam całe dni przyjmując hołdy wszystkich fireyków z okolicy. Potem ja coś odwarknęłam i po chwili toczyliśmy już kłótnię na śmierć i życie. W końcu się rozplakałam. Och, Hester, byłam taka nieszczęśliwa i przestraszona. Robert objął mnie ramieniem, zaczął przeproszać i nim się zorientowałam, pocałował mnie, a ja oddałam mu pocałunek!

Przerwała i zapatrzyła się w dal. Hester zdawało się, że Barbara ogląda właśnie tamtą scenę z przeszłości.

- Po tygodniu wyznał mi miłość, a ja przyznałam, że także go kocham. Mówiliśmy o ślubie, choć byliśmy jeszcze za młodzi, by mieć tak poważne plany. Na dodatek Robert wbił sobie do głowy, że trzeci syn mało znanego baroneta nie może być w żaden sposób odpowiednią partią dla córki hrabiego. Naturalnie powiedziałam mu, że to nonsens. Pochodził z szanowanej rodziny i wiedział, że moi rodzice bardzo go lubią i na pewno zrobią wszystko, żebym była szczęśliwa.

- A nie zrobili?

Barbara zaśmiała się smutno.

- Nigdy się o niczym nie dowiedzieli. Mniej więcej rok później w Abbey pojawił się Martin Denby, margrabia Bentwares. Zaczął nadzwyczaj śmiało zabiegać o moje względy. A ja... och, Hester, nic do niego nie czułam, ale był taki szarmancki. Obsypywał mnie komplementami, a Robert nigdy tego nie robił i... no tak, zawrócił mi w głowie. Ale to naprawdę nie było nic ważnego. Jeśli go nawet zachęcałam, to tylko po to, by wzbudzić w Robertcie odrobinę zazdrości. Odkąd wyznał miłość, wydawało mi się, że uważa nasz związek za samo przez się zrozumiały, i chciałam nim trochę... wstrząsnąć.

- I odrobinę przesadziłaś.

- Chyba tak, bo poczuł się dotknięty. Parę razy dał mi to bardzo wyraźnie do zrozumienia, lecz tylko się roześmiałam i nie zważając na jego wymówki, dalej przyjmowałam zaloty Denby'ego. Byłam pewna, że Robert mimo tych wszystkich narzekania rozumie, że nie mam żadnych zamiarów względem margrabiego. Myślałam nawet, że odgadnie, iż chciałabym, żeby i on umiał mi poświęcać tyle uwagi co Denby. On jednak wciąż czynił mi wyrzuty, więc wpadłam w złość i doszło po prostu do tego, że Robert zaczął się ode mnie odsuwać. Byłam pewna, że nabral do mnie odrazy, i usiłowałam się przekonywać, że wcale mi nie zależy na jego uczuciu. Och, Hester, nie mieliśmy żadnej wielkiej kłótni, po której się rozstaliśmy. Wtedy moglibyśmy się pogodzić. A tak stawaliśmy się sobie coraz dalsi i dalsi, aż wreszcie Robert wrócił do swego majątku. Mówiłam sobie, że to nic, że nic takiego się nie stało, aż sama w to uwierzyłam. Potem on wyjechał z kraju na kilka lat, żeby dopilnować interesów rodzinnych w Europie. Przestałam zwracać uwagę na zaloty Martina, ale wpadłam w wir życia towarzyskiego, a później pojawił się Thorne i...

- I dopiero tamtego wieczoru w domu Bythorne'ów, podczas spotkania miłośników literatury antycznej, zrozumiałaś, jak cenny skarb wypuściłaś z rąk. Chciałam powiedzieć... - poprawiła szybko Hester. - Proszę, wybac mi. Obawiam się, że przemówiła przeze mnie powieściopisarka. Ale chyba nie za bardzo się myślę?

Obserwowała uważnie Barbarę, która spłoniła się, próbując wygładzić suknię, którą okropnie pomięta w czasie rozmowy.

- Nie - odrzekła cicho. - Nie mylisz się.

- Cóż, muszę przyznać, że wygląda to na smutne nieporozumienie, ale chyba da się jeszcze wszystko naprawić.

Barbara uniosła raptownie głowę.

- Co masz na myśli? - spytała ostro. - Spodziewasz się, że podejść do niego i powiem: „Czemu byłeś takim głupcem i pozwoliłeś mi odejść, skoro wiesz, że jestem miłością twojego życia?”

Hester roześmiała się.

- Nie, raczej się tego nie spodziewam. Chociaż na pewno zmusiłoby go to do zastanowienia. Będziemy musiały jednak obmyślić jakiś bardziej subtelny plan.

Barbara spojrzała na nią ze zdumieniem.

- My?

- Oczywiście. Mówiłam ci już, że uważam Roberta za przyjaciela, ty także stałaś się moją bliską przyjaciółką. Skoro nie potraficie albo nie chcecie sami się zatroszczyć o swoje życie... och, przepraszam. Chciałam tylko powiedzieć, że potrzebujecie niewielkiej pomocy.

- A co z Thorne'em?

- Z Thorne'em?

- Tak, przecież on i ja od wielu lat...

- Barbaro, czy sądzisz, że Thorne naprawdę cię kocha? Nie... nie chciałabym być niesprawiedliwa, ale...  
Słowa uwięzły jej w gardle. Wmówiła sobie, że Thorne nie darzy prawdziwym uczuciem pięknej lady Barbary Freemantle, i nagle boleśnie zdała sobie sprawę, że może się mylić. Barbara westchnęła.

- Bardzo mnie lubi i myślę, że uważa mnie za odpowiednią kandydatkę do małżeństwa, takiego, jakie sobie wyobraża, lecz na pewno nie mogłabym go nazwać gorliwym konkurentem do mojej ręki. Właściwie chyba dlatego wciąż się go trzymam, co może wydawać się odrobinę nieprzyzwoite. Wiem, że się nie wycofa, ale jednocześnie wcale nie przeszkadza mi to cieszyć się względami innych mężczyzn.

Hester popatrzyła na nią z ukosa.

- I nie czujesz się obrażona, że Thorne, dając wszystkim do zrozumienia, że jesteście... hm, prawie zaręczeni, pozwala sobie na różne swawole z damami o nieco wątpliwej reputacji?

Barbara wzięła filiżankę i w zamyśleniu upiła łyk herbaty.

- Może wzięłabym sobie to do serca, gdybym naprawdę była w nim zakochana. Poza tym on jest przekonany, że nie może mnie to zranić. Żadna z jego miłostek nic dla niego nie znaczy. - Rzuciła Hester krótkie spojrzenie. - Myślę, że każda kobieta, która pragnie zdobyć jego serce, musi to zrozumieć.

Hester potrząsnęła głową.

- Wygląda na to, że hrabia Bythorne w istocie nie ma serca, które można zdobyć - powiedziała, starając się opanować drżenie głosu.

- Być może to prawda, choć nieraz zastanawiałam się... W końcu rodzice Thorne'a - ciągnęła powoli Barbara - byli...

- Tak, Thorne mówił mi o nich.

- Nie znałam wprawdzie lady Bythorne, ale z opowieści o niej wiem, że czerpała przyjemności życia bez umiaru.

- Zdaje się, że małżonek dzielnie dotrzymywał jej kroku.

- Owszem. Nawet jak na tamte libertyńskie czasy cieszyli się niezbyt pochlebną opinią. Nic więc dziwnego, że Thorne, dorastając w takiej rodzinie, nabrał uprzedzeń do małżeństwa. Natura nie poskąpiła mu uroku, a w dorosłym życiu nie przytrafiło mu się nic, co mogłoby zmienić jego postawę.

- Rozumiem. Na nieszczęście jednak będzie się musiał pewnego dnia ożenić. Można mieć tylko nadzieję, że uczyni to z rozsądku i będzie to związek formalny. Żle by się stało, gdyby jakaś młoda dama straciła dla niego głowę, a on po ślubie złamał jej serce.

Hester ze wszystkich sił starała się mówić lekko i swobodnie, lecz Barbara jeszcze raz rzuciła jej badawcze spojrzenie. Pochylając się nad filiżanką, spytała jednak tylko:

- Wybierasz się może na koncert do lady Wincannon dziś wieczorem?

- Tak. Czy Thorne będzie ci towarzyszył?

Barbara roześmiała się.

- Och, nie. Powiedział, że choć bez lęku skoczyłby dla mnie w ogień i przepłynął siedem rzek, to perspektywa słuchania jeszcze jednej miauczącej sopranistki jest ponad jego siły.

- Mam wrażenie, że Chloe jest podobnego zdania, ale ciotka Lavinia i ja nakłoniłyśmy ją, by poszła z nami.

- Ach, tak. Czy młody John Wery też tam będzie?

Hester rozpromieniła się.

- Myślę, że to bardzo możliwe.

I tak się stało: zgodnie z przewidywaniami Hester John przybył na koncert. Ledwie panie z domu Bythorne'ów zasiadły na swych krzesłach we wspaniałym salonie lady Wincannon, w drzwiach stanął John. Ogarnął spojrzeniem salę, po czym cicho przycupnął na miejscu obok Chloe, która uroczo się zarumieniła. Wkrótce potem, pod ciekawym spojrzeniem lady Lavinii i Hester, poprosił ją, by zechciała przejść się z nim po tarasie, gdzie kilka innych par rozkoszowało się ciepłem letniego wieczoru.

- A potem - opowiadała później Chloe z błyszczącymi oczyma w sypialni Hester - zaprosił mnie na kolację. Och, Hester, nie wiem, czy kiedykolwiek spędziłam równie wspaniały wieczór.

- Tak bardzo podobała ci się muzyka?

- Muz... och, tak, oczywiście, ale miałam na myśli... Hester, żarty sobie ze mnie stroisz!

- Może troszeczkę - odparła z uśmiechem Hester.

- Nigdy nie sądziłam, że można z Johnem tak wesoło rozmawiać - kontynuowała Chloe. - Chociaż gdybyś spytała, o czym tak właściwie mówiliśmy, nie umiałabym dokładnie odpowiedzieć. - Roześmiała się. - Mówiliśmy o... och, o poezji, o jeździe konnej i... i o naszym ulubionym smaku lodów.

- Bardzo szeroka tematyka - mruknęła Hester

Chloe uśmiechnęła się promiennie, lecz po chwili spoważniała.

- Muszę ci powiedzieć, Hester, że zastanawiam się... to znaczy chciałabym przemyśleć jeszcze raz moją odmowę wobec oświadczeń Johna.

Hester otworzyła szeroko oczy z udawanym zdumieniem.

- Nie!

- Uważasz, że jestem okropnie kapryśna? Myślisz, że zdradziłabym swoje ideały, gdybym wyszła za męża? To by przecież znaczyło rezygnację z moich planów: pisania, przemówień i wszystkiego.

- Głuptasku, oczywiście, że nic i nikogo byś nie zdradziła. Jako kobieta zamężna mogłabyś także zdziałać wiele dobrego. Małżonka Johna Wery'ego, świetnie prosperującego ziemianina, będzie bardzo wpływową osobą w okolicy, gdzie jak dotąd niewiele zrobiono dla edukacji kobiet. Możesz przewodniczyć różnym komitetom, zbierać fundusze, rozdawać książki i robić mnóstwo innych pożytecznych rzeczy.

- Tak, to prawda. Nie pomyślałam o tym. Naturalnie - rzekła płoniąc się - nie wiem, czy John nadal chciałby się ze mną ożenić, ale gdyby jeszcze raz poprosił mnie o rękę, chyba... chyba bym się zgodziła.

Hester wzięła ją w ramiona i czule przytuliła.

- Nie mogłabyś postąpić mądrzej, moja droga. John jest prawdziwą perłą pośród mężczyzn.

Chloe znów spiekła raka.

- Też tak sądzę. Powiedział mi, że chciałby iść z nami na twój odczyt Pod Błękitnego Dzika. Chyba wuj Thorne pozwoli mi w końcu pójść, nie sądzisz? - spytała zaniepokojona.

- Myślę, że powinien. Właściwie najbardziej boi się o twoje bezpieczeństwo, a nie o to, że możesz ulec deprawacji - powiedziała to nieco ostro. - Poza tym wie, że będziemy miały dobrą opiekę.

Chloe ziewnęła.

- Masz rację. - Wstała z wielkiego fotela pod kominkiem i życząc Hester dobrej nocy, wyszła.

Hester została sama i zapatrzyła się w skaczące wesoło płomienie. Zdaje się, że jej pobyt w domu Bythorne'ów nieuchronnie się kończył. I bardzo dobrze, skarciła się w duchu. Za bardzo polubiła całą rodzinę Trentów, a zwłaszcza hrabiego Bythorne'a. Nie - bardziej, niż polubiła, jeśli ma być szczerą.

No tak, pomyślała ponuro. Może się w końcu przyznać, przynajmniej przed sobą. Kocha Thorne'a.

## 17

Wreszcie to powiedziała.

Jednak, mimo że odważyła się to w końcu wyrazić, sama myśl nie wydała się przez to ani trochę mniej absurda. Nie wyobrażała sobie bardziej niedobranej pary niż ona i hrabia Bythorne. Gdyby nawet doszło do tego, że w ogóle chciałaby wyjść za męża, nie wybrałaby przecież człowieka, który był zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyła. Nawet nie rozważałaby związku z mężczyzną tylko dlatego, że na widok jego pięknego ciemnego oblicza i zniewalającego uśmiechu nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a jego najłżejszy dotyk sprawiał, że od nadmiaru szczęścia kręciło jej się w głowie.

Wolała nie dopuszczać do siebie myśli, że hrabia jest także inteligentnym człowiekiem i błyskotliwym rozmówcą, że ma wiele innych zalet; zdecydowanie jednak przeważały w nim wady. Traktował kobiety jak przedmioty, święcie wierząc, że nie mają one w życiu celów wyższych niż dbanie o wygody mężczyzn. Wprawdzie uważała, że w trakcie jej pobytu w domu Bythorne'ów to przekonanie trochę osłabło, a ich rozmowy tryskały dowcipem i inteligencją, ale...

Ale ten dialog ze sobą nie miał sensu. Gdyby nawet uznała, że chce spędzić u boku Thorne'a resztę życia, przypuszczenie, iż mógłby żywić choć ciekawość zainteresowania jej osobą, wydawało się niedorzeczne - pomijając oczywiście odruchowe reakcje, które w istocie były częścią jego instynktu.

Mimo to w głębi serca sądziła, że jego uczucia wobec niej różnią się od uczuć, jakimi darzył inne kobiety. Czyż fakt, że lubił przebywać w jej towarzystwie nie był najlepszym tego dowodem? Była przekonana, że hrabia nie miał zwyczaju toczyć gorących dyskusji ze swymi *chères amies*, nie robił tego nawet z Barbarą, z którą przecież miał się pewnego dnia ożenić. Prawdopodobnie rozrywkom intelektualnym oddawał się tylko w towarzystwie przyjaciół mężczyzn, do których chyba nie żywił namiętnych uczuć należnych płci pięknej.

Czy tak właśnie było? Czy uważał ją za swego przyjaciela? Być może. Czy uważał ją za miłość swojego życia?

Akurat - skonstatowała, wzdychając boleśnie.

Bardzo dobrze. Przywykła już do porażek w życiu, będzie więc umiała pogodzić się z jeszcze jedną. Może przyjaźń z hrabią przetrwa jej powrót do Overcross. A może, pomyślała z nerwowym chichotem, poprosi ją, by została matką chrzestną któregoś z jego dzieci, jakie zapewne się pojawią, kiedy się w końcu ożeni.

Ale z lady Barbarą Freemantle nie będzie miał żadnych dzieci, Nie, jeśli tylko ona ma tu coś do powiedzenia. Przykro mi cię rozczarować, milordzie, ale lady B. jest pisana komu innemu. Hrabia będzie musiał poszukać sobie innej miłej i dyskretnej panny ze swoich kręgów towarzyskich, która urodzi mu dzieci i będzie znakomitą ozdobą jego domu.

Ustaliwszy więc zdecydowanie swoje dalsze losy, których kształt napełnił ją nader wątpliwą satysfakcją, usiadła, by przemyśleć sprawę Roberta i Barbary. Choć udawali, że unikają się nawzajem, nie uszło uwagi Hester, iż gdy znajdują się w tym samym pokoju, jakaś tajemnicza siła popycha ich ku sobie. Weźmy choćby wieczór w Ogrodach Vauxhall. Hester nie widziała sceny, jaka rozegrała się między nimi po tym, jak ujrzała ich splecionych w tańcu, ale poszłaby o zakład, i to o sporą sumę, że nie zasiedli potem do dyskusji o kunszcie orkiestry.

Musi zatem sprawić, żeby jak najczęściej się widywali. Nie wydawało się to trudne, bowiem wedle planów Gussie oboje, Robert i Barbara, mieli uczestniczyć w większości wydarzeń w domu Bythorne'ów - Gussie miała w



tym wprawdzie zupełnie inny cel, lecz było to bez większego znaczenia.

Zanim Hester poczęła wprowadzać w życie swój plan, minęły trzy dni. Pierwszą okazją do działania było przyjęcie, które wydawał wicehrabia Halburton z małżonką, by uczcić zaręczyny swej najmłodszej córki ze spadkobiercą hrabiego Cashina.

Szczęśliwym trafem gospodyni u Halburtona pracowała za młodu w domu Bythorne'ów i nadal przyjaźniła się z tamtejszą służbą. Dzięki licznym i skomplikowanym negocjacjom oraz za pomocą drobnego przepokupstwa Hester dostała gwarancję, że podczas uroczystej kolacji Robertowi i Barbarze przypadną miejsca obok siebie.

Jednakże, ku swej konsternacji, wchodząc wraz z tłumem błyszczących od klejnotów gości do jadalni Halburtonów, Hester stwierdziła, że zupełnie zapomniała o tym, iż Barbara będzie miała przy stole drugiego sąsiada. Tego wieczoru lady Freemantle nie przybyła na przyjęcie razem z nimi, lecz w towarzystwie swej ciotki, hrabiny Carbrooke i jej młodszej córki. Hester wstrząsnął krótki dreszcz, kiedy zauważyła, że Thorne siada po prawej ręce Barbary, a Robert z ponurą miną zajmuje miejsce po lewej. Siedząca po przeciwnej stronie stołu Gussie skrzywiła się, najwidoczniej bardzo zirytowana taką sytuacją. Pewnie umyśliła sobie, żeby Robert usiadł obok Hester, i teraz zastanawiała się, kto, u licha, mógł pokrzyżować jej plany.

W tym samym czasie przy drugim końcu stołu śmiali się Chloe i John. Na ich widok Hester odetchnęła z ulgą. Przynajmniej sprawy tych dwojga idą we właściwym kierunku.

Jedzenie szło Hester niesporo. Lekceważąc prawie zupełnie swoich własnych sąsiadów przy stole, całą uwagę skupiła na obserwowaniu Barbary, Thorne'a i Roberta. Barbara zajmowała się głównie Thorne'em, natomiast Robert wydawał się zajęty najpierw zupą zółwiową, a potem rozmową z sąsiadem z przeciwnej strony. Kiedy Barbara odwróciła się w jego stronę, chcąc z nim porozmawiać, odpowiadał monosylabami, aż w końcu zniecierpliwiona, wzruszywszy ramionami, postanowiła zostawić go w spokoju.

Och, na litość boską, pomyślała Hester. Nic się tu nie stanie samo. Trzeba coś zaaranżować. Po kolacji, gdy panowie dołączyli już do pań po tradycyjnej szklaneczce portwajnu, dała znak Johnowi, by usiadł obok niej na krzesła, które trzymała specjalnie dla niego. Zanim jednak młodzieniec zdołał dotrzeć do celu, ubiegł go Thorne, który wśliznął się szybko na rzezone krzesło.

- Nie do wiary - szepnął. - Widziałas Chloe i Johna? Cały wieczór nie odstępują się na krok.

- Tak - odparła Hester, czując pewne skrępowanie, ponieważ w tej chwili on także był bliżej niż o krok. - Widziałam nawet, jak przed chwileczką wyszli z pokoju razem. To naturalnie okropnie niestosowne, ale chyba pozwolimy zakochanym na odrobinę swobody?

- Pozwolę im na wszystko, czego tylko zapragną i będę im błogosławił pod warunkiem, że usłyszę o zaręczynach.

- Thorne odsunął się nagle i przyjrzał się jej dokładnie. - Wspaniale dziś wyglądasz.

Pełen podziwu błysk w jego oczach trochę ją zmieszał, ale słowa te przypomniały jej o sprawie, która dręczyła ją od pewnego czasu.

- Nic w tym dziwnego - odparła - wzięwszy pod uwagę pokaźną sumę, którą na mnie wydano.

Hrabia pytająco uniósł brwi, a gest ten wywołał w Hester falę gniewu, który tlił się w niej już przedtem.

- Jak można mnie tak oszukiwać, milordzie?

- Milordzie? Cóż takiego zrobiłem, by ściągnąć na siebie twój gniew?

- Z tego, co wczoraj zdradziła mi przez nieuwagę Gussie, dowiedziałam się, że madame Celeste wystawiła mi rachunek na sumę nieco zaniżoną, a właściwie śmiesznie niską w porównaniu z prawdziwą wartością moich sukien, i że pozostałą część rachunku zapłaciłeś ty.

Thorne miał na tyle przyzwoitości, że się zarumienił, choć było to prawie niezauważalne.

- Cóż - rzekł ostrożnie - a jak inaczej mogłem postąpić? Nie pozwoliłabyś mi przecież zapłacić za suknie, a ceny u madame są zbyt wysokie, byś mogła sama uregulować wszystkie rachunki.

- Mogłabym przecież...

- Wybrać suknie, na które mogłabyś sobie pozwolić, ale na to nie zgodziłaby się ani Gussie, ani ja. Przyznasz chyba - ciągnął, nim Hester zdążyła nabrać tchu, by ostro zaprotestować - że bardzo Podobaają ci się wszystkie te nowe stroje. Nawet kobieta, która wypiera się jakichkolwiek związków z modą, musi od czasu do czasu schlebić swej próżności i nacieszyć się czymś nieprzyzwoicie droгим.

Słowa Thorne'a były tak celne, że Hester odwróciła wzrok. Mimochodem zerknęła na swą czarującą bladoróżową suknię z włoskiego jedwabiu, na którą włożyła leciutką jak mgiełka tunikę. Na ramionach materiał spinały dwa błyszczące brylanty, a stroju dopełniał satynowo-koronkowy czepek, z którego zwieszały się dwie ozdobne kitki.

- Owszem, nie przeczę, że madame Celeste jest mistrzynią w swojej sztuce, ale...

- Chyba jesteśmy niegrzeczni - przerwał jej Thorne, dając jej do zrozumienia, by zainteresowali się otoczeniem. - Siostrzeniec lady Halburton szykuje się do uraczenia nas jednym ze swych poematów, jeśli się nie mylę.

- Tak, ale... - próbowała wtrącić zirytowana Hester. Thorne uciszył ją ruchem ręki.

- Porozmawiamy o tym później, moja droga.

- Nie jestem „twoja droga” - odgryzła się Hester, chcąc mieć ostatnie słowo. Chyba jednak przegrała w tej potyczce.

Zanim siostrzeniec lady Halburton skończył recytować przydługą odę do wiosny, Thorne opuścił swoje miejsce i

podążył do pokoju, w którym zabawiano się grą w karty. Tyle wyszło z jego szlachetnych deklaracji na temat grzeczności, pomyślała urażona. Mniejsza z tym. Musiała wrócić do swego planu związanego z Barbarą i Robertem. Oczekawszy, aż przebrzmia ostatnie wersy poematu, pospiesznie opuściła salon. Wezwała lokaja i zażądała, by przyniósł jej pióro, papier i atrament do małego pokoiku, jaki znalazła w dalszej części korytarza, i po paru chwilach wręczyła służącemu dwa liściki, polecając, by doręczył je co tchu. Potem wróciła do gości, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Wypadki potoczyły się jednak znów wbrew jej woli. Wróciwszy do salonu zobaczyła, jak lokaj zbliżył się do Roberta, który w następnej chwili wyszedł z pokoju. Zerknęła na Barbarę i ku swemu zadowoleniu zobaczyła, że na jej twarz wypełził gorący rumieniec. Lady Freemantle odwróciła się gwałtownie, lecz tak nieszczęśliwie, że potrafiła łokciem młodzieńca, który z wielką ostrożnością niósł dwie szklaneczki ponczu. Kaskada czerwonych kropli poleciała na suknię, a okrzyk Barbary spowodował ogromne poruszenie wśród otaczających ją panów. Po chwili zniknęła w tłumie dżentelmenów, którzy stłoczyli się wokół niej i usiłowali zaradzić katastrofie, ofiarowując mnóstwo chusteczek.

Niech to lichy.

Zanim Barbara zdoła się uwolnić od usłużnych panów, minie sporo czasu. Hester nie mogła zostawić Roberta, który zapewne spacerował nerwowo po pokoiku, w którym liścik nakazywał mu czekać na nadawcę.

Westchnęła więc i poszła jeszcze raz do pokoiku. Robert nie przechadzał się, ale wyglądał, jakby za chwilę miał to uczynić. Gdy weszła Hester, odwrócił się raptownie.

- Och - powiedział. - To ty. To znaczy - poprawił się szybko - spodziewałem się...

- Wiem, kogo się spodziewałeś, ale ta osoba nie może teraz przyjść.

- Nie... nie rozumiem.

Zawahawszy się przez chwilę, Hester podeszła do Roberta.

- Przykro mi, lecz to ja napisałam ten list. - Nie zwracając uwagi na wyraz nieopisanego zdumienia w jego oczach, ciągnęła: - Wierz mi, Barbara chciała przyjść, ale zdarzył się wypadek. Nie, nie, nic się jej nie stało jest tylko trochę mokra.

Opowiedziała mu o nieszczęsnym zdarzeniu, z powodu którego Barbara nie mogła stawić się w umówionym miejscu. Ku jej zdziwieniu Robert wybuchnął złością.

- Chcesz powiedzieć - rzekł wzburzony - że próbowałaś podstępnie zaaranżować nasze spotkanie?

- No, tak. Właśnie o tym mówię. Nie musisz mi dziękować. Po prostu...

- Dziękować ci! Dlaczego się wtrącasz? Co, na Boga, podsunęło ci taki pomysł? Cóż ja takiego mógłbym mieć do powiedzenia Barbarze albo ona mnie?

Hester zaniemówiła.

- Ależ, ależ...

Robert podbiegł do niej, złapał za ramię i potrząsnął lekko.

- O Boże, pewnie miałaś jak najlepsze chęci, ale musisz sobie zapamiętać, że między Barbarą i mną nic nie ma. I nic nie będzie. Ludzie, którymi kiedyś byliśmy, już nie istnieją.

Oczy Hester napęły się łzami.

- Ależ, Robercie, mylisz się. Byłeś w błędzie, kiedy ją wówczas zostawiłeś. Nigdy nic nie czuła do tamtego nieszczęsnego margrabiego. Nie popełniaj tego błędu jeszcze raz.

Zdjęta nagłym lękiem, niemal rzuciła się na Roberta, szarpiąc go, jakby siłą woli mogła go przekonać, by zmienił zdanie. Złapał ją za ręce i odsunął od siebie, a Hester poczuła ogromne zawstydylenie.

- Przepraszam, Robercie. Pozwól mi wyjaśnić...

Słowa uwięzły jej w gardle, gdyż za plecami Roberta spostrzegła nagle kilka postaci, które stały w progu. Wśród przyglądających się im twarzy rozpoznała przede wszystkim hrabiego Bythorne'a.

W jego oczach odbijał się blask świec płonących w pokoiku, lecz gorzał w nich także jakiś płomień szaleństwa, którego Hester nigdy dotąd nie widziała. Thorne wkroczył do pokoju, a wtedy ujrzała, że towarzyszą mu Gussie, lord Bracken i Barbara. Orszak zamykali John i Chloe. Hester stała jak wryta, niezdolna do najmniejszego ruchu, kiedy Thorne podszedł do niej z zaciśniętymi pięściami. Zatrzymał go jednak głos Gussie.

- Hester! Pan Carver! - zawołała uszczęśliwiona. - Nie miałam pojęcia, że sprawy między wami zaszły tak daleko. Czy mamy życzyć wam szczęścia?

Za plecami Hester Robert wydał zduszony dźwięk. Barbara, blada jak poplamiona winem chustka, którą trzymała w dłoni, także cicho jęknęła.

- Nie! - krzyknęła Hester, odzyskując wreszcie władzę nad sobą. - My nic... to znaczy, to nie...

- Tak jest, naturalnie, lady Bracken.

Hester odwróciła się do Roberta, który wciąż trzymał jej rękę w żelaznym uścisku. Spojrzał w twarz Thorne'owi, a kiedy po chwili odezwał się w ciszy, jaka nad nimi zawisła niczym zapowiedź burzy, jego głos był spokojny, choć może nieco zdyszany.

- Przypuszczam, że powinienem był najpierw porozmawiać z panem, milordzie, o moich planach względem tej damy, ale zapewniała mnie, że sama jest panią własnego losu i nie potrzebuje niczyjej zgody, jeśli zechce wyjść za

mąż.

- Pozwólcie, proszę... - zaczęła znowu Hester, lecz tym razem przerwała jej Gussie, która wzięła ją w objęcia, czyniąc przy tym wielkie zamieszanie.

Po niej lord Bracken cmoknął ją w policzek i wkrótce pokoik wypełnił się gośćmi z salonu, którzy pojawili się tu wiedzeni nieomylnym instynktem i poczęli jej składać najlepsze życzenia.

- To śmieszne - mówiła Hester. - Nie robiliśmy nic niestosownego, a ja naprawdę nie mam zamiaru wychodzić za pana Carvera.

- Nonsens - zaprzeczyła żywo Gussie. - Myślę - ciągnęła, spłoszywszy ciekawskich, którzy zaglądali do pokoju - że powinniśmy już iść. Wesele możemy zaplanować później.

- Ależ... - odezwała się znów Hester i natychmiast poczuła ostrzegawczy uścisk.

- Twoja ciotka ma rację - rzekł Robert, popychając ją delikatnie ku wyjściu. - Pomówimy o tym później. Teraz powinniśmy czym prędzej opuścić ten dom, nie sądzisz?

Zerknąwszy przez ramię na Thorne'a, Hester pozwoliła się wyprowadzić na korytarz. Zanim wyszła, dojrzała jeszcze bladą i milczącą Barbarę, która stała w głębi pokoju i patrzyła na nią z pełnym goryczy wyrzutem.

Po paru minutach Hester znalazła się w zacisznym wnętrzu hrabiowskiego powozu. Po jednej ręce miała Roberta, którego Gussie zmusiła, by towarzyszył im w drodze powrotnej do domu, a po drugiej usadowił się Thorne. Pasażerowie, wśród których byli również lord Bracken, ciotka Lavinia, Chloe i John, byli więc nieprawdopodobnie ściśnięci, lecz nie przeszkadzało to Gussie, która niesłuchanie z siebie zadowolona snuła plany związane ze ślubem i weselem. Chloe siedziała w milczeniu z szeroko otwartymi oczyma, a ciotka Lavinia mruczała coś w odpowiedzi na radosne tyrady Gussie. Od czasu do czasu Robert wtrącał jakąś uwagę, potakując rozentuzjasmowanej lady Bracken, choć nie wyglądał na równie przejętego jak ona. Uwaga Hester skupiała się jednak na Thornie, który nie powiedział ani słowa od czasu, gdy stanął na progu pokoiku w domu Halburtonów. Z dotyku jego ramienia muskającego ją od czasu do czasu wywnioskowała, że jest bardzo spięty, lecz poza tą jedną oznaką nie umiała odgadnąć, co rzeczywiście myśli o dzisiejszym wydarzeniu. Boże drogi, chyba nie sądzi, że naprawdę ma zamiar wyjść za Roberta - albo że Robert chce się z nią ożenić. Niemożliwe, by uwierzył, że przyłapał ich na wzajemnych czułościach.

A może, co gorsza, był zadowolony z takiego obrotu spraw? Czy chciał ją ujrzeć na ślubnym kobiercu z Robertem? To śmieszne! Cóż go to mogło obchodzić czy wyjdzie za mąż, czy do końca życia pozostanie panną?

Thorne był zdumiony swoją gwałtowną reakcją na scenę, którą dopiero co dane mu było ujrzeć. Nigdy dotąd w całym swym uporządkowanym życiu nie doświadczył takiego wiru uczuć w tak krótkim czasie. Ujrzawszy scenę czulego uścisku Hester i Roberta, w pierwszym odruchu doznał takiego gniewu, że ogarnęły go mdłości. Radosny okrzyk Gussie uprzytomnił mu jednak, iż powinien sprzyjać takiemu rozwiązaniu, które ze wszech miar było korzystne dla Hester. Jej obecne zachowanie nie wskazywało wprawdzie, że może coś do niego czuć, ale dlaczego w takim razie tuliła się do niego jak zalężnione dziecko do matki?

Muszą się pobrać, to jasne. Znów zdziwił go przykry skurcz w sercu, jakiego doznał na tę myśl. Pewnie przywykł do jej obecności w swoim życiu bardziej niż mógł przypuszczać. A może - uśmiechnął się ponuro - było to nagłe uświadomienie sobie własnej śmiertelności, kiedy odchodzi ktoś bliski. Może właśnie teraz powinien poddać się nieuniknionemu losowi i oświadczyć się Barbarze? Niemniej jednak bez wątpienia dobrze się stało. Za bardzo przywiązał się do swej nowej kuzynki, tak więc gdy opuści jego dom, powinien energicznie zająć się własnymi planami ożenku.

Postanowił sprzyjać temu małżeństwu. Będzie służyć wszelką pomocą szczęśliwym nowożeńcom, choć być może, pomyślał ze smutkiem, będzie musiał przekonywać przyszłą pannę młodą o konieczności wstąpienia w związki małżeńskie.

Rzuciwszy parę niepewnych spojrzeń na Thorne'a, Hester skupiła uwagę na Robercie. Co mu się, na litość boską, stało? Jak mógł siedzieć tak spokojnie i przyjmować gratulacje od Gussie i lorda Brackena? Najwyższy czas przerwać ten stek bzdur.

- Gussie - powiedziała stanowczo. - Gussie - powtórzyła, ponieważ nie udało się jej przerwać radosnego szczebiotu damy.

- A przyjęcie zaręczynowe urządzimy, rzecz jasna, u nas. Tak będzie najlepiej. Słucham, moja droga? - spytała, zorientowawszy się, że Hester ciągnie ją za suknię.

- Gussie, nie będzie żadnego przyjęcia zaręczynowego ani żadnego ślubu.

Gussie otworzyła szeroko oczy.

- Ależ, moja droga Hester...

- Na pewno doskonale wiesz, że to, co zobaczyłaś w pokoju, było absolutnie niewinne, i zaraz ci wszystko wytłumaczę. Robert i ja...

- ...zgadzaliście się ze sobą w najwyższym stopniu - przerwała bez ogródek Gussie. - Jeżeli anons o waszych zaręczynach nie ukaże się na widocznym miejscu w „Morning Post” będziecie zgubieni.

- Gussie, padłaś ofiarą okropnego nieporozumienia. Ja...

- Gussie ma rację - odezwał się głos obok niej. Hester odwróciła się raptownie i zobaczyła zdecydowaną twarz

Thorne'a. - Nie ma znaczenia, co robiliście z Robertem. Musicie się pobrać.

Hester otworzyła w zdumieniu usta.

- Co?! I ty... to mówisz? Chyba nie uległeś śmiesznemu przekonaniu...

- Mówię tylko... - zaczął Thorne spokojnie, ale w tym momencie powóz zatrzymał się pod domem.

Kiedy przekroczyli próg, Hester oznajmiła wszystkim, że chce iść spać.

- Jestem zmęczona i mam migrenę - tłumaczyła wyraźnie rozdrażniona. - Nie życzę sobie dalszej dyskusji na ten niedorzeczny temat. Robercie - spojrzała groźnie na swego „narzeczonego” - będę ci wdzięczna, jeśli odwiedzisz mnie jutro jak najwcześniej. Dobranoc, Gussie, milordzie - zwróciła się państwu Bracken. - Ciociu Lavinio, Chloe - dodała, skinąwszy głową i już przez ramię pod adresem Thorne'a rzuciła - Dobranoc, milordzie.

Mając przed oczami jego twarz znów mieniającą się od gniewu, wstąpiła na schody. Kiedy weszła do sypialni, stała przez chwilę pośrodku pokoju, spoglądając przed siebie nie widzącym wzrokiem. a potem przywołała dzwonkiem Parker.

## 18

Hester obudziła się po prawie nie przespanej nocy i ujrzała obrzydliwie śliczny poranek. Chociaż pogoda, pomyślała przygnębiona, powinna odzwierciedlać mój nastrój. Mogłby to być szalejący tajfun albo przynajmniej ulewa. O dziwo, to nie kłopotliwe położenie, w jakim się właśnie znalazła było powodem niepokoju, który kazał jej przewracać się z boku na bok do brzasku. Nie miała żadnych wątpliwości, że zdoła się przeciwstawić natarczywym ponaglaniem ze strony Gussie i rycerskości Roberta, która objawiła się zdecydowanie nie w porę. Nie - najbardziej zabolala ją reakcja Thorne'a. Mogłaby przysiąc, że ujrzała w jego oczach błysk gniewu, ale trwał on tak krótko, że uznała iż powstał tylko w jej imaginacji. A potem - nie umiała wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo wytrąciła ją z równowagi jego uprzejma zgoda na radosne projekty Gussie. Czyżby spodziewała się, że w przypiływie zazdrości Thorne rzuci się Robertowi do gardła? Bzdura.

Obserwując, jak szare światło poranka wydobywa z ciemności sypialnię, Hester doszła do niewesołego wniosku, że Thorne, traktując ją jak członka rodziny, postępuje dokładnie tak jak wszyscy krewni. Uznał, że jego powinnością jest znalezienie jej odpowiedniego pretendenta do ręki i wydanie za żonę, tak by mogła chować dzieci i przestała sprawiać wszystkim kłopoty swoimi niedorzecznymi, rewolucyjnymi pomysłami.

To przekonanie napełniło ją głębokim smutkiem. Zmęczona zwlokła się z łóżka i przemyśla twarz. W każdym razie nie mogła się zgodzić na zaręczyny z niewłaściwym mężczyzną. Jeszcze dziś wyjaśni Robertowi, że mimo iż docenia jego gest, nie chce za niego wychodzić. Potem będzie musiała zawrzeć pokój z Barbarą. Z bólem serca przypominała sobie Jej bladą, udreńczoną twarz. Boże drogi, dlaczego od razu nie powiedziała, że nie ma najmniejszego zamiaru uczestniczyć w tej głupiej grze?

Tymczasem w innej części domu Thorne także próbował uporządkować swoje życie. On również nie zmrużył oka tej nocy. Stojąc przy oknie i przyglądając się, jak ukośne promienie słońca rozświetlają ulice Londynu, podjął ostateczną decyzję. Jeszcze dziś oświadczy się lady Barbarze Freemantle i raz na zawsze położy kres swej niestosownej fascynacji osobą Hester Blayne.

Przykre uczucie, którego doznał na myśl o zaręczynach Hester i Roberta Carvera i które nadal go dręczyło, wciąż stanowiło dla niego zagadkę. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Robert jest idealną partią dla jego świeżo upieczonej kuzynki. Wprawdzie miał pewien żal do siebie, że pozwolił Gussie uknuć taką intrygę, lecz z drugiej strony lady Bracken miała absolutną rację. Padając Robertowi w ramiona, Hester sama postawiła się w jednoznacznej sytuacji. Owszem, może krzyżeć co siłą, nie zgadzając się z absurdem przykazania towarzyskiego: „Nigdy nie przekraczaj granic przyzwoitości”, ale stało się. Złamała przykazanie i musi za to zapłacić.

Choć, być może, cena wcale nie wydawała się jej wygórowana. Hester, rzecz jasna, bardzo lubiła Roberta. W przeciwnym wypadku nie pozwoliłaby mu potraktować się tak bezceremonialnie. Czyżby była głosicielką wolnej miłości, jak Mary Wollstonecraft? Na Boga, jeśli ma jeszcze coś do powiedzenia w tym domu, nie pozwoli, by Robert Carver bez przeszkód po nim biegał i zaznaczał swoje terytorium. Rzecz jednak w tym, że nie miał tu nic do powiedzenia: nie mógł zabronić Carverowi kontaktów z Hester, a Hester nie mógł zabronić opuszczenia domu Bythorne'ów. Świadomość ta jeszcze bardziej go rozżłościła.

Obudziwszy lokaja o niezwyklej dla siebie wczesnej porze, Thorne ubrał się i nie pozostało mu nic innego, jak zejść na śniadanie.

Ku swemu zmieszaniu w jadalni spotkał Hester, która była tu już od jakiegoś czasu. Wymieniwszy niezręczne „dzień dobry”, usiedli, po czym Hester odchrząknęła.

- Co sięyczy wczorajszego wieczoru... - zaczęła, lecz natychmiast zawiesiła głos, jakby nie była pewna, co powiedzieć dalej.

- Tak? - Ton Thorne'a nie był zbyt zachęcający.

Nabrała do płuc powietrza i nieco chaotycznie opowiedziała mu o prawdziwej przyczynie swego sam na sam z Robertem w pokoiku Halburtónów oraz ich późniejszego zachowania.

- Widzisz więc - skończyła - że nasze spotkanie miało naprawdę niewinny charakter.

Na początku tego monologu Thorne starał się zachować pełną życzliwość wyrozumiałość właściwą głowie rodziny. Choć był absolutnie zdecydowany spełnić ciężące na nim obowiązki, jednocześnie był gotów jej

wysłuchać. Jednakże zanim skończyła, jego mina zmieniła się nie do poznania. Twarz mu spochmurniała, a oczy zwięzły się w dwie błyszczące zapowiedzi burzy szparki.

- Próbowalaś zaaranżować spotkanie Barbary i Carvera? - zapytał spokojnie tonem, który przypominał zimną stal.

- No, tak - Hester zawahała się przez chwilę. Aż do tego momentu nie przyszło jej do głowy, że ostatnim człowiekiem, który mógłby zrozumieć szlachetne pragnienie połączenia dwóch samotnych serc jest mężczyzna, który sam zamierzał połączyć swoje serce z jednym z nich. - Przypuszczam, że nie wiedziałeś, co ich wcześniej łączyło.

- Rzeczywiście, nie wiedziałem.

- Ale teraz, kiedy się o tym dowiedziałeś, jestem pewna, że zrozumiesz dlaczego są sobie przeznaczeni.

- Obawiam się, że nie.

Thorne nadal mówił chłodno i spokojnie, lecz raptownie wstał i spojrzał jej prosto w oczy.

- Na litość boską! - wybuchnął. - Jak mogłaś w ogóle pomyśleć o takiej przysłudze? Barbara i Carver? Młodzieńcza miłość? W życiu nie słyszałem podobnych bredni. Czy mam ci przypominać, że od lat noszę się z zamiarem poślubienia tej damy?

- No, tak, ale...

- Mam ci także przypomnieć, że Barbara nigdy nie dała mi najmniejszych powodów do przypuszczeń, że jest niechętna moim planom?

- Wiem o tym doskonale, lecz, Thorne, zrozumiałam też, że... że twoje serce nie należy do niej bez reszty i...

- Cóż ty, u diabła, wiesz o moim sercu? - warknął Thorne. Hester pobladła jak ściana i cofnęła się o krok. Na widok upokorzenia w jej oczach, coś w nim pękło. - Stan moich uczuć w ogóle nie powinien cię obchodzić - rzekł zjadliwie. - Rozumiesz? Mimo to przyjmij do wiadomości, że choć obce mi są twoje sentymentalno-lzawe poglądy na temat miłości, moim zamiarem jest poślubić Barbarę i będę ci ogromnie wdzięczny, jeśli będziesz trzymać swój wścibski nos z dala od mojego życia. Czy wyraziłem się dość jasno?

Przez chwilę Hester nie mogła wykrztusić słowa. Złapała się ręką za gardło, jakby chciała powstrzymać potok łez jaki tam wezbrał, i stała jak wryta, nie mogąc uczynić najmniejszego ruchu. Wreszcie wydała zduszony jęk, odwróciła się na pięcie i potykając się wybiegła z jadalni, zostawiając Thorne'a, który patrzył w ślad za nią.

Zatrzymała się dopiero w bezpiecznym zaciszu swej sypialni. Powoli i ostrożnie usiadła na niewielkim krzeselku przy kominku, jakby pod wpływem nawet najłżejszego wstrząsu miała za chwilę rozsypać się w tysiące kawałeczków.

Jak mogła aż tak się pomylić co do uczuć Thorne'a dla Barbary? Mógł sobie mówić, że nie wierzy w miłość, ale jego wybuch dowodził czegoś zupełnie innego. Usłyszawszy, że Barbara może wybrać Roberta a nie jego, oszalał z zazdrości. Ta myśl dźwięczała jej w głowie jak ogromny dzwon, którego bicie odbijało się echem w pustce jaką czuła w środku. Boże drogi, nigdy nie sądziła, że miłość może być tak bolesna.

I co ma teraz począć? Thorne ostrzegł ją, by więcej nie mieszała się do jego życia, ale co będzie z Barbarą? Sam pomyślał, że mogłaby dalej psuć szyki Thorne'owi, był nie do zniesienia, ale czy mogła pozwolić na to małżeństwo wiedząc, że Barbara kocha innego? Być może sama dojdzie do wniosku, że nie może poślubić Thorne'a. Lecz na pewno tego nie uczyni, kiedy jej ukochany rzekomo zaręcza się z inną, trzeba więc przede wszystkim uwolnić Roberta Carvera od skutków jego własnego szaleństwa.

Minęło jednak sporo czasu, zanim wstała i doprowadziła się do porządku przed nieuchronną wizytą Roberta.

Thorne zaś wyszedł z domu w okropnym nastroju. Było jeszcze zdecydowanie za wcześnie na składanie wizyt, ale czuł przemożną potrzebę działania w obliczu sytuacji, w jakiej się znalazł. Rzuciwszy szorstko polecenie służącemu, wsiadł do czekającej na niego kariolki i ruszył do domu Weymouthów, miejskiej rezydencji księcia i księżnej Weymouth oraz ich córki, lady Barbary Freemantle.

Thorne wiedział, że kamerdyner, który wpuścił go do domu, poinformowałby każdego innego gościa, że książęca mość i jego rodzina nie przyjmują wizyt o tak wczesnej porze, ale dla hrabiego Bythorne'a drzwi stanęły otworem. Thorne postanowił najpierw porozmawiać z Barbarą, zanim oficjalnie poprosi księcia o jej rękę. Tak więc po kilku minutach stanął z nią twarzą w twarz w salonie.

Zdumiał go bardzo jej wygląd, z którego domyślił się, że nie spała w nocy zbyt dobrze. Cienie pod oczami odcinały się sino od niezdrowo bladej twarzy. Mimo to powitała go uroczym uśmiechem.

- Thorne! Myślałam, że Blickster żartuje, gdy cię zaanonsował. Cóż cię do nas sprowadza o świcie?

Thorne rzucił okiem na zegarek.

- Zgadza się, że dziesiąta to nieprzyzwoicie wcześnie, moja droga, ale to już nie świt. Chciałem w ten sposób podkreślić niezwykle wagę mojej wizyty.

Barbara uniosła pytająco brwi. Thorne wziął ją za rękę i zaprowadził do kanapy pod oknem, na której ją posadził, po czym sam usiadł obok.

- Powiedz mi - rzekła Barbara - jak... jak się miewa Hester dzisiejszego ranka?

- Kiedy wychodziłem - odparł sztywno - miała się doskonale.

Barbara zaczęła skubać palcami brzeg szala.

- Zauważyłam, że kiedy wychodziliście wczoraj od Halburtonów, towarzyszył wam Ro... pan Carver.

- Rzeczywiście - ciągnął Thorne, czując pewien niepokój. - Chciał zapewnić Hester o szczerości swej wcześniejszej propozycji i zarazem upewnić się, czy ją przyjmie.

- I przyjęła? - spytała Barbara ochryplym szeptem.

- Nie, nie od razu. Ale Carver miał odwiedzić Hester dziś rano spodziewam się, że przyjmie jego oświadczenia - skłamał bez mrugnięcia okiem.

- Ach, tak.

- Nie ma wyboru w tej kwestii, prawda? Wczorajsze wydarzenie było przecież kompromitacją.

Barbara odwróciła wzrok.

- Tak, bez wątplenia. Trochę mnie zdziwił ich widok wczoraj. Nie miałam pojęcia, że ich uczucie zaszło tak daleko.

- Tak... Hm, nie... - Thorne zaczął odnosić wrażenie, że błądzi po omacku nad przepaścią. - Wydaje się oczywiste, że darzą się ogromnym szacunkiem. Na dodatek, jak parę razy zauważyła Gussie, Carver jest doskonałą partią dla Hester, a ona jest doskonałą kandydatką na jego żonę. Mają podobne zainteresowania i...

Barbara przerwała mu ruchem ręki.

- Tak, wiem - powiedziała rwącym się głosem. - Cieszę się z ich szczęścia.

- O, tak. - Thorne ujął jej dłoń, szykując się do podjęcia właściwego tematu. - Barbaro - zaczął przemowę, którą naprędce ułożył podczas drogi. Ze zdumieniem stwierdził, że obficie się poci, a słowa, które z taką lekkością padały z jego ust wcześniej, teraz wymawiał z trudem. - Barbaro - powtórzył. - Jesteś zapewne świadoma przywiązania jakim darzę cię od wielu lat.

Barbara milczała, tylko z wahaniem skinęła głową, spoglądając na niego ostrożnie.

- Nie przesadzę chyba, jeśli powiem, że łączy nas związek, hm, bardzo szczególny.

Barbara znów przytaknęła.

Thorne brnął dalej, czując nagły przypływ rozpacz.

- Posłuchaj, Barbaro - rzekł, porzucając przygotowany wcześniej tekst. - Od paru ładnych lat balansujemy na krawędzi zaręczyn, a żadne z nas nie staje się młodsze.

Barbara zachnęła się urażona i Thorne podniósł się raptownie.

- Niech to diabli, dobrze wiesz, o czym mówię. - Odetchnął głęboko, po czym znowu usiadł i wziął ją za rękę. - Chyba wszystko zepsułem, ale musisz znać prawdę o moich uczuciach wobec ciebie, moja droga. A teraz, w końcu, proszę cię, abys za mnie wyszła, jeśli oczywiście się zgadzasz.

Wreszcie to powiedział. Uśmiechnął się do niej i zmieszany odkrył, że choć odwzajemniła uśmiech i spuściła skromnie oczy, to jeszcze bardziej pobladła, a zwiewny szal wysunął się z jej rąk.

- Barbaro? - rzekł ostrożnie. - Czy zgadzasz się...

- Tak - odpowiedziała nagle. - Tak, zostanę twoją żoną, Thorne.

Pochylił się ku niej i przycisnął usta do jej zimnych, zaciśniętych warg.

- Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem w Londynie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czyżby?

Thorne zajrzał w głąb siebie i stwierdził, że nie - nie był szczęśliwy. Spodziewał się wprawdzie, że jej zgoda nie wzbudzi w nim szaleńczej radości, ale z pewnością powinien czuć coś więcej niż chłodną obojętność.

- Oczywiście - zapewnił ją żywo. - Zobacysz, że będziemy się doskonale rozumieli. - Wstał. - Czy twój ojciec jest w domu? Najlepiej, jeśli zobaczę się z nim przed wyjściem i zgodnie z formą poproszę go o twoją rękę.

- Tak - rzekła Barbara cicho. - Jest w swoim gabinecie. Och, Thorne! - krzyknęła niespodziewanie. - Chyba dobrze robimy?

Boże, jakim był samolubnym gburem. To jasne, że Barbara w takiej chwili może przeżywać coś na kształt kryzysu nerwowego, on tymczasem zachowuje się, jakby właśnie doprowadził do końca jakiś pomniejszy interes. Otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i ucałował jej włosy.

- Naturalnie, ukochana. Jesteś bezcenną perłą wśród kobiet i każdy mężczyzna, który mógłby nazwać cię swoją narzeczoną, może być pewien, że los się do niego uśmiechnął. Przysięgam, że zrobię wszystko, abys była szczęśliwa.

Znowu poczuł, że nie są to słowa, jakie powinien powiedzieć człowiek, którego marzenia nareszcie się ziściły, lecz nie mógł zdobyć się na nic więcej. Wypuścił ją z objęć, skłonił się i opuścił salon.

Jednak zanim wyszedł z domu Weymouthów, minęła jeszcze godzina z okładem. Kiedy wkroczył do jaskini lwa - książęcego gabinetu - na wieść o jego oświadczeniach zadowolony książę natychmiast wyraził zgodę. Chociaż nie wziął go w ramiona, oświadczył, że niezmiernie się cieszy, a w jego słowach można było tylko wyczuć nutkę przygany: „Dlaczego trwało to tak długo?”

Następnie książę kazał poprosić swoją małżonkę, by powiadomić ją o radosnej nowinie, po czym oboje poprowadzili Thorne'a do salonu, gdzie zwołano pozostałą część rodziny: najstarszego syna i dziedzica tytułu, dwie córki i młodszego syna, który służył w armii i akurat spędzał w domu. urlop. Wszyscy z entuzjazmem gratulowali młodej parze.

Po powrocie do domu Thorne'a powitała cisza. Hobart poinformował go, że lady Lavinia i panienska Chloe właśnie pojechały po sprawunki, a panna Hester zamknęła się z panem Carverem w błękitnym salonie.

Usłyszawszy ostatnią wieść, Thorne nastawił uszu, lecz po chwili wahania postanowił, że nie dołączy do pary narzeczonych. Jego obecność byłaby tam z pewnością niepożądana. Jednakże gdy mijał drzwi prowadzące do błękitnego salonu, usłyszał głosy, które wyraźnie kipiały zjadliwością. Odczekawszy chwileczkę, zdecydowanie zapukał i wszedł.

Hester stała przy kominku. Była zarumieniona, a na jej twarzy malowało się napięcie. Robert Carver stał obok, również wyraźnie spięty, choć nic więcej nie zdradzało jego wzburzenia. Gdy otworzyły się drzwi, oboje odwrócili głowy.

- Chyba nie przeszkadzam? - zapytał Thorne.

- Ależ nie - odparła Hester.

Robert zacisnął wargi.

- Rozmawiam właśnie z panną Blayne o sprawach osobistych - powiedział.

- Ach, w takim razie proszę o wybaczenie. - Thorne począł wycofywać się z pokoju.

- Och, nie bądź niemądry - głos Hester drgał z rozdrażnienia. - Robercie, Thorne jest wtajemniczony we wszystko, co zdarzyło się wczoraj wieczorem. Cała ta dyskrecja jest najzupełniej zbędna. - Zbliżyła się do Thorne'a. - Robert był na tyle mity, że ponowił swoją propozycję, a ja próbuję mu wyjaśnić, że to całkiem niepotrzebne i nie zamierzam za niego wychodzić.

- Cóż, jeżeli chcecie znać moje zdanie - rzekł Thorne, wkraczając do salonu. - Uważam, Hester, że postępujesz niesłusznie. Jak już mówiłem Barbarze, nie masz w tej sprawie żadnego wyboru.

Na dźwięk imienia Barbary Hester drgnęła, a Robert postąpił krok do przodu i mimo woli wzniosł dłoń.

- Wi... widział się pan dziś rano z Barbarą? - spytał Robert po chwili.

- Rozmawiałeś o moim położeniu z Barbarą? - zapytała niemal równocześnie Hester.

- Tak, na obydwa pytania - odparł Thorne, udając chłodne opanowanie. Zauważył zmartwioną minę Roberta, lecz jego uwagę przykuła przede wszystkim zmiana, jaka zaszła w Hester - cała zmieniła się w pełne napięcia oczekiwanie. Z niewiadomych przyczyn zabrakło mu nagle tchu, kiedy dodał: - Możecie mi życzyć szczęścia.

Hester chwyciła się za gardło, tym samym gestem, jaki już wcześniej dziś uczyniła.

- Och! - wydyszała. - Oświadczyłeś się jej?

- O Boże! - Zduszony okrzyk wyrwał się z piersi Roberta. Thorne spojrzał na niego przeciągle, a potem ponownie zwrócił się do Hester.

- Tak jest. Spodziewam się, że wiadomość za dzień lub dwa pojawi się w „Morning Post”.

Nagle ogarnęło go dziwne poczucie nierzeczywistości, jakby obserwował z daleka scenę, w której grają wszyscy troje: on, Hester i Carver recytowali kwestie jakiegoś dramatu, który lada chwila się skończy, kurtyna opadnie i Thorne będzie mógł wrócić do swego normalnego, codziennego życia jakie wiódł wcześniej. Do zwykłego życia złotego młodzieńca, które prowadził, zanim poznał Hester Blayne.

Hester oblizła wyschłe wargi.

- Naturalnie, życzę ci szczęścia, milordzie. Kiedy możemy się spodziewać tego radosnego wydarzenia?

- Jeszcze nie ustaliliśmy daty - odparł uprzejmie. - Gdy wychodziłem z domu księcia, Barbara i jej matka wspomniały o początku przyszłej wiosny.

Hester skinęła głową. Robert zbliżył się do niego nagłym ruchem, wyciągając rękę.

- Proszę przyjąć ode mnie najlepsze życzenia, milordzie.

Thorne podziękował mu grzecznie, po czym założył ręce na piersi spojrzał z namysłem na Hester.

- A teraz, panno Blayne, pomówmy o terminie waszego ślubu.

## 19

Hester patrzyła na niego bardzo długo. Czowała, że za chwilę nogi odmówią jej posłuszeństwa. O dziwo, mimo wewnętrznego drżenia, zachowała całkowity spokój. Wiadomość o oświadczeniach Thorne'a nie mogła być dla niej zaskoczeniem, nawet jeśli miała nadzieję do nich nie dopuścić. Miała wrażenie, że doświadczyła tego samego, co jak słyszała, przytrafia się ofiarom postrzału. Wiedziała, że została poważnie zraniona, lecz nie czuła nic. Nieważne, pomyślała, ból dopiero nadejdzie.

- Nie będzie żadnego terminu, milordzie, ponieważ Robert i ja nie pobierzemy się.

Robert postąpił krok naprzód.

- Hester, to nonsens. Zgadza się, że żadne z nas nie jest poważnie zaangażowane, ale uwierz mi, proszę, szczerze pragnę...

- Powinniśmy chyba usiąść - wpadł mu w słowo Thorne - i porozmawiać o tym rozsądnie. - Zadzwoił na służbę, by podano kawę, po czym zasiadł w jednym z foteli, których salon był pełen, i zaprosił gestem Roberta i Hester, by zajęli stojącą obok kanapę.

- Nie ma o czym rozmawiać - rzekła krótko Hester, ale usiadła na wskazanym miejscu.

- A zatem - powiedział przyjaźnie Thorne - wydaje mi się, że Robert zachował się nad wyraz stosownie. Przecież go lubisz, prawda? Zawsze odnosiłem wrażenie, że go bardzo szanujesz.

- Tak, oczywiście, że go szanuję, i to prawda, bardzo go lubię. Ale to nie wystarczy, bym mogła za niego wyjść.  
- Moim zdaniem, właśnie na tym powinno opierać się małżeństwo - odrzekł Thorne. - Wzajemny szacunek jest fundamentem udanego małżeństwa. - Zdał sobie sprawę, jak pompatycznie to zabrzmiało, poprawił się więc nerwowo w fotelu i ciągnął z przekonaniem: - Robert jest doskonałym kandydatem do twej ręki, Hester. Sama wiesz...

- Pozwoli pan, milordzie - wtrącił Robert - że sam będę mówił za siebie. - Zwrócił się do Hester. - Jak już mówiłem, moja droga, choć znaleźliśmy się w tej sytuacji zrządzeniem losu, głęboko wierzę, że możemy tworzyć świetną parę. Potrafię utrzymać żonę i z radością będę uczestniczył we wszystkich twoich przedsięwzięciach. Będę też bardzo dumny, wiedząc, że należysz do mnie.

Wzruszona tymi słowami Hester położyła dłoń na jego ręce.

- Każda kobieta byłaby dumna z takiego męża, Robercie, ale ja... ja nie mogę zostać twoją żoną. Nie tylko dlatego, że nie darzę cię takim uczuciem, które jest potrzebne w szczęśliwym małżeństwie, ale - zerknęła przelotnie na Thorne'a - także dla innych powodów... o których rozmawialiśmy wcześniej.

Robert również rzucił krótkie spojrzenie w kierunku Thorne'a, który przysłuchiwał się im z życzliwym zainteresowaniem.

- Hm, tak, lecz muszę powtórzyć, że moim zdaniem popełniasz wielki błąd w... tej drugiej sprawie. W dodatku, jak zauważył lord Bythorne, nie masz wyboru. Mimo iż wczorajsze wydarzenie miało niewinny charakter, w oczach innych byłabyś skompromitowana.

- Proszę - wtrącił się znowu Thorne - mów mi Thorne. A jeśli ty, Hester, jeszcze raz nazwiesz mnie „milordem”, będę zmuszony uznać, że czymś cię obraziłem.

Hester splonęła rumieńcem i skoczyła na równe nogi. Doprawdy, obraził ją już śmiertelnie i sądziła, że upłyną lata, nim wyleczy rany, jakie zadał jej sercu. Z drugiej jednak strony wydawało się śmieszne, by miała obwiniać hrabiego za swoją własną głupotę, przez którą go pokochała.

- Posłuchaj więc, Thorne. Jeszcze raz mówię, że guzik mnie obchodzą te śmieszne zasady towarzyskie, według których kobieta w mojej sytuacji musi być skompromitowana. Gdyby nawet zastano Roberta i mnie w naprawdę namiętnym uścisku, nie rozumiem, czemu miałabym czuć się zhańbiona. Robercie, czujesz się skompromitowany? Nie, naturalnie, że nie. Zawsze tylko kobieta, która pozwoli mężczyźnie na taką poufałość, psuje sobie reputację.

Nagle zawstydzila się swojego wybuchu i opadła z powrotem na kanapę. Teraz z kolei wstał Robert.

- Wydaje się oczywiste... - zaczął rzeczowo, lecz przerwał mu zgiełk głosów, dobywający się z hallu. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko i na progu ukazały się Gussie i lady Lavinia.

Dwie pary zaciekawionych oczu zmierzyły Roberta i Hester, po czym obie damy weszły do salonu.

- Miło pana widzieć o poranku, panie Carver - rzekła Gussie, podnosząc pytająco głos.

- Witam panie - powiedział Robert tak posępnie, że nawet mało spostrzegawcza osoba na pewno nie wzięłaby go za człowieka, który właśnie się zaręczył.

Gussie otworzyła w zdumieniu usta, ale dobre wychowanie nie pozwoliło jej poruszyć tej kwestii, choć cała płonęła z niecierpliwości. Zapanowała krępująca cisza, którą przerwało chrząknięcie Roberta.

- Właściwie już wychodziłem. - Odwrócił się do Hester. - Musimy jeszcze coś ustalić, panno Blayne, ale to chyba nie czas i miejsce, by kontynuować naszą dyskusję. Będę tu jutro, jutro po południu.

- Och, może jednak... - powiedziała Hester, lecz zaraz zacisnęła usta. - Tak, oczywiście, panie Carver. Odprowadzę pana.

Ominęła szybko Gussie i lady Lavinie i wzięwszy Roberta pod ramię, wyprowadziła go z salonu.

Gussie natychmiast wzięła na spytki Thorne'a.

- Co się stało? - syknęła.

- Absolutnie nic - odparł ponuro jej siostrzeniec. Kiedy obie panie weszły do salonu, wstał, ale teraz znów usiadł, ciotki bowiem usadowiły się na krzesłach stojących po obu stronach kominka. - Hester jak zwykle była uparta, a Carverowi zabrakło charakteru, by ją przekonać.

- Och, Thorne! - zawołała słabym głosem lady Lavinia. - Któż by chciał wychodzić za człowieka, który ucieka się do takich metod?

Twarc Thorne'a odrobinę się rozjaśniła. Zaśmiał się niewesoło.

- A jaki człowiek zdołałby zmusić tę złośnicę, by zmieniła swoje postanowienie? No cóż, spróbuję ją jakoś przekonać, a skoro Carver obiecał, że odwiedzi ją jutro, może jemu uda się zwalczyć jej opór. W każdym razie - ciągnął - mam dla was zupełnie inne wieści o moich planach.

Opowiedział im o wydarzeniach, jakie miały miejsce w domu księcia Weymouth tego ranka. Usłyszawszy o nich, Gussie natychmiast zapomniała o Hester i jej przyszłości. Lady Lavinia także wyraziła swoją ogromną radość i następną parę minut spędzili rozmawiając o prawdopodobnej dacie ślubu oraz o przeróżnych innych sprawach, jakie koniecznie należało przedsięwziąć przed uroczystością.

- Gdzie podziewa się Chloe? - zainteresował się wreszcie Thorne. - Nie wychodziła z wami rano?

- Owszem - odparła Gussie - ale spotkałyśmy Mehsandę Grapewin z matką u aptekarza na Bond Street, wiesz, tego niedaleko Locke'a, a kilka minut potem weszła tam Seraphina Bliss z kuzynką. Dziewczęta poszeptaly na



boku i postanowiły iść do Guntera na lody, w towarzystwie pani Grapewin. Powinna wrócić zaraz po lunchu.

Lecz Chloe wróciła na łono rodziny dopiero późnym popołudniem, kiedy Gussie pojechała już do siebie. Dziewczyna weszła do domu nie w towarzystwie przyjaciółek, ale Johna Wery'ego. Oboje wydawali się bardzo czymś poruszeni, choć starali się tego nie okazywać, a Pinkham, która oczywiście nie opuszczała Chloe na krok, chichotała w kułak.

- Czy jest Hester? - brzmiały pierwsze słowa Chloe po wejściu do domu. Thorne wyszedł do hallu z biblioteki i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał twierdzącą odpowiedź lady Lavinii. Całe towarzystwo pomaszzerowało do salonu.

Obserwując rozpromienione twarze młodych, Thorne poczuł wzbierającą w nim nadzieję. Rzeczywiście, kiedy tylko Hester weszła do salonu, Chloe podbiegła i przytuliła się do niej, John zaś stał z tyłu, rumieniąc się jak sztubak.

- Och, Hester, nie uwierzysz... To znaczy, mamy coś do powiedzenia wszystkim. - Posłała Johnowi roziskrzone spojrzenie spod rzęs.

- Tak - rzekł młodzieniec, purpurowiejąc jeszcze bardziej. - Drogie panie, lordzie Bythorne, panna Venable zgodziła się zostać moją żoną.

Lady Lavinia położyła dłoń na piersi i wydała z siebie dystyngowany pisk najwyższej radości, a Hester czule uścisnęła Chloe. Thorne chwycił dłoń Johna tak skwapliwie, jakby ratował tonącego i potrząsnął nią energicznie.

- Na Boga! - krzyknął. - A to dopiero nowina!

Chloe plotła coś nieskładnie, przejęta własnym szczęściem.

- Melisanda, Seraphina i ja właśnie skończyłyśmy lody i poszłyśmy na spacer na Berkeley Square i tam spotkałyśmy Johna. Poprosił mnie, żebym przeszła się z nim po Green Park. Była ze mną Pinkham, więc uznałam, że nie będzie w tym nic niestosownego.

- Naturalnie, drogie dziecko - mruknęła ciotka Lavinia.

- Panno Blayne, miała pani absolutną rację - wtrącił John z szerokim uśmiechem. - Chociaż byłem załamany, gdy Chl... panna Venable odmówiła mi swojej ręki, wydawało mi się, że ostatnio jej stosunek do mnie się zmienił. Postanowiłem jeszcze raz spróbować szczęścia i kiedy natknąłem się dziś na nią, wiedziałem już, że bogowie będą mi sprzyjać.

Chwycił dłoń Chloe i ucałował ją delikatnie, a dziewczyna rzuciła mu spojrzenie pełne czułego uwielbienia.

Wkrótce potem John opuścił dom Bythorne'ów, by podzielić się radosną wieścią z rodzicami, ale przyrzekł wrócić na kolację. Natychmiast wysłano do Gussie liścik z zaproszeniem, by wraz z lordem Brackenem dołączyła do rodziny w tym szczęśliwym dniu. Tak więc wieczorem jadalnia w domu Thorne'a pełna była radości i śmiechu.

Choć Hester nie umiała szczerze dzielić z innymi tej wesołości, potrafiła jednak dobrze to ukryć. Była przecież naprawdę zadowolona z takiego obrotu spraw i cieszyła się szczęściem Chloe i młodego Johna.

Gussie, mając w perspektywie jeszcze jeden ślub, była wniebowzięta. Dzięki jej radosnemu trajkotaniu nikt nie zwrócił uwagi na to, że Hester, a także Thorne, milczą przez całą kolację. Hester zauważyła, że choć hrabia uśmiecha się i od czasu do czasu przytakuje szczebioczącej Gussie, to jednak sam prawie nie uczestniczy w żartobliwych rozmowach przy stole.

- Ach - powiedziała Gussie, gdy po kolacji rodzina przeszła do salonu. - Co za szczególny dzień. Czy to nie wspaniałe, że aż troje z was postanowiło się zaręczyć niemal jednocześnie? - Jej oczy błysnęły znacząco.

- Gussie - odezwała się cicho Hester. - Nie będzie trzecich zaręczyn. - Uniosła dłoń, gdyż Gussie już otwierała usta, by zaprotestować. - Nie chciałabym psuć dzisiejszej radości, możemy porozmawiać o mojej sytuacji później.

Rzuciła okiem na Thorne'a, który stał nieporuszony przy kominku. Gussie także skierowała na niego oczy, ale nie doczekawszy się wsparcia z jego strony, ciężko westchnęła.

- Dobrze, moja droga, ale musisz pamiętać, że tak łatwo się nie poddam. Nie ma wątpliwości, że wszyscy już mówią o wczorajszym zdarzeniu, trzeba więc rychło zaręczyny ogłosić. Dobrze już, dobrze - dodała, widząc niemy protest w oczach Hester. - Nie powiem o tym ani słowa. Ale - pogroziła jej palcem - spodziewaj się usłyszeć ode mnie wiele na ten temat, bo twoja postawa wydaje mi się nie do przyjęcia.

Wkrótce potem goście poczuli wychodzić. John Wery nieprzyzwoicie długo marudził przy drzwiach, zanim wreszcie pożegnał się ze swą ukochaną. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, rozmarzona Chloe przemknęła przez hali tanecznym krokiem.

- Czyż nie jest cudowny? - mruzczała pod nosem. - Muszę być chyba najszczęśliwszą dziewczyną w Londynie, nie, w całym królestwie, co ja mówię, na całym świecie.

Ciotka Lavinia wydała z siebie romantyczne westchnienie i skierowała swe kroki do sypialni.

Hester również wstąpiła na schody, lecz u ich stóp zatrzymała ją dłoń Thorne'a. Pod jego dotknięciem drgnęła, jakby ją ktoś ukuł, i odwróciła ku niemu nieruchomą twarzą.

- To był naprawdę trudny dzień, Thorne. Chciałabym się już położyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Chcę tylko dodać coś do tego, co powiedziała Gussie - rzekł poważnie. - Chcę cię prosić, żebyś poważnie przemyślała propozycję Roberta, zanim znów tu przyjdzie, i zastanowiła się, co będzie, jeżeli odmówisz.

- Nic nie będzie, nie rozumiesz? Zwłaszcza teraz. - Thorne uniosł pytająco brwi. - Chloe jest już zaręczona.

Wywiązałam się tym samym z naszej umowy. Jutro zacznę się szykować do powrotu do Overcross i nic mnie nie obchodzi, że będę skompromitowana w oczach ludzi z twego kręgu, bo nie mam zamiaru więcej się z nimi spotykać. Jeśli zaś idzie o dobre imię twojej rodziny, pewnie będzie się trochę mówić o moim skandalicznym postępkach, ale w następnym tygodniu zdarzy się jakaś inna śmieszna historia, o której zaczną krążyć plotki, i wkrótce wszyscy o mnie zapomną.

- Chcesz wyjechać? - wyszeptał Thorne, jakby ze wszystkich jej słów tylko to dotarło do jego świadomości.

- Naturalnie. Chloe wyjdzie za mąż, a to było celem naszej umowy. Nie widzę innych powodów, dla których miałabym tu zostać, a poza tym... bardzo bym już chciała wrócić do domu.

Zdało mu się, że podłoga usuwa mu się spod nóg. Mimo jej wcześniejszych protestów, ta decyzja była dla niego prawdziwym ciosem.

- Ach, tak, rozumiem - powiedział. - Oczywiście. Ale stałaś się członkiem rodziny, Hester, i ja... my wszyscy chcielibyśmy, abyś została z nami jeszcze jakiś czas, może do ślubu.

- Nie! - rzekła krótko i stanowczo. - Nie, chcę wyjechać możliwie jak najszybciej. Och! - zawołała nagle. - Przypomniałam sobie o moim odczycie Pod Błękitnym Dzikim w przyszłym tygodniu. Będę więc chciała cię prosić...

Twarz Thorne'a pociemniała.

- Mówiłem już, że możesz tu zostać tak długo, jak tylko zapragniesz. Nadal jesteś zdecydowana wygłosić odczyt w Seven Dials? Wolałbym, żebyś to jeszcze przemyślała.

- Wszystko już dokładnie przemyślałam, Thorne, i nie widzę żadnych powodów, dla których miałabym zmieniać plany. Mówiłam ci już, że spotkam się z kobietami, na których zależy mi najbardziej, poza tym będę otoczona silnymi mężczyznami. - Przekrzywiła głowę i rzuciła mu nieco figlarne spojrzenie. - A może ty także chciałbyś mi towarzyszyć?

- Dziękuję, nie sądzę - odparł z rezerwą.

Przekorny błysk zgasł w jej oczach. Skąd jej przyszło do głowy, że hrabiego mogłoby zainteresować słuchanie przemowy do gromady ubogich kobiet?

- Rzeczywiście. Teraz wybac mi jednak, proszę, to był naprawdę męczący dzień.

Odwróciła się i ponownie postawiła stopę na schodach. Thorne i tym razem mocno chwycił ją za rękę z zagadkowym wyrazem oczu.

- Istotnie, to był ważny dzień dla nas obojga - rzekł miękko, tuląc jej dłoń w swojej.

- O, tak - odparła Hester trochę zadyszczonym głosem. - Cieszę się, że Chloe zmieniła zdanie, cieszę się też z twojego powodu, ale...

- Tak?

- Pamiętasz, co mówiłam o dawnym uczuciu Barbary? Otóż ono wcale nie zgasło. Nie wiem, z jakiego powodu przyjęła twoje oświadczenia, ale kiedy się z nią ożenisz, musisz wiedzieć, że nie zdobyłeś jej serca.

Zaśmiał się krótko.

- Sprawy sercowe Barbary są jej osobistą sprawą. Mnie wystarczy tylko to, że przyrzekła za mnie wyjść. Wiem, że po ślubie mogę liczyć na jej dyskrecję.

Hester wyzwoliła rękę z jego uścisku.

- Boże drogi, Thorne, co za przygnębiająca wizja małżeństwa.

- Ale musisz się ze mną zgodzić, że pragmatyczna. Powinnaś sama wziąć ją pod uwagę, rozmyślając o własnej przyszłości.

- Och, nie. Mówimy przecież o trwałym połączeniu kobiety i mężczyzny, a ja nie potrafię wstąpić w taki związek bez prawdziwej miłości.

Thorne przyglądał się jej dłuższą chwilę. Brązowe oczy wydawały się wielkie, kiedy tak na niego poważnie patrzyły, on zaś poczuł przemożną chęć, by wziąć ją w ramiona i delikatnie, bardzo delikatnie scałować z nich tę troskę. Zakręciło mu się w głowie.

Właściwie przez cały dzień dręczyły go zawroty głowy, jakby był osłabiony po ciężkiej chorobie. Powinien być przecież ogromnie zadowolony. Miał poślubić najpiękniejszą kobietę w Londynie, która z pewnością będzie idealną żoną. Lada chwila jego podopieczna, niewinna, wesoła osobka, która tak długo była mu kulą u nogi, odejdzie pod skrzydła innego opiekuna, a Hester, o istnieniu której nawet nie wiedział jeszcze parę tygodni temu, zniknie z jego życia.

Będzie za nią tęsknił, nie ma wątpliwości. Może kiedy już będzie żoną Carvera, chętniej się z nim będzie spotykać - od czasu do czasu. Tak, to mogło być właśnie to: nie będzie między nimi nic godnego potępienia, po prostu parę elektryzujących rozmów, jakieś niewinne pogładzenie włosów albo... wstrząsnął nim dreszcz. Para serdecznych przyjaciół, co, mój chłopcze? - pomyślał pośepnie. Nagle bardzo boleśnie zdał sobie sprawę, że w wyniku tego, co dziś zrobił, stracił Hester na zawsze.

Lecz przecież nigdy jej nie miał, jak więc mógł ją utracić?

Dlaczego więc na myśl o jej wyjeździe poczuł cierń żalu tak dojmujący, że chciało mu się wyc z bólu? Boże, chyba widok szczęścia Chloe i Johna, którzy sposobili się do ślubu, zrobił na nim większe wrażenie niż mógł

przypuszczać. Mimo wszystko Hester Blayne była tylko kobietą. Wprawdzie przyznać trzeba, że umyślowo przewyższała inne przedstawicielki jej płci, ale nie do pomyślenia, by miała pozostać w jego pamięci dłużej niż przez tę chwilę, którą zajmie mu odprowadzenie jej do drzwi.

Mimo to, powiedział sobie w duchu, była również bardzo pociągającą przedstawicielką swego gatunku i szkoda, że nie zakosztował jej wdzięków, nawet gdyby miały odrobinę zawieść jego oczekiwania.

Przywołując na twarz swój najbardziej czarujący uśmiech, jeszcze raz ujął jej dłoń.

- Myśle - odezwał się cicho - że wkrótce odkryjesz wszystkie korzyści płynące z takiego małżeństwa. - Drugą ręką musnął jej jedwabiste włosy i spróbował przyciągnąć ją do siebie.

Nie stawiała oporu, ale kiedy pochylił się, chcąc ją pocałować, nagłym ruchem uniosła głowę. Kiedy się odezwała, jej głos tchnął spokojem, lecz tak zimnym jak zimowe wrzosowiska.

- Nie wierzę własnym oczom, drogi hrabio. Pozwól przypomnieć sobie, że właśnie się zaręczyłeś. To powinno chyba coś znaczyć, prawda?

Patrzyła na niego z tak bezbrzeżną pogardą, że wstrząśnięty i zawstydzony cofnął się o krok. Hester nie powiedziała nic więcej, tylko ominęła go i weszła na schody. Thorne został na dole, patrząc w ślad za nią, błąd jak płótno.

## 20

Następnego ranka, o równie nieprzyzwoitej godzinie jak wczoraj, kolejny gość stanął na progu domu księcia Weymouth. Tym razem jednak drzwi, choć zostały uprzejmie uchylone, nie otworzyły się przed nim na oścież.

- Obawiam się - rzekł Blickster z największą surowością - że ich książęce mości nie spodziewają się jeszcze wizyt.

- Owszem, zdaję sobie sprawę, że się nie spodziewają - odparła Hester spokojnie. - Mimo to śmiem sądzić, że lady Barbara już wstała. Proszę mnie zaanonsować, gdyż przypuszczam, że będzie chciała mnie zobaczyć.

Hester zdawała sobie sprawę ze swej dziecinnej naiwności. Była chyba ostatnią osobą w Londynie, jaką Barbara miałaby ochotę oglądać, zwłaszcza o poranku, ale nie miała wątpliwości, że kiedy zostanie powiadomiona o jej obecności w salonie, czym prędzej porzuci zaciszną kryjówkę swej sypialni.

Istotnie, okazało się, że miała absolutną rację. Nie minęło kilka minut, gdy już siedziały naprzeciw siebie w salonie, a przed nimi stały parujące filiżanki z herbatą. Mina Barbary nie była zbyt przyjazna.

- Czemu zawdzięczam tak wielki zaszczyt, panno Blayne? - zapytała, a Hester zdało się, że w jej głosie usłyszała szcęk zimnej stali.

- Och, Barbaro, doskonale wiesz, dlaczego przyszedłam, i proszę, nie patrz na mnie tak odpychająco. Musisz to wiedzieć, tamtego wieczoru ja i Robert nie robiliśmy absolutnie nic... nieprzyzwoitego, zapewniam cię.

- Jeśli sądzi pani, że choć trochę obchodzi mnie pani wyzywające zachowanie, panno Blayne...

- Posłuchaj mnie uważnie - rzuciła ostro Hester, czując wzbierającą w niej złość. - Przyszedłam tu, by spróbować pomóc ci wydobyć się z biedy, której sama sobie napytałaś i...

- Ja... biedy? Ze wszystkich...

- Tak. Zgodziłaś się wyjść za człowieka, do którego nie czujesz nic poza sympatią, zostawiając na łasce i niełasce losu mężczyznę, którego naprawdę kochasz i który kocha ciebie.

Barbara skrzywiła się boleśnie na te słowa.

- Och, Hester, jak możesz tak mówić? - zawołała rwącym się głosem. Jej, niebiańsko błękitne oczy napęłniły się łzami. - Przecież to ciebie Robert tulił na tym przeklętym przyjęciu i właśnie tobie się oświadczył!

- Tak, głuptasku, ale tylko ze względu na swoje przekłete poczucie honoru. Uwierz mi, Robert pragnie ożenić się ze mną z równym entuzjazmem, z jakim zgodziłby się zostać wywieziony do kolonu karnej, a ja nie mam zamiaru oddać mu ręki, więc nie stało się nic złego.

- Doprawdy? - powiedziała z goryczą.

- Tak jest, musisz tylko poinformować Thorne'a, że się pomyliłaś, godząc się zostać jego żoną. Nic przecież nie podpisaliście?

- No, nie, ale...

- To dobrze - powiedziała żywo Hester. - Potem musisz iść do Roberta i spokojnie wyjaśnić to głupie nieporozumienie, które rozdzieliło was na tyle lat.

- Iść do Roberta! - zachnęła się Barbara. - Oszałałaś? Nie zamierzam zniżać się do takich gestów, a w ogóle, gdyby mnie zobaczył, pewnie roześmiałby mi się w twarz.

- Na litość boską, czy ty naprawdę niczego się nie nauczyłaś? To najmniej odpowiednia pora, żebyś unosiła się dumą. Poza tym nie sądzę, żeby Robert mógł się z ciebie śmiać. - Nachyliła się i wzięła w obie ręce jej dłoń. - Nie rozumiesz? To ostatnia szansa, żebyś odzyskała utracone szczęście. Nie ogłosiliście jeszcze swoich zaręczyn ani nie ustaliliście daty ślubu. Jest jeszcze czas, choć coraz mniej.

- Och, Hester, naprawdę myślisz, że mogłabym?... To było tak dawno. Jesteśmy już innymi ludźmi.

- Może masz rację, lecz powinnaś przynajmniej sama się o tym przekonać. Posłuchaj - zaczęła ostrożnie. - Robert złożył mi dzisiaj wizytę, więc musisz zrobić tak...

Po kwadransie cierpliwych tłumaczeń i przekonywań Hester opuściła dom księcia, w miarę zadowolona z tego,

co udało się jej osiągnąć. Robiła przecież wszystko, co w jej mocy, by połączyć dwa rozdarte serca.

Gdyby tylko udało się jej, pomyślała z ciężkim sercem, zaradzić jakoś własnym kłopotom. Jak Thorne mógł ją wczoraj potraktować z taką pogardą? Próbowwała uciszyć ból nie odwzajemnionej miłości, pocieszając się myślą, że zyskała w nim przynajmniej przyjaciela, lecz jego zachowanie zdmuchnęło i tę drobną iskierkę nadziei. Skrzywiła się na wspomnienie lubieżnego uśmiechu, który jak plama wykwitł na jego ustach, gdy jej dotknął. Jakby chciał sprowadzić ich znajomość do wymiaru niewyszukanych i brudnych gestów. Nie mógł bardziej otwarcie wyrazić, że naprawdę uważa ją za osobę wartą niewiele więcej niż ulicznica. Wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia i smutku, że została zdradzona.

Co za szczęście, że już za parę dni opuści dom Bythorne'ów. Jeśli zaś los się do niej uśmiechnie, nigdy w życiu nie będzie już musiała oglądać hrabiego. Zanim jednak wyjedzie, będzie się starała po prostu schodzić mu z drogi, trzymając się z dala od jego łapczywych rąk. Chociaż z miny, jaką miał przy ich ostatnim pożegnaniu, wnioskowała, że nie musi się obawiać żadnych śmielszych gestów z jego strony.

Rzeczywiście, tu akurat miała absolutną rację. Dzentelmen, o którym mowa, zapadł właśnie w wielki skórzany fotel u White'a i oddał rozmyślaniam nad swą nikczemnością. Dlaczego, na litość boską, tak podle potraktował Hester? Nie zwykł się odnosić z taką wzdargą nawet do przekupek z Covent Garden. Pociągnął tęgi łyk brandy, której kieliszek stał przed nim. Łączył go z Hester szczególnie związek - rodzaj cieplej przyjaźni - dlaczego szukał czegoś więcej, i to w sposób, który mógł przekreślić nawet to kruche uczucie?

Westchnął. To prawda. Chciał od niej czegoś więcej niż przyjaźni. Tych kilka intymnych chwil, jakie dane mu było z nią spędzić, tylko rozpałiło w nim żądzę, by rozbudzić namiętność, która, był tego pewien, drzemała w niej. Zgadza się, pragnął jej. Chociaż... to było coś więcej niż pożądanie. Ale cóż mogło być więcej ponad ową największą intymność dwojga ludzi jaką znał?

Pewnie nigdy się już nie dowie. Byłby niepomierne zdziwiony, gdyby Hester zechciała choćby przywitać się z nim jeszcze któregoś ranka. Jednak w następnej chwili uderzyła go inna myśl.

Może z powodu jego wczorajszego zamachu na jej cnotę Hester zdecyduje się jednak przyjąć oświadczyny Roberta Carvera? Gdyby tak się stało, byłaby to jedyna korzyść z jego karygodnego postępku.

O Boże, skoro już tak głęboko zagłębia w swą duszę, może się przed sobą przyznać, że wcale nie chce, by Hester wychodziła za Carvera. Byłaby to najbardziej niedobrana para stulecia. Hester potrzebowała zupełnie innego mężczyzny - takiego, który umiałby pohamować niektóre jej nieprzemyślane i co bardziej skandalizujące poczynania, nie łamiąc przy tym bojowego charakteru. Takiego, który umiałby odróżnić owe poczynania od właściwej idei, której oddała się całym sercem.

Z drugiej strony, musiał też przyznać, że w swych rojeniach zachowywał się niczym pies ogrodnika. Nie mógł posiadać Hester jak tego pragnął, urażony postanowił więc, że inni także jej nie dostaną. Na litość boską, cóż go mogło obchodzić kogo Hester wybierze sobie na towarzysza życia - jeśli w ogóle kogoś w końcu wybierze? Zdał już sobie sprawę, że będzie za nią tęsknił, ale miała to być tęsknota ulotna jak piórko, o której szybko zapomni.

Mimo to jednak...

- Lord Bythorne!

Był tak głęboko zamyślony, że na dźwięk nieoczekiwanego głosu tuż z boku drgnął z przestraszeniem, aż brandy chlusnęła mu na gors i spodnie.

- Witam, sir - rzekł Robert Carver, wyciągając chustkę i pomagając hrabiemu w oczyszczeniu ubrania. - Cieszę się, że pana tu znalazłem.

Thorne mruknął coś zdawkowo i wskazał mu fotel stojący naprzeciwko.

- Wcześniej się pan pojawił - zauważył Robert.

- To samo można powiedzieć o panu. - Thorne oddał mu chustkę i wysączył brandy, która została na dnie kieliszka.

- Owszem. Dość wcześnie się obudziłem i nie mogłem już zasnąć. - Robert rozparł się wygodnie w fotelu i bawiąc się nerwowo palcami, przypatrywał mu się uważnie.

- Czym mogę panu służyć, Carver? - spytał wreszcie Thorne.

- Nie, to jest, hm, właściwie... - wyglądał na niezdecydowanego. - Jak pan wie, obiecałem Hester, że ją dziś odwiedzę i ponownie poproszę o jej rękę.

- Tak, pamiętam o tym.

- Rozmawiałem z nią jednak wczoraj i doszedłem do przekonania, że chyba ma rację, odtrącając moje oświadczyny.

- Co?! - Thorne wstał raptownie i zastygł nad swym towarzyszem. - Mimo całej pogardy...

Robert siedział nieporuszenie, jakby gwałtowna reakcja Thorne'a nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Wzniósł rękę w pojednawczym geście. Thorne usiadł, lecz nie spuszczał zeń oczu.

- Otóż nie mogę nie zgodzić się z jej argumentami przeciw naszemu małżeństwu - rzekł Robert.

Thorne znów rzucił się ku niemu.

- Ależ pańska propozycja była całkowicie szczerą.

- Owszem, była. I jest. Jestem gotów się z nią ożenić, ale jestem w pełni świadom jej niechęci. Nie mogę udawać,

że kocham Hester ani że ona kocha mnie.

- Kocha! - Thorne niemal wypluł z siebie to słowo, a Robert uśmiechnął się lekko.

- Wiem, że miłość jest w absolutnie złym guście. Nie mam jednak na myśli taniego sentymentalizmu, którego pełno w romansach wydawanych w Minerva Press, ale wierzę w istnienie więzi między mężczyzną i kobietą, która jest silniejsza od wszystkich innych uczuć. Taka właśnie więź jest konieczna w każdym udanym małżeństwie. Może nie najlepiej to ująłem - dodał widząc, jak Thorne wierci się zirytowany w swoim fotelu. - Nie spotkał pan nigdy kobiety, w obecności której poczuł pan, że naprawdę żyje? A bez niej czuł się pan niepełny, jakby brakowało panu czegoś bardzo ważnego? Takiej kobiety, której szczęście i pomyślność stają się dla pana najważniejszą sprawą w życiu, dla której gotów pan porzucić wszystko i bez której nie wyobraża pan sobie dalszego życia? - Jakby zawstydzony się takiego sentymentalnego wybuchu, który nie przystoi mężczyźnie, Robert raptownie wstał. - Przepraszam, milor... Thorne. Zwykle nie wdaję się publicznie w szczegóły własnych przemyśleń. Pójdę już. Może jeszcze się dziś zobaczymy.

Skłonił się niezręcznie i odwrócił się na pięcie. Po chwili już go nie było.

Thorne nawet nie zwrócił uwagi na jego wyjście ani na to, co tuż przedtem powiedział. Siedział i patrzył przed siebie wstrząśnięty, jakby nagle cały świat wokół niego się zmienił. Nie, oczywiście że nigdy nie czuł niczego podobnego do żadnej kobiety. Dopóki nie poznał Hester Blayne. Czyżby właśnie to weszło do jego życia razem z nią? Czy dlatego stracił zainteresowanie dla innych kobiet? Czy ów tępy ból, który drażył mu duszę, można było nazwać miłością? Czyżby kochał Hester?

Dobry Boże, jak to możliwe? Od dzieciństwa wpajano mu, że małżeństwo nie jest niczym więcej jak tylko wygodną fasadą, za którą można swobodnie oddawać się własnym przyjemnościom. Miłość była przynętą, pojęciem wymyślonym w jednym celu - zwabienia ofiary w pułapkę oficjalnego związku albo mniej legalnego romansu.

Przez lata ułożył sobie własną teorię, według której jedynym związkiem z kobietą, jakiego może pragnąć mężczyzna, jest miłość zmysłowa. Jego uczucie do kobiety nigdy nie przekroczyło granic wyznaczonych przez kilka chwil wspólnej rozkoszy.

Boże, w ten sposób każdą bliższą znajomość sprowadzał do poziomu prymitywnych, zwierzęcych instynktów. Właśnie to samo próbował zrobić z Hester. Jakiś głos mówił mu wprawdzie, że to jest kobieta szczególna - indywidualność - lecz nie chciał słuchać serca. Zdał sobie sprawę, że wbrew swej woli musiał zmienić to, co było między nimi, w coś niegodziwego i haniebnego.

I udało mu się doskonale.

Minęło jeszcze wiele minut, zanim wstał z trudem z fotela, czując, jakby od jego przyjścia do klubu upłynęło sto lat, w istocie zaś spędził tu ledwie godzinę. W drodze powrotnej do domu dumał o prawdziwym objawieniu, jakiego doznał za klubowymi drzwiami. Robert mówił coś o niemożności wyobrażenia sobie życia bez obecności tej jedynej kobiety.

Tak! Rzucił nagle lejce, omal nie rozjeżdżając drobnej postaci kominiarza, która wyrosła nagle przed jego kariolką. Właśnie tego pragnął od Hester! Spędzić resztę życia u jej boku, dbać o nią, dzielić z nią wszystkie radości i smutki aż po kres ich istnienia.

Prawie roześmiał się w głos. Boże drogi, doszło nawet do tego, że chciałby służyć jej pomocą w różnych szalonych przedsięwzięciach. Lecz i tak już wszystko zepsuł. Jednym nieopatrzonym gestem zerwał wiotką nić ich porozumienia, próbując nastawać na jej cnotę wczorajszego wieczoru. Gdyby jednak nawet nie odsłonił w całej okazałości swej moralnej degrengolady i gdyby Hester coś do niego czuła, on sam i tak pogrzebał już wcześniej wszelkie nadzieje na jakiegokolwiek szczęśliwe zakończenie. Pchnął swą ukochaną w ramiona innego mężczyzny, a sam miał wkrótce poprowadzić do ołtarza kobietę, która nie żywiła doń uczucia za grosz.

Boże, co za poplątana historia. Poczul, że nie mógłby spojrzeć w oczy Hester, w których niechybnie znalazłby potępienie, zawrócił więc kariolkę w stronę Bond Street, gdzie spędził resztę ranka, katując się ćwiczeniami w sali bokserskiej Jacksona. Lunch zjadł w towarzystwie grupy przyjaciół w pobliskim King's Arms, którego właścicielem był Thomas Cribb, były mistrz bokserski. Ponieważ Thorne był jednym z nielicznych, którzy mieli prawo wstępu do prywatnego salonu Cribba, zabawił tam trochę dłużej, wychylając parę szklaneczek w wesołej gromadzie przyjaciół. Chociaż był w pełni świadom, co się wokół niego dzieje, to jednak równie dobrze mógł spędzić ten czas wpatrując się w cztery gołe ściany więziennej celi.

- Och, Robert! Nie spodziewałam się ciebie tak wcześniej. - Hester schodziła właśnie ze schodów, kiedy Robert zapukał do drzwi, otworzyła je więc sama, ku głębokiemu zgorzeniu Hobarta. - Wejdz, proszę, do salonu.

Wiodąc go na górę, starała się nie okazywać strachu, jaki ogarnął ją na widok zawziętej miny swego niedoszłego oblubieńca. Miała nadzieję, że Barbara przyjdzie pierwsza. Boże, co będzie, jeśli w ogóle nie zechce się pojawić? Nic przecież nie obiecywała. Na szczęście nie było Thorne'a. Hester nie miała pojęcia, gdzie się podziewa od wczesnego ranka, lecz odetchnęła z ulgą, że nie musiała go dziś spotykać.

Dojmujący żal, jaki ją dręczył od tamtego zdarzenia, które uznała za zdradę z jego strony, przerodził się we wszechogarniający smutek, który miał towarzyszyć jej aż po kres życia. Zdawała sobie sprawę, iż za uprzedzenia

hrabiego wobec kobiet i za sposób, w jaki je traktował, nie można winić wyłącznie jego. Pod cyniczną maską lubieżnika ukrywał się człowiek wrażliwy i pełen ciepła i być może kiedyś znajdzie się kobieta, która będzie umiała zerwać tę maskę i wydobyć na zewnątrz wszystkie jego dobre cechy. Niestety, nie ona była tą kobietą.

Nie była nią też Barbara Freemantle. A właśnie, gdzież ona się, u diabła, podziewa? - denerwowała się Hester, podając Robertowi herbatę i ciasteczka. Podniosła na niego oczy.

- Robercie, wiem, po co przyszedłeś, i jeszcze raz muszę ci powiedzieć, że choć doceniam twą szlachetność, muszę ci odmówić swojej ręki. Jeżeli zaś...

- Przyszedłem po to, aby ci przyznać rację, Hester.

- Jeżeli nie możesz... Co? - spytała, jakby dopiero teraz dotarło do niej to, co powiedział.

- Chyba masz rację, odmawiając mi ręki. Nie chcę cię zmuszać do wstąpienia w związek, do którego miałabyś potem czuć odrazę.

- Och, nie! Nie czułabym odrazy. Każda kobieta byłaby dumna...

- Tak, tak - przerwał jej zniecierpliwiony Robert. - Oboje dobrze wiemy, że jesteśmy bardzo wartościowymi kandydatami na małżonków, ale dla kogoś innego. Nie, nie mam na myśli nikogo konkretnego - dodał pospiesznie.

- Ja natomiast mam - odparła cierpko. - Tak, Robercie, nie zaprzeczaj - powiedziała, gdyż zmarszczył groźnie brwi.

- Nie zaprzeczam niczemu - rzekł drewnianym głosem. - Chcę tylko powiedzieć, że stan moich uczuć, albo ich brak, to w ogóle nie twoja sprawa.

- Oczywiście, że nie moja. Nie o to chodzi. Miałam na myśli... O co chodzi, Hobart? - prawie krzyknęła ze złością na lokaja, który zapukawszy nieśmiało wszedł do salonu.

- Przyszła lady Barbara Freemantle, proszę pani. Czy ją wprowadzić?

Hester i Robert skoczyli na równe nogi, lecz każde z nich miało inną minę. Twarz Hester jaśniała radosnym oczekiwaniem, natomiast Robert wyglądał, jakby go powiadomiono, że właśnie przyszedł kat z Tower i pragnie się z nim widzieć w ważnej sprawie osobistej. Zwrócił na Hester wytrzeszczone oczy.

- Barbara? Tutaj? Mu... muszę chyba iść.

Hester obiema rękami chwyciła go za rękaw.

- Nie, wcale nie musisz. Robercie, zostaniesz w tym pokoju i będziesz tak czarujący, jak tylko potrafisz. Rozumiesz?

Robert nie odpowiedział, lecz nie ruszył się z miejsca, wlepiając w nią oczy, wyrażające pełen bólu wyrzut. Hester puściła go i ruszyła ku drzwiom, niemal zderzając się z Barbarą, która właśnie wchodziła.

- Och, lady Freemantle - zaszczębiotała wesoło. - Jak miło, że nas pani odwiedziła. Proszę spojrzeć, kto jeszcze przyszedł z wizytą.

Poprowadziła ją do stolika z herbatą, a potem podbiegła do Hobarta, by wydać mu polecenie, żeby pod żadnym pozorem nie wpuszczał już do domu żadnych gości.

- Powiedz im, że w domu panuje trąd - szepnęła zdumionemu lokajowi, a kiedy skłonił się i chciał opuścić salon, krzyknęła za nim: - i przynieś więcej herbaty i jeszcze jedną filiżankę.

Posadziwszy więc Barbarę i Roberta naprzeciw siebie, zaczęła paplać coś bez związku o pogodzie, wreszcie przeszła do właściwego tematu, mówiąc:

- Muszę was przeprosić na chwilę. Mam coś pilnego do omówienia z lady Lavinią. Tymczasem poczęstujcie się herbatą.

Robert uczynił rozpaczliwy wysiłek, by złapać ją za rękę, ale nim zdążył to zrobić, wymknęła się z pokoju. Pobiegnęła do swej sypialni i ze wszystkich sił próbowała skupić uwagę na swym rękopisie leżącym na dębowym biurku.

Została tam przez godzinę, ale trzeba przyznać, że niewiele udało się jej zrobić. Choć bardzo starała się skupić, bez przerwy nasłuchiwała głosów z dołu. Wreszcie zamknęła drzwi i z niezłomnym postanowieniem zasiadła do pracy.

Tak więc nic nie słyszała, gdy parę minut później Thorne wszedł do domu, nie usłyszała też jego kroków na schodach. Nie zatrzymywany przez nikogo stanął przed drzwiami salonu i nacisnął klamkę. Oczom hrabiego Bythorne'a ukazał się widok niezwykły: jego narzeczoną tulił namiętnie w ramionach człowiek, który właśnie miał się zaręczyć z kobietą, którą hrabia kochał do szaleństwa.

## 21

Ponieważ Hester mimo najlepszych chęci w ogóle nie mogła skupić się na swym rękopisie, natychmiast usłyszała gromki okrzyk Thorne'a: „Co, u diabła?!” - oraz niewyraźne i chaotyczne tłumaczenia dwu innych głosów. Szybko wybiegła z sypialni i wpadła do salonu, gdzie ujrzała Thorne'a, Roberta i Barbarę, którzy stali na środku spokoju i przekrzykiwali się nawzajem.

Z ogólnego rozgardiaszu zdołała zrozumieć tylko pojedyncze słowa.

- Barbaro, co ma znaczyć?...

- Och, Thorne, tak mi przykro.

- Ja natomiast nie mam zamiaru przeproszać pana, milordzie, bowiem...

Nie mogąc inaczej zwrócić na siebie uwagi w zgiewku kłótni, Hester uciekła się do prostego sposobu - podeszła do stołu, podniosła tacę z filiżankami i grzotnęła nią o podłogę. Od razu zapadła cisza jak makiem zasiał i Hester mogła zabrać głos.

- Czy możemy porozmawiać jak ludzie dorośli? - Pytanie to skierowała przede wszystkim do Thorne'a, który wydawał się najbardziej wzburzony tym, co zobaczył. - Wiem, że mógł to być dla ciebie wstrząs, ale musisz zdać sobie sprawę...

Thorne obrócił na nią wściekle spojrzenie.

- Wygląda na to, że miałaś rację - warknął. - Ale nigdy się nie mylisz, prawda? - Nie zwracając uwagi na jej uniesioną rękę, odwrócił się do Barbary, która wciąż chroniła się w ramionach Roberta. - Widzę, że myliłem się bardzo co do ciebie, milady. Co za szczęście, że w porę wytknięto mi ten błąd, zanim doszło do katastrofy towarzyskiej. - Wybuchnął krótkim, sardonicznym śmiechem. - Chyba powinienem teraz powiedzieć: „Możesz uznać nasze zaręczyny za niebyłe”. - Robertowi zaś rzekł tylko: - Proszę przyjąć moje gratulacje, sir. Choć nie jestem zwolennikiem pańskich metod, to muszę przyznać, że zdobył pan kobietę czystą. - Rzucił jeszcze przeszywające spojrzenie Hester. - A teraz, wybaczenie, muszę was przeprosić... - I wyszedł z salonu.

- Ojej - powiedziała Hester do poblądłej pary. - Chyba można się było spodziewać, że taki obrót spraw trochę go, hm... wytrąci z równowagi, ale pewna jestem, że za parę chwil dojdzie do siebie. Tymczasem... - Uśmiechnęła się pytająco.

- Och, tak! - wykrzyknęła Barbara z oczami roziskrzonymi jak dwa szafiry, nabierając nagle rumieńców. - Możesz nam życzyć szczęścia, Hester.

Popatrzyła na Roberta, który odwzajemnił jej czule i pełne oddania spojrzenie. Potem uśmiechnął się promiennie do Hester.

- I tylko tobie je zawdzięczamy.

- O, tak, najdroższa przyjaciółko - dodała Barbara. - Nie wiem.... nie wiemy, jak ci dziękować. Gdyby nie ty, nigdy w życiu nie skłoniłabym Roberta, żeby wysłuchał przeprosin za moje okropne zachowanie przed laty.

- A ja - dodał Robert - nigdy bym nie zrozumiał, że tak długo byliśmy rozdzieleni tylko z powodu głupiej pychy.

- Przykro mi z powodu Thorne'a - powiedziała z wahaniem Barbara. - Choć właściwie to jego pycha została zraniona.

- Naturalnie, że jego - odparła z przekonaniem Hester. - Zobaczycie, jak tylko ochłonie, dojdzie do wniosku, że bardzo dobrze się stało, i pierwszy pospieszy z gratulacjami.

Naprawdę jednak Hester trochę się lękała, przypomniawszy sobie wyraz twarzy Thorne'a, gdy wychodził z salonu. Na pewno za klęskę swych planów matrymonialnych winił właśnie ją - i nie mylił się. Naturalnie prędzej czy później zrozumie cały bezsens ożenku z kobietą po uszy zakochaną w kimś innym, ale to będzie oznaczać tylko tyle, że musi na nowo zacząć poszukiwania narzeczonej. Czy kiedykolwiek wybaczy jej tak natrętne mieszanie się do jego życia?

Powinna cieszyć się świadomością, że zdołała osiągnąć swój cel i połączyć dwoje przeznaczonych sobie ludzi. Owszem, była zadowolona, lecz daleko jej było do radości. Od nieszczęsnego spotkania przy schodach wczorajszego wieczoru czuła w sercu chłodną pustkę i obawiała się, że upływ czasu nie zdoła jej niczym wypełnić.

Podniosła wzrok i zauważyła, że Barbara i Robert zbierają się do wyjścia.

- Musimy powiadomić moich rodziców o pewnej zmianie sytuacji - powiedziała ze śmiechem Barbara.

- Być może powiedzą mi coś do słuchu - dodał Robert - ale Barbara jest dorosła i może robić, co tylko zechce.

Barbara poczęła go zapewniać, że jego wysokość księżę Weymouth z radością przyjmie bogatego i szlachetnie urodzonego Roberta Carvera do rodziny i chętnie nazwie go swym zięciem. Po chwili szczęśliwi narzeczeni wyszli, a Hester wróciła do swej sypialni, by pomyśleć o najbliższych dniach.

Gdyby mogła opuścić ten dom zaraz, natychmiast, albo przynajmniej jutro! Ale czekał ją jeszcze ten przeklęty odczyt w Seven Dials w przyszłym tygodniu. Do tego czasu musi zostać u Thorne'a. Może Gussie uczczyłaby jej gościny, lecz Gussie na pewno zażądałaby wyjaśnień, a Hester nie czuła się na siłach tłumaczyć jej wszystkiego. Innym wyjściem byłoby zamieszkanie u Trevora Benthama, ale gdyby zdecydowała się zatrzymać u Trevora i jego matki nawet na krótki czas, Bentham odczytałby to pewnie jako zachętę do dalszych zalotów.

Nie, zakładając, że Thorne nie wyrzuci jej z domu grożąc ognistym mieczem - na co był zbyt dobrze wychowany - Hester będzie musiała zostać pod jego dachem jeszcze pięć dni. Powinna tylko nie wchodzić w drogę jego lordowskiej mości, co wydawało się łatwe. W najbliższym czasie rodzina nie miała żadnych zobowiązań towarzyskich, więc hrabia nie będzie miał żadnych okazji, by się z nią stykać na jakimś balu czy wieczorku. Postara się spędzać jak najwięcej czasu poza domem, a większość posiłków będzie jadać w swoim pokoju. Nazajutrz po odczycie pożegna Thorne'a z godnością i raz na zawsze opuści dom Bythorne'ów i życie hrabiego.

Przeprowadzenie tego planu nie nastroczało większych trudności, gdyż hrabia robił, co mógł, by jej pomóc. Sam także opuszczał dom na bardzo długo, a kiedy przypadkiem natknęli się na siebie w korytarzu czy na schodach, Thorne reagował na jej obecność sztywnym ukłonem, po czym mijał ją ze wzrokiem wlepionym w przestrzeń.

Tak się miały sprawy aż do wtorku, dzień przed odczytem Hester. Późnym rankiem, gdy siedziała w sypialni, przeglądając notatki do swego przemówienia, rozległo się pukanie do drzwi. Na progu stanęła służąca z liścikiem

od Thorne'a, w którym hrabia prosił Hester o zejście do biblioteki.

Stłumiwszy w sobie tchórzliwą chęć, by wykręcić się jakąś niedyspozycją, spojrziała szybko w lustro, poprawiła włosy i zeszła na dół.

Gdy weszła do biblioteki, ujrzała Thorne'a, który przechadzał się nerwowo wzdłuż wielkiego biurka z sekretarzykiem, stojącego pod ścianą pokoju. Na widok Hester hrabia zatrzymał się raptownie i zaprowadził ją do fotela przed kominkiem, na którym trzaskał ogień, gdyż - mimo czerwca - pogoda była chłodna i pochmurna.

- Hester - zaczął ostrożnie, jakby bardzo starannie przygotował sobie mowę - dziękuję, że zechciałaś przyjść i ze mną porozmawiać.

Hester nie odpowiedziała, tylko skinęła z wahaniem głową.

- Hester - powiedział znowu i przerwał. - Och, do diabła - rzekł wreszcie. - Jestem ci winien przeprosiny, a właściwie podwójne przeprosiny. Ja... moje zachowanie tamtego wieczoru było wstrętne.

- Zgadza się - odparła Hester.

Thorne uśmiechnął się nagle.

- Nie jesteś skłonna mi w tym pomóc, prawda?

- Nie. - W jej głosie brzmiał rozsądek.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło, żeby potraktować cię jak... jak kurtyzanę, by tak rzec, nie owijając w bawełnę. Posłuchaj, Hester. - Usiadł nieoczekiwanie w fotelu naprzeciwko. - Musisz wiedzieć, że wcale nie uważam cię za kobietę... tego rodzaju. Usiłowałem to sobie wyjaśnić i stwierdziłem tylko, że nie zwykłem mieć do czynienia z kobietami tak wartościowymi.

- Do czynienia, milordzie?

- O Boże, wracamy znów do milorda? Tak właśnie, do czynienia, bowiem większość moich związków z kobietami opierała się na czynach; innymi słowy, na romansie. Nie szczycę się tym, ale tak właśnie jest.

- Czyżby? Nie jesteś dumny ze swych umiejętności trzymania kobiet z dala od swego serca? Z tego, że uczucia, jakie do nich żywisz, nie wykraczają poza miłość zmysłową?

- Owszem, ale...

Hester westchnęła.

- Zdaje się, że jest jeszcze dla ciebie jakaś nadzieja, skoro potrafisz dostrzec u siebie tę cechę, którą ja zresztą uważam za poważną wadę. Powinieneś o tym pamiętać, kiedy rozpoczniesz poszukiwania nowej narzeczonej.

- Nowej narzeczonej? Ach, tak. Właśnie, tu winien ci jestem drugie przeprosiny. Wybacz mi moje ostre słowa z powodu Barbary. To stało się tak nagle i trudno mi było od razu przyjąć do wiadomości to jej... odstępstwo, ale teraz przyznaję z własnej woli, że dobrze się stało. Gdybym wiedział, że przez wszystkie te lata kochała kogoś innego, nigdy bym nie pozwolił, by nasza... milcząca ugoda trwała tak długo. Naprawdę, szczerze chciałbym życzyć szczęścia jej i Robertowi, i zrobię to przy najbliższej okazji.

- To bardzo pięknie z twojej strony - powiedziała Hester wstając. - Tak więc możesz sobie pogratulować dobrze spełnionego obowiązku, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Przyjmuję przeprosiny, jedno i drugie. Teraz jednak muszę już iść. Mój odczyt...

- Nie! - krzyknął, zrywając się na równe nogi. - Jest jeszcze coś, co chciałbym ci powiedzieć, Hester. - Znów urwał, zmieszany chłodem bijącym z jej rysów. Bez chwili namysłu sięgnął więc po swą wypróbowaną broń, przyoblekając twarz w słynny uśmiech. - Hester, ty i ja... o co chodzi? - spytał, widząc, że znieruchomiała i zmarszczyła gniewnie swoje urocze brwi.

- Nic takiego. Przepraszam, ale nie mogę tu dłużej zostać. Mam mnóstwo roboty przed jutrzejszym odczytem.

Thorne poczuł bolesne ściśnięcie serca. Wiedział, że tak będzie. Kiedy wreszcie spotkał kobietę, która mogła nauczyć go jak kochać naprawdę, odepchnął ją jak konający z pragnienia szaleniec na pustyni odtrąca podsuniętą mu wodę.

- Oczywiście, rozumiem - rzekł drewnianym głosem i cofnął się o krok, robiąc jej przejście. Chrząknął. - Nie miałem zamiaru iść na ten odczyt, ale jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu...

- Wolałabym nie - odparła szybko, patrząc na niego z nagłym lękiem.

- Oczywiście - powiedział znowu.

Hester podeszła do drzwi, ale z dłonią na klamce zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Zapomniałabym. Mam zamiar pojutrze wyjechać z Londynu. Kupiłam już bilet na dylizans pocztowy i...

- Nie! Nie możesz wyjechać tak nagle; nie teraz, kiedy właśnie... - Głos mu się załamał. - Dobrze, ale nie jedź dylizansem. Mój powóz odwiezie cię do domu. Nie sprzeciwiaj się, proszę - rzekł, gdyż już otwierała usta, by zaprotestować. - Pozwól mi zrobić dla ciebie przynajmniej tyle.

Nadal stała przy drzwiach i Thorne'owi zdawało się, że czeka, aby powiedział coś jeszcze. On jednak milczał i Hester machnęła zrezygnowana ręką, po czym wyszła z biblioteki.

Thorne wrócił przed kominek i bezwiednie zaczął rozcierać dłonie przy ogniu. Czuł się przemarznięty do kości, lecz wcale się temu nie dziwił. Całe ciepło pokoju zniknęło wraz z wyjściem Hester.

- Chloe, w tym kapeluszu jest ci bardzo ładnie. Jeśli pójdziesz teraz do siebie po inny, na pewno się spóźnimy.



Lady Bracken stała u stóp schodów w domu Thorne'a i podniesionym głosem strofowała i przynaglała do pośpiechu niesforną podopieczną swego siostrzeńca.

- Szybciej, moja droga, nie mamy czasu. Pan Wery będzie tu lada chwila - dodała chytrze.

Chloe, będąc już w połowie schodów, odwróciła się i ociągając się zeszła z powrotem.

- Chciałam włożyć coś twarzowego, ale nie frywolnego, bo to zupełnie się nie nadaje. Och, Hester, jesteś wreszcie! - zawołała, gdyż panna Blayne właśnie ukazała się u szczytu schodów. - Wyglądasz wspaniale.

Hester, odziana w skromny i elegancki strój z grubo tkanego jedwabiu, uśmiechnęła się lekko.

- Dziękuję. Czy wyglądam na kobietę, którą potraktują poważnie?

Właściwie nie była zdenerwowana, ponieważ wiele razy występowała już przed dużą publicznością. Jednak gdzieś w środku czuła dziwne drżenie, którego przyczyną, jak musiała szczerze przyznać był bardziej niepokój serca niż nerwy.

Od czasu ich ostatniej rozmowy w bibliotece prawie nie widywała Thorne'a. Na przekór sobie łudziła się myślą, że zdecyduje się przyjść na jej odczyt, ale chyba zbyt dosłownie odczytał jej życzenie by został w domu.

Cóż, pogodziła się już z dalszym życiem bez niego. Trzeba je zacząć jak najszybciej: najlepiej od razu. Trudno było tylko przyznać, że leczenie będzie równie bolesne jak sama choroba.

Musiała się przemóc, by uśmiechnąć się do Gussie.

- Wyglądasz - oznajmiła dama - jak Boudicca\* na czele swych zastępów, tylko, oczywiście, ubrana trochę modniej.

Hester roześmiała się. Nagle rozległo się pukanie do drzwi i panna Blayne pobiegła otworzyć znów wyręczając Hobarta w jego obowiązkach.

- To chyba Trevor - powiedziała.

Ale na progu stali lady Barbara i Robert. Nie zdążyli się przywitać, gdy przed dom zajechał następny powóz, z którego wyskoczył pan Bentham.

Parę minut później przyjechał John Wery. Przywitał narzeczoną, składając delikatny pocałunek na jej policzku, po czym cała grupa rozproszyła się, rozmawiając o tym i owym. Wreszcie Trevor postanowił to przerwać i zniecierpliwiony zabrał głos.

- Chyba powinniśmy już jechać, Hester. Odczyt zaczyna się za niecałą godzinę, a powinniśmy być na miejscu trochę wcześniej. Sir Gerard będzie na nas czekał. - Rozejrzał się wokół. - Służba gotowa?

- Tak - odrzekła Gussie, która wzięła na siebie to zadanie. - Mamy sześciu rosnących osiłeków, czekają na zewnątrz. Oczywiście pojedają osobnym powozem i nie będą mieli na sobie liberii.

- Dobrze - Trevor zatarł ręce i przybrał zdecydowaną minę. - Ruszajmy zatem.

Przejmując dowodzenie, wyprowadził wszystkich z domu i dopiłnował, by zajęli miejsca w powozach. Kiedy wjeżdżali w północne rejony Londynu, Hester po raz kolejny uderzyła ogromna różnica między wypielęgnowaną elegancją Mayfair i nędzną, zaniedbaną dzielnicą Seven Dials, która leżała przecież tak niedaleko. Znaleźli się właśnie w miejscu cieszącym się najgorszą sławą w stolicy.

Gdy dotarli do Błękitnego Dzika, zaskakująco jak na takie miejsce dużej i dobrze prosperującej tawerny, całe audytorium stłoczyło się już na piętrze w wielkiej sali, oświetlonej ogromnymi lampami zwieszającymi się z sufitu i ścian. Obietnica sutego poczęstunku zwabiła tu kobiety bardzo różne. Wszystkie bez wątpienia pochodziły z nizin społecznych: począwszy od matek tulących do piersi niedożywione niemowlęta, przez wyzywająco umalowane prostytutki, po biednie ubrane kobiety, których profesji nie sposób było odgadnąć.

Wśród nich można było zauważyć grupkę kobiet odzianych skromnie, ale schludnie, w niedrogie bawełniane i muślinowe stroje. Były to protegowane sir Gerarda Wellesa i innych osób życzliwych wysiłkom Hester. Krążyły w tłumie, starając się namawiać przybyłe kobiety do skorzystania z szans, jakie dawali im dobroczyńcy.

Większość słuchaczek skupiła się wokół wielkiego stołu z poczęstunkiem i nawet nie uniosła głów, bez reszty pochłonięta konsumpcją, kiedy weszła Hester ze swym towarzystwem, choć z wysokości podium przemówiła do nich pani Honona Blount. Pani Blount piastowała zaszczytną godność osobistej sekretarki lady Glasbrooke, która wielce przyczyniła się do otwarcia szkoły dla uboższych młodych kobiet, znajdującej się kilka domów dalej na tej samej ulicy - Grafton Street.

Hester ruszyła w tłum, pozdrawiając serdecznie wszystkie znane sobie osoby i podając rękę nieznanym. Jednym z tych ostatnich był wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, którego przedstawiono jej jako pana Theodora Smarta, chirurga, który niedawno otworzył bezpłatną poradnię przy pobliskiej Crown Street, parę przecznic od Błękitnego Dzika. Człowiek ów święcie wierzył w poprawę smutnego położenia ubogich, których całe armie odwiedzały go co dzień ukradkiem.

- Nie umiem wyrazić radości, że wreszcie panią poznałem, panno Blayne - powiedział, przetykając potężny kęs kanapki z szynką. Młody człowiek sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie miał dość czasu na jedzenie. - Obawiam się, że sporo dziewcząt, które dzisiaj przyszły, nie ma dość inteligencji ani ambicji, by poprawić swój los, ale pozostałe będą doskonałymi kandydatkami do szkół, jakie powstaną. Chciałbym tylko, żeby było ich jak najwięcej, mam na

\* Boudicca - starożytna królowa celtycka (1 wiek n.e.), stanęła na czele nieudanego buntu przeciw panowaniu Rzymian w Brytanii

myśli szkoły, rzecz jasna.

- Może któregoś dnia tak będzie, panie Smart. Tymczasem to, co pan robi tutaj jest bezcenną pracą. Przypuszczam, że wiele z tych kobiet dzięki panu uniknęło śmierci przy narodzinach dziecka, inne ocalił pan przed barbarzyńskimi metodami aborcji, a inne uchronił od nadużywania alkoholu albo niedożywienia.

Pan Smart potoczył melancholijnym spojrzeniem po sali.

- Mógłbym zrobić o wiele więcej, gdyby nie przeszkadzali mi różni tacy, którym to nie w smak. Okolicznym lotrzykom nie bardzo się podoba, gdy ich żywicielki stają się świadome samych siebie.

- Ma pan na myśli idee równości? I pomysł, że kobiety też mają mózgi? - Hester uśmiechnęła się. - Nie tylko tacy ludzie są przeciwni temu, co staram się głosić. - Wskazała ręką grupkę gburowatych, nie ogolonych mężczyzn, którzy przy stole również korzystali z hojności sir Gregory'ego. - Większość dżentelmenów z wyższych sfer dzieli to przekonanie ze swymi braćmi z nizin.

- Mimo to - rzekł chirurg, rozglądając się z niepokojem - ci mężczyźni są chyba trochę bardziej niebezpieczni. Muszę pani powiedzieć, panno Blayne, że twardo się sprzeciwiali pani dzisiejszemu odczytowi, dlatego wciąż się zastanawiam, po co tu przyszli.

- Powiem panu, po co, panie Smart - rzekła spokojnie Hester. - Przyszli tu, żeby mi przeszkadzać. Zrobią dużo hałasu, ale nie za wiele szkody.

- Miejmy nadzieję. - Wskazał wyjątkowo odrażającego osobnika, przypominającego wypchanego nosorożca, którego Hester widziała w Muzeum Egipskim. - Nazywa się Bill Brickley, albo po prostu Billy Bricks. Jest znany z tego, że nie rzuca grózb na wiatr.

- Cóż, wierzę...

- Panno Blayne - sir Gerard, korpulentny dżentelmen po pięćdziesiątce, delikatnie położył jej dłoń na ramieniu. - Możemy już chyba zaczynać. Proszę wstąpić na podium, przedstawię panią.

Po kilku nieco przesadzonych pochwałach pod jej adresem wygłoszonych przez sir Gerarda, Hester zaczęła przemawiać.

## 22

Dobry wieczór - zaczęła Hester. - Ile z was jest zadowolonych ze swojego życia? - W odpowiedzi usłyszała tylko kilka wybuchów szyderczego śmiechu. - Ile z was chciałoby zmienić swe życie, gdyby pokazano wam, jak można to zrobić?

Tym razem po chwilowym wahaniu podniosło się kilka nieśmiałych rąk. Hester w milczeniu przypatrywała się ze współczuciem i życzliwością twarzom wszystkich stojących przed nią kobiet. W górę powędrowało więcej rąk, a w następnej chwili sala wydawszy solidarny jęk rozpacz, jednomyślnie podniosła ręce.

- Dziś wieczorem - rzekła donośnym, pewnym głosem Hester - pokażę wam, jak możecie to zrobić. Powiem wam, jak możecie zdobyć coś naprawdę własnego, czego nikt nie będzie wam mógł odebrać. Jak chwycić to nowe życie obiema rękami i nie wypuścić.

Entuzjastyczny aplauz, jaki wzbudziły jej słowa, dodał Hester skrzydeł. Przez następny kwadrans mówiła, prawie nie robiąc przerwy, by zaczerpnąć tchu. Czowała, jak jej słowa wzbudzają gorący odzew wśród słuchaczek, lecz gdy zaczęła roztaczać przed nimi możliwości poprawy bytu, jakie daje dostęp do edukacji, zauważyła poruszenie z tyłu sali. Zaczęło przybywać coraz więcej mężczyzn, coraz bardziej rosnących i szkaradnych. Wszyscy gromadzili się wokół człowieka, o którym mówił pan Smart - Billy Bricksa - groźnie szurając butami i przestępując z nogi na nogę.

Hester nie dostrzegła natomiast jeszcze jednej postaci, trzymającej się z tyłu. Był to Thorne, który słuchał jej, wstrzymawszy z łękiem oddech. Cały dzień walczył ze sobą, zanim zdecydował się w końcu przyjść Pod Dzika - w końcu uznał, że nie może zostać w domu. Teraz nie żałował swej decyzji. Hester była wspaniała. Było jasne, że przemawia wprost do duszy obecnych na sali kobiet, nie traktując ich z góry i nie mając pustymi obietnicami.

Nim wszedł do Błękitnego Dzika, wiedział już, że chce spędzić resztę życia z Hester; teraz wiedział też, że nie mógłby żądać od niej, by porzuciła swą misję i została żoną i matką. Zastanawiał się, czy nie mogłaby połączyć obu tych ról. Przy pomocy i wsparciu z jego strony mogłaby przecież wzbudzić ducha walki na całym świecie - a w każdym razie w jakiejś jego części - zachowując jednocześnie małą część tej pasji dla męża. Troszczyła się o losy mnóstwa ludzi. Czy nie mogłaby się zatroszczyć o niego i dwoje, może troje dzieci, które byłyby owocem ich miłości?

Poczuł dziwne podniecenie, które niczym potężny balon rosło w nim i zdawało się go unosić. Mógł nie tylko zdobyć Hester, ale zacząć robić w życiu coś pożytecznego. Ta całkiem nowa perspektywa mogła być dla niego wyzwaniem i satysfakcją.

Nagle ów balon zmienił się w ołów, który przygwoździł go do ziemi. Porwany swą wizją zupełnie zapomniał o jednej rzeczy. Hester nie znosiła go - jako człowieka i jako mężczyzny. Gdyby tylko mógł ją przekonać, żeby została w Londynie, może...

Jego myśli przerwało trzech rosnących mężczyzn, którzy przed chwilą weszli do sali. Przechodząc obok hrabiego potrącili go. Wszyscy mieli posępne twarze i wyglądali na bywalców miejscowych spelunek. Thorne przyglądał się im badawczo, gdy dołączyło do nich kilku następnych. Zatrzymali się na chwilę, radząc o czymś szeptem z

barczystym mężczyzną w poplamionej tłuszczem czapce, po czym ustawili się rzędem z tyłu, wraz z kilkunastoma innymi, którzy przyszli tu już wcześniej. Poruszali się dziwnie niezgrabnie, a kiedy jeden z nich przepychał się obok hrabiego, Thorne zauważył, że chowa on za pazuchą grubą pałkę.

Hrabia przesunął się powoli w stronę bocznej ściany, skąd mógł mieć widok na całą groźną watahę zgromadzoną z tyłu sali. Tak, teraz był już pewien, że jegomość w zatłuszczonej czapce udziela im instrukcji.

Jeden rzut oka na salę pozwolił Thorne'owi stwierdzić, że poza tą grupą jedyni obecni tu mężczyźni to ci, z którymi przyjechała Hester oraz sir Gerard i jakiś wysoki, chuderlawy człowiek, który nie wyglądał na zaprawionego w bójkach.

Na Boga, czy nikt nie pomyślał, żeby sprowadzić tu silnych pacholków do ochrony? Thorne zaczął się przesuwając w kierunku Roberta Carvera, którego uznał za najbardziej zaradnego spośród wszystkich obecnych mężczyzn. Zanim jednak zdołał wykonać parę kroków, zatrzymał go jakiś brutalny głos.

- Hej, paniusiu! A kto będzie przy dzieciach, jak kobity pójdą się bawić w te matematyki, czy jak?

Był to, oczywiście, Billy Bricks, któremu zaraz zawtórował chór popleczników.

- Prawda! Zabieraj się stąd albo cię sami wyprowadzimy!

- Kto ty, do diabła, jesteś, żeby tak się mądrzyć, paniusiu? Tyle masz rozumu, co mietła w kącie!

Gdy tylko Billy Bricks się odezwał, wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Z twarzy obecnych na sali kobiet zniknęło pełne nadziei oczekiwanie, ustępując miejsca wyrazowi lęku i rozpacz.

- Drogi panie! - zadzwieczał donośny głos Hester. - Jeśli ma pan jakieś wątpliwości i pytania dotyczące naszego projektu, z radością...

- Nie ma żadnych tam wątpliwości! - zagrzemiał Billy Bricks. - Chcemy tylko, żebyś zamknęła gembę i wróciła do swojego pałacu razem z tymi bogatymi panami! I żebyś więcej nie przychodziła mieszać w głowach naszym kobitom!

Tłum mężczyzn ryknął z aprobatą dla tej jasno wyłożonej filozofii i ruszył do przodu. Nagle Thorne został przywołany do ściany, gdy bez skutku starał się zbliżyć do Hester. Torując sobie drogę łokciami, zdołał w końcu podejść blisko podium, po czym odwrócił się, stając twarzą w twarz z mężczyznami, którzy dobyli już ukrytych pałek i zaczęli robić z nich użytek na kobietach. Salę wypełniły paniczne wrzaski.

Jego służący radzili sobie dość dzielnie z tłumem, w czym pomagali im ofiarnie Carver, John Wery i lord Bracken. Thorne nie zauważył jednak nigdzie Trevora Benthama. Hrabia skoczył na pomoc swym towarzyszą, ale zbита ciżba nie pozwoliła mu zrobić ani kroku. Hester wciąż stała przy swym pulpicie na podium i usiłowała przekrzyczeć zgiełk bójk, starając się przekonać mężczyzn, by opuścili salę, gdyż w przeciwnym razie na pewno narażą się na spotkanie ze stróżami porządku, którzy mogli się tu zjawić lada chwila, zwabieni odgłosami awantury.

Thorne uznał, że Hester ma rację, lecz nie mogli wiedzieć, jak długo przyjdzie im czekać na pomoc. Przedarłszy się do najbliższego okna, wyrzwał przez nie i zobaczył, że na dole stoi wielki wóz wyladowany słomą. Ruszył więc w stronę Carvera, który próbował osłaniać lady Barbarę, czyniąc przy tym poważną krzywdę jakiemuś wielkoludowi o małych oczkach, który umyślił sobie chyba rozszarpać Roberta na sztuki.

- Okno! - wysapał Thorne, usuwając z drogi przeszkodę w postaci wymachującego pałką potwora. W paru słowach objaśnił Carverowi swój „plan działania”, jak go szumnie nazwał, ten zaś natychmiast odwrócił się i dał znak lordowi Brackenowi i Wery'emu. W parę chwil potem otoczyli kołem swe przerażone panie i zaczęli dyskretnie kierować się ku oknu, przez które pomogli im wydostać się na zewnątrz i bezpiecznie wylądować w wozie.

Tymczasem Thorne jeszcze raz podjął próbę dotarcia do Hester. Zniknęła jednak z podium i hrabiego zdjął nagły strach, gdy nie mógł jej nigdzie wypatrzeć. Po kilku minutach dojrzał ją wreszcie z daleka. Ale miast odetchnąć z ulgą, zaklął siarczyście. Tak jak można było przypuszczać, panna emancypantka rzuciła się w sam środek bijatyki i właśnie tłukła jakiegoś zbira większego cztery razy od niej. Zaskoczony nagłym atakiem zwalisty jegomość, pozwolił wyrwać sobie z ręki pałkę, którą przed chwilą okładał przerażoną młodą kobietę. Hester poczęła więc walić go na oślep po głowie i uszach. Człowiek ten kulił się teraz, osłaniając przed ciosami łusą głowę i olbrzymie uszy, ale Thorne wiedział, że nie potrwa to długo i prędzej czy później opryszek otrząśnie się ze zdumienia.

Rzeczywiście, spojrzawszy na nią spod ramienia, którym się osłaniał, w jego podłych oczkach zamigotała wściekłość. Nagłym ruchem opuścił ramiona i odzyskał swój oręż, machnąwszy lekko ręką w kierunku twarzy Hester, która padła jak nieżywa na podłogę.

Thorne wydał z siebie nieartykułowany ryk i rozpychając stojące mu na drodze ciała, ruszył w kierunku napastnika, lecz zanim doń dotarł, zatrzymał go jakiś krzyk z przeciwległej części sali. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że ktoś przewrócił wielki świecznik, który stał na stole. Podłoga była posypana słomą, która w jednej chwili buchnęła płomieniem, a po następnych paru sekundach ogień zaczął trawić meble.

Thorne odwrócił się i dobiegł do jegomościa, który zaatakował Hester, a teraz wrócił do swej pierwszej ofiary. Hrabia złapał go za ramię, odwrócił i rzucił na podłogę jednym potężnym ciosem.

- Hester! - zawołał przerażony, przyklękając przy niej i biorąc ją w ramiona. - Mój Boże, Hester, co ci się stało?

Odpowiedział mu stłumiony jęk, ale po chwili Hester zdołała usiąść o własnych siłach. Thorne spróbował ją

podnieść, lecz w tej samej chwili dostrzegł ich któryś z awanturników i zwycięskim wyciem natychmiast powiadomił o tym swych kompanów, którzy skierowali się w ich stronę. Zewsząd zaczęły rozbrzmiewać paniczne krzyki, gdyż salę poczęły wypełniać gęsty dym. Korzystając z tej osłony, mężczyźni podeszli do nich. Thorne, starając się przede wszystkim ochronić Hester przed kolejną napaścią, powstrzymał się od ataku, rozdzielając z rzadka ciosy, gdy nadarzała się okazja. Dzięki sile i zdecydowanej postawie Thorne'a oraz gwałtownej acz mało skutecznej pomocy Hester, udało im się w końcu dotrzeć do względnie bezpiecznego miejsca niedaleko podium.

- Chodź - powiedział krótko. - Wydostałmy się stąd.

Gdzieniedzie walczący zaczęli się wycofywać z bijatyki i umykać przed płomieniami, które wspięły się już po ścianach i objęły zasłony wiszące na oknach.

Na nieszczęście drogę do jedynej wyjścia z sali odcinało im kłębowisko szczepionych ciał i ściana ognia. Panika narastała z każdą chwilą, Thorne zawrócił więc Hester z powrotem do okna, przez które salwowali się ucieczką ich towarzysze. Spojrzał w dół i zobaczył, że wszyscy ciągle stoją na ulicy, wpatrując się z niepokojem w okno. Z przeciwnej strony ulicy rozbrzmiał nagle tupot nóg i nawoływania które zbliżały się do Błękitnego Dzika. Do budynku wbiegła uzbrojona grupa stróżów porządku - byli już na schodach. Nie mogło być wątpliwości, że ich obecność tylko spotęguje chaos panujący w sali.

- Chodź - powtórzył Thorne. - Nie widzę powodów, dla których mielibyśmy być przy tym starciu rozjemców i napastników. Wezmą stąd pewnie wszystkich, a nie sądzę, żeby perspektywa spędzenia wieczoru w biurze konstabla była zbyt nęcąca.

Hester wzruszyła ramionami.

- Rzeczywiście, nie. Ale pożar... Thorne, przecież reszta znajdzie się w potrzasku!

W odpowiedzi hrabia bezceremonialnie wypchnął ją przez okno, wprost w ramiona stojących na dole Gussie i lorda Brackena.

Potem odwrócił się i obrzucił spojrzeniem pobojowisko. Na razie niewiele osób wpadło na pomysł, by skorzystać z dwu okien wychodzących na ulicę; tłum wciąż napierał na tych, którzy chcieli uciec drzwiami, a z drugiej strony wyjście blokowali ci, którzy chcieli wejść do środka.

Płomienie rozszalały się na dobre, a gęsty dym nie pozwalał swobodnie oddychać. Thorne mógł dojrzeć tylko to, co działo się w promieniu kilku stóp, lecz z oddali dochodziły go rozpaczliwe krzyki ludzi, którzy nie mogli uciec. Wyciągnął na oślep ręce i złapał czyjeś ubranie - była to kobieta, która zwróciła ku niemu oszalała z przerażenia twarz. Przeszło mu przez myśl, że jeszcze przed chwilą zostawiłby ją na pastwę losu, ale teraz jej życie stało się najważniejsze na świecie.

- Chodź! - wykrztusił - tędy!

Ślaniając się na nogach zaprowadził ją pod okno i pomógł wyskoczyć. Wrócił i uczynił to samo z kolejną kobietą - tym razem była to matka z dzieckiem. Po trzeciej albo czwartej szczęśliwej ewakuacji, tłum zauważył wreszcie jego wysiłki i rzucił się do okien.

Niektórzy mężczyźni, którzy jeszcze chwilę temu okładali bez litości kobiety, teraz w odruchu skruchy, a może by umknąć przed spotkaniem z policją, zaczęli im skwapliwie pomagać w ucieczce. W mgnieniu oka wszyscy poczęli wyskakiwać przez okna i jak gęsta ulewa spadali na ulicę.

Ostatni rzut oka na salę upewnił Thorne'a, że niefortunni słuchacze zdołali ją opuścić. Odetchnąwszy z ulgą, sam w końcu postawił stopę na parapecie i już miał pójść w ich ślady, gdy nagle usłyszał zduszony, przerażony płacz gdzieś na drugim końcu pomieszczenia.

W sali zrobiło się gorąco nie do zniesienia, a dym zdawał się przepoczwarzyć w żywe stworzenie - rzucał się z pazurami do oczu i kąsał w gardło. Kierując się w stronę słabego dźwięku, Thorne dojrzał postać odzianą w łańchmany, leżącą twarzą do ziemi i uwięzioną w pułapce z ciężkich stołów, które tłum musiał wywrócić. Był to chłopiec, który nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat. Najwidoczniej nie mógł się nawet poruszyć.

Thorne miał świadomość, że sala jest śmiertelną pułapką, ale niewiele myśląc zaczął mocować się ze stołem. Rozejrzał się wokół, lecz nie mógł liczyć na żadną pomoc.

- Przygniotło mnie, panie - zaskomlał chłopiec. - Nie mogę ruszać nogami. Pomocy! Niiieee! - wrzasnął. - Proszę nie odchodzić!

- Nie zostawię cię - zapewnił go Thorne. - Muszę tylko coś znaleźć, żeby podważyć ten przeklęty stół.

Podniósł stojące nieopodal krzesło i roztrzaskał je o podłogę. Następnie wziął jeden z solidniejszych kawałków drewna i zaczął podważać stół, sapiąc z wysiłku. Musiał jednak na chwilę przerwać, by zdusić ogień, którym zajęły się nogawki jego spodni. Do kroćset! Musi się stąd wydostać!

- Dobrze - rzekł wreszcie. - Zrobimy tak: kiedy powiem „już”, spróbujesz wyciągnąć nogi spod stołu. Możesz nimi poruszać?

- Tak, panie - sapnął w odpowiedzi chłopiec, tłumiąc język ognia, który błysnął nagle tuż obok niego.

- Uwaga. - Thorne wsunął nogę krzesła pod bok stołu i natężył się. - Już!

Z największym wysiłkiem hrabia dźwignął stół, a chłopiec wysunął spod ciężaru swe drobne ciało. Thorne błyskawicznie chwycił go w ramiona i pobiegł do okna, nie mogąc się nadziwić nadzwyczajnej lekkości chłopca. Głuchy łoskot za plecami powiedział mu, że właśnie w tej chwili walił się sufit, ale Thorne był już przy oknie i

płynnym ruchem przesadzał parapet, trzymając wciąż w objęciach chłopca.

Zaniepokojona Hester wpatrywała się z dołu w okno. Gdzież on jest? Czuła, że serce od pewnego czasu łomocze jej w gardle, gdy pomagała kolejnym kobietom wylądować bezpiecznie na ulicy i co chwila odwracała głowę w stronę, gdzie czyhała pewna śmierć. Czy mógłby... Och, jest! Na drżących nogach podbiegła do wozu, na którym stał już Thorne i otrzępywał ubranie.

Hrabia patrzył z pewnym zadowoleniem, jak chłopiec zeskakuje z wozu i zmyka w kierunku tłumu ocalonych, a potem sam zszedł na ziemię. Popatrzył na swe towarzystwo czekające na ulicy i na Hester, której rzucił szczególnie badawcze spojrzenie. Poza wielkim sińcem na policzku zdawało się, że nie doznała większych szkód w bijatyce i pożarze, którego blask odbijał się teraz w jej oczach.

- Thorne! Nic ci nie?...

- Wszystko w porządku - odparł pospiesznie. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Tymczasem lepiej będzie, jeśli opuścimy już to miejsce.

Jednakże upłynęło trochę czasu, nim wyruszyli w drogę powrotną do zacisznego Mayfair, gdyż zatrzymał ich tłum, gwałtownie protestując i wnosząc okrzyki potępienia oraz wyrażając radość z powodu ich ucieczki. Thorne, który przyjechał tu swą szybką kariolką, usilnie namawiał Hester, by pojechała razem z nim. Wreszcie zgodziła się, a pozostali wsiedli do swoich powozów.

- Co się teraz stanie z tymi wszystkimi kobietami? - zapytała rwącym się głosem. - Och, Thorne, szło mi tak dobrze! Zdawało mi się, że zobaczyłam w ich twarzach nadzieję, a teraz... - Urwała. - W każdym razie dziękuję, że się pojawiłeś.

Thorne milczał długą chwilę, po czym zatrzymał kariolkę w cieniu drzew, które tworzyły coś na kształt małego parku na obrzeżach Mayfair, do którego właśnie wjechali. Odwrócił się do niej i wziął ją za rękę.

- Hester - rzekł głosem schrypniętym od dymu i emocji, której Hester nie śmiałyby nazwać. - Wierzysz, że tym młodym kobietom można pomóc; że jest w nich siła, która pozwoli im się wydzwignąć?

- Tak, wierzę - odparła zdecydowanie Hester, bezskutecznie próbując oswobodzić rękę.

- Zatem - powiedział miękko - nie sądzisz, że jeszcze jeden niegodny miana człowieka wyrzutek, który trwonił większą część darów życia, mógłby dostąpić łaski podobnego... nawrócenia?

Przez mgnienie oka Hester wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- Na Boga, Hester, nie domyślasz się, że człowiek, który tyle tygodni spędził w twoim towarzystwie, musiał przejść pewną, hm... metamorfozę?

- Sądziłam, że przede wszystkim udało ci się przez ten czas zachować swą indywidualność, milordzie.

- Hester, niech to diabli, właśnie próbuję się oświadczyć. Mogłabyś mnie chyba spokojnie wysłuchać?

Siedząca po drugiej stronie kariolki Hester patrzyła na niego pustym wzrokiem. Oświadczyć? Cóż to za nowy kaprys przyszedł mu do głowy? Czyżby tak bardzo pragnął ją uwieść, że był gotów skorzystać z tradycyjnego arsenału forteli uwodziciela, byle tylko osiągnąć cel? Ale w ogóle nie wyglądał teraz na uwodziciela. Jego ubranie było w strzępach, włosy zlepione sadzą i potem. Poza tym wyglądał na okropnie spiętego, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

- O... oświadczyć się? - wyszeptwała, przeklinając się w duchu za swą niemądrą reakcję, a także za nagły dreszcz nadziei, jaki przeszył ją na wskroś.

- O Boże, Hester. Wiem, że robię to strasznie nieporadnie, ale kocham cię. Nie jestem pewien, czy w ogóle rozumiem, co to znaczy, ale wiem, że chcę być z tobą, tylko z tobą, na zawsze i chcę, żebyś też tego chciała. Chcę wziąć z tobą ślub w pełnym świec kościele, gdzie wszyscy będą nam życzyć szczęścia, a potem chcę cię zabrać do domu i mieć z tobą dzieci. Hester - ciągnął miękko, a ona nie odrywała od niego wzroku. - Chcę być przy tobie, gdy walczysz o swoją sprawę. Bardzo szanuję twoje szczytne cele i nie będę ci przeszkadzać w ich osiągnięciu. Mam nawet nadzieję, że mógłbym ci pomóc. Chcę... chcę, żebyś była szczęśliwa.

Jej dłonie w jego uścisku zaczęły tak gwałtownie drżeć, że Hester była pewna, iż Thorne musi przez nie czuć łomot jej serca.

Łatwo mówić, pomyślała sobie. Wydawało się, że Thorne mówi szczerze, ale czyż pozory szczerości nie są jedną z głównych broni uwodziciela? Nie. Spoglądając w głąb jego oczu, znalazła w nic niewątpliwe potwierdzenie prawdy jego słów.

Dziś wieczorem Thorne przeszedł próbę - w dosłownym znaczeniu próbę ognia - i wyszedł z niej zwycięsko. Choć mogło się to wydawać niewiarygodne, hrabia Bythorne stał się wrażliwy na ludzką krzywdę.

Ale czy rzeczywiście ją kocha? Jak mogła uwierzyć, że naprawdę mógłby porzucić swe wszystkie te piękne kochanki i zbudować rodzinne ognisko ze zwykłą panną Hester Blayne?

Jakby wyczuwając jej wątpliwości, pochylił się ku niej.

- Jestem przekonany - rzekł cicho - chociaż zupełnie nie mam doświadczenia w tych sprawach, że kiedy mężczyzna wyznaje kobiecie miłość, w tych słowach kryje się też zdanie: „Porzucę dla ciebie wszystkie inne”. Najdroższa, dla ciebie porzuciłem inne już dawno temu. Poza tobą nie ma w moim sercu miejsca dla nikogo, nie mam też najmniejszej ochoty pozwalać nikomu szukać w nim miejsca. Boję się, że się stanę jednym z najnudniejszych na świecie wiernych mężów. A wszystko to twoja wina.

Delikatnie ujął w dłonie jej twarz i pocałował: najpierw w jeden policzek, potem w drugi, wreszcie w usta.

Tak jak kiedyś, pod jego dotykiem poczuła, że wszystko w niej topnieje, i poddała mu się. On w odpowiedzi złożył jeszcze jeden czuły pocałunek na jej wargach. Boże drogi, sam starał się zachować powściągliwość! Próbował ją przekonać o szlachetności swych intencji.

Nagle jej wątpliwości uleciały i przepełniło ją niewysłowione szczęście. Kochał ją! Hrabia Bythorne kochał zwykłą Hester Blayne i żadnej innej.

Zaśmiała się, łapiąc oddech.

- Mój drogi hrabio, czy nikt cię nie nauczył, jak należy okazywać kobiecie miłość?

Objęła go ramionami i przyciągnęła jego twarz do swojej. Przycisnąwszy swe usta do jego ust, pocałowała go namiętnie. Po kilku chwilach Thorne odsunął się i zajął jej w oczy - jego zdumienie przerodziło się w uśmiech niedowierzania, a potem w nieopisaną radość. Teraz on przyciągnął ją do siebie i wpił się w jej usta. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz i poddała się całkowicie jego władzy. Czowała, jak ogarniają ją ciepłe i kojące fale szczęścia.

- Och, najdroższy - szepnęła później. - Też nie jestem pewna, czym naprawdę jest miłość, ale to chyba dobry początek.

Wreszcie kariolka znowu ruszyła. Kiedy dotarli do domu, zastali całe towarzystwo czekające na nich z niecierpliwością. W hallu stał też dżentelmen, którego wcześniejsza nieobecność Pod Błękitnym Dzikim tak bardzo rzuciła im się w oczy.

- O, Trevor! - powiedziała nieco zdziwiona Hester. - Cóż ci się stało?

- Jak już wyjaśniłem - zaczął pan Bentham - uznałem za stosowne opuścić tawernę, gdy ci zbóje wszczęli burdę. Ktoś przecież musiał sprowadzić pomoc. Nie, nie, nie musicie mi dziękować - dodał unosząc dłoń. - To był mój obowiązek. Wiem już, że policja zjawiała się w porę.

John Wery parsknął pogardliwie.

- Owszem, jesteśmy cali i zdrowi, ale nie dzięki panu.

- Potem zaś, oczywiście - ciągnął Trevor, jakby nie usłyszał Johna - natychmiast pospieszyłem tutaj, żeby się upewnić, czy nie stała się wam żadna krzywda.

- To bardzo miło z twojej strony, Trevor - powiedziała z przekąsem Hester.

- Tak, rzeczywiście, Bentham. - Thorne postąpił krok naprzód i otoczył ramieniem Hester. - Teraz, skoro zrobił pan, co do niego należało, na pewno chciałby pan już pojechać do domu. Pańska matka może się niepokoić.

Trevor skamieniał. Jego twarz pociemniała, gdy zobaczył, że Hester uśmiecha się do hrabiego. Kiedy Thorne pocałował ją w policzek, oczy Trevora rozbłyły gniewem.

- Proszę posłuchać...

Przerwał mu jednak uradowany szczebiot Gussie.

- Hester! Thorne! Och, moi drodzy, to prawda? Czy wy?...

- Tak, Gussie - odparł Thorne. - Możecie nam życzyć szczęścia, nareszcie.

Na te słowa wszyscy otoczyli ich ciasnym kołem, przekrzykując się wzajemnie w gratulacjach. Trevor stał z boku, milczący i wstrząśnięty, z pobladłą twarzą i drżący.

Zauważywszy go, Hester poczuła wyrzuty sumienia i wyciągnęła do niego rękę.

- Mam nadzieję, że ty też zechcesz życzyć mi szczęścia, Trevor? - powiedziała z uśmiechem.

Jednakże Trevor nie odwzajemnił uśmiechu.

- Już wszystko rozumiem - rzekł patetycznie. - Zdecydowałaś porzucić drogę, którą wspólnie wybraliśmy wiele lat temu. Postanowiłaś postawić na pierwszym miejscu własne przyjemności zamiast...

- Droga, którą razem wybraliśmy? - powtórzyła z niedowierzaniem Hester. - Trevor, nie chcesz chyba powiedzieć, że naprawdę wierzysz w swój ogromny wpływ na moje...

- Ja zaś chcę powiedzieć - przerwał jej z całym szacunkiem Thorne - że czas już na pana Benthama.

Trevor zacisnął pięści, ale choć Thorne patrzył na niego łagodnie, było w jego spojrzeniu coś, co kazało mu się zawahać. Sięgnął więc zrezygnowany po kapelusz i laskę, po czym skłonił głowę.

- Ma pan rację, milordzie. - Pochylił się nad dłonią Hester. - Życzę ci szczęścia, moja droga, chociaż... - Wciągnął głęboko powietrze i zacisnął usta, lecz rozsądek zwyciężył nad pragnieniem powiedzenia ostatniego słowa. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu dumnym krokiem, stukając obcasami w mozaikową posadzkę hallu.

- No, no - rzekła Chloe, po czym dostała ataku chichotu.

- No, no - mruknął Thorne.

Zrobiło się już bardzo późno, więc towarzystwo poczęło się zbierać. Lord i lady Bracken opuścili dom pierwsi. Gussie wybiegła przejęta, snując z ożywieniem plany jeszcze jednego ślubu. John z wielkim trudem oderwał się od Chloe i wkrótce młoda dama popłynęła rozmarzona w górę schodów w towarzystwie ciotki Lavinii.

- Chyba też powinniśmy iść już do łóżek - powiedziała Hester, gdy zostali z Thorne'em sami u szczytu schodów.

- Wspaniały pomysł - odparł z szerokim uśmiechem. - Ale, zaraz, zaraz, powiedziałaś „łóżek”, tak? - Westchnął. - No dobrze, będę się zachowywać zgodnie z nakazami przyzwoitości, na razie. - Wziął ją w ramiona. - Moja droga panno Blayne - szepnął. - Jest pani moim najcenniejszym skarbem i największym szczęściem. - Odsunął się od niej i przez chwilę spoglądał jej badawczo w oczy. - Wierzysz już, że jesteś mi najdroższa?

Hester uśmiechnęła się lekko, czując, jak znów ogarnia ją fala szczęścia.

- O tak, Thorne. Żadne z nas nie jest bez wad, ale z jaką radością będziemy je w sobie nawzajem zwalczać i nawzajem się poprawiać!

- Tylko jedno ci w głowie - powiedział cicho jej ukochany. - Może na jakiś czas odłożymy sprawę wielkiej naprawy świata?

- Tak, jedyny - odrzekła potulnie panna Blayne i uniosła ku niemu twarz.